SĄDY GMINNE.

Wprowadzona w kraju naszym w r. 1876 reforma sądownictwa powołała do życia instytucyą *sądów gminnych*, która od piérwszych chwil swego istnienia żywe w ogóle wszelkich klas obudziła zajęcie. Interes wywołany ich ustanowieniem najlepszym jest dowodem, że samo ich wprowadzenie w życie, sama zasada, na któréj oparte zostały, dotknęły ważnych strun życia społecznego. Nie wątpię, że powab nowości, że świeży i niezużyty temat zajęcia uwagi niemałą grały rolę w licznych głosach, które dały się słyszéć bądź prywatnie, bądź w prasie peryodycznéj z powodu sądów gminnych. Lecz była to niewątpliwie przyczyna najmniejsza, i w często podnoszonych o tym przedmiocie rozprawach, nie trudno było odczuć pobudki głębsze i trwalsze niż przelotne zaciekawienia. Znać w nich świadome i jasne zrozumienie ważności nowo wprowadzonéj instytucyi i przeświadczenie, że daje ona pole, niestety dość wyjątkowe, nie tylko do spokojnéj obserwacyi i kontemplacyi, ale i czynnego zwrócenia w tym kierunku działalności społecznéj. Z tego powodu interes wywołany pierwotnie nie stracił na swéj sile, a jeden z jego niewątpliwych czynników, urok nowości, zastąpiony został sowicie innym, daleko poważniejszym, t. j. trzyletniém blisko doświadczeniem, które już do pewnego stopnia teoryą poprzéć jest w stanie. Chwila obecna, w któréj dobiega do końca piérwszy okres funkcyonowania u nas sądów gminnych, t. j. trzechlecie pierwotnie wybranych członków, będzie podobno chwilą właściwą do ponownego rozejrzenia się w téj sprawie.

Instytucya sądów gminnych, aczkolwiek wprowadzona do nas jednocześnie z obowiązującemi już od lat kilkunastu w Cesarstwie

Ustawami Sądowemi z r. 1864, jest jednak zupełnie nowa i wyłącznie dla kraju naszego przez prawodawcę pomyślana. W Cesarstwie mianowicie zaś w tych jego guberniach, gdzie wprowadzone już zostały ustawy sądowe, atrybucye naszych sądów gminnych rozdzielone są między wybieralnych sędziów pokoju i sądy gminne (wołostne). Ostatnie funkcyonują na mocy Ukazu Najwyższego z r. 1861 i rozciągają swą władzę jedynie na osoby stanu włościańskiego. Sąd złożony z członków wybieralnych sądzi sprawy cywilne do wysokości rs. 100, wyższe zaś—tylko za zgodą stron, oraz skazuje za wykroczenia na karę robót do dni 6, aresztu do dni 7 i karę pieniężną do rubli 3 i to bez apelacyi. Jest to przeto instytucya wyjątkowa, stanowa, istniejąca po za ogólnym systematem władz sądowych, a zatém zasadniczo różna od naszych sądów gminnych. Sprawy przewyższające zakres władzy sądu „wołostnego" rozstrzyga sędzia pokoju, wybieralny z łona społeczeństwa, i to zarówno dla ludności wiejskiéj, jak miejskiéj.

Nasze sądy gminne nie są instytucyą stanową, władza ich bowiem rozciąga się na wszystkich mieszkańców gmin wiejskich bez różnicy stanu i pochodzenia. Nie są daléj instytucyą wyjątkową, wchodzą bowiem w skład ogólnéj organizacyi sądowéj. Stanowisko ich równa się w zupełności stanowisku sędziów pokoju. Różnica w tym względzie od Cesarstwa polega na tém, że podczas, gdy tam sędziowie pokoju wykonywają całą w ogóle jurysdykcyą niższą (z wyjątkiem atrybucyi sądów wołostnych); u nas wprowadzone zostało rozróżnienie gmin wiejskich od miast. W ostatnich władzę sądową sprawują sędziowie pokoju, w pierwszych—sądy gminne, ale jedni i drugie na tych samych zasadach.

Sądy gminne i sędziowie pokoju co do służącéj im jurysdykcyi są instytucyami współrzędnemi; różnice zachodzą jedynie co do sfery, na którą atrybucye ich się rozciągają i co do składu osobistego. Sędziowie pokoju sądzą sami, jednoosobowo, sądy zaś gminne kolegialnie; pierwszych mianuje rząd, członkowie zaś sądów gminnych t. j. sędzia i ławnicy są obieralni. Obiór członków sądu gminnego dokonywa się co lat trzy na zebraniach gminnych, we wszystkich gminach połączonych w jeden okrąg sądowy. Na urząd sędziego każda gmina wybiéra po jednym kandydacie, z których minister sprawiedliwości, na przedstawienie gubernatora, zatwierdza jednego. Może jednak minister, nie zatwierdziwszy żadnego z kandydatów, mianować na urząd sędziego gminnego osobę inną z ramienia władzy, aż do następnych wyborów. Na piérwsze t. j. bieżące trzechlecie (1876—1879 r.) liczba mianowanych w ten sposób sędziów jest stosunkowo dość znaczna; przyczém większość mianowanych sta-

nowią spadli z etatu członkowie dawnych instytucyj sądowych. Jeżeli cały okrąg sądowy stanowi jedna gmina, wybiéra sama dwu kandydatów na sędziego. Ławników, których ilość w okręgu sądowym zależy od ilości stanowiących go gmin, zatwierdza gubernator z pomiędzy dwu osób wybranych na każdą posadę.

Na urząd sędziego gminnego wybrane być mogą osoby, mające co najmniéj 25 lat wieku oraz prawo do uczestniczenia w zebraniach gminnych i posiadające w gminie nieruchomość, dającą prawo do wyboru na wójta gminy t. j. 3 morgi gruntu, a także dowód ukończenia jakiegokolwiek zakładu naukowego, nie wyłączając szkół elementarnych lub téż swiadectwo ze zdania odpowiedniego egzaminu. Ostatnie te wymagania, dotyczące kwalifikacyi naukowéj, są nadzwyczaj skromne; ukończenie szkoły elementarnéj nie może dać rękojmi należytego spełnienia obowiązków tak ważnych i rozległych, jakie ciążą na sędzi gminnym; niejednokrotnie dawały się słyszéć zażalenia przeciwko działalności sądów, w których główna osoba nie posiadała wyższego nad prawne *minimum* wykształcenia. Do atrybucyi sądów gminnych należą nieraz sprawy dość skomplikowane, do ocenienia których, prócz zdrowego rozsądku, potrzeba rozleglejszych pojęć, a nawet wiadomości prawnych, które sędzia czerpać musi z książek, głównie zaś z osobnego, w tym celu wydanego podręcznika dla sądów gminnych. Jakkolwiek autorowie tego ostatniego starali się o wykład jak najprzystępniejszy, to przecież nie będzie mógł zeń korzystać człowiek, który, wyuczywszy się przed laty czytać i pisać, nie praktykował w latach późniejszych obu tych sztuk, a co najwyżéj czytał modlitwy na książce do nabożeństwa i podcyfrowywał od czasu do czasu i to z mozołem swoje nazwisko. To téż w obec podobnych sędziów, wymiar sprawiedliwości zwykle przechodzić musi w ręce pisarzów, których wpływ, w tym razie częstokroć ujemny, wcale pożądanym nie jest. Powyższe wymagania co do kwalifikacyi naukowéj, same przez się nadzwyczaj skromne, mogą być jeszcze ominięte. Mogą mianowicie sprawować urząd sędziego osoby, nie posiadające ich, lecz które poprzednio przesłużyły trzy lata w takiéj służbie, gdzie nabyć mogły praktycznéj znajomości prowadzenia spraw sądowych; do téj kategoryi zaliczeni są między innemi i wójci oraz ławnicy dawnych sądów gminnych, umiejący czytać i pisać.

Inaczéj, mojém zdaniem, zapatrywać się należy na przepis, według którego od ławników żadne naukowe kwalifikacye wymagane nie są. W obec teraźniejszego stanu oświaty ogółu naszéj ludności wiejskiéj jest on do pewnego stopnia, przynajmniéj tymczasowo, konieczny. Nie ulega wątpliwości, że pewna część ławników w sądzie gminnym powinna posiadać choć jakie takie wykształcenie,

co w sądach, gdzie sędzia ma zbyt niskie kwalifikacye naukowe jest niezbędnym warunkiem. Z drugiéj wszakże strony dbać należy o to, aby udział w rozstrzyganiu spraw brała nie sama tylko inteligencya wiejska. Uczestniczenie w wymiarze sprawiedliwości przedstawicielów klasy włościańskiéj i to takich, którzy jak najmniéj po nad ogólny jéj poziom wyrastają, jest tak koniecznym warunkiem instytucyi sądów gminnych, że wszelkie utrudnienie go, nawet takiéj natury, jak wymaganie pewnéj oświaty książkowéj, znacznie zmniejszyłoby jéj społeczną doniosłość. Pod wyrok sądów gminnych przychodzą przeważnie jednostki z łona ludu prostego, umiejącego już może uszanować wyższą od swojéj wiedzę, ale nie dość ufające jéj jeszcze nawet u swoich, a cóż dopiéro u osób innéj sfery towarzyskiéj. Jeżeli wolny wybór mieszkańców całego okręgu sądowego powoła do składu sądu gminnego samę tylko inteligencyą, powinniśmy temu przyklasnąć; dobry to znak, dowód, że lud pozbył się szkodliwego dla ogółu uprzedzenia. Lecz i w tym nawet razie sama możność wyboru równych sobie wiele znaczy. Wszelako podobne przykłady rzadko u nas jeszcze przytrafić się mogą; dla tego też jest do życzenia, aby ogół sądzonych widział w gronie sądzącém swych równych, których obecność stanowić dla nich będzie gwarancyą bezstronności i zaufanie do sądu obudzi.

Nie jest to przecie powód jedyny, ani nawet najważniejszy. Uczestniczenie osobistości z łona ludu w rozstrzyganiu spraw sądzonych stać się może i powinno szkołą i to nie tylko dla jednostek wybranych na ławników, ale i dla całéj ludności. Słuchając spraw zbliska go obchodzących, w których nieraz sam czynnym był działaczem, a w których co dzień niemal bliskich swych widzi, ławnik-włościanin nabywa nowego poglądu na codzienne społeczne sprawy. Obowiązek wypowiedzenia zdania pobudza śpiący umysł prostaczka do myślenia i powoli go rozwija; bezstronna obserwacya spraw między osobami trzeciemi, bliżéj go nie obchodzącemi i to przy różnorodnych warunkach, wyrabia poczucie sprawiedliwości, poczucie ogólnéj idei współcenienia, wyższéj po nad pojedyńcze wypadki i interesa prywatne. Wreszcie wytwarza się w nim pojęcie prawności; mimowoli zrozumie on konieczność wytworzenia ogólnych stałych przepisów określających wzajemne stosunki ludzkie i potrzebę zachowywania ich przez wszystkich. Wszak wiadomo, że brak poczucia sprawiedliwości, nieuszanowanie praw cudzych, kierowanie się zawsze chwilową korzyścią, należą do główniejszych, a w znacznéj części zasadniczych wad ludu naszego. Gdzież oduczy się ich włościanin? Nauki kaznodziejów, które zresztą mało się podobnemi tematami zajmują, ulatują mu z głowy zanim ksiądz „Ite missa est“

zaśpiewa; książki ludowe, gdyby nawet oświecały o tych przedmiotach, niewiele większy wpływ mieć mogą. Wszelkie teoretyczne sposoby wpajania zasad moralnych nigdy i nigdzie skutku znacznego nie osiągają, a cóż dopiéro w masach umysłowo nierozwiniętych i niezdolnych do objęcia myślą przedmiotów oderwanych. Praktyczne zetknięcie się ze stosunkami, w których prawo i sprawiedliwość na jaw występują, jedyną tu skuteczną szkołą być może. Zasiadając i obradując razem z ludźmi inteligentniejszymi, słysząc ich zdania konsekwentne i bezstronne, lud ulegnie mimowoli ich wpływowi. Z początku, być może, nie odrazu dopatrzy się ogólnéj idei; niewprawny umysł nie zoryentuje się w faktycznych okolicznościach sprawy, brak rozległego materyału przywiąże myśl do szczegółów podrzędnych. Lecz z biegiem czasu zastanowienie przyjdzie samo z siebie; umysł rozjaśni się i bezwiednie nawyknie do szukania prawdy.

Nie ulega wątpliwości, że wpływ ten zbawienny na umysłowy i moralny rozwój włościan—ławników zależy w wysokim stopniu od inteligentnych kolegów. Pomijając już tę okoliczność, że będą oni dlań przykładem i wzorem, na którym kształcić się będzie, od nich zależy ułatwianie mu téj pracy, a nawet uczynienia jéj możliwą. Wszelka dyktatura ze strony sędziego inteligentnego, lekceważenie zdania niższego kolegi zniechęci go i zobojętni do swych obowiązków oraz zapaść mającego wyroku. Stanie się więc automatem, figurantem, ciałem tylko, i to nieraz wpółsenném, uzupełniającém wymagany przez prawo komplet. Wprawdzie sędziemu, zmuszonemu w czasie wprowadzenia sprawy męczyć się z ciemnemi i upartemi stronami, nie bardzo miłą być może myśl odbycia drugiéj podobnéj przeprawy z członkiem lub członkami sądu; lecz pamiętać powinien, że tą tylko drogą sumiennie wypełnić może swoje zadanie jako sędzia i jako obywatel dbały o postęp niższych od siebie, a zatém o pomyślność ogółu. Sędzia więc powinien zawsze zapytywać się o zdanie ławników i w razie jego błędności starać się o tém dowodami przekonać, to bowiem tylko obudzi w nich zajęcie i do wyrobienia własnego zdania zachęci.

Szkoła jaką dla włościanina stanowi udział w rozsądzaniu spraw, nie tylko do jego osobistego oświecenia i umoralnienia się przyczyni. On sam stanie się krzewicielem nabytych tam zasad między równymi sobie. Zainteresowany sprawami sądowemi przez czynny udział jaki w nich bierze, niejednokrotnie weźmie je za temat rozmowy i, słysząc zdania przeciwne, nie omieszka ich prostować. Słowem, udział przedstawicieli ludu prostego, jako ławników, w sądach gminnych pod każdym względem jest konieczny, i to do

tego stopnia, że przed nim umilknąć muszą nawet takie względy, jak wymaganie kwalifikacyi naukowéj. Nie ulega wątpliwości, że brak wszelkiéj oświaty w ławniku może zrodzić pewne niedogodności; ciemny ławnik słabym byłby hamulcem dla sędziego, gdyby ten ostatni wolę swoję na nieprawą zwrócił drogę; złe jednak tego rodzaju należéć może do rzadkich tylko wyjątków. Przepis zatém, nie stawiający wykształcenia w rzędzie warunków wymaganych na urząd ławnika, jest zupełnie właściwy. W gminach, gdzie ogólny poziom umysłowy jest wyjątkowo wyższy, pewnie nie obiorą nieuka; tam gdzie ogół jest ciemny, nie postrada możności uczestniczenia w wymiarze sprawiedliwości, za pośrednictwem swych członków, i oświecania się tą drogą.

Atrybucye sądów gminnych są, jak na nasze wiejskie stosunki, dość obszerne i w zakresie prywatno-prawnym rozciągają się na wszystkie prawie spory, mogące zachodzić pomiędzy włościanami. Większość włościan może nie znać innego sądu prócz gminnego, jeżeli spełnienie ważniejszego przestępstwa na ławę oskarżonych sądu okręgowego ich nie zaprowadzi. I tak ze spraw cywilnych należą do sądów gminnych:

1) Spory dotyczące majątku ruchomego do sumy rs. 250 bez względu na źródło zobowiązania, t. j. czy pochodzi ono z umowy, czy też z obowiązku wynagrodzenia zrządzonych szkód i strat.

2) Sprawy o zakłócenie posiadania nieruchomości lub używania służebności.

3) Sprawy spadkowe i wynikające ztąd działy, jeżeli majątek spadkowy składa się z gruntów przeszłych na własność włościan na mocy Ukazu z r. 1869 bez ograniczenia ich rozległości, oraz wszelkiego majątku ruchomego, a jeżeli do spadku prócz gruntów wyżéj oznaczonych należą i inne, to i one także gdy nie są rozleglejsze nad włókę ziemi i pod zwyczajne rolne gospodarstwo zajęte.

Prócz tego na członkach sądu gminnego leży obowiązek zabezpieczenia, opieczętowania i zdjęcia pieczęci ze wszelkiego spadku w okręgu sądu otwartego, oraz urządzanie opiek i prezydowanie w radach familijnych, jeżeli majątek nieruchomy nieletnich nie przenosi włóki ziemi, zaś ruchomy—1.500 rs., przyczém grunta pod ukaz r. 1864 podchodzące przy oznaczaniu powyższéj normy nie biorą się w rachubę. Piérwszą z pomienionych czynności wykonywa sędzia, drugą — jeden z ławników.

Z przytoczonych przepisów o sprawach spadkowych i opiekach widać, że sądy gminne choć dla wszystkich klas społecznych ustanowione, w rzeczywistości jednak działalność ich więcéj jest zwróco-

na do spraw klasy włościańskiéj, aniżeli klas innych. Atrybucye ich w obu tych razach ustają wtedy dopiéro, jeżeli do majątku włościańskiego prócz gruntów nadanych ukazem r. 1864 należą inne, na ogólnych prawach nabyte i to rozleglejsze nad jednę włókę.

Nadmienić wypada, że z pomiędzy wymienionych wyżéj spraw nie należą do sądów gminnych takie, które mają ścisły związek z interesami zarządów skarbowych.

W sprawach kryminalnych sądy gminne mogą wymierzać następujące kary:

1) Nagany, napomnienia i przestrogi.

2) Kary pieniężne do 300 rs.

3) Areszt do trzech miesięcy.

4) Osadzenie w wieży do roku jednego.

Wszelako nie wszystkie przestępstwa, kary powyższe za sobą pociągające, ulegają władzy sądów gminnych; niektóre z nich, których wyliczanie za bardzo by mię w szczegóły zapędziło, sądzą sądy okręgowe. Że jednak z pomiędzy spraw kryminalnych, niektóre chociaż podlegają sądom okręgowym mogą być umorzone przez pogodzenie, przedewszystkiém więc odsyłane bywają do sądów gminnych w celu pojednania stron, i dopiéro gdy to nie nastąpi, przychodzą przed sąd właściwy.

Wykazawszy stosunek, w jakim pozostają sądy gminne do innych organów obecnego sądownictwa oraz do odpowiednich władz Cesarstwa, chcę jeszcze dotknąć pokrótce związku ich z przeszłością. Idzie tu mianowicie o stosunek ich do dawniejszego sądownictwa gminnego, jakie u nas istniało. Porównanie to wykaże ogromną różnicę a zarazem wyższość obecnego stanu rzeczy.

Do ostatniego rozbioru kraju sądownictwo wiejskie było u nas patrymonialne; prawo sądu nad mieszkańcami wsi, poddanymi, w sporach cywilnych wszelkich i w mniejszych sprawach karnych wykonywane było przez dziedziców; ważniejsze zaś przestępstwa panowie odsyłali zwykle do osądzenia najbliższym magdeburgiom miejskim. Prawodastwa porozbiorowe, przedmiotu tego prawie nie dotykały, i sprawa, faktycznie przynajmniéj, pozostała po dawnemu. Sąd nad włościanami w sprawach mniejszych, bez ścisłego wszakże ich oznaczenia, sprawował wójt, tym zaś, z wyjątkiem okresu od r. 1809 do 1818, był właściciel majątku. Oczywiście, że sąd taki daleki był od tego czego się od instytucyi sądowéj wymaga. Arbitralności dziedzica pozostawione było zbyt szerokie pole, doraźny wymiar sprawiedliwości zastępował formy, osobiste przekonania i pogląd sądzącego—przepisy prawa. Ustawa z dnia 12/24 Maja r. 1860 po raz piérwszy zajęła się ściślejszém urządzeniem téj kwestyi. Sąd gminny we-

dług niéj składali wójt i dwaj przez gromadę wybierani ławnicy. Mógł wszakże właściciel wsi oddzielić funkcye wójta od sędziego, pozostawiając sobie ostatnie, pierwsze zaś komu innemu powierzając. Sąd taki mógł wymierzać kary: napomnienia, nagany, karę pieniężną do 10 rs., areszt do dni 7, chłostę do 20 razów i oddanie do domu przytułku i pracy. W sprawach cywilnych sąd gminny wyrokował do rs. 150. Stronom wolno było apelować do sądów zwyczajnych. Jednocześnie z reformą gmin wiejskich w r. 1864 i sądownictwo gminne uledz musiało zmianie. Sprawował je odtąd wójt wybieralny przez gminę i ławnicy; sąd taki miał charakter wyjątkowy, nie należał bynajmniéj do ogólnéj organizacyi sądowéj w kraju, i dlatego na jego wyroki apelacya do sądów zwyczajnych nie była dopuszczalna. Strona z wyroku niezadowolona mogła podać jedynie skargę kasacyjną do komisarza włościańskiego. W ogóle stan sądownictwa gminnego do r. 1876 wiele pozostawiał do życzenia. Od czasu nowych urządzeń gminnych w r. 1864 pozostawało ono przeważnie w ręku ludzi ciemnych a prócz tego często stronnych. Główna władza spoczywała faktycznie w ręku pisarzów, którzy według swego interesu dyktowali wyroki prostaczkom, sąd składającym. Wszyscy pamiętamy jeszcze skargi jakie na sądy te zewsząd się dawały słyszéć, zwłaszcza ze strony większych właścicieli ziemskich. Nowo wprowadzone sądy gminne, które odziedziczyły po dawnych zaległe sprawy, wykryły nową tych ostatnich ciemną stronę o któréj mało co wiedział ogół. Było nią mianowicie niesprawiedliwe zachowanie się względem różnych sfer ludności włościańskiéj. Przewagę mieli tak zwani gospodarze tj. właściciele gruntów; ubożsi w stosunkach z niemi doznawali krzywdy. Toż samo miało miejsce z małoletnimi, którzy w działach familijnych zawsze byli wykwitowani niczém prawie przez dorosłych braci.

Już samo porównanie dawniejszego sądownictwa gminnego z tém, jakie reprezentują funkcyonujące od r. 1876 sądy gminne, wystarcza do wykazania ich wyższości a zarazem pożytku jaki z nich dla materyalnego i moralnego stanu społeczeństwa naszego wypływa. W każdym razie zwrócenie uwagi na te ich zalety nie będzie zbyteczne.

Jedną z nich na którą powyżéj już, mówiąc o wyborze ławników, zwróciłem uwagę jest umoralnienie ludu prostego przez udział wespół z klasą inteligentną w wymiarze sprawiedliwości. Do przytoczonych tam argumentów dodam tu jeszcze jeden. Nikt mianowicie nie zaprzeczy, że nie może pozostać bez zbawiennego wpływu na ogół, zwłaszcza na niższe jego warstwy, sam widok ludzi z różnych klas społecznych, różnego wykształcenia i zamożności, zasiadających zgo-

dnie obok siebie i wspólnie sądzących zarówno ubogiego i bogatego, prostego wyrobnika i możnego pana. Wpaja to niezawodnie w przekonania, i to dobitniéj niż wszelkie teorye i moralne nauki, przeświadczenie o jedności i solidarności różnych żywiołów społecznych, przełamuje bezwiednie wzniesione sztucznie mury odgradzające jedne od drugich i poucza, że wszelkie szczegółowe różnice wypływające ze stanu majątkowego, zajęcia i wykształcenia podrzędną tylko odgrywają rolę w obec górującéj nad niemi wspólnéj wszystkim spójni tj. charakteru członka jednego społeczeństwa. Wprawdzie tego rodzaju nauka nie od razu, nie w jednéj chwili oświeci umysły, lecz właśnie dla tego, że przenika w nie powoli i bezwiednie, jak owe krople wody co to skały wydrążają, pozostanie w nich na zawsze.

Dodatni wpływ obecnego sądownictwa gminnego na moralność ludu prostego stanowi najpierwszą i główną jego zaletę, za nim bowiem pójdzie sam przez się dobrobyt i w ogóle pomyślność całego społeczeństwa. Lecz obok tego nie można mu odmówić i innych bezpośrednich zbawiennych skutków, a przedewszystkiém oddziaływania na wyższe klasy wiejskiego społeczeństwa. Wiadomo, że prywata, że obojętność na sprawy ogółu a myślenie jedynie o sobie i swoim interesie, stanowią zakorzeniałe nasze wady. Nie potrafią zmienić tego twierdzenia liczne i pięknie brzmiące zdania, wygłaszane o potrzebie pracowania dla ogółu; dowodzą one tylko, że jesteśmy o tyle dzielni w słowie o ile słabi w czynie. Rozumiemy i czujemy potrzebę, ale nie mamy dość hartu, dość siły charakteru, żeby jéj czynnie zaradzić. Nie sądzę jednak, żeby można z tego formować nam zarzut zbyt kategoryczny; ludzie są zawsze ludźmi i swoje ja muszą koniecznie stawiać na piérwszym planie. Do pracy dla siebie mamy pobudkę w nas samych, do pracy dla innych potrzebujemy przymusu z zewnątrz a przedewszystkiém wszelkich możliwych ułatwień. Pod tym zaś względem znajdujemy się w położeniu nienajlepszém. Nie jedne dobre chęci rozbijają się o napotykane rozliczne trudności; ogół nie widząc przykładów ze strony jednostek nie wié gdzie i kiedy wyuczyć się działalności ogólniejszéj. Pewne zaczątki samorządu gminnego w r. 1864 wprowadzone otworzyły pole w tym względzie, lecz nie zdołały zachęcić, jak należy, inteligencyi wiejskiéj do przyjęcia w nim żywszego udziału. Pomimo ciągłych nawoływań prasy, pomimo sporadycznych przykładów tu i owdzie podawanych, działalność wyższych klas ludności wiejskiéj w sprawie wewnętrznéj administracyi gminnéj jest po dziś dzień prawie żadna. Złożyły się na to różne okoliczności: szczupłe pole do działania nie jest w stanie uwydatnić dla większości doniosłości téj pracy; przewaga li-

czebna klasy niewykształconéj utrudnia usiłowania i zniechęca częstokroć dobrze myślących, że pominę już inne przeszkody.

Sądy gminne podały nową i to bez porównania lepszą sposobność uczestniczenia w sprawach ogólnych. Wymiar sprawiedliwości z natury swéj więcéj się nadaje do niezależnego działania, niż administracya. Wpływ wyższych instancyj zdolny paraliżować najlepsze chęci organów samorządu administracyjnego, pośrednio tylko i to jedynie do pewnego stopnia może oddziaływać na sędziów, zwłaszcza w obec ustawy, która, nie stawiając prawnéj teoryi dowodów, pozostawia obszerną sferę wewnętrznemu przekonaniu sądzących. Przewaga żywiołów nieoświeconych tylko przy wyborach może mieć miejsce; po ich dokonaniu wybrane do składu sądu osoby nie mają z téj strony żadnéj tamy. Wreszcie rezultaty działalności sądowniczéj są szybsze i wyraźniejsze; skutki dobrego i rozumnego wymiaru sprawiedliwości odrazu uderzą w oczy każdego. Doświadczenie poparło w zupełności powyższe twierdzenie. Od piérwszéj chwili ustanowienia sądów gminnych inteligencya wiejska żywo się niemi zajęła. Sprawy sądowe podawały i podają ciągle obszerny temat do rozpraw; każdy wié o nich, myśli i mówi, podczas gdy dawniéj chyba tylko jakiś nadzwyczajny wypadek budził zajęcie i to zwykle z inicyatywy osób bezpośrednio zainteresowanych. Czynny udział w sądownictwie gminném klas wyższych sympatycznie przyjęty został przez ogół i otoczony należnym mu szacunkiem. Słowem, możemy uważać sądy gminne za piérwsze ułatwienie i pobudkę do wyjścia z ciasnéj sfery spraw czysto prywatnych i zajęcia się interesami ogólnemi.

Z drugiéj strony, jeżeli sądy gminne niezmierny wpływ na umoralnienie ludu prostego mieć muszą, to niepodobna zaprzeczyć, że i na klasę wyższą pod pewnym względem oddziaływają zbawiennie. Dawniéj w poglądach swych i zdaniach co do ludu prostego, więksi właściciele ziemscy nie zawsze umieli zachować zupełną sprawiedliwość. Antagonizm klasowy, na podsycanie którego nigdy nie braknie materyału, występował na jaw przy każdéj sposobności. Wszędzie w stosunku z ludem właściciel ziemski widział swoję krzywdę, zawsze stawiał się przeciwko niemu na stanowisku trapionego ciągłą wojną nieprzyjaciela, bo fakty oceniał jedynie z punktu widzenia swego wyłącznego interesu. Czynił to zaś dla tego, że zdanie jego było zupełnie prywatne, że wygłaszał swe czysto osobiste poglądy, nie pociągające za sobą żadnych pozytywnych następstw, i dla tego nie miał pobudki do spoglądania na kwestyą ze stanowiska ogólniejszego. Inna rzecz, gdy przyjdzie zdanie swe w tym samym przedmiocie wyprowadzić w sądzie, gdy się wié,

że to wpłynie bezpośrednio na wyrok, który wejść musi w wykonanie. Tam mimowoli człowiek zapomina o swych sprawach i urazach prywatnych; czując, że za zdanie swe będzie odpowiedzialnym choćby przed własném sumieniem, stara się wszelkiemi siłami dojść do możliwéj bezstronności. Tém się dzieje, że można niejednokrotnie znaléść znaczną różnicę między zdaniami pewnéj osoby wypowiedzianemi prywatnie, a tém co w téj samej sprawie orzeknie ona, gdy wystąpi w charakterze urzędowym. Z tego więc powodu udział w sądach gminnych jest pewnego rodzaju przymusem do sprawiedliwego zapatrywania się na kwestye społeczne, na kwestye niesłychanéj wagi, bo jedności i zgody żywiołów społecznych dotyczące.

Już powyżéj wykazane umoralniające skutki nowego sądownictwa gminnego nie mogą pozostać bez ważnego wpływu na dobrobyt ludności wiejskiéj. Lecz po za niemi można jeszcze uwydatnić i bezpośrednie ekonomiczne jego skutki. Pominę tu kwestyą ogólną i niezaprzeczalną t. j. wpływ, jaki w ogóle dobry wymiar sprawiedliwości na dobrobyt wywiera, i zwrócę uwagę na stosunek sądownictwa wiejskiego do spraw wyłącznie rolnictwa dotyczących. Stosunki rolnicze i w ogóle wiejskie wytwarzają z natury swéj pewną kategoryą czynów odrębnych, będących naruszeniem praw cudzych, ale z trudnością podciągnąć się dających pod powszechne przepisy prawa, a przytém nie zawsze dokładnie pojmowanych przez osoby życia wiejskiego nie znające. Są to najróżnorodniejsze szkody w polach, lasach, ogrodach i t. p., szkody na pozór drobne, jeżeli je z osobna rozważać będziemy, lecz w gruncie rzeczy niemało przeszkadzające rozwojowi rolnictwa. Powstrzymanie tego rodzaju nadużyć jest rzeczą większéj wagi niżby się to wydawać mogło, a nastąpi jedynie przez rozumną i sprężystą represyą sądową. Represyi téj nie wywrze sąd państwowy; urzędnik stosunków wiejskich nieświadomy nie oceni ich jak należy i zawsze, mimowoli, stanie po stronie biedaka, „który przecie nie ukradł,“ ale z potrzeby dopuścił się czynu, prawie nie stanowiącego uszczerbku bogatemu sąsiadowi. Nie wywrze jéj sąd z włościan samych złożony, bo lud nasz z przyczyn zresztą, które się historycznie wytłómaczyć dadzą, w przekonaniu swém nie uważa drobnych szkód za przestępstwo. Tylko więc sądy złożone z rolników, ale przy udziale inteligencyi, prawdziwą usługę w tym względzie wyświadczyć mogą.

Ażeby dopełnić wykazanie pożytków, jakie z obecnéj organizacyi sądów gminnych teoretycznie wyprowadzić się dadzą, wymienię jeszcze oddzielenie sądownictwa od administracyi, co nie miało miejsca w dawnych sądach gminnych, oraz ułatwienie w wymiarze sprawiedliwości wynikające z powołania doń ludzi miejsco-

wych, obeznanych z warunkami życia, pojęciami i zwyczajami podsądnych, co zwłaszcza tam, gdzie się ma z ludem prostym do czynienia, więcéj znaczy przy dochodzeniu prawdy, niż obszerna wiedza i znajomość prawa.

Sędzia miejscowych stosunków świadomy lepiéj zrozumie treść sprawy; zamiast suchéj wiedzy prawniczéj, wleje w nią pierwiastek życiowy, przez co łatwiéj trafi do przekonania podsądnych. Daje to możność skutecznéj działalności pojednawczéj oraz powstrzymuje od pieniactwa, odwoływania się do wyższych instancyj i t. d.

Za krótko jeszcze funkcyonują sądy gminne, ażeby wszystkie wymienione wyżéj ich zalety w zupełności uwydatnić się mogły. W każdym jednak razie weszły one odrazu na dobrą drogę, i o pomyślném ich oddziaływaniu na materyalny i moralny dobrobyt kraju wątpić nie można. Zewsząd dochodzą głosy wyrażające dla nich powszechne uznanie; prywatne zdania i korespondencye z różnych stron kraju, do wszystkich pism nadsyłane, wspominają o zadowoleniu z nich osób interesowanych. I więksi właściciele i lud oddają pochwały tak saméj instytucyi jak i osobom do jéj wprowadzania w życie powołanym, zwłaszcza porównywając je z dawnemi sądami wójtowskiemi. Możnaby zacytować cały szereg pochlebnych wzmianek w tym przedmiocie; pozwolę sobie przytoczyć choć jeden ustęp z korespondencyi do *Gazety Sądowej* (Nr. 34 z r. 1878), dotyczący zaufania, jakie sądy gminne wzbudzają w podsądnych. „Sąd usiłuje, „są słowa korespondenta,“ doprowadzić do pojednania i to po części z pożądanym skutkiem. Jedyném wynagrodzeniem członków sądu może być tylko wewnętrzne zadowolenie i zaufanie, jakie dotąd zdobyli sobie swoją bezstronnością i uczciwą pracą. Zaufanie to objawia się w sprawach pojedyńczych. Na przedstawienie sędziego, aby się strony pojednały, odzywają się: *zdajemy się na sąd;* dla sądu bardzo to pochlebne, chociaż nieraz wprowadza w kłopot, ale jakoś zawsze z zadowoleniem zwaśnionych. Ilość wnoszonych spraw w tym roku się zmniejszyła, i mamy nadzieję, że z czasem stosunkowo ciągle się będzie zmniejszać.“ Że i władza uznaje i ocenia pożyteczną działalność sądów gminnych, mamy dowód w zdaniu, przedrukowaném w *Gońcu Urzędowym*, z „Warszawskich Wiadomości Gubernialnych,“ a powtórzoném przez nasze pisma. Oto jego brzmienie: „O czynnościach sądów gminnych nadchodzą z różnych okolic Królestwa Polskiego nader pocieszające wiadomości. W większéj części gmin wybrano na sędziów ludzi zdolnych i zacnych, skutkiem czego nie widać tam ani niedbalstwa, ani opieszałości w rozstrzyganiu spraw, i mieszkańcy są zadowoleni z nowych ustaw sądowych.“

Wreszcie możemy się powołać na powagę cyfr, które bardzo pochlebnie o sądach gminnych świadczą. Wprawdzie urzędowych danych nie masz, lecz jest materyał ze źródeł urzędowych, zebrany przez prof. Miklaszewskiego i ogłoszony w *Gazecie Sądowéj* Nr. 11 oraz w odczycie wypowiedzianym przezeń w dniu 16 Marca r. b. w sali ratuszowéj. Cyfry te wykazują nam z jednéj strony stosunek spraw pogodzonych do ogólnéj ich ilości oraz liczbę odwołań się od wyroków sądów gminnych, co stanowić może miarę zaufania i zadowolenia podsądnych z osób sądzących i z ich wyroków. Z drugiéj strony zestawiają rezultaty ich działalności z danemi dotyczącemi sędziów pokoju i dają tym sposobem możność ocenienia względnéj prawidłowości w funkcyonowaniu obu spółrzędnych instytucyj. Dodać należy, że cyfry ogólne z całego kraju zebrane są jedynie co do spraw kryminalnych i przedstawiają się w sposób następujący. W r. 1876 sądy gminne pojednały 42% wszystkich spraw, sędziowie pokoju—26%; w r. 1877 sądy gminne—30,6%, sędziowie pokoju—18%. W r. 1876 sądy gminne skazały 33% ogólnéj liczby spraw, sędziowie pokoju—28%; w r. 1877 sądy gminne—31%, sędziowie pokoju—29%. Odwołań było od wyroków sądów gminnych w r. 1876—26 na 1.000, w r. 1877—33 na 1.000, od wyroków zaś sędziów pokoju w r. 1876—39, a w r. 1877—58 na 1.000. Co do spraw cywilnych, to zebrane przez prof. Miklaszewskiego dane z dwu okręgów gub. Piotrkowskiéj wykazują cyfrę spraw pojednanych w sądach gminnych 46% w r. 1876 i 34% w 1877, zaś u sędziów pokoju w r. 1876—39%, a w r. 1877—20%. Cyfry te przedstawiają działalność sądów gminnych w tak dobrém świetle, iż rzec można, że przeszła ona nawet oczekiwania.

Nie myślę taić, że obok powyższych danych na korzyść sądów gminnych przemawiających, można się spotkać i ze zdaniami przeciwnemi, z zarzutami, które przeważnie prywatnie zdarzało mi się słyszéć. Lecz same te zarzuty przemawiają raczéj *za* niż *przeciwko* instytucyi. Sprowadzić je można do dwóch kategoryj, t. j. że w niektórych miejscowościach członkowie sądów gminnych z powodu braku odpowiednich wiadomości i nieobznajmienia z formalnościami prawnemi narażają strony na niedogodności, a nawet straty, i że trafiały się wypadki nieudolności w samém wykonywaniu, a nawet—złéj wiary. Pomijam tu bowiem inne ujemne strony, na które zwracano uwagę, a które są albo niedogodnościami wynikającemi z drobnych usterków ustawy, łatwych do zmodyfikowania, albo też są wspólne wszystkim sądom i nie wypływają z natury saméj instytucyi sądów gminnych, jak np. pokątne doradztwo. Piérwszy z uwzględnionych przezemnie zarzutów bynajmniéj nie powinien zadziwiać, bo czyż podobna wymagać, aby ludzie biorący się za zajęcie zupełnie

dla siebie nowe odrazu postawili się jako fachowi urzędnicy? Nabycie wprawy i zaznajomienie z formalnościami to rzecz czasu tylko, i im dłużéj funkcyonować będą sądy gminne, tém mniéj pod tym względem spodziéwać się należy usterków. Zresztą czyż można zarzut tak błahéj natury przeciwstawiać tylu i tak ważnym pożytkom? Co się tyczy zarzutów drugiéj kategoryi, to zauważyć należy, że są one bardzo nieliczne i dotyczą *wyłącznie* tych sądów, gdzie główna rola pozostaje w ręku ludzi niewykształconych i nie zajmujących wybitniejszego stanowiska społecznego. Jest to więc z jednéj strony dowód, że sama instytucya, nawet najlepsza, na nic się nie zda, jeżeli w niewłaściwe ręce kierownictwo jéj złożone zostanie, z drugiéj zaś, że tylko przy udziale inteligencyi wiejskiéj sądy gminne prawidłowo i z pożytkiem funkcyonować mogą.

Na tę ostatnią okoliczność kłaść należy nacisk ogromny, raz dla tego, że od niéj zawisły losy instytucyi tak pożytecznéj, powtóre zaś, że zależy ona wyłącznie od dobréj woli osób prywatnych, że odpowiedzialność za braki w tym względzie tylko na osobach interesowanych, t. j. na inteligencyi wiejskiéj ciążyć może. Wybory pierwotne do sądów gminnych dowiodły, że klasa inteligentna ludności wiejskiéj ma zupełną łatwość w obejmowaniu godności sędziów gminnych, i że pierwotnie dość znaczna liczba osób z jéj łona okazała gotowość do przyjęcia tych obowiązków. Lecz na nieszczęście, pomimo, że cyfr pod tym względem nie udało mi się dostać, wielu nie wytrwało na stanowiskach i starało się usunąć od służenia ogółowi.

Niepodobna téż pominąć milczeniem kilku liczebnych danych, dotyczących piérwszych wyborów a wykazujących wielką niedokładność w formowaniu list wyborczych, oraz obojętność wielu z przedstawicielów inteligencyi wiejskiéj na sprawę sądów gminnych. Według tych cyfr, zebranych staraniem prof. Miklaszewskiego, znajduje się w Królestwie 464.162 osób, mających prawo uczestniczenia w zebraniach gminnych, a zatém brania udziału w wyborach na urzędy gminne. Z tych do list wyborczych sądowych w r. 1876 weszło 9.248 czyli, że zaledwie 2% z pomiędzy wyborców posiadało warunki, wymagane do objęcia posad w sądach gminnych. W téj liczbie w wyższych zakładach naukowych kształciło się 336 t. j. 1 na 1.381 ogólnéj cyfry wyborców, w zakładach średnich (gimnazyach i t. p.) 1 na 211 (t. j. około 2.200), w szkołach elementarnych 1 na 169 (tj. około 2.750), wreszcie umiało czytać 1 na 116 (tj. 4.000). Cyfry te dowodzą albo zbyt nizkiego poziomu oświaty pomiędzy ludnością wiejską, albo niedokładności list wyborczych i niedopilnowania się ze swemi prawami ludzi wykształconych. Wraz z profesorem Mi-

klaszewskim jestem za ostatniém przypuszczeniem. Z przytoczonéj cyfry 9.248 zapisanych do list wyborczych, na rzecz większych właścicieli ziemskich można zaliczyć głównie osoby, które pobierały wykształcenie w wyższych lub srednich zakładach naukowych t. j. mało co więcéj nad 2.5oo osób. Wprawdzie być może, że część wyborców téj kategoryi, ci mianowicie, którzy odebrali wychowanie prywatne, wliczeni są do grupy ostatniéj t. j. umiejących tylko czytać. Lecz cyfra ta, w każdym razie niewielka, równoważy się tém, że do składu wyborców weszli i mieszkańcy osad miejskich, między którymi nietrudno o takich, co uczęszczali do gimnazyów lub progimnazyów. Słowem, możemy przybliżenie cyfrę większych właścicieli ziemskich do list wyborczych zapisanych oznaczyć na 2.5oo osób. Tymczasem, według danych Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które nie obejmuje jeszcze wszystkich większych właścicieli ziemskich, korzystało z prawa wyborów na ostatnich wyborach 5.821 właścicielów, 476 przedstawicielów właścicielek i 115 reprezentantów dóbr instytutowych. Prawo zaś być wybranymi do władz Towarzystwa służyło 3.o45 osobom (*Gazeta Sądowa* z. r. b. Nr. 11). A więc nie wszyscy, którym się to należało, figurowali w listach wyborczych. Nie figurowali, a więc nie dbali o to, bo żadna władza, prócz może bardzo nielicznych wyjątków, nie mogła ich samowolnie usunąć, gdyby się byli upomnieli.

Zatém pomimo niepamiętnego u nas zainteresowania się sądami gminnemi, nie było ono jeszcze takie, jakiém mu być należało. W obec zbliżających się nowych wyborów powstaje obawa podobnego nastroju, wzmocnionego jeszcze ostudzeniem pierwotnego zapału wielu chętnych, których zraziły trudy połączone z wykonywaniem urzędów w sądach gminnych. Niepodobna zataić, że obowiązki te są ciężkie, że skromna płaca i to często nieregularnie przez gminy uiszczana nie tylko nie jest wynagrodzeniem za trudy, lecz często kosztów i strat materyalnych nie pokrywa. Lecz nie są to jeszcze dostateczne powody do wymówki; nie są one w żadnym razie usprawiedliwieniem usuwania się od udziału w sądach gminnych. Niezaprzeczalna pożyteczność instytucyi dla ogółu i jednostek, dla bezpośrednich materyalnych interesów saméj inteligencyi wiejskiéj góruje po nad niedogodnościami wprawdzie rzeczywistemi, ale często przecenianemi. Niedogodności te z biegiem czasu w znacznéj części mogą się zmniejszyć przez podwyższenie płacy, oraz dogodniejsze ustanowienie miejsca pobytu sądu, i możemy mieć nadzieję, że to nastąpi na pewno. W oczekiwaniu jednak należy przetrzymać wytrwale przesilenie, inaczéj i reformy przyjdą za późno.

Może mi kto odpowiedzieć, że do poświęceń nikt nie jest obowiązany. Prawda, ale zależy to od rozciągłości, jaką słowu „poświęcenie“ nadamy. Są poświęcenia wyjątkowe, w których jednostka składa na ołtarzu dobra powszechnego to, co stanowi najwyższe jéj osobiste dobro. Potrzeba tego rodzaju poświęceń trafia się rzadko; są one jak gdyby kometami pojawiającemi się nagle i niespodziewanie wśród zwykłych, codziennych świateł niebieskich i zwracającemi na siebie uwagę wszystkich swą nadzwyczajnością. Takich poświęceń nie można od nikogo wymagać; gdy zajdzie ich potrzeba, społeczeństwo czekać musi na Scewolów lub Winkelriedów. Powoływać do nich piérwszego lepszego byłoby to samo, co kazać spokojnemu rzemieślnikowi śpiéwać epopeje narodowe lub wzniosłe idee wszechludzkie wcielać w artystyczne formy, byłoby to zastępować brak arcydzieł trywialną parodyą. Lecz po za temi wyjątkowemi zjawiskami jest cały szereg zwykłych, codziennych poświęceń. Wywołuje je życie społeczne w każdéj chwili, są one koniecznym warunkiem uspołecznienia. Bez nich nie może zupełnie istnieć życie zbiorowe, i dla tego nie można ich pozostawić dowolności każdego. Ze sfery poświęcenia przechodzą one w dziedzinę obowiązku t. j. konieczności, a co zatém idzie—przymusu. Przymus ten bywa rozmaitéj natury; może być prawny, oparty na powadze i sile władzy, albo moralny oddziaływający na duchową stronę człowieka. Ten ostatni wypływa z przeświadczenia każdego człowieka o konieczności jakiegoś faktu, o jego pożytku dla ogółu. Tém poczuciem moralnego obowiązku wynoszą się jedne społeczeństwa nad drugie i dochodzą do tego stopnia rozwoju materyalnego i duchowego, o jakim marzyć nie wolno tym, w łonie których nie masz jednostek zdolnych do upatrywania w pomyślności ogółu swego własnego dobra, a w swéj osobistéj działalności obowiązku przyczyniania się do niego. Pod wielu względami zazdrościmy narodom przodującym dziś cywilizacyi; zwróćmy i uwagę na to, że nigdzie nic pożytecznego darmo nie przychodzi, że wszędzie na obywatelach ciążą liczne obowiązki służenia ogółowi. Obowiązki te są i pod względem ilości. i pod względem trudności znacznie wyższe od tych, które wywołało u nas nowe sądownictwo gminne; a przecież nie unikają ich, lecz o nie się dobijają, nie lekceważą, lecz strzegą ich wykonywania. To, co nam się wydaje poświęceniem, narażeniem własnego dobra dla ogółu, u innych jest prawem, przywilejem, którego naruszenie uważanoby sobie za krzywdę. Dla czego my mielibyśmy być w wyjątkowo lepszém położeniu? dla czego nam darmo dostawaćby się miały ulepszenia, które wszędzie pracą okupywać należy? dla czego za nas miałby kto inny pracować? Ja sądzę, że my jako niżéj stojący

więcéj może niż inni uciekać się winniśmy do samopomocy; organiczna praca społeczna, praca na niwie obowiązków obywatelskich mało gdzie może tak ma doniosłe znaczenie, bo brakuje nam wiela z tego, co inni już osiągnęli.

Te uwagi obok wykazanéj poprzednio ważności instytucyi sądów gminnych wystarczają do zrozumienia obowiązku chętnego brania w nich udziału ze strony inteligencyi wiejskiéj. Dobry przykład pierwszych na urzędy w sądownictwie gminném wybranych osób, ich uczciwa i pożyteczna działalność oraz uznanie, jakiém ich ogół otoczył, winny zachęcić innych do zajęcia miejsc po tych ze swoich współobywateli, którzy potrzebują wypocząć po trzechletniéj mozolnéj a bezinteresownéj pracy. Wymagać od jednych, aby wyłącznie za innych służeniu ogółowi się poświęcili, byłoby za wiele; niech rozdzielą się obowiązki na wielu, a będą łatwiejsze do wypełnienia.

Karol Dunin.

KASIA I MARYNKA.

Z PAPIÉRÓW POZOSTAŁYCH

po

GABRYELLI (1).

I.

Było to kiedyś, bardzo dawno.... nie, nie bardzo dawno.... a może, może wieki już od tego czasu minęły.... no! dajmy pokój chronologii. Pamięć kobiéca zwykle przeciw chronologii grzeszy, spytajcie wszystkich profesorów, co lekcye po pensyach dają i wszystkich kawalerów żony szukających.

Było to kiedyś!

Siedziałam z książką w ręku, a czytane stronice przywiodły mnie do wielkiéj z samą sobą dyskusyi: czy autorowi godzi się uzbiérane własną pracą spostrzeżenia pomijać, lub sztucznie naginać, aby je koniecznie z pewnemi zasadami w jedności utrzymać, bo te zasady są ogółowi przydatne? Czy téż odwrotnie wolno mu ze spostrzeżeń nowe snuć prawa, kiedy te prawa szkodliwe się zdają? Ile cząstek kłamstwa jest w piérwszéj metodzie, ile w drugiéj niebezpieczeństwa? Zimno mi się zrobiło od téj wątpliwości, aż tu drzwi się otwiérają, wchodzi moja kochana i poczciwa Maniusia. Witamy się, rozmawiamy o różnych rzeczach, nareszcie Maniusia uroczystą przybiéra minkę i odzywa się do mnie:

— Poradź mi, moja droga Kasiu. Teraz gdy mnie już dzięki Bogu ostatnia guwernantka opuściła i metrowie uczyć przestali, chciałabym sama osobiście rozpocząć własną edukacyą. Nie wiém tylko, jaki punkt wyjścia obrać? Możeby jedną najulubieńszą zająć

(1) Wielbiciele pism Narcyzy Żmichowskiéj będą nam zapewne wdzięczni za przypomnienie im tego uroczego talentu, który wspaniałym świeci blaskiem nawet w takich fragmentach, jaki obecnie z rękopismu ogłaszamy. (*Przyp. Red.*).

się nauką, to jest gałązkę jéj przynajmniéj wyłącznie gruntownie i porządnie zbadać? a może raz jeszcze encyklopedyczny kurs odbyć na wyborowych dziełach? Jak sądzisz?...

Sądziłyśmy to przez godzinę blisko a nie rozsądziły jeszcze, gdy pan Antoni się ukazał. Wnet się rozmowa na ogólne bieżące wiadomości zwróciła. Pan Antoni zapamiętale gazety czytuje; dowiedziałam się od niego, że jednym państwom brakuje pieniędzy, a drugim oświaty, a trzecim stosownych instytucyj, a czwartym przeszłości, a piątym granic, a szóstym ludzi i tak daléj i tak daléj, nakoniec odchodząc jeszcze z westchnieniem szanowny gość powtórzył:

— Jak na to radzić? co radzić?

Po chwili wbiegła Marynia także dobra i kochana moja. Pokazało się, że w wielkiéj właśnie była niepewności, czy wziąć nauczyciela Niemca, czy Francuza do swoich dwóch chłopczyków? który język: francuski czy niemiecki potrzebniejszym w dalszém życiu się okazuje?...

Po Maryni, wsunęła się Marylka. Marylce wiele na tém zależało, aby się pewne spacerowe projekta powiodły; słyszała ona, że jakiś mój krewny kupował raz sobie jakieś kosztowne dzieło o astronomii; więc w prośby, żebym koniecznie dowiedziała się od niego, czy na sobotę będzie pogoda? Usprawiedliwiałam biédnego człowieka i najznakomitszych astronomów, że się w takie wróżby nie wdają, lecz Marylka zrozumiéć mnie nie mogła.

— Astronomowie przecież wiedzą, jak daleko jest słońce, przepowiadają zaćmienia, a czemużby wiedziéć nie mieli, co się w takiéj bliskiéj ziemi atmosferze stanie?

— Bo to zupełnie inna kwestya, inna nauka, moja Marylko— „meteorologia;“ trzeba ci wiedziéć, że bardzo pilnie teraz zbiérają każdochwilowe prawie spostrzeżenia.....

— A czemuż nie zebrali choćby takiéj małéj, malutkiéj pewności: czy za trzy dni, w sobotę, będzie pogoda?....

Zgorszyłam się ogromnie lekkomyślném wymaganiem i chciałam już przełożyć Marylce, że się dowié, czemu nie wiedzą inni, jeśli sama mniéj po spacerach biegać, a więcéj naukowo popracować zechce; ale przybycie pana Eustachego ocaliło szczęśliwą dziewczynę od tak groźnéj rady.

Pan Eustachy w całéj swojéj okolicy jest szanowany, wyszydzany, wielbiony i nielubiony jako tak zwany „postępowy gospodarz;“ gawędka zatém prędko się osunęła w roztrząsanie różnych agronomicznych kwestyj, zahaczyła o kwestyą ubytku i przybytku sił rodzajnych gruntu—czy istotnie można glebie naszéj wynagrodzić to,

co jéj okopowe rośliny zabiorą? nie z roku na rok, ale z wieku na wiek?.... O ile sobie przypominam, pan Eustachy nic stanowczego nie powiedział mi w tym względzie.

Zaledwie się oddalił, miejsce jego zajęła Marychna—śliczna to szatynka z ciemno-zielonemi, jak morska woda, oczami. Wielki miała kłopot biédaczka; nazajutrz czekał ją świetny wieczór tancujący, a ona jeszcze rozstrzygnąć nie mogła, w czém jéj będzie więcéj do twarzy: w ponsowym, w niebieskim, czy w żółtym?....

— W ponsowym będziesz królową balu—w niebieskim będziesz aniołem, a jak żółty kolor włożysz, to się w tobie zakochają.

— Więc radzisz tę girlandkę aksamitnych laków ze złotemi liściami? mnie się jednak granaty bardzo podobają....

— Wcale ci nie radzę, Marychno.

— Ja bo mam i powoje prześliczne, prawdziwie paryskie. Pan Stanisław dowodził wczoraj, że twarz kobiéca tak potrzebuje błękitu w sąsiedztwie, jak ziemia potrzebuje nieba.

— Pan Stanisław jest wielki impertynent.

— Dla czego impertynent?

— Dla czego on impertynent? nie wiém, ale wiém, że jeśli błękitny kolor ma być niebem, a twarz kobieca ziemią—czarną, zieloną czy piaskową, nie widzę w tém nic pochlebnego dla wszystkich kobiécych twarzy.

— No to cóż włożyć? czy laki czy granaty?... czy powoje?....

Po Marychnie zawitała Mania—do stojącéj przy progu jeszcze błagalnym głosem już wołam.

— Ach! Maniu, zlituj się nademną, o nic mnie dzisiaj nie pytaj!

— Jak to? czemu nie pytać?....

— Stało się! zapytałaś okrutna!

— Oh! przepraszam, bardzo przepraszam; ale właśnie przyszłam tutaj, żeby się ostatecznie umówić, czy z nami tego lata na wieś pojedziesz?...

— Czy ja na wieś tego lata z wami pojadę?... W tém ukazuje się Maryanna.

— Proszę pani, co mam dziś przynieść do herbaty?

— Przynieś co chcesz, Maryanno.

— Rogalików już nie dostanie, sucharki w tych najbliższych cukierniach kwasem czuć, jak pani mówi, bułek wieczornych nie dostawiono, ranne są, ale już się zeschły.

— Nic nie szkodzi.

Wreszcie zostałam sama; biorę książkę do ręki, ale nie tę, co ją pierwéj czytałam; biorę wykład arytmetyki. Co za rozkosz! na

ostatnich kartkach jest rozwiązanie wszystkich w ciągu dzieła poprzytaczanych zagadnień. Gdyby tak się dało wszystkie zagadnienia życiowe!.... Ot, znowu niepodobna, słychać silne wstrząśnienie dzwonka, trzeba wstać, drzwi otworzyć, to bryftreger list mi doręcza, list bardzo gruby, na adresie pismo Marynki.

Ha! przecież, od czasu jéj wyjazdu ciągle się z niespokojnemi trapiłam zapytaniami: co porabia? jak się miewa? czy nie zupełnie jeszcze o mnie zapomniała? znajdę więc dzisiaj, aby jednę na drodze mojéj odpowiedź! Śpiesznie rozdzieram kopertę, ćwiartkę za ćwiartką przebiegam oczyma.... fatum! fatum! fatum!

List był następującéj treści:

„Najdroższa moja Katarzyno Aleksandryjska."

Objaśnienie. Wcale ze chrztu nie jestem Katarzyną Aleksandryjską, tylko właśnie Senneńską. Ta ze Sienny, ta, co przez piętnaście lat nic prawie nie jadła, za patronkę daną mi była. Aleksandryjską Marynka mię przezywała czasem. Raz w pamiętnéj dla mnie okoliczności słyszałam o Katarzynie Aleksandryjskiéj przytoczone podanie, że w jednéj ręce amforę z wodą a w drugiéj pochodnię gorejącą trzymając, modliła się pośród ludu, aby jéj danem było zalać piekło amforą, spalić niebo pochodnią, by już potém wierni słudzy Chrystusa nie przez bojaźń męki, nie przez pragnienie wiekuistego szczęścia, tylko przez czystą miłość, dobre dla dobra pełnili, Boga dla tego, że jest Bogiem kochali. Powtórzyłam to kiedyś Marynce i nawet dodałam nieostrożnie, że wolałabym imieniny moje 25 Listopada w dzień téj świętéj, uczonéj entuzyastki—męczenniczki obchodzić; a Marynka zaraz mię „Katarzyną Aleksandryjską" zamianowała i od téj pory na przekomarzanie się, na pieszczotę, szczególniéj zaś na każdą dziwaczniejszą prośbę tém imięniem, jak czarownica złego ducha, mię zaklinała. Ledwo też pierwszy taki wykrzyknik spostrzegłam, natychmiast coś niebezpiecznego przeczułam, daléj był cały szereg znaków wykrzyknienia—daléj to było:

„Najdroższa moja Katarzyno Aleksandryjska! najsumienniejsza wspomożycielko! ratuj! Zbliża się stanowcze w moim losie przesilenie. Jeśli mi ręki nie podasz, utonę bezpowrotnie, a czy myślisz, że w naszéj Wiśle bursztynowéj, lub przynajmniéj w skromnéj Huczwy wodach? Gdyby!.... oh! gdyby zwinną rybką po falach pląsać, ziarnkiem piasku na dnie głębokiém spocząć, albo giętkiém sitowiem przy zielonym brzegu wyszeptać wietrzykowi słowa tajemnicze.... Ale to nie żarty i nie poezya na ten raz szanowna Katarzyno, to proza i powaga życia, która przedemną w osobie pana Filipa Cichowskiego staje. Za kilka miesięcy—przebóg! za kilka tygodni może, twoja nieszczęśliwa Marynka kładzie najpierwéj mir-

towy wianek, później koronkowy czepeczek na głowę, a później przywiązuje sobie do szyi młyński kamień ciężkich obowiązków i...., ginie w Galicyi przestworach.

Cicho. Duszę moję wysyłam na zwiady, żeby mi niemylném przeczuciem objawiła, jakie wrażenie zrobił na tobie obraz mego niebezpieczeństwa? Dusza bardzo mi smutna z wycieczki powraca. Kasiu! niedobra Kasiu! ty się rozśmiałaś podobno? Niechaj mi teraz ludzie mówią o rozsądku, o wyższych pojęciach, o głębszych uczuciach, choćby najlepszych na ziemi kobiét—wierzyć nie będę. Kiedy moja Katarzyna Aleksandryjska, w tak ważnéj dla mnie rozśmiała się chwili, wszystkie są puste, lekkomyślne, złośliwe! Gdybym przyszła i powiedziała: „Kasiu, warkocz sobie obetnę“ zaraz byś smutną nastroiła minkę, zaraz byś mię pytała: a dla czego? a czy nie można obejść się bez tego? a szkoda! a nie trzeba! i tym podobnych rzeczy nasłuchałabym się, aż do znudzenia. Tymczasem, ja ci donoszę, że lotne skrzydła méj duszy obetnę; wprawdzie nie takiemi wyrazami, ale takim co do gruntu sensem, bo mówię, że za mąż pójdę—i ty śmiechem witasz nowinkę. Przed vehmgericht cię zapozywam! Jednę tylko pozorną wymówkę mieć możesz, to jest: że nie znasz pana Filipa. Dla szczeréj, cnotliwéj, dla idealnéj przyjaciółki byłaby w tém przyczyna właśnie do większéj niespokojności, ale u córki XIX wieku, byle wzmianka o małżeństwie, to już śmiech gotowy, już wesołość na wierzchu. Sądzićby ztąd wypadało, że małżeństwo jest bardzo ucieszną krotochwilą, lub że dobrzy mężowie, gdzie ich nie posiał, to się rodzą; a przecież, wspomnij tylko o ilu mężach niewiernych słyszałaś, o ilu despotach, kapryśnikach, marnotrawcach, skąpcach, zrzędach, a wiém, że i tacy, którzy swoje żony biją, nie wszyscy w kapotach chodzą.... doszły mię różne o hrabiowskich i niehrabiowskich koronach lub mitrach posłuchy. Katarzyno! Katarzyno! czemu się śmiejesz ze mnie?

Istna tatarska napaść! gotowaś pomyśléć sobie, jeśli mię przeczucie omyliło i jeśli się nie rozśmiałaś na groźną mego losu alternatywę. Lecz jam temu nie winna. Ile znam kobiét, wszystkieby tak póstąpiły sobie, może nawet sama takbym względem wszystkich postąpiła. Jakiś autor francuski dawno przecież już się zastanawiał: *pourquoi ne peut on parler de mariage a une femme sans la faire rire, quelqu'âge qu'elle ait, quelque raisonnable qu'elle soit?...* Dla tego z tobą od kłótni zaczęłam. Niesłusznie? Przebacz więc i pozwól niech ci pana Filipa przedstawię.

Pan Filip jest bardzo majętny obywatel galicyjski, zdaje mi się, że hrabia, bo wszyscy bogaci obywatele galicyjscy są trochę mniéj, lub trochę więcéj hrabiami; „dają mu“ przeszło milion, więc „ma“

zapewne z kilkakroć sto tysięcy; jest co się zowie majętny i to stanowi piérwszy przymiot jego charakteru, jego wartości osobistéj. Mówię, najpierwszy, nie przez porównanie, żebym następnym przymiotom ubliżać chciała, ale piérwszy z regestru, piérwszy, o którym zawsze wychwalający pana Filipa wspominają. Na drugą zaletę pan Filip po kądzieli ma kogoś od Granowskich w rodzie. Na trzecią pan Filip jest bardzo przystojny mężczyzna. Istotnie, w swoim trzydziestym szóstym roku, wyraz twarzy ma tak młody,... gdybyś mnie po palcach nie trzepnęła, tobym powiedziała, tak niewinny nawet, jak go już nie miewają szesnastoletni, w domu pod dozorem trzech guwernerów wychowywani panicze. Jak on żył? nic wiém. Ile miał kochanek! nie wiém, i zapewne nikt mi tego nie powié, ale mogę być spokojną, bo dusza jego w równéj z moją pod tym względem została bezświadomości. Wszystkie usterki i czyny pana Filipa przepłynęły tylko obok niego; żadna namiętność, ani boleść, ani sympatya, ani odraza, ani żadna z rzeczy, które prawdziwie człowieka są, nie wyszły na jaw z jego osobistości, nie wsiąknęły do jéj głębi. Pan Filip ma nie czarne włosy, nie niebieskie oczy, nie rzymski nos, nie grube usta, nie sterczącą brodę, znaków szczególnych żadnych. Ach! niestety, nie ma znaków szczególnych. Jak mi w tłumie zamiesza się kiedy, to go już chyba nie znajdę, tak jak dzisiaj znowu raz po raz biorę kogoś za niego i myślę, że to on wchodzi. Od czasu, gdy zmiarkowałam, na co się zanosi, zdarzyło mi się już bardzo nie w porę lekkim rumieńcem pokraśnieć przy niespodzianém drzwi uchyleniu. Jeden z rządców mego wuja zupełnie jest tego samego wzrostu i koloru; gdy wszedł kiedyś, jakém sam na sam z wujem siedziała, zdawało mi się, że to pan Filip na uroczyste oświadczyny przychodzi; czułam, że mi się trochę niespokojnie w dołku piersiowym robić zaczyna; wstałam z krzesła i chciałam odéjść. Wuj mię za rękę przytrzymał:

— Zostań, moje dziecko, nie zadługo się tu z panem Kobielskim rozmówimy.

— A mnie się zdawało, że to pan Filip! wyrwałam się z nieoględną naiwnością.

— Dziwna rzecz, czemu ty wszędzie i zawsze pana Filipa tylko widzisz? odpowiedział mi na to wujaszek z głośnym śmiechem, a złośliwém oka mrugnięciem. Wujaszek wziął pomyłkę moję za dowód romansowéj przychylności, inni także mię posądzają ... o psychologio!

Co ja mam robić nieszczęśliwa? jestem w ciągłym kłopocie; nie uwierzysz, moja droga, ilu jest ludzi do starającego się o moję rękę podobnych. Gdzie się obrócę i spojrzę, to niby bracia rodzeni,

trochę starsi, trochę młodsi, wyżsi, niżsi, lecz pod przysięgą tego herbu przynajmniéj. Gdyby pan Filip nie nosił przy zegarku ślicznéj roboty weneckiego łańcuszka z dużym turkusem we środku, doprawdy, częstobym nie wiedziała jest li to on? jest li to nie on? Szczęściem, że łańcuszek dobrze pamiętam i że pan Filip łańcuszka nie zmienia. Przy zapiętém odzieniu zimą, na ulicy szczególniéj, trudniejsza będzie sprawa. Futra i czapki męzkie ujednostajniły się teraz, paltoty wszystkie bez charakteru, co to będzie jeśli... przypuśćmy, wracamy do Warszawy po ostatnie przedślubne sprawunki. Każde z nas swoim dworem sklepy obiega, aż przedemną na trotuarze zjawia się młody jegomość, to pan Filip mój narzeczony, lecz go nie poznaję. Wchodzę dajmy na to, do najmodniejszego składu towarów na Senatorskiéj ulicy, on wchodzi za mną, kłania się, ja się kłaniam, potém przeglądam różne materye, koronki, chustki do nosa; kupczyki się kręcą, krzyżują, przechodzą w tę i w owę stronę, mnie o coś nowego poprosić wypada, nie widzę nikogo przed sobą, obracam się trochę po za siebie, wprost do pana Filipa, patrzę najspokojniéj w jego jeszcze spokojniejsze oczy, nakoniec odzywam się ze zwyczajną dam kupujących uprzejmością:

— Czy pan ma prawdziwe paryskie rękawiczki?

No, wyobraź sobie tylko zajście takie między mną, a panem Filipem! jest wprawdzie lekki cień możliwości, że pan Filip nie zmieszałby się tém wcale. Zapytanie moje wydałoby mu się rzeczą nader pospolitą i przyzwoitą, właśnie taką, na jaką zawsze jest przygotowany; możeby więc rękę wyciągnął, pokazał mi ją z wierzchu i na dłoni, a wreszcie grzecznie odpowiedział:

— Tak pani, prawdziwie paryskie.

Lecz gdybym spytała o co innego—wszakże zdarzyć się może. „Czy pan ma flanelę?“ na przykład. Pan Filip gorszy się taką ciekawością, potém zaczyna sobie zdawać sprawę z mojéj omyłki, czuje się niegodziwie upokorzonym przez kobiétę, któréj sam w niczém nie ubliżył, którą wybrał na dozgonną życia towarzyszkę—on, blisko milionowy obywatel, hrabia galicyjski, on za kupczyka wzięty, więc go Pan Bóg podobnym do kupczyka stworzył? Jakież to przypuszczenie groźnych tajemnic pełne...

Łaskawa Katarzyno, jeśli nie przywykłaś do tych moich.... jak powiedzieć?.... różnokolorowych wniosków, albo, wyrażając się dyplomatycznie, ewentualnych postulatów, jeśli się na nich nie znasz doskonale, sama sobie winną jesteś, bo ja ci ich nie szczędziłam nigdy. To są przecież moje cacka ulubione i dowody mojéj roztropności. Czytajże daléj cierpliwie. Druga ewentualność. Spotykam pana Filipa w licznie zebraném towarzystwie, nie patrzę na łańcusz-

ki od zegarków, nie myślę o turkusie, zapominam, że jest pan Filip na świecie. Panna Florentyna rozmawia ze mną wesoło, pan Tertulian dowcipkuje, aż tu nagle z wchodowego pokoju wysuwa się postać czyja—czyja? nie mogę rozróżnić, dopiéro gdy przy mnie staje, słyszę zwykłe wyrażenie.

— Witamy Panią.

Muszę ci tu mimochodem jednego spostrzeżenia udzielić. Pan Filip monarszym obyczajem najczęściéj używa zaimka my. „Przyjechaliśmy szczęśliwie, odjedziemy trochę wcześniéj, prosimy, dziękujemy itp.“ Zrazu dojść nie mogłam czy to robi przez wielką pańskość, która się czuje na siłach innym swoje zdanie narzucić, czy przez skromność nieśmiałą, która potrzebuje powagą cudzéj opinii się zasłonić? Doszłam wreszcie, że przez bardzo sumienną rzetelność jedynie. Jemu zawsze w liczbie mnogiéj mówić się godzi, bo zawsze mnoga liczba toż samo w téjże saméj chwili na jego miejscu by powiedziała.

Otóż tedy pan Filip zjawia się niespodzianie i pozdrawia mię swojém „witamy Panią“, czasem gdy jest bardziéj wzruszony, słyszałam raz na własne uszy, do mnie powiedział: „Witamy Panią nakoniec!“ Niechże i wówczas tak się odezwie, niech ja bez żadnego przygotowania spostrzegę wenecki łańcuszek, duży turkus i pana Filipa. Naturalnie jak piorun ta myśl mię uderzy. Oto mąż twój nieochybny, człowiek, który sam na sam w karecie z tobą o pięćdziesiąt mil ztąd pojedzie, da ci swoje nazwisko i razem z tobą w jednym domu się zestarzeje!... Łatwo pojmiesz jak mię to zmięsza, zaczerwienię się, potém ze strachu krew do serca zbiegnie, nie znajdę potrzebnego słowa na odpowiedź, wielkie szczęście będzie jeśli się nie rozpłaczę, albo nie zemdleję. Pan Filip wyrozumuje z tego, że go kocham; wszyscy przytomni, wcale nie bieglejsi od wujaszka psychologowie, zaczną szeptać, że go kocham; mama, ciocie i kuzynki aż się zdziwią, że go tak bardzo kocham i ślub przyśpieszą. Nie mam żadnéj obrony, żadnego usprawiedliwienia, pisnąć nawet nie śmiem, że zaczerwieniłam się, zbladłam i oniemiałam z przestrachu. Pan Filip czuje się w obowiązku być wdzięcznym za miłość moję, jakkolwiek nieproszony do posagu przydatek i staje się nadskakującym mężem. Chodzi na palcach gdy się zdrzémnę, przysuwa fotel, podnosi upuszczone chustki i kłębki, a ten delikatny sposób postępowania narzuca mi niewłaściwą „zakochanéj, szczęśliwéj żony“ rolę. Choćby on się utrudził prędzéj czy późniéj i przestał na palcach chodzić, ja się dla niego zmienić nie mogę. Pod grozą ogólnéj klątwy, ani się krzywić, ani rozgniewać; ani ziewnąć kiedy chcę, nie jest mi wolno,

bo wszakże z miłości poszłam za mąż; gdyby dostrzeżono jéj braku, toby mi z wszelką pozorną słusznością zarzucono dziwactwo, kaprysy, bodaj czy nie co gorszego nawet. Istotnie, kobiéta gdy raz ukocha, musi kochać zawsze choćby inny przedmiot. Wiedzą ludzie instynktowo o téj konieczności. Więc wyobraź sobie tylko, moja szczera, moja swobodna Katarzyno z mistycznéj Aleksandryi, taką biédną istotę, co jak sadzawka ogrodowa spokojną jest do dna duszy, ni gorzko-słona, ni bromowa, bez smaku, bez koloru, obojętności doskonałéj. Zdarzyło jéj się pewną niekonsekwencyą oplątać i musi być koniecznie do kochających kobiét podobną.

Otóż słuchaj, a raczéj czytaj uważnie to, co ci teraz napiszę, moja Kasiu, bo w innym kałamarzu pióro umaczałam. Jestem bardzo poważna, tak poważna, że aż smutna prawie. Co to jest kochająca kobiéta? Nie wiém; dotychczas byłam tylko jedną z ludzkich istot, kochałam pierwotnemi ludzkiemi skłonnościami: rodziców, krewnych, towarzyszki sympatyczniejsze, ciebie serdecznie, ale zawsze kochałam jako człowiek człowieka. Wyobrażam sobie, że ta miłość kobiéty, co się u zenitu życia rozwija, musi być przecież dodatkiem jakimś, nie ujemnością wszelkich innych miłości. Kocha się człowieka więcéj tego jednego mężczyznę—i dla tego jednego jest się z natchnienia bardzo dobrą żoną. Brak miłości w tak blizkich stosunkach albo się musi w lekceważenie obowiązków przerodzić, albo téż pamięciowo mechanicznėm ich wykonywaniem uzupełnić. Na lekceważenie (bądź spokojna) nigdy sobie nie pozwolę; pamięciowy mechanizm nie bardzo mi się zdaje przyjemnym, wolałabym, żeby mi ukochanie ku pomocy w duszę spłynęło; jednak podjęłabym się resztę życia wydać jak lekcyą z napisanéj nie przezemnie książki, podjęłabym się do regestru wszystkich obowiązków zastosować, tylko nie mogę się podjąć tego, bym o zakochanie się w panu Filipie podejrzywaną była. A dla czego nie mogę? to ci zaraz wytłómaczę. Oto dla tego, że może pójdę za niego; jedyną zaś możliwością znośnéj, przyzwoitéj karyery rodzinnéj przy naszém wspólném usposobieniu, jest małżeństwo autentycznie bez miłości zawarte. Żonie, która z wiedzą i niejako pozwoleniem wszystkich swoich znajomych nie kocha męża, tyle błędów odpuszczają dla tego, że nie kocha,—tyle prawie, ile ich Magdalenie, dla tego, że kochała, odpuszczono. Pewnie ci to nieco paradoksalnie wygląda? Ty mię zawsze na paradoksach pochwytywać lubiłaś, jednak tą razą nie pochwycisz. Co napisałam, nie jest sumą logicznego rozumowania: jest po prostu spostrzeżeniem arcy nielogicznego faktu. Od złych ludzi, od żon nie kochających, świat niczego nie wymaga, owszem ma pełno dla nich uwzględnień i uniewinnień; a kiedy się zdarzy jeszcze, że powszednich swoich ko-

deksowych powinności dopełnią, że możliwego zła nie zrobią, to już mają hymny pochwalne i oklaski całego kolizeum. Słyszałam przecież obywatelki nieskalanéj cnoty i obywateli bez zarzutu (jeden z nich był sędzią pokoju, drugi radzcą Towarzystwa Kredytowego), słyszałam, jak się unosili nad pewną panią pod przymusem za mąż wydaną, jak heroizm z poświęceniem, cnotę z wysoką pobożnością w jeden wieniec dla niéj pletli, bo ta pani narzuconego sobie i niecierpianego męża w gwałtownéj chorobie bardzo troskliwie doglądała; podniesiono nawet ten szczegół, że mu własną ręką mierzyła krople laudanum. Ale od dobrych, od miłujących, to wnet każdy skarbów Ali Baby żąda. Jest pewna, że tak powiém, przeciw nim zawziętość. Polują na ich grzechy z większą pilnością niż na słomki pod wieczór ciągnące. Gdzie grzechów nie ma, kłamstwo podsuną; gdzie szlachetności objaw najwyraźniejszy, nieufnością zaprzeczą, posądzeniem jak sadzami zakopcą, komentarzami jak miną prochową w górę wysadzą i rozbiją. Toć często ani dobroć, ani miłość sama nawet tych żywiołów rozkładowych przetrzymać nie jest w stanie. Cóż dopiéro ze mnąby się działo, ze mną, wcale niedobrém pół dyablątkiem, ze mną bezmiłośną, a niechęć i zazdrość jak rozkochana wzbudzającą? Pomyśléć, że nawał takich nieszczęść spaść na mnie może, dla tego jedynie, że zbyt późno spostrzegam wenecki łańcuszek..... Gdybym o kilka kroków między przystojnymi młodymi ludźmi, przystojnego pana Filipa odróżniła, miałabym czas sama w sobie się przygotować, w stronę pani Ewy spojrzéć i przypomniéć sobie, że ta zacna matrona z Adamem swoim, nader do pana Filipa podobnym, także się razem zestarzała i bardzo czerstwo, a w towarzystwie bardzo uczciwie wygląda. Jest jéj podobnych więcéj, oh! ręczę, że więcéj niż widzialnych gwiazd na niebie. Zastanowiłabym się nad temi zwykłościami, skoroby więc pan Filip zbliżył się do mnie i pozdrowił:

— Witamy panią nakoniec.

Miałabym głos pewny i twarz jak w obrazie olejnym niezmienną, odpowiadając mu:

— Nakoniec pana witamy.

Toż dla czego nie dodać śmiało: „I żegnamy na wieki wieków“. Tybyś może tak powiedziała, ale Marynka!.... Słuchaj daléj Aleksandryo, nie wyliczyłam jeszcze wszystkich pana Filipa przymiotów. Czwartym z kolei, jeśli się nie mylę, jest rozsądek. Majętny, pięknego urodzenia, przystojny, rozsądny tak, tak, po *przystojny* zawsze idzie *rozsądny*, czasem tylko ktoś zamiast „rozsądny“ powié „wykształcony“, albo hurtownie: *taki porządny człowiek!* z głębokiego sza-

cunku akcentem wykrzyknie. Muszę przyznać, że pan Filip ma prawo do tych wszystkich przymiotników. Rozsądny, bo nigdy niczém sobie nie zaszkodził, nigdy w cienkich butach na błoto nie wybiegł, z nieostrożności kataru nie dostał, długów nie narobił, z baletniczką się nie ożenił. Wykształcony, bo takim, jak jest, pewnie się nie urodził, ani się nie stawał od środka, z ducha, lecz od wierzchu, z kształtu. W jedném miejscu się przyciągnął, w drugiém dosztukował, tu zeskrobał, a tam okleił według wszelkich wymagań towarzyskich i wszelkich wzorów salonowo geometrycznego rysunku. Mówi dość płynnie po francusku, po niemiecku, po angielsku i po włosku, a chociaż od przetłómaczenia tego, co mówi na polskie, księgarze i słuchacze nie wieleby zapłacili, jednak to miła być musi w głowie rozmaitość, kiedy kto sobie jedno zdanie pięciorako powtórzyć umié, za każdą razą innemi sylabami. Wnioskuję, że taki człowiek ma prawo pięć razy mniéj własnych myśli produkować. Prócz tego pan Filip gra trochę na fortepianie, *notabene* trochę, nie znaczy tu źle lub miernie, tylko znaczy, że nie grywa ani często, ani długo, śpiewa także trochę, tańczy także trochę, pija także trochę, jada w samę miarę, czytuje znów trochę tylko, a pisuje mało. Nareszcie, pan Filip jest porządny człowiek. Jest, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość i nie dlatego tylko, że ma zawsze śnieżnéj białości kołnierzyki, umyte ręce, że po obiedzie usta płócze, ale we wznioślejszém tego wyrazu znaczeniu, dla tego, że się dobrze rządzi. Jak ci wspominiałam nie ma długów; choć to dziś rzadką zaletą, nie mniéj wszelako, ujemną zaletą dopiéro. Pan Filip dodatnio się społeczeństwu zasługuje! Pan Filip robi majątek, zna doskonale stan swoich interesów, podobno nigdy nikogo nie skrzywdził, a z pewnością nigdy nikomu skrzywdzić się nie dał. Gdzie zysk, gdzie strata, bystrém okiem rozezna, choćby szło o wydatek i gotowe na stole piéniądze. Przyznaj sama, że nie wielu znasz takich, co potrafią stratę z wydatkiem—gotówkę wziętą z zyskiem rozróżnić. „To prawdziwy Ludwik Filip!“ woła czasem wujaszek mój, wierniejszy od samego Thiersa i Guizota w uwielbieniu swojém dla administracyjnych talentów Orleańskiego rodu. Słowem: Taki porządny człowiek!... Taki porządny, Kasiu najukochańsza, że nic mu zarzucić nie mogę, nic nie mam przeciw niemu, tylko nic także nie mam za nim. Wysilam władze fantazyi, aby mu dopożyczyć różnych cnót, wdzięków i umysłowych przymiotów—daremna praca. Żadnego typu niepodobna osadzić, na téj właśnie beztypowéj osobistości. Niechbym przynajmniéj jakiekolwiek proste, piérwotne według syntaksy zdanie utworzyć o nim mogła..... cóż kiedy przysądnych brakuje wyra-

zów (1), powiém „jest“ i myśl zawieszam. Daj mu gwałtowność, popędliwość, zawziętość, wszak nie domagam się ideałów; daj, a wdzięczną będę za podarunek. Przy gwałtowności, mam już o co przyszłość całą zaczepić. Wyobrażam sobie chwile, w których drżę przed jego niepohamowanym gniewem, w których on cofa się przed moim wzrokiem spokojnym, albo przed łzą moją cichą, i niby lew zmocowany, u nóg mi grzywą wstrząsając, przylega. „Lew i Czarnoksiężnica!“ Ileż to ślicznych z tego tytułu dałoby się wysnuć powieści? a jakie życie pełne wzruszeń, walk, zwycięztw, choćby przegrać ostatnią walkę, choćby kiedyś ostre pazury w zapędzie wściekłości serce nagle rozdarły, to co? Śmierć nie jest-że piękniejsza, gdy nas lew rozszarpie, niż gdy swojskiego dżygiteja kopyto potrąci? Niestety! pan Filip nic a nic lwiego nie ma w swojém usposobieniu, nawet pod względem nowomodnym biorąc, nie jest znowu tak wybitnie na ciemieniu zaklęsły jak lwy salonowe. Więc może jest barankiem?.... cichym, łagodnym, potrzebującym opieki i miłości. Oh! dobrze! wzięłabym go na ręce, przytuliła do serca, niosłabym przez świat chropawy i cieszyłabym się radością niewymowną, że jest, aby téż jedno, jedyne stworzenie, które się obejść bezemnie nie może.... lecz p. Filip jak trzydzieści pięć lat i kilka miesięcy bezemnie się obywał, tak może drugie tyle obywać i pewnie nawet, jeśli mu odmówię, nie zabeczy po mojém na tamten świat odejściu.

Odmówić jednak, odmówić tak stosownego ze wszystkich stron konkurenta!... Katarzyno Aleksandryjska, to mię chyba świat ukamienuje! Młodzież kilku prowincyj sprzysięże się, bym starą panną została. Urągasz temu przypuszczeniu? ja mam smutne na oczach przykłady. Córka zamożnego obywatela odmówiła swéj ręki młodemu człowiekowi, który jéj się nie spodobał. Młody człowiek celnie strzelał, tęgo pił, głośno, aż echo plaskało, całował się z kolegami i był ich ulubieńcem serdecznym. Koledzy wszyscy, dowiedziawszy się o *afroncie* swéj perły uryańskiéj, złożyli między sobą vehmgericht, nietajemny wprawdzie, ale równie groźny jak w podziemiach westfalskiego zamku, i uchwalili, że jedni po drugich na pojedynek wyzywać będą każdego, coby się o pannę *** starać poważył. Z chwalebną wytrwałością dopilnowali późniéj spełnienia dekretu. Nie jeden z nich o długach swoich zapomniał, nie jeden kontraktowe zobowiązanie lekkomyślnie rozerwał, nie jeden własnego wekslu zaprzeczył, lub w trybunale fałszywie się odprzysiągł, zawodzili przez długie lata wierzycieli, kupców, wspólników, matki, żony, siostry, kochanki, zawodzili współziomków swoich; lecz żaden,

(1) t. j. orzeczeń.

w téj przynajmniéj sprawie, danego słowa honoru nie złamał. Próżno rodzice z córką do Warszawy pojechali, próżno ją po wszystkich wodach krajowych i zagranicznych obwozili; powiatowy karbonaryzm wszędzie ich dosięgnął. Panna *_* piękna, dość majętna, rozumna i dobra (według ogólnego kobiét świadectwa) dziś rutkę sieje za to, że dawniéj, gdy młodą była, w pewnym panu *_* pokochać się nie mogła. Jeden z moich braci ciotecznych do spisku należący usprawiedliwiał mi po części to bractwo mściwych rycerzy, przytaczając mnóstwo szczegółów na dowiedzenie, że panna była dumną, hardą, kapryśną.... prawdopodobnie była, jest nią dziś jeszcze; lecz ja się przekonałam, że w całéj warstwie ówczesnéj młodzieży nie było ani pół, ani ćwiarteczki dumnego, hardego i kapryśnego serca, któreby pojęło, że tém słodsza, im niedostępniejsza miłość, tém więcéj moje, to co niczyje być nie chce, tém konieczniejsze to, co trudne do osiągnięcia. Zdobyć siłą uczucia, upodobać sobie odważną wyobraźnią, a męzkiéj woli potęgą opanować nadpowietrzną Willidę, lub Rusałkę z dnieprowéj toni, lub Turandolę księżniczkę okrutną; upodobać sobie i przykuć namiętnym uściskiem do łona... jakież to marne trudy dla obywatelskich synów, mających tak wielkie i tak ważne inne zatrudnienia! Trzeba właśnie było skarać objaw niepodległego wybrednego gustu w niewieście. Tak, tak Katarzyno Aleksandryjska! może za twoich czasów kobiétom ucywilizowanego świata wzbroniono tylko prawa inicyatywy w sercowym wyborze, nie było im wolno starać się o swoich przyszłych mężów; dzisiaj, nie wiém, czyby się bardzo ci panowie zgorszyli oświadczeniem, ale widzę, że bardzo się gorszą odmową, zwłaszcza, gdy odmowa spadnie czasem na którego z tak zwanych „porządnych młodych ludzi.“ Nie ma potém bezpieczeństwa dla odmawiającéj. Nadzieja spokojnéj przyszłości dla mnie, w témby jedynie leżała, że pan Filip zbyt wielu przyjaciół nie liczy. Jakkolwiek wszakże od przyjaciół zaasekurowana, to jeszcze przed wielkim kompletem rodziny, zacząwszy od najstarszego w pokoleniu wujaszka orleanisty, skończywszy na najmłodszym siostrzeńcu ciotecznym, który ma do szkół pójść w tym roku, nie ma dla mnie uniewinniającéj wymówki. Z jakiego bo powodu odmawiać? jaką przyczynę naznaczyć? Przyczyny! przyczyny! powodu! powodu! moje królestwo za powód! moje serce za przyczynę!

W dwóch tylko wypadkach mogłabym stanowczo się odezwać i mężnie z wolą rodziny, z opinią świata vel powiatu, zetrzéć, gdybym wyraźny wstręt do pana Filipa czuła, lub gdybym kogo innego kochała. Tak nie jest na nieszczęście! Pan Filip żadnego mi wstrętu nie sprawia. Wolałabym, żeby się z kim innym ożenił, a nie ze-

mną, lub też sumienniéj i subtelniéj cieniując wyrażenie, wolałabym, aby żeniąc się ze mną był innym nie takim, jak jest w gruncie duszy. Nic on mnie nie obchodzi jednak; czy go widzę, czy go nie widzę, czy koło mnie siada, czy daleko staje, mówi czy milczy: zawsze to dla mnie zupełnie wszystko jedno. Opowiém ci wypadek z pierwszych tygodni naszego zapoznania. Wujaszek orleanista, w Hrubieszowskiém bardzo piękne posiadający dobra, zaprosił nas do siebie z całym, jak to mówią, domem, i na całe lato.... „Wujaszek swatem“ czy znasz komedyą pod tym tytułem? Może nie była drukowana, ale, że ją często odgrywają, to wiém z pewnością. Wkrótce po naszém przybyciu zjawił się od galicyjskiéj strony pan Filip Cichowski. Miałam prawo nie domyślać się żadnych zamiarów i pana Filipa pomieszać z mnóstwem innych osobistości, które mi się przed oczami wtedy przesuwały, wśród dość częstych zjazdów sąsiedzkich. Pan Filip wszelako nie przesunął się, tylko utkwił na miejscu; zdaje mi się, że dwa, czy trzy tygodnie trwała jego wizyta; bo nie pamiętam, kiedy przyjechał i nie pamiętałabym, kiedy odjechał, gdyby mię wówczas nie uderzono tą groźną przestrogą, tą zapowiedzią fatalną, że pan Filip „prosił o pozwolenie bywania w naszym domu.“

Prosić o pozwolenie bywania, to już drugi stopień małżeńskich układów, są gradusy do piekła, są gradusy w wolnomularstwie, są gradusy i w konkurencyi, ma się rozumiéć dla znakomitszych osób. Niższe światy jeszcze się w tak roztropne formy nie ułożyły. W niższych światach dziewczęta i chłopcy spotykają się z sobą, jak gdyby żadna za żadnego pójść nie miała, rozmawiają ze sobą swobodnie, bez podmysłów wszelkich, patrzą na siebie spokojnym wzrokiem, żeby się sobie przypatrzéć, stosunek zachowują najprostszy człowieka do człowieka. Gdy zaś komu po nad głową niebo się roztworzy i kochać musi, bo kocha, to już jego własny wolny wybór, albo przeznaczenie. Teraz trzeba ci wiedziéć, że wolny wybór i przeznaczenie, albo się nie zgadzają z interesami blisko otaczających osób, co bywa najczęściéj, albo też nie mogą złączonéj parze bezchmurnego szczęścia zapewnić, co się także zdarza niekiedy; więc krytyka pierworzutnéj *sponte sua*, jak zwał ją pan Ksawery, miłości. W wyższym świecie zastrzeżono się od podobnych przypadków, wszelkie niespodzianki z drogi usunięto. Szlachetna dziewica bezpiecznie stąpa na rodzinie wsparta. Nim kto o niéj pomyśli, musi dobrze z warunkami świetnego utrzymania domu policzyć się piérwéj; bo w tym razie nie serce bez doświadczenia, ale doświadczona roztropność bez serca stanowić będzie. Jeśli ktokolwiek: stryjaszek, wujaszek, przyjaciel lub przyjaciółka, nie da poznać młodzieńcowi,

że jego majątek wystarczający, a położenie towarzyskie odpowiednie, to zdala niepoświęcony! Dopiéro po tém śledztwie przedwstępném swadziebnéj dyplomacyi, drugi akt sztuki się rozwija; *umyślnym* trafem młodzi się spotykają; panna już wié, że to pretendent; pretendent wié o tém wiedzeniu panny, ale niemniéj przeto udają, że nigdy o sobie nie słyszeli. Ona jest grzeczną, on jest uprzedzającym, jakoby z wrodzonego popędu; następnie on okazuje, że się chce podobać, ona, że jéj się podobał troszeczkę, lub téż i bez tego kłopotu, on późniéj prosi, by mu w domu rodziców bywać pozwolono. Od téj stacyi wolno jemu i jéj zakochać się w sobie, wolno i nie zakochać; na jedno to wyjdzie. Minęły wieki barbarzyńskie przymusów i ślepéj rozkazom starszych uległości, dzisiaj każda młoda osoba ma prawo zakochać się, gdy jéj starsi pozwolą, i ma prawo z takiéj miłości iść za mąż, jeśli przy intercyzie kłótnia jakaś wszystkiego nie rozerwie. Są ludzie, którzy utrzymują, że wyzwolenie obywatelskich dziedziczek tak daleko postąpiło, jak daleko odmową sięgnąć im wolno, lecz i pod tym względem, wspomniałam ci przecież, Kasiu, jakie to jeszcze chińskie mury na chropowatym gruncie się wznoszą. Gruby przymus dawniejszy zostawił prócz tego po sobie niezliczone okruchy subtelnych prześladowań. Zamiast głodu, rózgi i klasztoru, jest szyderstwo, jest ciągle powtarzające się namawianie, jest cały arsenał drobnych sposobików, dużo zachęty, pokusy trafnie nasuwane, trochę skompromitowania, podchwycenie byle jakiéj sylaby nieoględnéj, a gdy jeszcze z tém wszystkiém połączy się prośba i rozrzewnienie; gdy głos matki w tkliwéj pieszczocie imię swatanego nad uchem powtarzać ci zacznie: nie ma rady, trzeba iść za mąż. Przypuśćmy, że późniéj będziesz nieszczęśliwa, jak najnieszczęśliwsza z niższego świata żona, twoi najbliżsi tém się pocieszą właśnie, iż rytuału dopełniwszy nic sobie do wyrzucenia nie mają. Otóż tedy, jak posłyszałam, że pan Filip o pozwolenie bywania w domu mojéj matki prosił, pilniejszą zaraz baczność na niego zwróciłam; chciałam sama przez siebie ocenić jego moralną istotę, wybadać skłonności i usposobienia. Daremna praca! Ile razy uwzięłam się na poważniejszą rozmowę z p. Filipem, albo na cierpliwsze wysłuchiwanie rozmów jego z innymi, tyle razy (nie wiém, z jego czy z mojéj winy) myśl wietrznica uciekała kędyś daleko i chwytałam ją na gorącym uczynku najbezczelniejszéj niegrzeczności. Przy początku była zajęta panem Filipem, przy pochwyceniu chorągiewką na dachu, albo gładką marmurową płytą stojącego w kącie stolika, albo przelatującemi w powietrzu wróblami, nigdy jéj w przyzwoitych karbach zastanowienia utrzymać nie mogłam; jednak czułam, że to jest moim obowiązkiem i czasem tak po-

lowałam na sposobność dłuższéj, poufniejszéj gawędki jak kokietka.... lub jak p. Filip był powinien polować. Jednego dnia nakoniec zeszliśmy się w pokoju, który wujaszek *Biblioteką* nazywa. Jest w nim rzeczywiście piękna szafa z książkami, lecz piękniejsza jeszcze fajczarnia, panoplia na ścianie, wygodny szezląg do drzémania, kilka miękkich foteli i stół bieżącą literaturą, dziennikami, broszurkami, ilustracyami zarzucony. Po jednéj stronie duże drzwi szklane na ogród wychodzą, po drugiéj masyw dębowe, ciemne, do salonu prowadzą; salon ogromny pusty zwykle, bo tylko na karnawałowe tańce przeznaczony, za salonem dwa tak zwane bawialne pokoje, w których się uroczyście rzadszych gości przyjmuje, za temi pokojami sień po staroświecku rozległa, za sienią dopiéro jadalnie, siedzalnie. sypialnie, słowem, cała strefa powszechnego życia i ruchu. Zdaje się, że plan tak prosty bez architektonicznych wzorów możesz sobie wyobrazić i łatwo dalszy ciąg mojéj „awantury“ zrozumiéć. Jako ci więc już napisałam, zeszliśmy się z panem Filipem sam na sam w bibliotece. Pan Filip przychodził po gazety, ja chciałam z szafy dostać dzieł Augustyna Thierry. Naturalnie, pan Filip szukać mi ich dopomógł, że były trochę zbyt wysoko sam je wyjął, z kurzu otrzepał i podał mi tak uprzejmie, iż pod dobrém wrażeniem natychmiast pierwszą zaczepkę dałam do wypowiadającéj się (subiektywnéj? lirycznéj? podmiotowéj?) rozmowy.

— Nadzwyczaj jestem ciekawa tego „Zdobycia Anglii przez Normandów.“ Że zaś pan Filip nie był ciekawy, dla czego ja ciekawą jestem, tylko po prostu zatwierdził: „rzeczywiście jest to bardzo zajmujące dzieło“—ciągnęłam daléj:

— We wszystkich krajach u wszystkich ludów podboje zawsze równie są dla podbitéj i dla zdobywczéj rasy szkodliwe; Persowie, Macedończycy, Rzymianie od podbojów w śmiertelną zapadli niemoc, a Normandowie w Anglii podbojem utworzyli takie świetne i ucywilizowane państwo.

Przyznaj sama, że bez trudu mógł tę pozorną sprzeczność szanowny pan Filip wytłómaczyć; skończył szkoły przecież; wiem o tém, bo mi wuj ręczył, chociaż podobno bardzo długo „mama trzymała do niego guwernera Francuza“ (to jest sposób mówienia ś. p. Au. Wi. nie zaś p. Filipa); jednak szkoły skończył, ale z tém wszystkiém rzuconéj przezemnie kwestyi nie podniósł, tylko jak na odczepkę wyskandował niedbale:

— Anglia jest dzisiaj najpotężniejszém państwem morskiém, to prawda.... I zaczął zaraz pilniéj daty różnych dzienników między sobą porównywać. Miałam ochotę spytać: a Ameryka? lecz ten zwrót, tylkoby nas do Ameryki doprowadził, ja zaś naprędce inny

ułożyłam planik, chciałam koniecznie krętą ścieżyną dojść aż do osobistości pana Filipa.

— Tę potężną, przemyślną i bogatą Anglią pan Thierry widział w jéj pierwotnéj wulkanicznéj formacyi, bo że „widział“ choć był ślepym, to w głębi duszy mocno jestem przekonana. Bóg go obdarzył więcéj niż talentem, obdarzył cudowną władzą odradzania się w przeszłości najdalszéj.

— Literatura francuzka bardzo wiele na jego śmierci straciła— zauważył sentençyonalnie pan Filip?

— Czy téż Anglicy umieli wartość Thierrego, choć był Francuzem, ocenić?

Na to pan Filip rzekł:

— Nie wiém, ani w dziennikach, ani w przeglądach nic mi się o tém czytać nie zdarzyło.

— Pewnie milczeli przez zazdrość; Anglicy są bardzo względem Francuzów zazdrosni.

Na to pan Filip rzekł:

— Oba te narody mają wiele handlowych interesów, które je we współzawodnictwie utrzymują.

— Lecz prócz handlowych interesów, przebija w całéj literaturze angielskiéj inna jeszcze uczuciowa zazdrość, wyraźnie mają antypatyą do Francuzów.

Na to pan Filip rzekł:

— I Francuzi nie lubią Anglików.

— Francuzi może mają czego zazdrościć, lecz Anglicy są już dość silni, by ich wymiar sprawiedliwości nic nie kosztował, tylko słabość wątpiąca o sobie saméj zazdrosną bywa; nie pojmuję zazdrości silnych.

A ty Katarzyno Aleksandryjska, czy pojmujesz dla czego tak strategicznie koło wyrazu „zazdrość“ krążyłam? To był ważny bardzo punkcik, z którego mogłam potém na szeroką skalę indywidualniejsze badania prowadzić. Niech mi tylko pan Filip cokolwiek o zazdrości powie, choćby nie więcéj jak o Anglikach i Francuzach, dostanę reszty.

Lecz pan Filip na to.... nic nie rzekł, spadła mu ze stołu *Biblioteka Warszawska* i był jéj podźwignięciem zajęty. Musiał się zmęczyć, bo milczał. Ja tymczasem otworzyłam Thierrego, kilka wyrazów oczy mi przyciągnęło, za oczami uwaga trop w trop pobiegła i wczytałam się, jak to wiesz, że i tobie się zdarza czasem, niby to bezmyślnie kartkami się bawisz, aż któraś z nich pochwyci i zatrzyma cię; udajesz, że rozmawiasz jeszcze; lecz na prawdę, ty czytasz już. Ze mną coś podobnego się stało, wszelako instynktowo pamię-

tałam o celu zamierzonéj inkwizycyi, dla tego téż nowe rzuciłam pytanie, choć wzroku nie mogłam od książki oderwać:

— Czy pan był w Anglii?

Na to pan Filip odpowiedział:

— Tak jest pani, cały sezon parlamentarny spędziliśmy w Londynie, to najświetniejsza dla téj stolicy pora.

Głos umilkł: znowu się odezwałam jako pierwéj:

— Angielki mają być bardzo piękne?

Na to pan Filip rzekł:

— Nie wszystkie.

— Ha, tak nie wszystkie, ale są i bardzo piękne.

Na to pan Filip rzekł:

— Są niektóre nadzwyczaj białe i delikatne.

— A śniadych, czy wcale nie ma?.... i że ta kwestya trochę bliżéj mię obchodzi, więc spojrzałam w oczy panu Filipowi. Pan Filip miał grzeczny uśmiech na twarzy; lecz sumiennie zapewne przypominał sobie, czy widział śniade Angielki, bo dopiéro po namyśle rzekł:

— Są i śniade także.

— A czy się panu podobały?... powinnnam była odważnie pytać daléj—przyznaj sama, Kasiu, żem powinna była, ale nie zapytałam; zdawało mi się to zbyt wyzywającą „niedyskrecyą;“ ja zaś bardzo mam odważną w listach i zamysłach naturę, a kiedy do żywego słowa przychodzi daléjże w nogi. Na ten raz nie zemknęłam wprawdzie z placu, tylko zamilkłam. Wolno było panu Filipowi z milczenia korzystać i coś od siebie powiedzieć, lecz pan Filip nie korzystał. Pan Filip także milczał. Jeszcze raz ja piérwsza ciszę przerwałam:

— Zna pan tutejszy keepsake „Piękności londyńskich.“ Śliczne i oryginalne twarze.

Pan Filip powiedział, że nie zna ślicznych i oryginalnych twarzy keepsaka londyńskiego. Ponieważ wiedziałam na któréj półce je złożono, odszukałam więc z łatwością i podałam do oglądania. Pan Filip podziękowawszy zaczął oglądać, a ja znowu na jakiś zdradziecki ustęp w Augustynie Thierry trafiłam i zaczęłam czytać. Jak długo to trwało, nie wiém. Przyszła nakoniec chwila, w któréj uczułam potrzebę systematyczniéj z Haroldem i Wilhelmem Zdobywcą się poznać. Wzięłam wielkie in octavo pod pachę i oddaliłam się bardzo spokojnie do mego pokoiku na drugiéj stronie, gdzie mi wujaszek biurko maleńkie z wszystkiemi przyborami piśmiennemi gościnnie ustawić kazał. Oddalając sie jednak, czy zgadujesz, co zrobiłam? O Katarzyno! o Aleksandryo! Ni mniéj ni więcéj, tyl-

ko, somnambulicznie prawie, bezświadomie drzwi na klucz zamknęłam. Jest to mojém warszawskiém nawyknieniem, bo mi kiedyś jeden z kuzynków poprzewracał i niedyskretnie poprzeczytywał leżące na stoliku listy. Zawsze od tego czasu wychodząc z mego pokoju na klucz drzwi zamykam. Tak też i teraz zrobiłam. Zamknęłam bibliotekę, a w bibliotece pana Filipa, jak zapomniany koszyczek z robotą, jak zgubioną chustkę do nosa.

Z upokorzeniem wyznać muszę, że i pan Filip nie odrazu pewnie brak mego towarzystwa spostrzegł, bo nie dał znać o sobie, więc ja też klucz do kieszeni spuściwszy, cały salon przeszłam bez zgryzoty sumienia i z błogiéj niewinności poczuciem do historyi krwawego najazdu się zabrałam. W trzecim rozdziale byłam, kiedy mię na obiad wezwano. Wszystkich już zgromadzonych zastałam. Pan Filip się nie stawił jedynie. Gdzie pan Filip? Szukają pana Filipa. Wujaszek nadziwić się nie może takiemu spóźnieniu, a témbardziéj ukryciu się takiemu. Posyła do stajni z zapytaniem, czy pan Filip konno gdzie nie wyjechał? W stajni pana Filipa nie widziano. Posyła do nowowznoszącéj się jakiéjś budowli? Może pan Filip znawca fabryce jest przytomny? Pana Filipa ani śladu. Słucham tego wszystkiego z całą prostotą mojéj duszy i nawet gdy się wujaszek swoim obyczajem do nalewania rosołu zabiéra, grzecznie mu radzę, aby jeszcze na gościa poczekał. Szczęśliwy pomysł wreszcie przyszedł mamie do głowy i kazała zgubionego w ogrodzie nawoływać. Do ogrodu wysłany Piotruś usłyszał mocne z biblioteki sztukanie, spojrzał w okno i przez szybę z panem Filipem się rozmówił, bo trzebaż jeszcze nieszczęścia, że drzwi ogrodowe z nazewnątrz przed południowém słońcem silnie okiennicami zaparte były. Skoro tylko o panu Filipie i o bibliotece razem wspomniano, uprzytomniły mi się wszystkie szczegóły ranniejszego spotkania, nawet moje własne roztargnienie. Pełna wstydu i skruchy klucz wyciągnęłam z kieszeni. Mama mię bardzo surowo złajała. Wujaszek oscylował między burą a śmiechem. Sam zaś pan Filip z wielkim taktem postąpił sobie, bo się ani gniewał, ani śmiał, tylko po prostu całe zdarzenie tém usprawiedliwił, że się drzwi nadzwyczaj cicho zamykają. Masz tedy Kasiu wierną próbkę moich uczuć dla pana Filipa. Wstręt prawdziwy byłby czynniejszym daleko; nie mogłabym zapominać w bibliotece wstrętnego a żądającego méj ręki człowieka; na jego widok wszystkie żyłki zadrgnęłyby mi przykrém wrażeniem, na każdy uśmiech przymilenia, każda kropla krwi niechęcią by zakipiała, obrzydliwość by mię zdjęła, na każde jego słowo ugrzecznione. Zdaje mi się, że takim przynajmniéj być powinien wstręt rzeczywisty, nie sztuczną fantazyą,

nie bawialno-pokojowemi spostrzeżeniami wywołany, ale szczerą naturą, w naturze jakiegoś indywiduum będący. Toć to wówczas głos boży, zakaz wyraźny, którego pod grozą piekła przełamywać nam nie wolno. Niech poczuję, że mam wstręt do pana Filipa, wnet znajdę odwagę, by go daleko odepchnąć, by mamie i całemu hufcowi wujaszków powiedziéć: Nie mogę. Gniewaliby się z początku, ale wkrótce zapewne uspokoiliby się i pojęli, że nie jeden pan Filip dla Marynki, jak nie jedna Marynka dla pana Filipa. Wszystkoby się po mojéj woli ułożyć musiało; tylko właśnie brakuje mi siły potrzebnéj na wymówienie tego „nie mogę.“ Choćbym wreszcie wymówiła, z akcentu samego poznają zaraz, że to da się zmienić. Odległość dalsza niż między słońcem a księżycem dzieli skalę tych dwóch tonów: woli ochoczéj i woli samemu sobie nakazanéj. Ludzie bezwiednie ulegają działaniu ich różnicy. Piérwszą mogą tylko na zewnątrz ujarzmić, częściéj jednak cofnąć się przed nią muszą; względem drugiéj występują z bogatym arsenałem pokus i zaczepek, nie zrażają się odmową, nie niecierpliwią zaprzeczeniem, czasu im nie żal na ciągłą dysputę i ciągłe do tegoż samego punktu zwroty. Powiém, że nie chcę pana Filipa: zaczną prosić, wyśmiewać, dowodzić, a nadewszystko zaczną tak nudzić, że w końcu dam się przegadać i zostanę panią Filipową!....

Ostatnią moją ucieczką to więc jedynie byćby mogło, gdybym się w kim zakochała. Święta Katarzyno Aleksandryjska! niech ja się w kim zakocham! Przebóg! pono to Aleksandryjska właśnie starych panien patronką.... nie do takiéj się modlę. Katarzyno miłująca! niech ja się w kim zakocham coprędzéj! Teraz nikogo a nikogo na zakochanie koło siebie nie widzę, nikogo wśród bliższych i dalszych znajomych do zakochania sobie nie przypominam. Różne smutne myśli przychodzą mi do głowy: a to, czy zakochanie się nie jest mrzonką powieściowéj literatury? a to, czy kiedykolwiek widziałam zakochaną istotę? Mam pewne dane jak powinnaby wyglądać, mam niemylne posłuchy, że się tu i owdzie znajduje, lecz w żywe oczy nie spotkałam żadnéj. Musi ten gatunek do osobliwości należéć. Więc znów czy ja osobliwością jestem? Może wyłączna przedślubna miłość nie jest mi sądzona? może na władzach do jéj poczucia mi zbywa? Ja się będę za miłością jak za bajecznym feniksem oglądała, dzień po dniu pytać będę: „Serce, serce, czy kochasz już? „a serce tik, tak, tik, tak, równiuteńko: kocham mamę, kocham Kasię i samę siebie i wujaszka i wszystkich bliźnich,“ Tymczasem lata upłyną; twoja Marynka się zestarzeje; te czarne włosy, co je muskać tak lubisz, srebrnemi sznureczkami pstrzyć się zaczną; ząbki dziś bardzo zdrowe i perełkowate może rozbolą i powypada-

ją. Nosek, z twojéj łaski rzymskim nazwany, wyciągnie się szkaradnie i będzie ludziom na świecie zawadzał; śniada płeć brzoskwiniowo-aksamitna palisandrowemi cieniami się urysuje, a jeśli krynoliny wyjdą z mody, to giętka kibić w suchą laseczkę się zmieni, wesoły humor—w zrzędliwe usposobienie, wątroba—w żółć: i trwajże tedy niumijko do niczego nieprzyczepiona! Mów ty sobie, co chcesz Aleksandryo! mów, że kobiéta w każdém położeniu użyteczną i szczęśliwą być może; ja nie mam wcale zamiaru starą panną zostać. Już co do tego, to mam wstręt wyraźny, daleko wyraźniejszy niż do pana Filipa. Zostanę choćby panią Filipową, bylem na koszu nie osiadła. Zdaje mi się, że bez miłości potrafię być dobrą żoną, a z pewnością wiém, że bez tytułu mężatki, za jakie lat dziesięć, piętnaście, będę bardzo nieznośną starą panną. Póki jednak mam te kilka lat młodych przed sobą, wolałabym zaczekać, wolałabym dowodnie się przekonać: czy jest miłość dla mnie zupełném niepodobieństwem, czy opóźnioną tylko uroczystością? Jaka to rozpacz mogłaby mię ogarnąć, gdybym już rozporządziła mojém życiem, i wtedy dopiéro na ukaranie za pośpiech, za słabość charakteru poznała człowieka, który miał być z woli Bożéj moim jedynym, moim zbawiającym, moim ukochanym prawdziwie.... A jeślibym go nie poznała? jeślibym odegrała tylko śmieszną rolę egzaltowanéj panny z romansowemi pretensyami? przewróconéj głowy z wymagającą zarozumiałością? idealistki z bańkami mydlanemi w mózgu? To co, Kasiu? Wstydziłabyś się za mnie, i jabym się za siebie wstydziła. Warto gruntownie nad tą rzeczą się zastanowić. Po dziś dzień, a mam już lat dwadzieścia, nikt jeszcze we mnie miłości nie wzbudził. Znałam ludzi bardzo zacnych, rozumnych, przyjemnych, znałam artystów i uczonych, rozmawiałam z żywym portretem Van Dycka, a pewna znakomitość powiedziała mi, że mam oczy do gwiazd podobne. Czemuż nie zakochałam się w kim? Czy dla tego, że Zacność nie była wymowną, że Rozum był zbyt gadatliwy a Przyjemność w karty grać lubiła? Czy dla tego, że Artyzm nie mógł się bez pochwał obejść, a Uczoność zażywała tabakę. Czy dla tego, że Van Dyck śmiesznie na koniu się trzymał, a Znakomitość oklepanych używała porównań. Innym kobiétom wcale te usterki nie zawadziły. Znajome, rówiennice, przyjaciółki i nieprzyjacióki moje są dziś żonami tych właśnie rozumnych, zacnych, przyjemnych i t. p., a nie widzę, by która z nich szczęśliwszą, lub nieszczęśliwszą była po nad zwykłą miarę małżeńskich przeznaczeń..... nawet Mimi choć za szulera poszła.

Byli więc ci różni panowie tych różnych pań godni, mogłam i ja też na którym z nich poprzestać. Nie jestem lepsza od drugich,

by na samych tylko najlepszych z darem własnego serca oczekiwać, jak średniowieczna dziewica z laurowym wieńcem na zwycięzkiego w rycerskich turniejach bohatéra.

Śmiałyśmy się, moja Kasiu, z téj dziesięcioletniéj szczebiotki, co nam mówiła, że jéj przyszły mąż koniecznie musi mieć czarne włosy, niebieskie oczy, płeć bardzo białą, wzrost wysoki i ciemnogranatową czamarkę. Jeszcze słuszniéj mogłabyś teraz śmiać się ze mnie, gdybym sobie w moim pierwszym prawnéj pełnoletności roku wykroiła z ideałów foremkę i przymierzała do niéj spotykanych na drodze życia pretendentów. Bądź spokojna, nie ulegnę téj słabostce. Ani Grandissonów, ani Cezarów, ani Peryklesów, ani Gustawów, ani nawet Konradów nie szukam. Jestem gotowa pokochać się w takim, w jakim się pokocham. Na miłość moję żadnego trybu warunkowego nie kładę, tylko niech ona sama w oznajmującym się zjawi; lecz gdzie rękojmia, że zjawi? Im więcéj się zbliża chwila stanowczego wyroku, tém większy strach mię przejmuje, w sumieniu budzą się coraz dokuczliwsze wątpliwości. Katarzyno Aleksandryjska rozstrzygaj!

Powiédz mi najpierwéj, czy rzeczywiście niezachwianie przekonaną jesteś, że kobiéta z miłości tylko za mąż iść powinna?

A gdyby która nie mogła się zakochać, nie miała usposobienia, talentu do takiego zakochania się, czy kazałabyś jéj starą panną zostać.

Powiédz mi to Katarzyno Aleksandryjska. Na grobową aryą Łucyi z Lammermooru cię zaklinam, powiédz, odpisuj co prędzéj, niech się nie rozbijam jak człowiek bez świécy w ciemnéj piwnicy, bez sądu w mętném sumieniu. Póki twego listu nie odbiorę, póty zaklęcia moje przy tobie. Gdzie się zwrócisz, gdzie usiądziesz, gdzie usnąć będziesz chciała, niech cię ściga echo wołające: odpisuj! odpisuj! odpisuj! Na mocy łask dawniejszych do teraźniejszego wymagania uprawniona Marynka.

P. S. Jeśli w moim losie jest zapisane, że czy prędzéj, czy późniéj bez miłości za mąż pójść muszę, to przyznam ci się, Kasiu, najrozsądniéj może byłoby, gdybym teraz za pana Filipa poszła. Mama i wujaszek bardzo sobie tego życzą. Dobra „partya,“ choć tak osławione w komedyach wyrażenie ma jednak swoję moralną, nie tylko materyalną wartość. Pan Filip zresztą po odsiedzeniu kozy zaczął być trochę rozmowniejszy. Kiedy się żegnał z nami, a wuj go zapraszał na drugie odwiedziny:

— Wszelkich starań dołożymy, by jak najśpieszniéj z tak miłego upoważnienia korzystać rzekł prawie wzruszonym głosem, i zdaje mi się, że spojrzał na mnie. *(C. d. n.)*

PRZED GRUNWALDEM.

(Ciąg dalszy).

Gdy zakon Inflancki zajęty był Pskowem i Nowogrodem, zakon w Prusiech w pracy nad własném zadaniem około Żmudzi snać nie miał ani chwili wolnéj na poparcie sprawy pobratymców. Co bardziéj uderza nas, to że stosunki pomiędzy obu mistrzami nader osłabnąć musiały, skoro w licznych papiérach zakonu z tych czasów trudno napotkać na korespondencyą między dwoma mistrzami. Lecz zdziwienie nasze ustępuje w obec pracy pruskich Krzyżaków jaką rozwijali na Żmudzi. Ziemia ta stała się obecnie jakby jedynėm najważniejszém hasłem i celem pracy zakonu. Z rycerstwem zakonném poczynającém tu rycerskie zakładać kolonie, ciągnęli na Żmudź liczni niemieccy rolnicy, niemieccy rękodzielnicy, niemieccy kupcy. Przeliczne kolonie niemieckie powstają obecnie na rozkaz W. mistrza. Wszędy trzebiono olbrzymie bory do stawiania pruskich twierdz, domów i młynów. Do tych ostatnich tak rzadkich na owczesnym wschodzie Europy, poczyna się tłumnie gromadzić ludek żmudzki. Niemcy mają nakaz nadzwyczaj łagodnie obchodzić się z ludem, a nawet kiedy zabrakło krajowcom chléba, ładuje mistrz W. statki ze zbożem i odsyła je swym nowym poddanym. I dziwna rzecz, ludek, który przed rokiem w niebogłosy wołał do Witolda, „nie zechciéj nas wydać na pastwę Niemcom przebrzydłym,“ obecnie przylgnął do Niemców, szukając u nich łaski i opieki. Nie wiedzieć jakie właściwie działają tu sprężyny, lecz faktem jest, iż pomiędzy Żmudzinami krążą obmowy i potwarze na byłego ich księcia Witolda. Może to wityngi pruscy, ci najusłużniejsi słudzy zakonni, niegdyś staréj szlachty pruskiéj podupadli potomkowie, rozszerzają pomiędzy ludem takie potwarze. Może szarańcza szpiegów żmudzkich przyczynia się do tego. Trudno się dopatrzéć ukrytego powodu.

Rządy nad Żmudzią powierzył mistrz zakonu Michałowi Kuchmeistrowi z tytułem sołtysa Żmudzi. Obrotny ten mąż, wtajemniczony w politykę zakonu, znający i przejęty na wskroś jego zamiarami i ideami a nadto świadom mowy Żmudzinów, nadawał się najbardziéj na zarządcę Żmudzi. Rządził on właściwie sam Żmudzią, a lubo mistrz zakonu i kapituła nie ścierpieliby przenigdy, aby ich urzędnik dawał informacye, to przecież Kuchmeister potrafił w taki sposób kierować swojemi sprawozdaniami ze Żmudzi, w których wykazywał potrzeby i formułował żądania kraju, że mistrz W. zupełnie się zgadzał na rozsądne w téj mierze zdanie sołtysa. Przed Żmudzinami składał się sołtys na W. mistrza, i wszyscy wiedzieli, iż jest on tylko urzędnikiem zakonu; atoli bano się go i poważano jakoby samego mistrza, który zresztą nie potrzebował zaglądać do Żmudzi.

Michał Kuchmeister oddał się z całém poświęceniem powierzonéj mu pracy. Z początku odbywał on małe rejzy w powiaty Ejragoły, Widuklów, Rosień, które jako odleglejsze nieskore były do ugięcia się przed W. mistrzem i uznania w nim nowego pana. Środek ten skutkował zrazu; jednakowoż skąpe na tak wielkie obszary siły zakonu nakazały sołtysowi innego dobiérać środka i użyć w stosowny sposób. Na jego tedy rozkaz, obiegali słudzy zakonni, wityngi i szpiedzy przeliczne powiaty i obwoływali gminom, które się jeszcze nie poddały zakonowi taką przestrogę: Oddajcie się zakonowi, nie dajcie się pustoszyć Niemcom, którzy na was krnąbrnych gotują oręż zemsty. Ojcowizna, mienie, dobytek, milszą okazały się być dla Żmudzinów rzeczą aniżeli skutki oporu, zwłaszcza że po za ich plecyma nie stał już potężny książę Witold. Pomimo to kilka rejz zakonnych nastąpiło w te odleglejsze prowincye, co w roku 1406 uczyniło wszelki opór ze strony Żmudzinów zbędnym a nawet niemożebnym. Przeciwnie rzecbyśmy mogli, jak już wyżéj nadmieniliśmy, iż w r. 1406 okazały się na Żmudzi korzystne skutki dla przemądrych jarzmicieli ludów, dla krzyżaków. Liczni zdrajcy i odstępcy, jak ich nazywali wierni tradycyi krajowéj Żmudzini, ofiarowywali swe zgubne dla kraju usługi rycerzom zakonnym. Całą armią szpiegów wyćwiczył sobie obecnie sołtys żmudzki. Co w najodleglejszym działo się zakątku Żmudzi, o czém tylko obradowali bojarzy na tajnym wiecu, co było powodem hałasu lub krzyku w puszczy, o wszystkiém tém wiedział obecnie sołtys żmudzki przez szpiegów. „Słudzy ci“ zakonu opuszczają rodzimą chatę i ojczyste strony a osiedlają się obok zamków krzyżackich. Tu ćwiczą się ze służbą zakonną w niemieckiéj mowie, oswajają się z nieznanym a ponętnym sposobem życia. Upewnieni o ich wierności przełożeni zamków dają im wreszcie konia, broń i odzież zakonną i wysyłają na zwiady w dalekie kraje.

Odstępcy spełniają zlecenia i nakazy z dziwną wiernością i zamiłowaniem. Nagrodą ich były datki piénięžne, darowizny w ziemiach i honorowanie ze strony panów żmudzkich.

Historya nieprzywiązywała dotychczas wielkiéj wagi do tych instytucyj zakonnych, do szpiegostwa. Różne mogły być do tego powody. Nie przeceniając atoli istotnéj jéj ważności, musimy zaznaczyć, iż przez tę instytucyą uzyskał zakon dla celów swéj polityki wielką część ludu Żmudzkiego, która wszystko a nawet życie poświęcić była gotowa dla sprawy zakonu. Zakonni panowie wiedzieli obecnie o słabych stronach swego panowania, mogli przeto rychło pomyśléć jakby złemu zapobiedz; wiedzieli oni o niedostatkach mieszkańców, którym przeto, celem pozyskania ich sobie, rychło mogli śpieszyć z pomocą i wiedzieli o swych wrogach i przyjaciołach, słowem co się działo w całéj Żmudzi. Co większa sołtys wiedział za pośrednictwem sług swoich co się działo w całéj Litwie Witoldowéj, co w odległych jego „tylnych krajach", co dziwniejsza o nowinach Tatarskich, Pskowa, Nowogrodu, Smoleńska, Moskwy. Że atoli te środki drogo opłacał zakon, że te instytucye „szpiegów" olbrzymich wymagały nakładów, świadczą ówczesne wydatki zakonne, jakie ponosił na swe „sługi".

W ogóle Żmudź pożérała skarby zakonu. Nigdy tak wiele i tak hojnie nie wydawał skarbnik zakonny na żadną z krzyżackich prowincyj, jak to obecnie wysyłać musiał do Ragnety a późniéj do Dubissy. Jednę część tych olbrzymich sum pożérali szpiegowie żmudzcy. A powabny dla wszystkich ludów blask złota i srébra równie miły urok wywierał na ubogich Żmudzinów. A gdy nadto dawniéj gniotła ich żelazna ręka Witolda, zmuszająca do odległych wypraw wojennych, za co małą odbiérali zazwyczaj nagrodę, pogodzili się oni obecnie z nowymi panami w nadziei zysku ze złotych skarbów krzyżackich. Nawet z Witoldowéj Litwy płynęła z tego powodu fala zbiegów do krzyżackiéj Żmudzi. Starych bogów litewskich począł toczyć robak krzyżackiéj demoralizacyi i zgnilizny. Pytanie tylko, czy potrafi on zepsuć serce narodu?

Co atoli dziwna, że wśród tych zabiegów polityki krzyżackiéj na Żmudzi, nie spotykamy się z zabiegami o zaszczepienie wiary świętéj. Wśród wielkich sum na twierdze, broń, na zarząd prowincyi, na armie szpiegów, jakie wydawał zakon, znajdujemy zaledwie kilka małych wzmianek o datkach dla gmin, które chrzest święty przyjęły. Może podskarbi zakonny zapomniał spisać inne nakłady nieznane nam w rachunkach zakonnych; może zakon nie miał do rozporządzenia wielu duchownych, a może wydając na inne cele, nie mógł

w sprawie ugruntowania kościoła chrystusowego wielkich czynić nakładów. A wszakżeż ten to pozór „nawrócenia pogańskiéj Żmudzi“ najbardziéj posłużył zakonowi do utwierdzenia swych pretensyj w żmudzkim kraju.

Jakakolwiek atoli była tego przyczyna, Witold wiedział prawdziwą. Żadna ze spraw krzyżackich, jakie tuż pod bokiem jego czynili na Żmudzi, nie uszła bacznego jego oka. On równie jakoby sołtys żmudzki wiedział o wszystkiém co się działo w tym kraju, a najbardziej troskał się o politykę zakonu. I nie dziw, nasamprzód bowiem jest on wiernym i największym przyjacielem zakonu, a powtóre, że miał dokumentne pretensye do Żmudzi, gdzie jeszcze do tychczas urzęduje część jego komorników i podkomorzych. Wreszcie sprawy graniczne, o zbiegów, o kupców i drogi kupieckie i inne tysiączne małéj wagi sprawy wiązały jeszcze Litwę ze Żmudzią. Czasami zbiegł téż doń uciśnięty przez krzyżaków bojar żmudzki, skarżąc się przed księciem na nienawistny zakon, na upadek ojczyzny; lecz Witold przyjmował zbiegów zimno, lub kazał ich cichaczem osiedlić w dalekich od Żmudzi stronach Litwy. Zresztą nienawidzono wiarołomczego księcia na Żmudzi, a naród wcale nie myślał udawać się doń z prośbą o pomoc.

Liczne atoli listy i korespondencye księcia do sołtysa i mistrza zakonu świadczą, iż książę wcale nie miał ochoty zapomnieć na zawsze o ojczystym kraju żmudzkim. I owszem widoczna z nich, iż jak książę niedostępnym i zimnym okazywał się dla Żmudzinów, tak z drugiéj strony w obec zakonu wcale troskliwym okazywał się o ich sprawy. Zapewne, że działo się to w sposób tak uprzejmy, tak dyplomatyczny, iż krzyżacy zaledwie się dorozumiewać mogli, jak wielce ciężyła mu dola odstąpionego im kraju na sercu. A skoro tylko krzyżacy lub sołtys żmudzki za gorąco brali się do dzieła, zwykł był ich Witold ku ochłodzeniu skrapiać zimną wodą wielce dyplomatycznego listu. Toć kiedy sołtys pozwolił sobie pogrozić Żmudzinom orężem niemieckim, jeśli się nie poddadzą zakonowi, Witold, który więcéj groźbą własnego oręża aniżeli krzyżackiego zmusił ich do posłuszeństwa Niemcom, okazał z tego powodu sołtysowi głębokie swe niezadowolnienie. Mądry sołtys składał się jak mógł przed księciem, usprawiedliwiał czyn, jako z umysłu tak sobie postąpił, aby się dowiedzieć o sposobie myślenia Żmudzinów, wreszcie zapewniał usłużność, iż wola księcia będzie dlań świętą i na pozór panowała znowu zgoda pomiędzy księciem a sołtysem (1).

---

(1) List Sołtysa do Marszałka zakonu: D. im hofe uf der Thobls am donnerstage vor Georgii martiris [1405 - 6] Arch. N Z. Szuflada XVI. a.

Książę zresztą dawał i na dal dowody serdecznéj z zakonem przyjaźni. Obsyłał on ich ustawicznie potrzebami do budowy zamków. Twierdzę Fredeburg oddał on już na ich użytek; obecnie również własnym nakładem wybudował on im nad Sossawą w kraiku Jassady zwanym piękny zamek, który krzyżacy nazwali Königsburg (1). Co bardziéj, książę zaopatrzył nowy zamek w nadzwyczaj podówczas drogą broń palną w żywność i wszelkie potrzeby wojenne. Jego urzędnicy nakłaniają bojarów do wydania krzyżakom synów swoich na zakładników. Nie dziw tedy, iż w obec podżegań ze strony zakonu, Żmudzini niechętném na księcia patrzą okiem, iż kiedy sołtys nakazał im, aby się przygotowywali do Witoldowéj na Moskwę „reizy,“ oni głośno szemrali w obec Niemców na księcia, na koszta i daleką drogę. Z tém wszystkiém lubo z tego ostatniego powodu mogli się cieszyć krzyżacy, Żmudzini w téj wyprawie zetknęli się z Witoldową Litwą i mogło się im zdawać, że wielki Olgierd wiedzie ich na ruskie boje.

Nietajnemi były dla zakonu wyprawy Witolda na Ruś. Witold wszakżeż wcale otwarcie pisał do W. Mistrza o czasie pochodu, o kierunku a nawet i o celu wojny. Wielki mistrz wysyłał mu wojska w pomocy, a lubo starsi bracia zakonni mogli przewidywać jaki jest istotny zamiar Witolda, nikt jednak nie ważył się głośno o tém mówić w zakonie; jak gniotącą zmorę, oddalano od siebie złe myśli i cieszono się wcale rycerską przyjaźnią księcia. W obec ustawicznych dowodów przyjaźni, przebrzmiewały bez odgłosu ostrzeżenia niektórych doświadczeńszych dostojników zakonnych. Inaczéj trochę musiał sądzić o pracach książęcych mistrz Inflancki. On miał namacalne dowody, iż od czasu Witoldowéj zgody z zakonem, przyobiecany mu Psków tém rychléj i doraźniéj usuwał się z pod jego wpływów a wkrótce w otwartéj, ba nawet zaczepnéj z nim stanął wojnie. Gdy atoli Witold wspomagał go w wojnie, gdy wreszcie Pskowianie i litewski Połock oblegać poczęli (2) przy końcu Lipca r., 1406 uspokoił się na chwilę i mistrz Inflancki.

W Marcu r. 1407 umarł W. mistrz Konrad Jungingen. Następcą jego został wojowniczy brat jego Ulryk, który całą swą uwagę zwrócił na Polskę, słusznie uznawając ją za głównego wroga zakonu. O ile przeto stosunki zakonu z Polską doznały przez śmierć W. mistrza Konrada zmiany, o tyle zdawała się pozornie zwiększać przy-

---

(1) List Marszalka do W. mistrza D. Goteswerder am sonntag nach assumpcionis 1405 r. Archiwum N. Z. Szuflada XVII. a.

(2) Pskowsk 1. latop. Nowcgr. 1 i IV pod r. 6914.

jaźń zakonu ku księciu Litwy; rycerski Ulryk zdawał się aż za wiele pokładać zaufania w przyjaźni ze strony Witolda.

Mistrz Ulryk począł z całą forsą wojennego męża działać na granicach ze strony Polski i Mazowsza. Graniczne spory o Santok, Drezdenko poczęły jątrzyć starą nieprzyjaźń obu stron. Ulryk fortyfikował graniczne zamki. Ba nawet na Żmudzi począł wiać nieprzyjazny duch dla zakonu. Właśnie po obiorze Ulryka na W. mistrza ogłosili Żmudzini swe lamenta przed Europą, uskarżając się na ucisk zakonu (1). Nie wiedzieć kto był tego przyczyną, Witold bowiem wspomagał sołtysa żmudzkiego zatrudnionego budową zamku Dubissy—a kto wié czy nie na jego to nakaz umilkły skargi gnębionych Żmudzinów. Pośpieszał tedy zakon i na Żmudzi z rozpoczętą pracą. Dubissa była na wykończeniu a podczas tego wyszukiwali inżynierowie zakonu miejsca dla wystawienia nowych zamków nad Świętą, Białą Wilią, Czeremszą, Jurą i Azeruną; przemyśliwano jakby Jurborg otoczyć wodą na przypadek oblężenia. W ogóle sołtys żmudzki i zakon cały począł goręcéj przyśpieszać dzieło ujarzmienia Żmudzi.

Tém tedy pilniéj było ubezpieczyć się Witoldowi całkowicie na Rusi. Jego dotychczasowe wyprawy głośne mu imię zjednały na wschodzie. Nazywano go „wielkim królem Litwy,“ wielkim hospodarem, kniaziem naszym, uniżano się przez posłów, zaręczano mu uległość, posłuszeństwo, obawiano się i drżano przed przyjacielem srogich „Niemców“. Jednakowoż nie były to trwałe owoce, ani téż właściwe cele, do których dążył Witold. On bowiem wcale nie życzył sobie, aby Rusini z Pskowa lub Nowogrodu raz jemu uległość przyobiecywali, to znowu otwiérali bramy miast swych przed posłami zakonu Inflanckiego i chociażby dwuznaczne z nim układali pokojowe stosunki. Wprawdzie w duszy mógł on się cieszyć, iż od r. 1405 zakon w Inflanciech ani ze strony Pskowa ani téż Nowogrodu nie był pewnym pokoju; ale czyż nie mogły te rzeczypospolite w złym czasie zawrzéć pokoju z zakonem a obrócić swego oręża przeciw niemu. Tém bardziéj tedy okazywała się dla Witolda potrzeba utrwalenia swego wpływu na wschodnich granicach Litwy i to w dosadniejszy, aniżeli dotychczas sposób. Starania jego zwróciły się ku Nowogrodowi.

W obec braku źrodeł usuwają się z przed oczu badacza środki, za pomocą których zmierzał Witold do celu. To tylko pewna, iż Wi-

(1) Gravamina etc. w. fol. E. p. 118.

told z potężném wojskiem w Lipcu r. 1407 był pod Orszą w Smoleńskiém, że książę Lingwen z częścią wojska spalił równocześnie zamek Wrotyńsko, (1) że książę Konstanty przesiadujący obecnie w Pskowie nie udzielił pomocy Nowogrodzianom przeciwko Niemcom, i że z tego powodu, jak zaręczają ruskie kroniki, szukają zagrożeni srodze ze strony mistrza Inflanckiego, łaski u księcia Witolda (2). W skutek podobnych zabiegów miał im Witold wysłać wojewodę swego w osobie księcia Lingwena, który zresztą raz już przesiadywał w Nowogrodzie, lecz skutkiem nieznanych bliżéj intryg wydalony został z murów miasta. Nowogrodzianie mieli obecnie w porękę wierności swéj oddać Lingwenowi kilka miast, a Witold zabezpieczony z téj strony, wzmocniwszy wojskiem litewskiém załogi, pociągnął przeciwko swemu zięciowi księciu Wasylowi moskiewskiemu. Krótko i co dziwna bez spustoszeń i krwi przelewu musiała wypaść wyprawa, gdyż 8 Września tegoż 1407 r. zawarł książę z zięciem zawieszenie broni do Czerwca następnego roku i powrócił do Litwy (3).

Podczas Witoldowéj na Moskwę wyprawy, pobił na głowę mistrz Inflancki Pskowian, którzy stali się nieprzebłaganymi jego wrogami, zazdroszcząc może losowi Nowogrodzian, którzy spokojnie pod litewskim zostając wojewodą nie potrzebowali się obawiać napadów ze strony Niemców. Pskowianie stracili w morderczéj bitwie nad rzeką Weliką 700 ludzi i trzech swych posadników; ale mistrz Inflancki bynajmniéj nie usłał sobie tém zwycięztwem drogi do ustalenia swego panowania w Pskowie (4).

A podczas gdy takie wypadki zaszły na wschodzie, dola połączonéj z Litwą Polski pogorszyła się pod naciskiem wojowniczego mistrza zakonu. Stare spory o graniczne ziemie, miasta, wzniecają wzajemną nienawiść, rozpalają ducha wojny. Na zjeździe w Kownie na początku r. 1408 zdały obie strony sporne kwestye pod roztrzygnięcie księcia Witolda. Położenie księcia było, jak się domyślić można, bardzo przykrém, tém bardziéj, że wiedział on dobrze, iż krzyżacy obrali go na sędziego, aby wypróbować jego przyjaźń. Lecz pouczony polityki u krzyżaków książę umiał i wśród najkrytyczniejszéj chwili wcale dyplomatycznie sobie poradzić. Rostrzygnął on przeto sprawę o Drezdenko na korzyść króla Polski, lecz w serdecz-

---

(1) List Witolda do W. mistrza z datą: Orssa am suntage noch Petri et Pauli [1407] r. W Archiwum N. Z.

(2) Psk l. pod s. 6915. Porównaj Bunge, Chronographie. 220.

(3) Troicki l. pod r. 6916.

(4) Sofijski let. p. r. 6915.

néj z zakonem pozostając przyjaźni, gotów się był w krótce wymówić: iż „uczynił to, jak mu się zdawało, nie roztrząsając dokumentów, na których obie strony się opiérały, że przeto wolno jego roztrzygnięcia nie uważać za prawomocne.“ Pomimo to miała, według podań niemieckich kronikarzy, starszyzna zakonna dowiedzieć się na tym zjeździe „o rzeczach, o których przedtém nie wiedziała“ (1).

I rzeczywiście niedowierzanie Witoldowi ze strony zakonu poczęło się wzmagać, a skoro z nieznanych krzyżakom powodów poczęły się wielkie siły Polaków gromadzić i spieszyć do Litwy, Arcykomtur zakonny, wręcz podejrzywając Witolda, nakazał baczność i pogotowie na granicach zakonnych od strony Polski i Litwy (2). Z Polski nadchodziły groźne wieści dla zakonu.

Witold atoli grał rolę przyjaciela i udawał jakoby go sprawy zakonu z Polską wcale nie obchodziły. I owszém skoro mistrz Inflancki wyruszył przeciwko swym pskowskim wrogom, posłał mu Witold posiłki, a dziękującego za ten dowód przyjaźni W. mistrza, zapraszał książę, aby zechciał w lecie we własnéj osobie dopomódz mu w rejzie na Ruś, czemu atoli Ulryk w słowach pełnych grzeczności odmówił (3).

W rzeczy saméj nie miał zakon czasu na rejzy, gdyż jakby przewidując przyszłe zajścia na Żmudzi, z gorączkowym pośpiechem wybiérał on zakładników od bojarów, dusił zarodki oporu, słowem, uciskał Żmudzinów, wszelkiemi sposobami przyspieszano z największém wytężeniem budowę nowego zamku i murów miejskich w Kłajpedzie.

Nawet skargi przed księciem nie pomogły obecnie Żmudzinom a pogorszyły ich dolę. Uwaga bowiem księcia zwróconą była na południowe prowincye Litwy, gdzie książe Swidrygiełło nowe wszczął zawieruchy.

Dziwna to bowiem rzecz, że ten przyjaciel i zausznik krzyżaków, jakim był Swidrygiełło, zawsze zdradzał Witolda w czasie, kiedy zakon miał powody nie dowierzać księciu Litwy. Przesiadywał on obecnie na darowaném mu od Jagiełły i Witolda księstwie w Brańsku i Starodubie. Niespokojny z natury a podżegany przez krzyżaków, począł on się znosić obecnie z księciem Moskwy i z Tatarami przeciwko Witoldowi. Witold, dowiedziawszy się o tajemnych knowaniach, wysłał posłów do Świdrygiełły, których porywczy książę ka-

---

(1) Jan Posilge w 53 rez. Pr. III. 289.

(2) List Arcyk. do W. M. z datą: Tolkemit am dinstag nach epifanie 1408. Szuflada XXI. N. 77. Arch. N. Z.

(3) Bunge. L. UrB. IV. MDCCXLIX.

zał okuć w kajdany, a spaliwszy zamki Brański i Starodubowski uciekł do księcia Wasyla. Zięć Witolda przyjął zbiega i dał mu nawet jeden ze swych zamków do użytku. Witold zażądał od księcia Wasyla wydania Świdrygiełły—ale ten nie oczekując końca ucieka do jednego z carzyków Tatarskich, który, jak ówczesne pogłoski krążyły, obiecał mu swą córkę lub jednę z przyjaciołek do wyboru dać za żonę (1). Carzyk ten wydaje obecnie wojnę Witoldowi żądając, aby mu wydał synów hana Tochtamysza, których książę miał zamiar osadzić na hańeach tatarskiém, tudzież aby Świdrygielle zwrócił jego ojcowiznę t. j. Litwę.

Tych atoli postrachów nie obawiał się książę Witold wzmocniony posiłkami ze strony Polski, témbardziéj, że właśnie z synami Tochtamysza miał groźny carzyk aż nadto dużo do czynienia. Uwiadomił on W. mistrza o zdradzie Świdrygiełły; i dziwna, mistrz, który w Kwietniu nie myślał udzielać pomocy w rejzach Witoldowych, obecnie przyobiecuje pomoc przeciwko wrogom księcia. A książę, jakby go Tatarzy, Świdrygiełło i Moskwa mało obchodzili a może z przyczyny pory roku, odkłada wyprawę na jesień a podczas tego czy chcąc ulgę przynieść zakonowi Inflanckiemu, który zanadto dużo miał z Pskowianami do czynienia, czy też z innych przyczyn, zapytuje W. mistrza, czy nie mógłby ostatnim dać swego wojewodę, któryby Pskowian do czasu w karności trzymał i pokoju.

Zapewne, że takie zapytanie brzmiało jakby ironia w uszach tych panów zakonnych, którzy przestrzegali zakon przed pracami księcia na wschodzie; jednakowoż mistrz nie wziął mu za złe téj otwartości i wymijająco odpowiedział, iż wojna z Pskowianami wcale go nie obchodzi, to téż trudno mu dać na to pytanie odpowiedź. Jednakowoż napisze on do namiestnika Inflanckiego, o którym nie wié jak się na taki plan księcia zapatruje; gdyby tedy książę jeszcze raz o to zapytał stanowczą obiecuje dać odpowiedź (2).

Ponoś nie domagał się już książę odpowiedzi. Podówczas bowiem ogłoszono we wszystkich jego krajach wyprawę na Moskwę a równocześnie i w Polsce zbiérały się silne hufce na rozkaz Jagiełły Witoldowi ku pomocy. Krzyżacy również mieli nakaz z rycerstwem i tysiącem Żmudzinów pociągnąć na rejzę; dowództwo nad wojskiem

---

(1) Suplementa ad h. Russiae Mon. N. 112 p. 293 niewłaściwie pod 1407 rokiem umieszczony list sołtysa żmudzkiego do W. M. jak się z poniżej wymienionych a datowanych listów przekonywujemy. Datą i uff der Thebis am donerstage nach pfingsten uzupełniamy 1408 r.; toby przypadało na 7 Czerwca.

(2) Bunge IV. MDCCLVIII. Odpowiedź mistrza z Malborga donnerstag nach Johannis baptiste.

zakonném powierzył mistrz sołtysowi żmudzkiemu i komturowi Ragnety. Zakon nie na próżno pomagał Witoldowi; dowódcy wojsk zakonnych mieli specyalne zadanie przyprowadzić do skutku; pomówimy o niém wkrótce.

Było to w Sierpniu tegoż 1408 r. kiedy Witold z armią swą wyruszał przeciwko Moskwie. Jak na dwa lata przedtém kazał on i obecnie jak najszerzéj rozpostrzéć spustoszenia w ziemi Moskiewskiéj. Mniejszym oddziałom wojska litewskiego niedobrze się powodziło, gdyż te napadał Świdrygiełło z Tatarami i niszczył na korzyść sprzymierzonego z nim księcia Wasyla. Nawet całemu wojsku Witolda poważył się Świdrygiełło nad Oką wzbraniać przeprawy, gdy mu się to jednakowoż wcale nie powiodło, cofnęły się wojska moskiewskie do obronnych zamków, hordy tatarskie znikły, a Witold pustoszył i palił całe okolice. Nie trwało to atoli długo, gdyż upokorzony zięć wyruszył naprzeciwko teściowi, nad Ugrą nastąpiło spotkanie, ale nieorężne. Zmuszony Wasyl błaga srogiego Witolda o pokój. Dobrze, miał na to odrzec książę, ale pod warunkiem, iż przestaniesz rościć sobie pretensyi do ziem ruskich zdobytych moim orężem. Odpowiedź ta zmierzała ku roszczeniom księcia Wasyla do Pskowa, Nowogrodu, Smoleńska, Połocka, Brańska, Starodubu, Kijowa itd. Zwycięski atoli oręż księcia Litwy, jego trzykrotne rejzy, które własny kraj Wasyla na długi czas zupełnie zniszczyły, jego przemożne wspólnictwo z zachodem i z postrachem słowiańskich ludów, z Niemcami, zmusiły go przystać na warunki teścia. Witold rozstawnemi końmi miał popędzić do Litwy (1).

Kroniki współczesne dość pobieżnie wspominają o téj największéj wyprawie Witolda na Moskwę. Być może, że współczesnych aż zanadto zaćmiła zewnętrza strona tryumfalnego pochodu księcia, aby nad zamiarami jego bliżéj się zastanawiać mieli. Bądź co bądź, po całym wschodzie ówczesnéj Europy barbarzyńskiéj, jedno tylko brzmiało imię, jeden tylko był mąż którego się obawiano a przez to czczono i słuchano, a był nim Witold. Późniejsze dzieje okazują niejednokrotnie, że najwierniejszymi z ludów Witolda byli orężem zniewoleni do posłuszeństwa jego ruscy poddani, kilkakrotne jego olbrzymie rejzy, powtórna wielka na Moskwę wyprawa, przyczyniły się do wyniesienia Witolda w opinii ludów wschodnich. Bohatérstwo Polaków, ćma ludów słuchających skinienia jego ręki, jego przyjaźń z niemieckimi panami, urok olbrzymich wypraw, to wszystko podniosło wielkiego kniazia Litwy w fantazyi wschodnich Słowian na

---

(1) Pskowski i Troicki let. pod 6917 r.

piedestał, na jakim nie stał nawet wielki Olgierd, w obec którego bladła sława rodzimych ich książąt, ulegających tatarskim najezdzcom. A wszakżeż i nad ostatnimi panował zwierzchniczy miecz Witolda, i nie tajném było, iż jedna ich połowa, stronnictwo Tochtamysza, uznawała zwierzchnictwo księcia Litwy.

Jedno tylko, chociaż już po niewczasie, mogło zadziwić rycerzy zakonnych, że Witold jak wpiérw, tak obecnie nie nadużywał orężnie księcia Wasyla. On każdą razą spustoszył jego ziemię, ale ani oblegał ni zdobywał zamków, nie zabawiał się długo wojną, ani szukał otwartego wojsk starcia. Przeciwnie w stanowczéj chwili gdy wojska w szyku bojowym czekają na hasło starcia się, on daje się przebłagać i następuje proklamacya pokoju. Lecz powszechnie wiedziano w zakonie, jak Witold pouczony przykładami krew swego rycerstwa i wojska zwykł był szanować, a wreszcie cieszyli się krzyżacy, iż w obcéj im sprawie nie potrzebowali krwi przelewać. Tak sobie tłómaczono zwycięski pochód Witolda, mający rozprzestrzenić rzymski na wschód kościół. Niebawem miała przyszłość inaczéj pouczyć zakon o celach wypraw książęcych na wschodnich Słowian.

Wracamy do spraw niemieckiego zakonu. Już podczas zjazdu kowieńskiego spostrzegli niektórzy ze starszych zakonu, iż Witold w gruncie rzeczy nieszczerze myślał o zakonie. Domyślano się jakichś skrytych jego z królem Polski zamiarów, coś tajemniczego widzieli niektórzy starsi zakonni w jego słowach, pismach i działaniu. Ten bierny opór króla Jagiełły, pozorna nieczynność na granicach Polski, a przeciwnie duch wojowniczy, który pędził Polaków do Litwy na ruskie boje Witoldowe, ten gorączkowy pośpiech ostatniego w wojowniczych działaniach, jak znowu wcale niemordercze jego wyprawy, mogły obudzić w politycznie wykształconych przełożonych zakonu głębokie podejrzenie. Wojowniczy atoli Ulryk zdawał się nie tylko nie obawiać, ale i pogardzać tłuszczą Rusi i Litwy; cała jego uwaga zwrócona była na Polskę, na którą napierał z najrozmaitszych stron i najrozmaitszemi środkami. Santok obsadził on swojém wojskiem, z zastawionéj Wizny Mazowieckiéj rozszerzał się, zabierając ziemie Janowi Mazowieckiemu, na Drwęcy polskiéj budował zamki, młyny itd.; kupcom polskim wyrządzał olbrzymie szkody (1). Bądź to, że zaufano Witoldowi i łudzono się, iż ten w stanowczéj chwili opuści Polskę i Jagiełłę, bądź z innych nieznanych nam powodów przyśpieszał zakon pod Ulrykiem stanowczy rozbrat z Polską. Zdaje

---

(1) Skargi króla Polski z 9 Września 1409 r. Reg. D. fol. 155—157, w Arch. N. Z.

się nam jakoby planem Ulryka było podkopać zupełnie Polskę; z ciżbą Litwy i Rusi da on sobie potém radę. Stąd ta przyjaźń jaką udawał on względem Witolda, stąd to umyślne prześlepianie działań Witoldowych na Rusi, stąd pomoc zakonu wcale obficie udzielana księciu. Bez obmyślanego planu nie działał zakon, ale też plan ten po raz piérwszy stworzył Ulryk, a kto wié czy był on podówczas na czasie. Przyszłość pokazała, iż Ulryk a z nim zakon działali za późno.

Wśród tego nie zapominano wcale o Żmudzi. Praca sołtysa postąpiła tu tak dalece, iż zakon śpieszył teraz do uczynienia kroku, mającego na celu zaspokoić pretensye Witoldowe, jakie on jeszcze miał na Żmudzi, by odciąć Żmudź całkowicie od Litwy. W powrocie tedy z moskiewskiéj wyprawy, spełnia sołtys polecone mu od zakonu zadanie i zapytuje księcia, czyby nie zechciał sobie wybrać 250-ciu z należących mu się Żmudzinów, aby kraj nie był w wątpliwości, którzy z nich należą do zakonu a którzy do księcia. Witold miał odrzec, iż na to jeszcze dość czasu, i bądź z umysłu, bądź téż z innych przyczyn zwlekł odpowiedź na przyszłość (1).

Sołtys wrócił do Żmudzi, gdzie zastał z prawdziwie niemiecką skrzętnością i pilnością pracujących krzyżaków. Pięć nowych zamków stało tu już na Żmudzi od r., 1405 obecnie obwarowywano Fredeburg a szczególniéj wykańczano budowę około Dubissy. Tylża stanęła właśnie w tym roku a o Klajpedę, miasto, robiono układy jakby otoczyć je murem i rowem obronnym. Sołtys począł się krzątać około obdzielenia ludu rolą, „z daru zakonu i mistrza", około przygłuszenia głosów niezadowolnienia, jakie poczęły się szerzyć śród Żmudzinów. Ostatni bowiem czuli dobrze jaki cel i przeznaczenie mają nowe zamki. Nadto obdzielanie ich ziemią, miało cel uczynić ich poddanymi zakonu. Poczęli tedy wołać: My jesteśmy ludzie wolni a nie niewolnicy. Szczególniéj bojarzy opiérali się takiemu nowatorstwu obdzielania ich ziemią, ale ich skargi przed krzyżakami nic nie pomogły, owszem grożono im karą. Skutkiem tego mnóstwo zbiegów opuszcza tajnie ojczystą Żmudź i udaje się do księcia Witolda (2).

Książę obecnie raczył słuchać skargi Żmudzinów, i wcale mu nie było rzeczą tajną, iż zakon kroczy do odcięcia Żmudzi od Litwy. W. mistrz przyjmował poselstwo od księcia, składające się z dwóch pisarzy; przekładali oni skargi uciskanych Żmudzinów. W. mistrz

(1) Pamiętnik, z Rey E. fol. 22.
(2) Urywek rokowań o bojarów z księciem; Szuflada XVI N. 11 w Arch. N. Z.

obiecał odpowiedzieć poselstwem i może się cieszył w duszy, iż sprawa żmudzka weźmie w ten sposób koniec.

Właśnie podówczas tłumy Rusinów i Tatarów przeciągnęły w szerz i wzdłuż ziemię Żmudzką (1). Obawa zakonu poczęła się wzmagać. Dowiedziano się nawet, iż książę pod ten czas tajemną miał mieć naradę z królem Polski.

Wtedy to Ulryk Jungingen postanowił zakończyć sprawę żmudzką, wyzuć Witolda z wpływu i protektoratu na Żmudzi, odciąć zupełnie ziemię od styczności z Litwą. Postanowienie zakonu było bezwarunkowe, może i nie spodziewano się ze strony księcia takiego oporu jaki miał nastąpić. W odpowiedzi na użalenie się księcia z przyczyny skarg Żmudzinów na zakon, wysłał Ulryk z początkiem roku 1409 posłów do Witolda, żądając, aby mu wydał zbiegłych doń bojarów żmudzkich, tudzież aby sobie zabrał ze Żmudzi należących się mu 250 ludzi. Posłowie, a byli nimi sołtys żmudzki i komtur brandeburski Sulzbach, mieli nadto instrukcye, za pomocą których miał zakon za zgodą księcia utrudnić przystęp Litwinom do Żmudzi i odwrotnie, „aby więc usunąć powód wzajemnych sporów i nieporozumień jakie ztąd wypływały.“

Piérwszego dnia po przybyciu posłów zdawał się Witold przystawać na żądania krzyżaków, domagających się niedozwolenia Litwinom wolnego do Żmudzi przystępu. W sprawie dotyczącéj przesiedlenia 250 Żmudzinów do Litwy odrzekł książę uprzejmie: „Niechaj mistrz sam do mnie przybędzie, albo przyśle swego marszałka zakonu, ja się z nimi porozumiem w téj sprawie.“ Najgorzéj szło w sprawie o zbiegów żmudzkich. Witold czy to uważał, że nie zgadzałoby się z jego książęcą powagą wydawać zbiegów w ręce zakonu, czy to, iż chciał w obec Żmudzinów okazać się ich obrońcą od uciskającego ich zakonu, czy z innych powodów, wzbraniał się przystać na żądanie W. mistrza. Odłożono układy o ten punkt do dnia następnego.

I tego dnia upornie domagali się posłowie zakonu wydania im zbiegów, dowodząc jako ciż są banitami zakonu (2).

— Toż kiedy są banitami, oskarżcie ich o to, a ja ich przed sąd powieść rozkażę, odrzekł Witold.

Ależ, miły książę, oni są banitami, a według zawartych układów i dokumentów nie wolno wam takich żywić u siebie. Jeżeli nasze doku-

---

(1) List sołtysa Żmudzi do W. M. uf der Thobis an dem heiligen Christ tage [1408]. W Arch. N. Z.

(2) Cały ten ustęp z urywku traktatu na dwóch kartkach poczynającego się od słów: Also sante her sine schriber beide czu uns, w Arch. król. N. Z. Szuflada XVII. a. N. 111.

menta wykażą, że zakon nad swymi banitami ma u was szukać prawa i sądu, chętnie poddamy się temu.

Witold atoli tłómaczył posłom, iż żmudzcy zbiegowie i przeciwko niemu zawinili, że przeto musi ich sam ukarać. Sołtys szybko odparł:

— A więc i o to mamy ich sądzić? Chętnie; damy im więc glejt bezpieczeństwa; temu, który okaże się sprawiedliwym, wolny dozwolimy powrót; tych, którzy zawinili, zatrzymamy.

— Nie, nie godziłoby mi się tego uczynić, abym miał kogoś, nie wymierzywszy mu sprawiedliwości, wypuszczać z mego kraju.

Sołtys się niecierpliwił. Dowcip księcia zdawał mu się poniżać, drwić z jego poselskiéj powagi. Zebrał się tedy na stanowcze słowa:

— Panie, rzekł on, my, posłowie zakonu, prosimy w imieniu naszego mistrza o zbiegów zakonnych; racz nam ich oddać.

— O jeszcze ja nie jestem waszym niewolnikiem, abyście mnie do tego zmusić mieli, iżbym nie uczyniwszy komuś zadość prawnie, miał go wydać z własnego kraju, rzekł podniosłym głosem Witold.

— Ależ nasz mistrz ogłosił ich banitami, bronili się posłowie zakonu.

— Pod żadnym warunkiem, ja ich bez sądu nie wydam z Litwy.

Sołtys znał opór księcia. „Panie, rzekł on, prosimy was w imieniu mistrza i zakonu, abyś według dokumentalnych ugód nie żywił w kraju twym naszych zbiegów i banitów, a gdy Wy tego uczynić nie chcecie, to uskarżymy się Bogu.“ Według przyjętego podówczas zwyczaju, zwrócił się sołtys do rady książęcéj i rzekł: „Panowie bojarzy! prosimy was jako naszych łaskawych panów, iżbyście się wstawili u waszego księcia, aby tenże zakonowi wydał banitów i zbiegów zakonu. Wy to bowiem jesteście tymi, którzy wespół przyłożyliście pieczęcie wasze do dokumentów, gdzie artykuł ten wypisany. A skoro tego nie uczynicie, zakon będzie zmuszony tak długo skarżyć się przed chrześcijaństwem, królami i papieżem, aż mu przyrzeczenia dokumentalne będą dotrzymane.“

W imieniu bojarów odrzekł posłom Mingajłło: My, bojarzy Litwy, nie widzimy jakoby pan nasz i książę czynił bezprawnie, gdyby bowiem tak czynił, my chętnie uprosilibyśmy IMościę, aby szedł za głosem prawa.

Poselstwo się skończyło. Pomiędzy bojarami panował niepokój, byli oni oburzeni. A gdy posłowie opuścili komnatę, poczęli bojarzy mówić z księciem. Przeczuwając burzę, jaką pociągnąć mogła takowa odprawa posłów zakonnych, chcieli jéj zapobiedz. Za dozwole-

niem księcia wysyłają oni do posłów Czapurnę i Mingajłła. Ci proszą ich w imięniu bojarów, „aby raczyli radzić ich panu i księciu Witoldowi jak najlepiéj, a mianowicie to, coby on mógł uskutecznić w sposób zgadzający się z jego książęcym charakterem, powagą i sławą.“

— Wasz pan jest sam dość mądry i ma mądrych radzców, którzy mu śmiało udzielić mogą rady, odparli krzyżacy bojarom. Bojarzy proszą posłów, aby zechcieli im dać na piśmie wymienionych przestępców zakonu i banitów jako téż w czém ci zawinili.

— Tego nie uczynimy, gdyż nam nie polecono tegoze strony mistrza i zakonu; my tu wysłani i domagamy się o odpowiedź.

Poczém zaproszeni od księcia posłowie udają się do stołu. Po skończonym obiedzie przystąpił do nich Witold, a była i księżna obecna, i rzekł:

— Kochani panowie, w jaki téż sposób rozstajecie się ze mną; chcę wiedzieć jak ja u was stoję?

— Panie, my wiemy to, iż mamy donieść naszemu mistrzowi jaką nam książę dałeś odpowiedź.

— A jakąż dałem ja wam, zapytał Witold.

— My wiemy, iż nam banitów zwrócić nie chcesz, odparli posłowie.

— A przecież wczoraj inaczéj rzeczy stały, inaczéj rozłączaliśmy się wzajemnie.

— Panie, odrzekli krzyżacy, gdyby przy wczorajszém pozostało, toby nam było przyjemnie i miło.

Witold przyrzekł był przy wczorajszych układach, iż bojarów zbiegłych nie wyda krzyżakom, gdyż ci są wolni panowie. Natomiast przyrzekł im wydać chłopów i niewolników zakonnych. Chodziło o to tylko, którzy byli tymi bojarami i wolnymi, a którzy chłopami.

— „A zatém niech i tak będzie jak wczoraj uradziliśmy,“ odparł książę. Krzyżacy dziękowali. Witold mówił daléj: „Chłopów wydam wam a bojarów przystawię na dzień zjazdu z wielkim mistrzem. Niechaj sami Żmudzini rozsądzą, którzy z nich są bojarami a którzy chłopami!“

— Ależ panie nasz, rzekł na to sołtys, gdyby nasz mistrz na dniu owego zjazdu chciał wszystkich Żmudzinów z osobna pytać o zdanie, toby i w 10-ciu tygodniach nie skończył sądzić sprawy. Czyżby wreszcie miał nasz mistrz słuchać wyznanie każdego chłopa żmudzkiego? Zaręczyć możemy, iż gdyby on wiedział o waszym książęcym projekcie nie przybyłby przenigdy na dzień zjazdu.

— Wybierzcie z dwóch jedno. Tego co wam powiedziałem nie zmienię. Nie zechcecie na to przystać, ja zwołam uczonych ludzi do Litwy, każę im przeczytać me dokumenta i przekonać się o tém, iż czyniłem całkiem prawnie i według brzmienia naszych zapisów.

Krzyżacy spostrzegli, iż książę jest niezłomny. Zapisał on był im bowiem kraj żmudzki z ludźmi należącymi do kraju t. j. chłopami i niewolnikami. Bojarzy byli ludzie wolni; im według pojęć ówczesnych wolno się było przenosić z miejsca na miejsce, z kraju do kraju; tych tedy Witold nie zapisał zakonowi, a posłowie zakonni w gruncie rzeczy wiedzieli, iż książę ma słuszność. Mając polecenie złamać upór księcia, próbowali na wszystkie możliwe sposoby wywiązać się z poruczonego im zadania. Widząc atoli niemożebność, znając polityczny spryt i nieugięty upór księcia rzekli:

— A gdy już inaczéj w sprawie banitów naszych być nie może, prosimy was książę w imięniu mistrza i zakonu, abyś zakazał twoim poddanym, iżby nie szli do naszego kraju żmudzkiego, czego i my naszym zabronimy.

— A mogęż banitów waszych u siebie zatrzymać, zapytał Witold, nie dowierzając, czy krzyżaccy posłowie spuścili z ceny swych żądań.

— To panie w waszéj jest mocy, odrzekli roztropni politycy, lecz nakażcież im panie, aby nie szli do naszéj Żmudzi, iżby nie przyszło do zamieszek. Posłowie jeszcze raz prosili i zaklinali bojarów, aby wpłynęli na swego pana, żeby dotrzymywał zakonowi opieczętowane i przez nich listy i dokumenta, a w ten sposób zakończywszy powierzone im dzieło poselskie (1), pośpieszyli zdać zeń sprawę W. mistrzowi i kapitule zakonnéj.

Zakon przez powyższe, a na podstawie współczesnego pamiętnika, nakreślone poselstwo osiągnął jednakowoż właściwy zamiar. Polityce zakonu na Żmudzi bardzo mało zależało na kilkudziesięciu bojarach zbiegach, którzy uciekli się pod opiekę Witolda. Chodziło im głównie o to, aby zamknąć księciu i Litwie przystęp do Żmudzi, a rzecz o zbiegów była tylko środkiem do celu, do wywiedzenia się jakby w danym razie na to zapatrywał się książę Witold. Dowiedziano się wprawdzie, że książę wcale nie myśli zrzec się swych pretensyi do bojarstwa Żmudzkiego w ręce zakonu, ale wszakżeż milcząco przystał on na to, aby nie dozwalać przystępu Litwinom do

(1) Koniec traktatu: *Also her sante*, który w głównych ustępach całkiem dosłownie staraliśmy się przetłómaczyć.

Żmudzi, na podstawie tedy tego dorozumiewania się obmyślono zamknąć granice żmudzkie od właściwéj Litwy.

Rozkaz wyszedł w piérwszych dniach Stycznia, wnet po powrocie posłów natychmiast go wykonano. Zakazano Żmudzinom wchodzić wolno do Litwy, sprzedawać Litwie zboże i rzeczy do pożywienia służące, jako téż konie i bydło. Gęstą strażą obstawiono granice od Litwy. Litwinów pozostających na Żmudzi wydalono z kraju. Wnet téż rozpoczęły się lamenta z obu stron; tak właściwi Żmudzini jak Litwini poczęli się skarżyć kasztelanom Witolda. Kasztelan kowieński Sunigajłło wziął sobie do serca skargi poddanych książęcych i wnet napisał do komtura, zastępcy sołtysa, z zapytaniem, coby to miało znaczyć, iż wbrew przyjętym zwyczajom, zabrania zakon przystępu Litwinom do Żmudzi, a oni przecież, jak wiadoma rzecz, kupczyć idą do swoich znajomych, gdyż w kraju panuje głód z przyczyny zeszłorocznego nieurodzaju.

Właśnie przybył był podówczas z Malborga sołtys Żmudzi do Dubissy. W nadzwyczaj ostrych słowach odpowiedział on na zażalenia kasztelana. Zganił on mu, iż niewłaściwie się udał do komtura, bo cóż komturowi do skarg waszych; on z tém nic nie ma do czynienia. My sami zabroniliśmy w naszym kraju sprzedawać konie, trzodę, niewolników, zboże i miód, a wasza wielmożność wié, iż my u nas mamy ku temu prawo, i osądzić dobrze może, dodał w końcu rozsierdzony sołtys, iż my np. miodu sami potrzebujemy, nie chcąc poprzestać na piciu wody (1). Sołtys w imieniu W. mistrza domagał się od kasztelanów: wileńskiego i kowieńskiego, aby bez ich przepustek żadnemu z poddanych litewskich nie wolno było udawać się do Żmudzi.

Cóż się podówczas dziać musiało w burzliwym umyśle księcia Witolda? Trudno odgadnąć; nam się przynajmniéj zdaje, że jak zakon względem niego tak i on względem zakonu rozstrzygnął pytanie o pokoju lub wojnie; obu stronom chodziło tylko o czas i o Żmudź. Roztropny atoli uczeń polityki zakonnéj starał się o zwłokę, próbował ażali zakon nie zechciałby cofnąć się od postanowień swych odcięcia Żmudzi od Litwy.

„Przewielebny i kochany mistrzu,“ pisał on po ostatnich zajściach sołtysa ze swymi kasztelanami, „doniósł mi tu Modwid, iż wasz sołtys żmudzki kupców naszych spieszących do Żmudzi po zakupno zboża wydala z kraju, mówiąc im, iż nie potrzebujecie kupować

(1) „...das wir ouch des honiges bedorffen und mit willen nicht gerne wolden wasser trinken. Kopia listu sołtysa do Sunigaiłła A. N. Z. Sz. XVIII. Nr. 12.

tu zboża, a zatém do domu się zabiérajcie! A będąc w Wilnie słuchałem zewsząd skargi moich poddanych, tych, którzy już w jesieni poczynili zakupna u was, jako i tych, którzy według dawnych zwyczajów śpieszą do swych żmudzkich przyjaciół, aby sobie pożyczyć pewną ilość zboża, jako ich sołtys wygania z kraju słowami: Do domu — wy tu tylko po to przychodzicie, aby być zamieszek i buntów powodem. Dziwi mię mistrzu ta obawa sołtysa; tak przecie dawniéj nie było, a mnie áni przez myśl nie przeszło, aby moi ludzie szli w tym celu do Żmudzi, aby waszych tam buntować. Bo i czyż mamy konieczną do tego potrzebę, zwłaszcza, że z wami w dobréj żyjemy przyjaźni? Zresztą ludek mój ciągnie do Żmudzi z przyczyny, iż tak zwykł czynić od dawnych lat, że kraj nasz ze żmudzkim graniczy, w dobrym pozostaje pokoju wzajemnym, że w końcu gdy w jednym kraju chybi urodzaj, tradycyjnie przyzwyczajeni są tak jak drudzy potrzeby swe u niedotkniętych głodem zaspakajać, a zatém zboże i pożywienie wszelkie kupować lub pożyczać. Ależ kiedy to wasz sołtys jednym listem do Sunigaiłła pisanym zabrania miód i trzodę, drugim zaś i zboże kupować. Nie dość mu na tém, wkrótce bowiem zabrania przystępu wolnego do Żmudzi naszym kupcom. Listy te sołtysa odsyłamy wam. Cóż to wszystko ma oznaczać; zdziwienie nasze nie ma granic. Dla czegóż to naszym zabrania on przystępu do Żmudzi? O, gdybyśmy wiedzieli, że taka wasza rada, postanowienie i rozkaz, że pobyt naszych u was nie podoba się wam, to pod karą miecza zakażemy naszym wchodzić do waszego kraju, nie chcąc wam czynić nieprzyjemności. Waszemu atoli sołtysowi nie podoba się nawet, gdy który z naszych poddanych ciągnie do swego żmudzkiego przyjaciela. Kochany Mistrzu! Cóż to za szkodę odnosi z tego wasz sołtys, gdy przyjaciel z przyjacielem podzieli się kawałkiem chleba, napoi i nakarmi mu konia, cóż na tém stracił sołtys? Nasi wszakżeż ludzie nie liczą sobie za ubytek, jeżeli żmudzkiego przyjaciela nakarmią i napoją. Wprawdzie ten czyn sołtysa nie jest jeszcze złém w gruncie rzeczy, ale dziwić się zmuszeni jesteśmy, dla czego sobie tak nieposąsiedzku z nami postępuje. Wiecie w końcu, iż nakazaliśmy sołtysowi, aby przestępców a naszych poddanych dopuszczających się złego na Żmudzi wiązał i nam przystawiał, a my ich ukarzemy.

Że głodek panuje tu u nas, wiecie kochany Mistrzu; lecz my nie piszemy do waszéj przewielebności w tym celu, abyście zezwolili naszym ciągnąć po zakupno zboża do Żmudzi, gdyż spodziewamy się, iż przy pomocy Boga nie pomrzemy w Litwie z głodu; piszemy do was w tym celu, abyście wiedzieli co się tu u nas dzieje. Jeszcze jedna rzecz. Żąda wasz sołtys, aby nasi ludzie tylko za przepustką

Sunigajłła lub Kinsgajłła mogli mieć wolny do Żmudzi przystęp. Wasza przewielebność dobrze rozumié, iż byłoby to trudném do przeprowadzenia. Tak Sunigajłło jak i Kinsgajłło często towarzyszą nam w rejzach, w dalekich od Litwy stronach. Czy więc mieliby Litwini, potrzebujący na czas udać się do Żmudzi, szukać ich w dalekich od Litwy, stronach, sami to możecie rozstrzygnąć. Zresztą nie słyszeliśmy czegoś podobnego, aby gdy sąsiedzkie kraje w dobrym ze sobą żyją pokoju, ludzie z jednego do drugiego za przepustką tylko udawać się mieli" (1).

Taka była introdukcya ze strony Witolda do sporów z zakonem, jakie niektórzy przełożeni krzyżaccy oddawna przewidywali; taka jego odpowiedź na zakonne roszczenia, celem odcięcia Żmudzi od Litwy. Zakon atoli nie dał się odwieść od przedsięwzięcia, i owszem wojenny Ulryk postanowił, bądź co bądź, z nieubłaganą konsenkwencyą je przeprowadzić. Na Żmudzi i Litwie, co żyło wrzało wszystko zemstą na zakon, z przyczyny zakazu handlu; szczególniéj zgłodniała Litwa pałała żądzą krwi niemieckich panów.

Nie wiedzieć czy z umysłu, czy jakby przypadkiem od niechcenia pisał podówczas Witold do W. mistrza, iż Tatarzy napadli z niesłychaną mocą hord na kraj moskiewski, że cztéry tygodnie mordowali, męczyli i palili w kraju, że biédnym ludziom niepowetowane zadali klęski, że jednak dobrzy ludzie uszli ich mściwych rąk. Opowiadał on mistrzowi: „iż ci Tatarzy spustoszyli i spalili wszystkie zamki w moskiewskiéj ziemi, które znaleźli opuszczone i bez załóg, że jednakowoż saméj Moskwy nie spalili." Nie wiedzieć w jakim związku stała ta wiadomość z cierpkim zresztą tonem listu; może chciał on dać mistrzowi do zrozumienia, iż na Moskwę nie ma co rachować, a może łagodził gniew mistrza i jego upór. Zresztą wysłał on w tym samym czasie wojska litewskie do Inflant na pomoc tamtejszemu mistrzowi, którego srodze trapili Pskowianie. Inflantczycy, poparci przez Litwę, zebrali sił co mogli i wyruszyli przeciwko Pskowianom. Od dnia 4 Lutego przez cały tydzień trwała ich „rejza" mordu i pożogi pełna (2), lecz owoce jéj nie im miały przypaść w udziale. Los zdawał się podówczas drwić z prac zakonu, a oddawać róg szczęścia w ręce Kiejstutowica. Dnia 4 Kwietnia tegoż r. 1409 umiéra w Pskowie książę Daniło Aleksandrowicz (3),

(1) List Witolda (oryg. pap. uszkodzony) z datą Kyrnow donnerstag am obende Conversionis s. Pauli. Anno IX. A. Król. N. Z. Szuflada XVII. Nr. 132.

(2) Psk. I Let. p. r. 6917. Bonnel. Comentar str. 229.

(3) Ibidem. Nowogr, I i IV. let. p. tymże samym rokiem.

a osieroceni Pskowianie wysełają poselstwo do wielkiego kniazia Witolda z prośbą, aby raczył z nimi po staremu zawrzéć wieczny pokój (1).

Zakon w Prusiech nie miał obecnie czasu i myśléć o takich drobnych sprawach Witolda; jakby na oślep bowiem idąc, począł on obecnie wdzierać się w mazowieckie granice, o które jako sporne nie rozstrzygnął był sprawy Witold. Z Mazowsza szły skargi do księcia Litwy.

Nie dość na tém. Ulryk i wojowniczy jego komturowie powiększali nacisk na Polskę. W listach pisanych do króla okazywał Mistrz najserdeczniejszą przyjaźń względem Polski. A im bardziéj pogorszał się stosunek jego z Witoldem, tém bardziéj wzrastała ta listowna przyjaźń zakonna. Nie tak w czynach, lubo i polacy zdobywali się na komplementa. W istocie rzeczy bowiem zbroił się zakon od granicy Polski jak nigdy przed tém. Wojowniczy mistrz objeżdżał zamki Osterudę, Bratyan, Kowalewo, Toruń, Nieszawę, Lipno i t. d., i nakazywał, aby wszystko było na stopę wojenną przygotowane. Komturowie, czy to z umysłu, czy też przeczuwając zamiary mistrza, uciemiężali kupców polskich śpieszących w swych interesach do Pruss. Nie dość na tém, że Drezdeńko i Santok, pomimo, iż Witold przysądził te zamki Polsce, zajęli i obsadzili wojskiem, ale poczęli ztamtąd, a mianowicie z Drezdenka rozszerzać się kosztem granic i ziem Polski. To samo czynili komturowie nadwiślańscy, wyzyskując dla siebie rybołówstwo w granicach Polski, nie przepuszczając statków do Torunia, zabijając i mordując flisaków polskich. Rabowani w ziemiach krzyżackich kupcy polscy śpieszyli zewsząd ze skargami do króla Jagiełły (2). Jagiełło milczał. Ubiegał on się równie jak zakon o przyjaciół, szczególnie o księcia Słupskiego; zresztą zdawał się oczekiwać sposobności ze swemi pretensyami do zakonu. Nadto zatrudniony on był pracą około wysłania zboża dla wygłodzonéj Litwy, a że Wisłą chciał to zboże z Kujaw do Ragnety posłać, potrzebował w tym celu zezwolenia i względów W. mistrza i jak mógł łagodził obustronnéj nienawiści ślady.

Nie tak na pozór obojętnym był Janusz mazowiecki, żywiący oddawna nieprzebłaganą nieprzyjaźń do zakonu. I nań bowiem napiérał zakon i wdziérał się w granice Mazowsza, tém mocniéj, że jego sprawy sporne z zakonem nie były przez Witolda rozstrzygnięte. Janusz uskarżył się Witoldowi. Książę podrażniony od zakonu napisał do W. mistrza, iżby się powstrzymał z osiedleniem się nad Bie-

---

(1) ibidem i Sofijski p. t. s. r.

(2) Punktą skargi króla Jagiełły z 9 Września r. 1409. Reg. D. f. 155—157.

brzą, gdyż sprawa o tę ziemię jeszcze nierozstrzygnięta.“ Atoli mistrz nie dał się i tym argumentem zbić z toru, a Witoldowi odpisał, „iż niemożebném byłoby mu przystać na żądanie księcia, gdyż w takim razie wrogowie zakonu okupowaliby ten kawał ziemi dla siebie.“ „Spodziewam się, iż zrozumiesz mnie kochany panie mistrzu,“ pisał na to Witold, „iż stosuje do ciebie to pismo o pasieczników i o kraje po tamtéj stronie Biebrzy, nie dla tego jakobym do piérwszych lub do krajów rościł pretensye, gdyż wiecie, iż ja zrzekłem się tych pretensyj. Ależ pasiecznicy, którzy obecnie po tamtéj stronie wspomnianéj rzeki mieszkają, są poddani księcia Janusza. Przed rokiem wasz zarządca Łęgu (Ełku?) zmusza ich do opłacania zakonowi czynszu; a że oni jako poddani mazowieccy tamtejszemu księciu czynsz składali, król Polski dowiedziawszy o tém, zakazał tym ludziom składać czynsze tak zarządcy waszemu jako téż księciu, dopóki sprawa o ziemię nie zostanie rozstrzygniętą. Jeżelibyś z miłości ku nam zakazał mistrzu swym urzędnikom wybiérać czynsze od tych ludzi, to podziękuję ci za to gorąco, gdyż spodziewam się, iż według układów pojadę nad Biebrzę lub wyszlę mych pełnomocników, aby rzecz o tę ziemię rozstrzygnąć. Jeżeli zaś nie życzysz sobie, abym ja pomiędzy wami był rozjemcą, w takim razie napisz mi, a ja postaram się o to, aby tak nasi ludzie jak i księcia Janusza poddani nie korzystali wbrew waszéj woli z kraju, o którym jeszcze jesteśmy w wątpieniu, do kogo z was należéć on może.

„Zezwoliłeś kochany mistrzu,“ pisał książę daléj, „aby ludziom naszym wolno było do waszych krajów statkami płynąć i zboże zakupywać i wywozić. A przecież wiecie to dobrze, że nasi Litwini nie mają potrzebnych statków, dla tego raczcie nam odpisać, czy mogą moi poddani w waszéj Żmudzi pożyczyć statki ku temu celowi. Król Polski obiecał nam z Kujaw przysłać tyle zboża, ile nam potrzeba dla zgłodniałych poddanych, dla tego raczcie nam odpisać czy zezwolicie nam wynająć statki przewozowe w Toruniu i czy nie będziecie mieć czegoś przeciwko przewozowi tego daru przez wasze kraje aż do Kowna. Za dobre chęci wasze w sprawie zbiegów z mego kraju, którzy do was uciekli, dziękuję wam, a gdy komturowie odebrali wasz rozkaz wyszukiwania tych zbiegów i przystawienia ich do Łęgu w 14 dni po wielkiéj nocy, przyszlę tam na ten termin moich urzędników, aby zbiegów mi dostawili.

W końcu racz wiedziéć kochany mistrzu, że dawnego cara Tatarów Tochtamysza synowie, trzéj w liczbie, przyszli do naszych krajów, udając się pod naszę opiekę. O tém pisałem wam jak również, iż wyznaczyłem im ziemie Kijowskie tymczasowo, do zebrania sił i potęgi wojennéj. Onegdaj był jeden z nich u nas w Trokach.

Obecnie przybył najstarszy Soldan (1) ze swym najmłodszym bratem do Grodna. Ma on niepłonną nadzieję, iż zostanie carem nad Tatarami, a my go w tym celu wspomożemy i wnet wyślemy do Kijowa do jego narodów (2).

Nie wiadomo czy takie i tym podobne listy i korespondencye Witolda miały na celu odwrócić zakon od stanowczych zamiarów względem Żmudzi, czy téż wyzyskać ostatnie iskierki dogorywającéj przyjaźni W. mistrza dla ubocznych a własnych celów. Wiedział on bowiem dobrze, jak treścią ostatniego listu mógł rozpalić ku sobie nienawiść zakonu, a zwłaszcza żądaniem o nadbiebrzańską okolicę, któréj mieszkańcom zakazuje król Polski składać komturom zakonnym czynsze. Przed rokiem bowiem, gdy komtur Ragnety w sprawach téj ziemi mówił z Witoldem, książę, który podówczas potrzebował pomocy zakonu, czy to z umysłu, czy z polityki przyznawał w rozmowie poufnéj zakonnym do téj ziemi pretensyom większe prawo aniżeli mazowieckim. Komtur, a działo się to w Przewałce, kazał pisarzowi swemu spisać na cedułce zdania przyjaźnie na stronę zakonu wypowiedziane przez księcia. Z treści tego atoli listu dorozumiéć się mógł mistrz i zakon, iż Witold zmienił swoje zapatrywanie i kto wié czy téj spornéj kwestyi nie rozsądziłby obecnie na korzyść przeciwników zakonu. Podejrzenia panów zakonnych względem Witolda wzmogły się tém bardziéj, iż ten jakoby nie zważając na zakaz kupczenia Litwinów na Żmudzi, postarał się u króla polskiego o potrzebną pomoc.

Lecz jakby skorzystać chciał zakon z tego biernego zachowania się Witolda względem Żmudzi, postanawia zaspokoić pretensye jego do zakonu t. j. prosić go, aby ostatecznie wybrał sobie i przesiedlił do Litwy należących się mu 250 Żmudzinów. Z listu wszakże jego rozumiał zakon, iż Witold da mu za wygranę, że na inkorporacyą Żmudzi do zakonu już zezwolił w duchu. Gdy nadto na Żmudzi odzywały się głosy niezadowolenia z powodu nowatorstw sołtysa, gdy te niezadowolnienia w obec jakiéj takiéj jeszcze styczności z Litwą mogły przebrać miarę, gdy sprawa o zbiegów na Żmudzi jakąś iskrę nadziei pozwalała im żywić, iż książę Litwy o nich nie zapomniał, a zakon z tego powodu w zgubnéj dla się żył niepewności, postanowiono uczynić krok stanowczy, chociażby nawet przyszło zerwać z księciem Witoldem. Zakon skłania się do żądania księcia, wysyła doń marszałka zakonu, daléj komtura brandenburskiego

---

(1) Soldan u Dł. XI. 394 Zeledin umiéra 1418 r.

(2) List Witolda do W. mistrza z datą: Garthen am dinstage in den heiligen ostertagen. Szuflada XVII. Nr. 132. Arch. N. Z.

i zaprzyjaźnionego z księciem komtura Ragnety z zupełném pełnomocnictwem, aby rzecz żmudzką całkowicie ukończyli.

Było to dnia 21 Kwietnia r. 1409 w dwie niedziele po wielkiéj nocy, gdy do Witolda przybyło poselstwo krzyżackie (1). Witold wyszedł naprzeciwko posłom, aż za mury Kowna, i wprowadził posłów do zamku, traktując ich z wyuczoną od krzyżaków dyplomatyczną grzecznością. Po wstępnych mowach i mniejszéj wagi zleceniach zakonnych, zabrał głos marszałek i przedłożył główną treść poselstwa w następujących słowach: „Wysłany jestem wraz z obecnymi przełożonymi zakonu, abym jeśli książę masz sporne kwestye z naszym sołtysem żmudzkim, mógł mu nakazać, iżby czynił co mu się należy. Boli to naszego mistrza, że książę doznajesz z przyczyny sołtysa takich nieprzyjemności. Zakon mniema, że książę zapobiegłby im, gdyby ze swéj strony wybrał i przesiedlił do Litwy należących mu się 250 Żmudzinów, ażeby ludzie żmudzcy nie pozostawali nadal w niepewności, którzy z nich do zakonu, a którzy do księcia należą. Prosi tedy marszałek w imieniu mistrza i całego zakonu, ażeby książę skłonił się do prośby; jeżeliby zaś zechciał zakonowi darować Żmudzinów, zakon głęboką składa podziękę księciu i będzie się starał odwdzięczyć się w sposób jaki tylko będzie możliwy do wzajemnéj odsługi."

Witolda opanował niepokój. Ze słów marszałka, z miny posłów, zrozumiał on, iż krzyżacy chcą sprawę żmudzką zakończyć, że kraj ten na wieki chcą odciąć od Litwy. Ze złośliwym uśmiechem na ustach rzekł do posłów: A więc chcecie mię zmusić, abym sobie wziął tych Żmudzinów, albo ich wam darował? I mówił wiele słów w wielkiéj złości, których na tém miejscu nie godziłoby nam się opowiadać, donosi sprawozdawca zakonny tych fatalnych dla zakonu zdarzeń.

Posłowie bynajmniéj nie zadrżeli. Ze zwykłą krzyżackim dyplomatom przebiegłością, ośmielił się w obec rozgniewanego księcia zabrać głos marszałek zakonu. Miły panie, rzekł on, dajcie téż pokój, wszakże wiecie, iż my w rzeczach dotyczących Żmudzi, zawsze trzymać będziem waszéj woli. A zatém, proponował skromny marszałek, zechciéj książę przystać na propozycyą i prośbę zakonu i chciéj nakazać twoim poddanym ciągnącym do Żmudzi, aby tylko za przepustką urzędników litewskich wkraczali do naszéj Żmudzi, który to środek zakon ze swéj strony względem Żmudzinów ciągnących do Litwy przeprowadzi.

---

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

Witold, który W. mistrzowi wyłuszczał już powody, dla których na taki projekt zgodzić się nie może, wybuchł znowu gniewem, znowu go łagodzili politycy zakonni, aż na ustawiczne ich prośby zezwolił, lubo z nietajoną niechęcią na tę propozycyą.

Zaproszeni do stołu krzyżaccy posłowie, nasłuchawszy się przedtém dość nieprzyjemnych a nawet obraźliwych słów, siedzieli w głębokiém pogrążeni milczeniu. W poobiednéj porze odszedł książę w odległy kąt komnaty i myślał.

Wśród tego przystępuje doń komtur Brandenburski. Był to osiwiały w bojach i usługach zakonnych Markward Sulzbach. Wskazówki dyplomatyczne pouczają nas, iż ten to właśnie dostojnik zakonny używany był jako stały poseł do Witolda, ażeby księcia odwieść od związku z Jagiełłą i Polską. Nadto był on poufnym domownikiem Witolda, w czasie kiedy tenże dwukrotnie przebywał u krzyżaków i dwukrotnie zdradził zakon. Ba, nawet po trzeciéj zdradzie Witolda w roku 1402, jeździł do Witolda w poselstwach ze strony zakonu komtur Markward, i podczas kiedy każdy inny z dostojników zakonnych obawiałby się posłować w obec rozgniewanego księcia, Sulzbach jedyny spokojnie podejmował się trudnego zadania i spełniał je ku największéj uciesze i pożytkowi zakonu. Według zapewnień pamiętnika, miał komtur rzeczony nie jeden rok przeżyć na Litwie.

Przystąpiwszy do księcia zamyślonego tak na ustroniu, przybrał komtur poufałą minę, począł mówić o przyjaźni księcia do króla Polski i do książąt mazowieckich, o przyobiecankach jakie przeszłych lat książę czynił zakonowi i o gniewie księcia na zakon, który obecnie najdobitniéj okazał marszałkowi zakonu.

Witold rozumiał komtura i wrzał gniewem. Komtur kończył rozmowę: A więc panie zanadtoś obraźliwie okazał swój gniew naszemu marszałkowi, a wszakżeż on w dobréj wierze do was przysłany został ze strony zakonu. Może téż ktoś podmówił was i przywiódł do tego, abyście przeciwko zakonowi działali, a wy może zechcecie usłuchać tego głosu. Wiedzcie tedy, dodał on, że po trzykroć odstąpiliście nasz zakon, a jeżeli jeszcze raz odstąpicie, to trudno przyjdzie się wam z tego wywinąć.... i usprawiedliwić przed panami chrześciaństwa, którzy się o tém dowiedzą (1).

Komtur drasnął o najdelikatniejszą strunę znanéj ambicyi Witoldowéj. Książę nieposiadał się z gniewu. Jeżeli dotychczas nie był zdecydowany na ostateczny krok względem zakonu, to obecnie obelga, jakiéj doznał od Sulzbacha, zdecydowała wątpliwy i niejasny obrót rzeczy. Witold dyszał myślą zemsty.

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

„Jacta est alea“ pomyśleli strwożeni bojarzy litewscy, skoro rozgniewany książę kazał przywołać Sunigajłła jednego ze swych pisarzy. Rozstawnemi końmi popędźcie do Malborga, rzekł on do nich w wielkim gniewie, oskarżcie przed mistrzem komtura, który poważył się obrazić mię i obelżyć książęcy mój honor. Zapytajcie mistrza czy on zamyśla natychmiast zerwać zemną zawieszenie broni, czyli téż odkłada je na późniéj, i czego ja mam się od zakonu spodziéwać po mowie, jaką skierował ku mnie komtur Sulzbach? A gdy posłowie popędzili ku Prusom, a w ślad za nimi śpieszyło dostojne poselstwo krzyżackie, różne powstały w niechętnéj krzyżakom Litwie wersye o ostatnim wypadku. O przygodzie komtura opowiadano sobie, iż poważył się w obec księcia zelżyć pamięć jego matki Biruty, zowiąc ją zalotnicą (1). W ten sposób z gniewem księcia, wzrastał gniew Litwy, szerzyła się myśl zemsty, ku któréj miano zresztą i inne raźniejsze powody.

W Malborgu przyjęto posłów książęcych dość obojętnie, przytrzymano ich aż do przybycia arcykomtura, tryumfującego obecnie ze swych przepowiedni i ostrzeżeń, których przy sposobności wypraw Witoldowych na Ruś, nie taił przed radą zakonną. Wojowniczy atoli Ulryk zdawał się rzucać o ziemię kapturem mniszéj pokory krzyżackiéj i przebierać minę wyzywającego; tłuszczy, jak nazywał Litwę i Ruś, wcale się nieobawiał; na sercu leżało mu bardziéj męztwo Polski. Wysłuchawszy posłów Witoldowych i zakonnych, kazał piérwszym oznajmić księciu, iż komtur nie miał ani upoważnienia, ani nakazu takiemi słowami zwracać się do księcia; iż od komtura dowiaduje się, iż on nie w złym zamiarze, lecz w dobréj „wierze“ i z prawéj „przyjaźni“ mówił do księcia, dla czego proście księcia z méj strony, aby przebaczył komturowi. W sprawie o Żmudź kazał się uskarżyć na ciągłe nachodzenie tego kraju ze strony Litwinów, a zakon przecież ma swe kraje i posiada je prawnie i nikt inny nie ma prawa w nich rządzić.“ Daléj kazał się skarżyć na księcia, iż źle przyjął jego posłów; „iż książę nie potrzebuje tak wielce okazywać objawów gniewu zakonowi, gdyż jeżeli pomiędzy nim a zakonem niedługo ma trwać przyjaźń, można sprawy i bez złości załatwiać.“ Wreszcie w sprawie o przewóz zboża z Kujaw do Litwy, dał mistrz pisemne i ustne na to zezwolenie posłom.

Szóstego Maja przybyli posłowie do Witolda Z poselskiego ich sprawozdania, poznał książę aż nadto dobrze wyzywającą go minę zakonu. Szczególniéj ubodła go skarga o Żmudź, którą przecież w całkiem innych zamiarach oddał zakonowi, a obecne żąda-

(1) Dł. XI.

nia mistrza nie tylko że przekraczały treść zawartéj pod tym względem ugody w Raciążu, lecz zarazem tak apodyktycznie i natarczywie były wypowiedziane, iż mądry polityk, jakim był Witold, dosadnie mógł poznać, że sprawę tę tylko miecz rozstrzygnąć potrafi. Do tego atoli kroku nie był on jeszcze przygotowany; dla tego jeszcze probował zwlekaniem i dyplomatycznemi środkami przywieść mistrza do upamiętania, do spuszczenia z tonu upokorzających go żądań.

Kochany Mistrzu, pisał w odpowiedzi na poselstwo spadkobierca i uczeń Kiejstutowéj polityki. Prosisz nas, abyśmy nie brali tak do serca słowa komtura, któremi niedawno wyrządził nam zniewagę. Zapewne musiał on mieć powód jakiś, iż zwrócił się z takiemi słowy do nas; może domyśliwał się jakobyśmy na zakon ułożyli jakieś nieprzyjacielskie plany, albo téż zakon względem nas podobne żywi. Może powziął domysły, jakobyśmy mieli zerwać z zakonem i zdradzieckie względem niego żywić zamysły. Sam przecież mistrzu możesz zauważać czy nam mogło być przyjemną rzeczą słuchać podobnych słów, nawet gdyby one, jak sądzicie, w dobréj wierze wypowiedziane były. Co się tyczy Żmudzi, o któréj twierdzicie, jakoby nasi ludzie mieli ją niepokoić, podajecie nam przykład o królu węgierskim i polskim Ludwiku, który miał wam chcieć odstąpić Dobrzyń pod warunkiem, iż corocznie mu złożycie sokoła w dani, a niczego więcéj. Przykładu tego przyznaję się nie rozumiem wcale, do czego byście nim zmierzać mieli. Ale co się tyczy naszych poddanych, którzyby w Żmudzi szkody i zamieszki waszym czynić mogli, to prosimy was, zechciéjcie nam ich każdą razą oddać, a jako wykraczających przeciwko porządkowi, ukarzemy ich; skoro tego nie uczynimy, możecie nas natedy podejrzywać o nieprzyjazne zamiary. Uwiadamiacie nas, jakośmy źle przyjęli waszego marszałka zakonu w poselstwie do nas przysłanego. Otóż skoro do nas przybył, wyszliśmy naprzeciwko niemu we własnéj osobie, aż do rzeczki Nerge, wzięliśmy go pod rękę, zaprowadzili do zamku, zaprosili do stołu. Okazywaliśmy mu przyjaźń i uczciliśmy go według możebności i zaprosiliśmy go po raz drugi do stołu, ale on nie przyjął zaproszenia, a my czyniliśmy według jego woli. Nie wiemy więc w czémbyśmy mieli wykroczyć przeciwko gościnności względem marszałka. Jednakowoż prosimy waszą przewielebność, zechciéjcie nas uwiadomić szczegółowo w czém wykroczyliśmy w obec waszego marszałka, abyśmy przy danéj sposobności wiedzieć mogli w jaki sposób mamy sobie postępować, gdy przybędą wasi posłowie. Ostrzegacie nas, abyśmy gniewem nie psuli sobie krwi, gdyż niedługo potrwa przyjaźń pomiędzy nami, a więc zbyteczne są wyrazy złości. Prosimy przewielebność waszą zechciéjcie nas uwiadomić, w jakim to słów

znaczeniu wyrzekliście takowe zdanie? Ja bowiem nic innego nie wiém, jak że pomiędzy nami jeszcze trwa przyjaźń i dobry pokój, a nawet tego się nie domyślam jakoby pomiędzy nami niedługo takowa trwać miała. Zresztą uwiadamiam was, iż wysłałem do Łęgu według umów naszych po zbiegów z Litwy, którzy do was pouciekali; ale wasz zarządca tamtejszy odprawił moich posłów z niczém, odwołując się na zakon, i jakobyście w téj sprawie niczego mu nie nakazali czynić. W końcu dziękuję waszéj przewielebności za zezwolenie nam udzielone celem najęcia sobie okrętów waszych w Toruniu do przewozu zboża, które nam król Polski udzielił. Prosimy was zechciéjcie uwiadomić waszych urzędników w Toruniu o téj waszéj woli, aby, skoro tamże przybędą nasi posłowie, wiedziano jak się względem nich zastosować (1).

Cierpkie słowa Witolda wywarły na przełożonych zakonu wpływ wcale przeciwny, aniżeliby się tego spodziéwać należało. Wbrew może woli wojowniczego mistrza Ulryka, poczęła partya zakonna, znająca charakter i potęgę księcia, próbować ażali nie da się przebłagać rozgniewany książę i pojednać z zakonem. Postawa Witolda, z obojętnością podejmującego rzuconą mu rękawicę, poczęła wzniecać obawę u dyplomatycznych mnichów rycerzy. Za ich to poradą pisał znowu mistrz Ulryk do księcia wyrażając mu, jak go niezmiernie boli, iż książę nie może zapomnieć urazy, którą mu wyrządził niebaczny komtur Sulzbach. Począł on nawet usprawiedliwiać komtura, iż tenże miał pewne powody do wynurzenia swéj obawy o możliwą zdradę w obec księcia, gdyż książę inną razą, gdy komtur doń posłował, przyobiecał komturowi, iż sprawę o granicę pomiędzy zakonem a Januszem Mazowieckim rozstrzygnie na korzyść piérwszego. Starano się przypomnieć księciu, iż przed rokiem więcéj zdawał się sprzyjać zakonowi, aniżeli Polsce i książętom Mazowsza, na którego granicach zakon wcale nie stawia zamków, jak to książę W. mistrzowi zarzuca. Przełożeni zakonni sądzili, że tym sposobem odciągną księcia od Polski, a pogodzą go z zakonem.

Lubo atoli ten obmyślany środek, w innym razie zastosowany, mógłby był dosięgnąć zamierzonego celu, obecnie przyczynił się tylko do rozdrażnienia księcia, témbardziéj, iż nieprzejednany mistrz zakonu jakby szydząc z obojętnéj wzmianki księcia o zbiegach litewskich, których mu na oznaczony termin do Łęgu nie przystawiono, kazał księciu wystawić otwarty list, mocą którego upoważnił go do

(1) List Witolda z datą Żysmar am tage sancti Johannis ante portam latinam Anno IX w. Arch. Królewc. N. Z. Szuflada XVII. Nr. 135.

wyszukiwania sobie swych zbiegów w krajach zakonnych. W hardym księciu zakipiała krew; upór, gotowość do oręża, duma jaką widział u mistrza potęgowała jego zamysły zemsty. W słowach wcale delikatnych kazał on mistrzowi opowiedzieć jak stosunek jego do Mazowsza w sprawie spornéj o granice z zakonem polegał na prawnych dokumentach, które obie strony wydały, że więc komtur nie powinien był z tego powodu podejrzywać go o złe zamiary względem zakonu. Że daléj, komtur wcale samowolnie sobie postąpił, gdy będąc u niego razu pewnego w Przewałce kazał zapewnienia, jakie on był mówił podówczas w interesie zakonu, spisać przez swoich pisarzy, gdyż takie zapewnienia w potocznéj mowie czynione nie mają waloru prawnego; czemuż zresztą ociągał się zakon nie chcąc wysłać komtura Elbląskiego, aby z nim razem naocznie rozstrzygnęli spory graniczne pomiędzy zakonem a Mazowszem. W końcu zarzucał rozgniewany książę mistrzowi, iż pomimo zapewnień swoich buduje zamek na granicach Mazowsza; list zaś otwarty odesłał mistrzowi napowrót z dodatkiem, iż nie przystoi mu swoich zbiegów szukać w krajach zakonnych, że zresztą nie wiedziałby nawet, gdzieby ich miał szukać, w czém atoli mistrz sam ze swéj strony mógłby mu pomoc, a mianowicie rozkazem czynienia stosownych poszukiwań, któreby swoim urzędnikom mógł rozdać (1).

Gniew księcia odbił się na Litwie, a i na Żmudzi niebawem fatalną dla zakonu miał przybrać postać. Samowładca, jakim był Witold, umiał orężną ręką przywieść swe ludy do tego stopnia posłuszeństwa, iż na widok uśmiechu na jego ustach rozweselały się lica potężnych i rozlicznych ludów, ze smutkiem na jego czole rozszerzał się smutek po Litwie i Rusi: a gdy gniew zawrzał w jego sercu, potężniał coraz bardziéj, a jakby stosunek odległości hołdowniczych krajów wcale nie stał na przeszkodzie, rozżarzał się w zgubny dla wrogów jego płomień w Połocku, Smoleńsku i na Tatarzech. Po Żmudzi poczęły obiegać pogłoski wzniecające w wysokim stopniu obawę sołtysa krzyżackiego. Głuche wieści o mającym nastąpić wybuchu, o gniewie księcia na Niemców, jakaś tajemniczość i skrytość poczęła siać trwogę pomiędzy przełożonymi zakonu a szczególniéj na Żmudzi.

Było to pod koniec Maja roku 1409. Pomiędzy Malborgiem a Wilnem lub Trokami częstsze niż kiedykolwiek przedtém lub potém obiegały listy i poselstwa. Pomimo zakazu sołtysa żmudzkiego, przekradali się z Litwy liczni poddani księcia i rozsiewali stę-

(1) List Witolda z datą Troki: montag nach Pfingsten. Anno nono. w Arch. królewck. N. Z. Sz. XVII. Nr. 136.

kającym pod jarzmem krzyżackiém Żmudzinom, pożądane wiadomości o gniewie wielkiego księcia.

Sołtys się niecierpliwił. Mistrzu—pisał on—uwiadomij mię o oznaczeniu częstych poselstw i listów księcia Witolda, jak rzeczy pomiędzy nami a Litwą stoją, bo tu u nas na Żmudzi jakieś zbyteczne obiegają pogłoski. Mistrzu, proszę napisz, abym wiedział co i jak mam sobie postąpić (1). Było to dnia 20 Maja. Mistrz Wielki jakby w odpowiedź na tę wiadomość i na list W. księcia kazał statki zbożowe, które już były z Torunia do Ragnety przybyły zaaresztować, ale jeszcze sekretnie i cicho, aby się o tém książę Witold nie dowiedział.

Zamki żmudzkie kazał sołtys wszędy obwarowywać jakby w przededniu wojny; lada dzień spodziewano się wybuchu na Żmudzi, o czém ostrzegali starszych zakonnych przeliczni ich szpiedzy. Zbiegowie zakonni opuszczali w wielkiéj liczbie Żmudź, udając się do Witolda. Sołtys powtórnie skarżył się przed księciem. Weźcie zbiegom za karę ich konie, oddajcie je waszym wiernym Żmudzinom, a ukarzcie przestępców. Tak mówił Witold; ale sołtys inne miał od zakonu nakazy, a karanie Żmudzinów wcale nie było na czasie (2). Zresztą jeszcze łudzono się obustronnie, zaręczając sobie wzajemnie pokój; ale wzajemne niedowierzanie wcale nie ustępowało i owszem wzrastało, przybierając coraz to groźniejszy charakter. Wśród tego przybrały pogłoski o zbliżającéj się wojnie niezwykłe rozmiary. Do sołtysa nadeszły groźne wieści jako bojar książęcy Rambold przekroczył na czele zbrojnych hufców Niewiażę. Dwa żmudzkie powiaty zakolonizowane przez Krzyżaków, Sangawiska i Kretkinowa, objął Rambold w swe posiadanie prawem miecza. Sołtys natychmiast poskarżył się księciu, dodając, że wszędy na granicach Żmudzi wpadają do ich kraju Litwini. „Wiedz kochany sołtysie, że to bez naszéj woli się stało; my go groźbą i ostremi słowy za to ukarzemy,“ odpowiadał książę prawie temi samemi słowy, jakiemi usprawiedliwiał mistrz komtura Ragnety. Ubolewamy nad tém, ale stało się to bez naszéj wiedzy. Co się tyczy naszych Litwinów, którzy was napadają, to spiszcie ich po imieniu, a ja już rozporządzę, aby was w waszym kraju nie napastowano; drwił sobie z zakłopotanego sołtysa Kiejstutowic, oddając wet za wet zakonowi. Było to dnia 25 Maja roku 1409 (3).

Po Żmudzi począł się szerzyć bunt przeciwko „białym płaszczom“, podżegany przez Litwinów. Od północy groźne przybywa-

---

(1) List sołtysa żm. do marszałka zakonu, Arch. król N. Z. Szuflada XVI. a.

(2) List sołtysa do marszałka. Arch. N. Z. Szuflada XVIII. N. 11.

(3) List Witolda do sołtysa D. Cawen am phingsttage. Arch. N. Z.

ły wieści. Tam bowiem od pobrzeża morskiego silniejsza kolonizacya Niemców silniejszą wyrodziła zawiść, a tém samém i zemstę Żmudzinów. Opodal Kłajpedy na wybrzeżu morskiém wybrali się bracia zakonni, aby zatrudniać się z kolonią łowieniem ryb i wcale nie domyślając się grożącego im niebezpieczeństwa. Ze skrytych zasadzek napadają na nich zbuntowani Żmudzini. Zaledwie pięciu braci potrafiło się uratować ucieczką, inni padli ofiarą krwawéj zemsty Żmudzinów. Odtąd rozszerzał się bunt po całéj Żmudzi. Kolonie niemieckie opanowała trwoga przedśmiertna. Budowę Kłajpedy przerwano (1).

W piérwszych dniach Czerwca ogarnął pożar wojny całą Żmudź. Piątego bowiem tego miesiąca obiegali dwaj bojarzy litewscy, Geilemin syn Nadama i Trumppe syn Sagotta ze brojnemi oddziałami gniecone przez Niemców żmudzkie powiaty. Król Litwy nakazuje wam, obwoływali oni wszędy, abyście wypowiedzieli Niemcom wojnę. Aż do Azeruny zarąbcie drogi, rozkopcie je w szerz dołami po wszech granicach aż do ziem niemieckich.

Książę Witold dzień w dzień posyłał do Żmudzi tajnych posłów: Uczyńcie kraj wasz nieprzystępnym dla Niemców, a ja rychło przybędę do was z wojskiem i dopomogę wam do owładnięcia zamków krzyżackich (2).

Na zapytanie sołtysa odpowiadał książę, iż o niczém nie wié, że ubolewa nad wypadkami a przestępnych ukarze. Przemądry sołtys domagał się u księcia, aby obecnie zabrał sobie swoich 250 Żmudzinów. Nie, nie przyjmę ich odpowiadał książę; wszakżeż oni są bojarzy a ja ugodziłem się z wami o ludzi niewolnego pochodzenia (3).

Sołtys i przełożeni krzyżaccy poczęli się zwracać ku Żmudzinom i głaskać ich obietnicami. Dla czegoż podejmujecie hasło boju przeciwko nam, zapytywali oni bojarów. Bóg naszym świadkiem, usprawiedliwiali się Żmudzini, nie my to chcemy wojny wieść z wami, ale taka wola króla Litwy.

W Malborgu na wiadomość o wypadkach żmudzkich wzrosła zapamiętała nienawiść zakonu przeciwko Witoldowi; rozjątrzony do żywego mistrz wielki nieposiadał się w złości z powodu ośmielenia

---

(1) SS. r. Pr. III. Jan z Posilge. 300.

(2) List, zdaje się, z Fredeburga datowany lub z Dubissy: gegebin am donnerstage corpore Christi [1409] w Arch. N. Z. Szuflada XVI. a.

(3) List sołtysa do W. mistrza: freitag nach des heil. lichnams. Dobissa. Arch. N. Z. Szuflada XVIII. 26.

się Witoldowego; poprzysiągł krwawą zemstę, chodziło mu tylko o Polskę.

Chcąc się atoli upewnić o stanowisku księcia do zamieszek na Żmudzi, opisuje W. mistrz szczegółowo wypadki powstania i odsyła list Witoldowi z zapytaniem i prośbą, aby mu udzielił swéj rady coby mu w téj sprawie uczynić należało. Książę odpowiedział zimno: Jak długo zakon według méj rady działał, ja zawsze gotów byłem do jéj udzielenia; odkąd atoli zakon jéj nie potrzebuje i według rad mych nie postępuje, nie poczuwam się do obowiązków, które byłyby obecnie zbytecznemi (1).

Wśród tego przybywa poselstwo polskie do Malborga. Dnia 9 Czerwca stanęło ono w Elblągu, gdzie podówczas bawił mistrz Wielki. Jakby Polskę zupełnie nie obchodziły wypadki na Żmudzi i spór zakonu z Witoldem; co bardziéj, jakby posłowie o niczém w rzeczy dotyczącéj powstania na Żmudzi nie wiedzieli, przełożyli oni kilkanaście punktów dotyczących krzywd jakie Polsce i królowi w ostatnich czasach wyrządził zakon. W pełném poczuciu pokrzywdzonych, przypominali oni, jako zakon uczynił uszczerbek państwu, zająwszy dla się Drezdenko, jak sołtys Nowéj Marchii coraz to bardziéj rozpościéra się z tego zamku w granice Polski, tak że obecnie na 10 mil wokół zabrał granice państwa i uważa je za posiadłość zakonną, jak poddanych księcia Słupska przepuszcza przez Marchią na rabunek ziem polskich, jak pomimo przyrzeczenia W. mistrza, które uczynił na zjeździe Kowieńskim, zakon zajął zamek Santok; jak zakon wpija się w granice Mazowsza, buduje w zajętych nieprawnie ziemiach zamki, podbija Wiznę księcia Ziemiaszka, rabuje kupców polskich, nie dopuszcza ich do morza itd. (2). Mistrz W. wysłuchał artykuły poselstwa, w których widziéć można było rozlewającą się żółć pokrzywdzonych. Politycy zakonni wiedzieli może nawet dla czego król Polski tak przykrą i niestosowną dla zakonu wybrał porę do przedłożenia skarg swoich, lecz zapamiętały Ulryk kazał na artykuły poselskie odpowiedziéć piśmiennie, odkładając rostrzygnięcie, sąd i ugodę na późniéj. Natomiast kazał on posłom opowiedziéć o zdradzie na Żmudzi, któréj się dopuścili pogańscy jéj mieszkańcy przeciwko zakonowi i chrześciaństwu. Prosimy was, mówił on do posłów, i zaklinamy na Boga i chrześciaństwo, abyście zechcieli uprosić i ubłagać waszego króla, aby ani Żmudzinów, ani tych, za których powodem zdrada ta przyszła do skutku, król nie bronił; a gdyby

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

(2) Artykuły skargi posłów polskich w 14 dni po zielonych świątkach 1409 w Elblągu przedstawionych w Arch. Król. N. Z. Szuflada XVII. a. N. 162.

zechciał bronić, powstrzymajcie go od tego zamiaru, a my wam w zupełności wierzymy, iż tak sobie postąpicie, jako was prosimy. Posłowie przyrzekli zastosować się do prośby mistrza i wrócili do Polski (1). Witold wiedział o odprawie posłów polskich. Mógł on się obecnie zarówno jak Polacy dorozumiewać powodów, dla czego polskie zboże z Torunia jeszcze nie przybyło do Kowna. O aresztowaniu atoli zboża, jeszcze na pewno nie wiedziano. Może być zresztą, iż nawet wiedziano, lecz z dobrze zrozumianych powodów udawały obie strony jako o tém niczego nie wiedzą.

(*Dokoń. nast.*)

---

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

LUDY PIERWOTNE

POŁUDNIOWÉJ AFRYKI.

III.

Kafrowie.

(*Dokończenie*).

O charakterze Kafrów można napotkać u różnych podróżników najsprzeczniejsze twierdzenia. Niezgodność ta w sądzie, uderzająca nieobeznanego ze stosunkami miejscowemi, pochodzi przedewszystkiém ztąd, że plemię Kafrów, liczące w saméj południowéj Afryce wiele milionów dusz, rozpada się na kilka narodów, których indywidualność w odmienny wyrabiała się sposób, a następnie, że charakter ludzi pierwotnych zmienia się dość szybko w zetknięciu z cywilizacyą europejską; i ten sam podróżnik, który rzuca gromy na Kafra zostającego u niego w służbie, zmieniłby może swoje zdanie, gdyby go ujrzał w jego rodzinnym kraalu. Podam tu kilka szczegółów opartych na własném doświadczeniu, zebranych przeważnie między Kaframi, należącymi do rodu Zulu mieszkającego w Natalu.

Kafrowie odznaczają się w ogóle łagodném usposobieniem i dobrodusznością, co się przedewszystkiém objawia w ich stosunkach rodzinnych. Wspomniałem już o przywiązaniu, jakie łączy rodziców z dziećmi; nie zdarzyło mi się nigdy widzieć pomiędzy Kaframi tych objawów gburowatości i srogości, jakie u nas w kraju, pomiędzy mniéj oświeconą ludnością tak często się napotyka. Widziałem przeciwnie starszych mężczyzn, tulących niemowlę do łona, lub karmiących młodsze dzieci. Zdarzają się, co prawda, przypadki surowego a nawet nieludzkiego obchodzenia się z kobiétami, lecz nie są one nadużyciem osobistém, ale stoją w najściślejszym związku z surowemi ustawami, jakie znajdują zastosowanie u całego plemienia. Nie chcę twierdzić, ażeby nie podlegali przystępom silnego gniewu,

albo gwałtownéj niechęci, lecz objawy takie są stosunkowo rzadkie i przechodzą bardzo szybko.

Wesołość jest wrodzoną ich zaletą; lubią się śmiać i śmieją serdecznie przy każdéj zdarzonéj sposobności, a zadowolnienie swoje częstokroć śpiewem i tańcem objawiają. Nie znają oni tego, co się nazywa troską. Potrzeby ich są małe, zaspokojenie ich bardzo łatwe i dla tego cieszą się dniem dzisiejszym, nie myśląc nigdy o jutrze. Nie robią nigdy zadanych planów na przyszłość, a gorączkowy niepokój, który dziecko cywilizacyi ssie z mlékiem swéj matki, który budzi w niém późniéj ambitne zamiary i pokrywa czoło jego zmarszczkami w kwiecie wieku, jest im zupełnie nieznany.

Kafer jest przedewszystkiém stworzeniem towarzyskiém, a samotność jest dla niego największą przykrością; gdy się znajdzie osamotnionym nuci bezustannie półgłosem, albo wygłasza długie ustępy dla rozrywki. Jest on najszczęśliwszym, gdy może w gronie towarzyszy usiąść około wspólnego ogniska, odurzać się narkotykiem dachy, albo tytuniu, i rozmawiać albo śmiać się według upodobania. Gdy dwóch Kafrów spotka się w drodze, witają się w odległości kilkuset kroków i rozpoczynają natychmiast rozmowę; jeżeli brak czasu nie pozwala im zabrać się do uroczystego wypalenia wspólnéj fajki, wówczas rozchodzą się, ale idąc rozmawiają z sobą z odległości tak długo, dopóki znaczenie słów rozróżnić można. Kafer w podróży nie minie nigdy odpoczywających przy ognisku; przysunąwszy się, przysiądzie, ażeby odpocząć trochę i zamieni z siedzącymi słów kilkanaście.

Wślad za tą towarzyskością idzie ich gościnność. Kafer dzieli się z towarzyszem swoim ostatnim kawałkiem chleba, chociażby wiedział, że nazajutrz będzie cierpiał głód przez dzień cały. Gdy wół zostanie zabitym, posyłają do wszystkich sąsiednich kraalów i spraszają na biesiadę; sąsiedzi nie dadzą długo czekać na siebie, zbiegają się bardzo licznie, i każden otrzyma mały kęsek; ale przybywają także i niezaproszeni i bywają mile widziani. Istnieje w tych stronach przysłowie, że gdzie wołu zabiją, tam się Kafrowie i sępy z pewnością ukażą.

W okolicach lepiéj zaludnionych, Kafer wybiérający się w drogę nie bierze nigdy z sobą zapasów, bo ma tę pewność, że wszędzie, gdziekolwiek zapuka, otworzą mu i ugoszczą go. Téj saméj zasady trzymają się i względem Europejczyków, z wyjątkiem może jednego kraju Oranie, gdzie długoletnie krzywdy, na jakie Kafrowie narażeni byli ze strony holenderskich kolonistów, żyją jeszcze w ich pamięci i przymuszają poniekąd do przezorności względem obcego, dopóki się nie przekonają o właściwym celu jego przybycia. Współ-

czucie, jakie okazują cierpiącym, budzi pełne uznanie nawet pomiędzy misyonarzami mieszkającymi wpośród tego ludu; pomagają oni sobie nawzajem w potrzebie, odwiedzają chorych albo dotkniętych jakiémś nieszczęściem i pocieszają ich, a prace misyonarskie znalazły w Natalu grunt dobrze przygotowany.

Kafer jest z natury bardzo grzecznym, lubi prawić grzeczności, ale lubi także, gdy mu się ktoś wywzajemnia. Za każdą najmniejszą przysługę dziękuje uprzejmém „Eheu—eheu!“ W rozmowie towarzyskiéj nie przerywa nigdy jeden drugiemu, lecz czeka spokojnie, dopóki na niego koléj w mówieniu nie przyjdzie. Ten sam zwyczaj bywa przestrzegany i w sprawach wytaczanych przed naczelników, albo ich radę. Skarżący i oskarżony mają tutaj pełne prawo mówienia, i nie zdarza się nigdy, ażeby jeden przerwał mowę drugiemu. Przysłuchuje się każden uważnie, rozważa jeden szczegół za drugim i odpiera każden zarzut z osobna, gdy przyjdzie na niego koléj mówienia. Nie zdarzyło mi się nigdy napotkać Kafrów kłócących się. Nieporozumienia tego rodzaju zachodzą jedynie pomiędzy kobiétami, i to prawie wyłącznie pomiędzy żonami tegoż samego mężczyzny, szczególnie, gdy ten w późniejszym wieku młode żony przyjmuje, które wówczas są narażone na niechęć i prześladowanie ze strony starszych; ale sprzeczka bywa uważaną zawsze za wykroczenie i surową zazwyczaj pociąga za sobą karę.

Poszanowanie cudzéj własności jest u Kafrów w Natalu głęboko zakorzenioném. Kradzieże są tutaj prawie całkiem nieznane, a nieliczne przypadki tego rodzaju ograniczają się prawie wyłącznie do szkody w ogrodach i mają na celu zaspokojenie głodu. Mieszkańcy po wioskach i miastach nie zamykają nigdy mieszkań swoich; wypraną w potoku bieliznę porzucają zazwyczaj na miejscu, ażeby wyschła, nie strzegąc jéj; po handlach i magazynach leży mnóstwo drobiazgów przez noc pod gołém niebem, a pomimo tego nigdy nic nie ginie. Ja sam znajdowałem się w tém położeniu, że wybiérając się na dalszą wycieczkę, oddałem mieszkanie moje w Port-D'Urban w opiekę gospodyni domu, i po powrocie znalazłem je niezamknięte; pozostawało ono w tym stanie przez całe trzy tygodnie, a chociaż dom był licznie nawiedzany przez Kafrów, zastałem wszystko w najlepszym porządku. Kupcy miejscowi do przesłania pieniędzy w okolice używają wyłącznie tylko Kafrów i powierzają im nieraz sumy, wynoszące po kilkaset funtów szterlingów, a pomimo to nie zdarzył się przypadek, ażeby posłaniec zawiódł położone w niém zaufanie. Zostaje on zawsze przy wręczeniu mu przesyłki zawiadomiony o jéj wartości. Takich samych posłańców używa i poczta od lat dwudziestu pięciu, a w r. 1876 zdarzył się piérwszy przypadek, że młody

chłopiec przyniósł worek pocztowy rozcięty nożem a listy w nieporządku. Stawiony przed sąd tłómaczył się, że to zrobił przez ciekawość; zdaje się, że mówił prawdę, bo chociaż w przesyłce znajdowały się listy piénięźne, dochodzące do 1.000 funtów wartości, szkody w nich nie było żadnéj. Sąd skazał winnego za nadużycie położonego w nim zaufania na sześć miesięcy więzienia. Poborcy rządowi, zbiérający taksy po kraalach, kręcą się pomiędzy czarnymi bez żadnego towarzystwa, będąc nieraz w posiadaniu znacznych sum, a pomimo tego nikt dotąd nie targnął się na ich życie. Kupcy i podróżni używają jak największego bezpieczeństwa. Nie możnaby jednakowoż powtórzyć tego wszystkiego o Kafrach południowych z rodu Finda, Roza i Tambuki, którzy kradzenie bydła uważają za uprzywilejowane swoje rzemiosło.

Koloniści miejscowi a nawet ich czarni współbracia byli narażeni na takie szkody z ich strony, że rząd miejscowy wydał rozporządzenie, na mocy którego każda sztuka bydła znajdująca się w ręku Kafra musi być opatrzona paszportem, wydanym przez miejscową władzę.

Wielu podróżników zarzuca Kafrom, że nie mają najmniejszego poczucia wdzięczności, a w niektórych językach, np. u Makalaka, nie ma nawet wyrazu na oznaczenie tego pojęcia. Jest w tém część prawdy, ale nie można tego powiedziéć o wszystkich Kafrach.

Objawy wdzięczności u Zulu zdarzają się dość często. Do biskupa w Natalu przybyła raz Kaferka okropnie strapiona, ponieważ złamała kopaczkę, którą pożyczała od sąsiadki; miejscowy gospodarz darował jéj nową; w cztery miesiące potém przybyła ta sama kobiéta z wiązką zielonéj kukurydzy na ramieniu i złożyła ją przed gospodarzem, mówiąc: „Ty jesteś mój Inkozi, darowałeś mi kopaczkę, ja ci za to przynoszę kukurydzę.“ W Natalu podróżowałem raz w towarzystwie pana A., który prowadził z sobą sześć wozów, sto wołów i znaczną liczbę poganiaczy, po części Kafrów, a po części mieszańców. Był to człowiek zamożny, a ludzie jego dość dobrze odziani, ale najbiedniéj w całém towarzystwie wyglądał młody Kafer, pełniący obowiązki kucharza. Ponieważ był dla mnie nadzwyczaj uprzejmy i nie wymawiał się od żadnéj usługi, obdarzyłem go raz kilku kawałkami staréj odzieży; otrzymawszy ten podarek podniósł prawą rękę w górę i wygłosił serdeczne podziękowanie w swoim języku, a wieczorem tego samego dnia podał mi do herbaty wielki placek z mąki kukurudzanéj, pochodzącéj z jego własnych zapasów.

Ogólną wadą Kafrów jest niezaprzeczenie lenistwo; ale nieznajomość stosunków miejscowych bywa częstokroć powodem przesa-

dnych i nieuzasadnionych sądów o tym przedmiocie. Potrzeby Kafra są bardzo małe, a zaspokojenie ich dosyć łatwe; dla tego pracuje on tylko tyle, ile utrzymanie jego życia wymaga, a wszelką inną pracę uważa za zbyteczną. Walka o byt jest w téj rasie bardzo słabo rozwiniętą. Kafer nie robi prawie nigdy projektów na przyszłość i nie stara się o ich przeprowadzenie, i dla tego według naszych pojęć większa połowa jego życia upływa w bezczynności. Pomimo tego przypadki prawdziwego lenistwa są bardzo rzadkie. Kafer nie śpi nigdy w dzień; jest on z natury ruchliwego usposobienia, wstaje ze wschodem słońca, cały dzień jeżeli nie on, to przynajmniéj jego język w ciągłym znajduje się ruchu, a wieczorami wysiaduje długo przy ognisku. Zakrés jego działalności jest rzeczywiście bardzo ograniczonym, bo wszelka cięższa praca jest wyłącznym udziałem kobiét,.a tych jeszcze nikt o lenistwo nie posądził. W tym stanie rzeczy wypadałoby więcéj obwiniać stosunki miejscowe, które wpłynęły na wyrobienie charakteru tego ludu, bo jest wszelkie prawdopodobieństwo, że gdyby poznali rzeczywistą wartość pracy i błogie jéj skutki, z pewnościąby nią nie gardzili. Koloniści w Natalu posądzają Kafrów o lenistwo, ale zapominają, że tutaj na 18.000 białych znajduje się 360.000 czarnych, którzy przedewszystkiém nie czują potrzeby pracy i nie znajdują do niéj sposobności. Że zarzut ten jest rzeczywiście nieuzasadniony, przekonać nas mogą najwymowniéj kopalnie dyamentu w Kimberley, gdzie liczba Kafrów pracujących w ziemi wynosiła w czasie mojego w tych stronach pobytu (w Styczniu roku 1876) przynajmniéj 15 tysięcy. Robią oni nieraz piechotą po 200 do 500 mil angielskich i przybywają tutaj z pewnym stale wytkniętym celem; jedni, ażeby przyjść do posiadania strzelby, drudzy, ażeby mieć za co kupić żonę, a zdarzają się i tacy, którzy męczą się, dopóki nie osiągną jednego i drugiego. Pracują w ogóle powoli, ale dość wytrwale, a żyją nadzwyczaj oszczędnie, bo odmawiają sobie najpierwszych potrzeb życia. Przedstawiają oni tutaj dziwny kontrast z Hottentotami. Hottentot przepiłby ostatnią koszulę, gdyby mu się do tego zdarzyła sposobność; Kafer nie wyda nigdy pensa bez potrzeby i znosi z obojętnością głód, ażeby tylko co prędzéj osiągnąć cel zamierzony. Właściciele klemów zauważyli, że Kafrowie pracujący za pieniądze są nieraz tak głodni, iż upadają pod ciężarem pracy, w skutek czego obecnie odciągają im część dziennego wynagrodzenia, za które dostarczają im sami pożywienia.

Zarzucają Kafrom w ogóle niesłowność, jak się zdaje nie bez słuszności. Żadna sprawa nie ma dla nich takiego znaczenia jak dla Europejczyka, a ponieważ nie biorą za złe drugim, gdy ich

narażają na zawód, przeto i sami niedotrzymania obietnicy nie uważają za występek.

Kafer jest z natury niezaprzeczenie dumnym; jest on uprzejmym i grzecznym dla równego sobie, obsypuje pochlebstwami Europejczyka, jeżeli ten umié zachować względem niego powagę i daje mu uczuć wyższość swoję; ale tenże sam Kafer podnosi dumnie głowę i mierzy pogardliwym wzrokiem białego, gdy ten w jego przekonaniu nie zasługuje na nazwę Inkozi. Wynajdzie on dla niego natychmiast jakieś uszczypliwe, niekiedy bardzo trafne przezwisko; a chociaż mu nie zawsze wzgardę okazuje w oczy, to za jego plecyma przedrzéźnia jego ruchy i czuje się bardzo zadowolonym, gdy mu się uda wystawić go na śmieszność. Wszystkie złe przymioty Kafrów występują szczególnie w wysokim stopniu u indywiduów pozostających w służbie u białych i to tém bardziéj, gdy odkryją jakiekolwiek słabe strony swojego chlebodawcy. Wówczas Kafer stara się okazać mu swoję wyższość i, chociaż z natury łagodnego usposobienia, staje się krnąbrnym i nieposłusznym, oburza się, gdy jest łajanym, a wpada we wściekłość i rzuca się na swojego pana, gdy ten rękę na niego podniesie. Ale wybuchy jego gniewu nietrwają długo; mściwość nie leży w jego charakterze i zapomina z łatwością o urazach.

Najniekorzystniejszy sąd wydawano dotąd o charakterze Kafrów południowych Fingo, Roza i Tambuki; stoją oni rzeczywiście niżéj pod każdym względem od Kafrów natalskich, a zetknięcie się z cywilizacyą europejską wpłynęło najniekorzystniéj na rozwój ich charakteru. Toczą oni prawie od stu lat wojny z kolonistami, a te bezustanne zapasy zatarły znacznie wrodzoną im łagodność charakteru, głód zaś i przeciwności, na jakie w skutek częstych wojen bezustannie bywają narażani, wpłynęły przeważnie na rozwój dzikości, objawiającéj się w stosunkach rodzinnych i plemiennych. Miałem sposobność widziéć liczne gromady tych Kafrów, pracujących przy budowie kolei żelaznéj w zachodniéj części kolonii; ile razy zetknęły się z sobą dwie gromady, różniące się pomiędzy sobą językiem, przychodziło natychmiast do bójki. Nie bywały one nigdy bardzo krwawe, bo zarząd miejscowy odbiérał przybywającym na linię Kafrom assagaje, ale ich kije opatrzone gałką na końcu, tak zwane kiri, są również niebezpieczną bronią, w skutek czego nie minął ani jeden tydzień, ażeby jeden albo drugi czarny nie utracił w bójce życia, nie licząc już guzów i lżejszych uszkodzeń ciała.

Jest jedna ciemna strona w życiu Kafrów, w obec któréj bledną wszystkie wymienione powyżéj ich wady: są oni ludożercami. Ślady ludożerstwa napotykano oddawna u różnych plemion murzyń-

skiego pochodzenia, a niepewne wieści głosiły, że zwyczaj spożywania ludzkiego ciała istnieje i pomiędzy Kaframi, szczególniéj u ludów zamieszkałych w okolicach lesistych i niezdrowych np. w kraju Swazi i na północ od zatoki Delagoa, które rzeczywiście pod moralnym i fizycznym względem ostatnie zajmują stanowisko. Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że zbrodnie tego rodzaju były objawami wyjątkowemi, sprowadzonemi przez głód, albo okropności wojny, i że u samych Kafrów w wielkiém zostają obrzydzeniu. Zarzut ten spotyka zasłużenie Kafrów Basuto i Beczuanów. W kraju Oranie znajduje się góra nazwana Manfredsberg; otrzymała ona swoję nazwę od boera Manfreda, który w czasie ostatniéj wojny w r. 1865 w tém miejscu przez Kafrów złapanym, upieczonym i zjedzonym został. W kraju Basuto nad rzeką Caledonem opowiadali mi farmerzy, że w sąsiednich górach znajduje się jaskinia zamieszkiwana niegdyś przez ludożerców, pełna śladów tych okropnych biesiad. Gromada ludożerców utworzyła się tam, gdy w czasie ostatniéj wojny z boerami cały kraj głodem nawiedzonym został. Obrawszy tę jaskinię za miejsce stałego pobytu, ludożercy robili wyprawy po okolicy, łapali swych czarnych współbraci i zjadali bez różnicy płci i wieku. Kafrowie, z którymi rozmawiałem o tym przedmiocie, nie zaprzeczali faktu, ale żaden z nich nie chciał mi służyć za przewodnika do jaskini.

Mereńsky opowiada, że gdy spokojne ludy Beczuanów i Basutów, zamieszkujące republikę Transwaalską, zostały rozbite przez drapieżne hordy potężnego naczelnika Mozilikace, liczne ich gromady przywiedzione do ostatniéj nędzy schroniły się w niedostępne góry i trudniły się ludożerstwem. Mieli oni z pewnością świadomość zbrodni, jaką popełniali, bo ofiar swych nie nazywali ludźmi, lecz mężczyzn wołami, kobiéty krowami, a dzieci cielętami. Napadali oni wioski, albo łapali po drodze ludzi i byli okropną plagą okolicy. Gdy wojna się skończyła, uspokojeni mieszkańcy urządzili na nich wyprawę, wyszukali kryjówki i wytępili częściowo ich mieszkańców. Mereńsky ochrzcił siedmiu Kafrów, którzy trudnili się tém rzemiosłem, a o wielu innych powtarzają sobie do dziś dnia na ucho „i ten należał do ludożerców.“ Nie ma obecnie pomiędzy Beczuanami większéj obelgi, jak powiedziéć komuś w oczy, że był ludożercą.

Języki, jakiemi mówią różne ludy kaferskie, różnią się pomiędzy sobą dość znacznie, bo Basuto i Zulu, których tylko pasmo gór Drackenberg rozdziela, nie rozumieją się nawzajem, ale różnica ta nie musi być wielką, bo już kilkomiesięczny pobyt pomiędzy sąsiednim narodem wystarcza do dokładnego oswojenia się z jego języ-

kiem. Wszystkie języki czarnych ludów afrykańskich, mieszkających na południe od równika, są z sobą blisko spokrewnione, a pokrewieństwo polega w tożsamości pierwiastków i form gramatykalnych. Pod względem budowy języki te zajmują samodzielne i odrębne stanowisko pomiędzy wszystkiemi innemi, a właściwość ich polega na tém, że formy gramatykalne tworzą przez dodawanie pewnych zgłosek przed źródłosłowem, który nie ulega żadnéj zmianie; np. w języku Zulu słowo widziéć „bona" odmienia się w czasie teraźniejszym jak następuje: Gi ya bona, U ya bona, U ya bona, Si ya bona, Ni ya bona, Baya bona. Widoczną jest rzeczą, że zmiana myśli odbywa się za pomocą tak zwanych praefixów; ale umieszczają także zgłoski na końcu źródłosłowu, bo np. czas przeszły dokonany od tegoż samego słowa brzmi: Gi bonile.

Wszystkie te języki odznaczają się w ogóle bardzo przyjemnym dźwiękiem, a najładniejszy pomiędzy niemi jest język Zulu. Koloniści uczą go się z łatwością; w Natalu, gdzie na 360.000 Kafrów mieszka 18 tysięcy białych, władają wszyscy koloniści dokładnie tym językiem, wypiera on nawet powoli holenderski. O ile sądzę, miły dźwięk jego pochodzi ztąd, że wszystkie zgłoski kończą się na samogłoski np. w następującém zdaniu: „Ku yisiga pakati kwabelungu ukuti izikwelete czi futi ane, zenza, izi chlobo zi tandane" (jest przysłowie u białych ludzi, że krótkie rachunki robią długich przyjaciół). Do dźwięczności tego języka przyczynia się niemało i brak ostrych głosów; zdaje mi się, że brakuje im głosu *r*, bo Kafrowie Zulu, mówiąc językiem angielskim albo holenderskim, zastępują go zawsze przez *l*; mówią np. „mastel, blekfest ledy" zamiast „master breakfest ready." Ale w języku Busulów istnieje głoska *r*, np. w następującym zdaniu: „morata, mooe oa rata, dimpyana ea monu (kto lubi miejsce, ten lubi i pieski tegoż miejsca).

W językach południowych Kafrów znajdują się i mlaśnienia, lecz te zostały z pewnością przejęte od Hottentotów, bo języki ludów północnych, np. Matabili Baczuana, Makololo, nie mają tych głosów wcale; Zulu mają ich dwa, a Kafrowie południowi, jak Roza, Fingo i Tambuki—trzy. Przejęcie tych głosów od Hottentotów było prawie nieuniknionóm następstwem systemu wojowania, gdyż Kafrowie tępią tylko mężczyzn, a kobiéty i dzieci uprowadzają i włączają do swego własnego plemienia. Użytek tych mlaśnień jest w języku Zulu bardzo ograniczony i bynajmniéj nie razi.

O religijnych wyobrażeniach Kafrów dużo już napisano, ale podania różnych autorów tak są sprzeczne pomiędzy sobą, że trudno się w nich doszukać prawdy. Najbłędniejsze twierdzenia rozsiewają w ogóle misyonarze tak angielscy jak i niemieccy, bo już z powoła-

nia swego nie są zdolni do bezstronnego traktowania tegoż przedmiotu. Że idea Boga nie była znaną pierwotnym Kafrom, dowodzi najlepiéj ta okoliczność, że misyonarze wprowadzili do ich języka na oznaczenie téj idei hottentocki wyraz U-Tiko. Głównym rysem w ich religii jest wiara w życie po śmierci. Nie można tego nazwać wiarą w nieśmiertelność duszy, bo Kafrowie mówią, że duch człowieka idzie do ziemi, ale ciało jego wraca pomiędzy ludzi, a pojęcie ich o życiu człowieka po śmierci odpowiada poniekąd wyobrażeniom naszego ludu o upiorach. Kafrowie Makalaka i Basuto wiążą nieboszczykom ręce i nogi, ażeby nie wychodzili z grobu. Zulu nazywają upiora Itongo, a w liczbie mnogiéj Amałongo; Basuto nazywają ich Molimo albo Modimo, a Beczuanie Mocimo. W najnowszych czasach zrobili misyonarze angielscy odkrycie, że Zulu wierzą oddawna w Boga i nazywają go Umkulunkulu. Trudno powiedziéć o ile to twierdzenie jest prawdziwém. Wyraz ukulu znaczy wielki, a umkulu—ukulu znaczy największy; opowiadają o téj istocie, że wyszła z bagna i zrobiła człowieka z błota. (Umhlanga—bagno, błoto), co przypomina żywo mit żydowski o stworzeniu człowieka i pozwala się domyślać, że może i pojęcie tego Umkuluukulu powstało pod wpływem idei chrześciańskiéj.

Podobna postać znajduje się i u Basutów; nazywają ją Hubeane i mówią, że jéj ojciec stworzył zwierzęta i wszystkie inne rzeczy, a Hubeane ludzi. Makalaka mają według Maucha pojęcie pierwiastku dobrego, który nazywają *mali*, i złego, który nazywają *kozi*; a według misyonarzy angielskich rozróżniają Zulu oprócz swojego Umkuluukulu jeszcze jakąś inną istotę, którą nazywają Umwelinkwange.

Sami misyonarze zgadzają się najzupełniéj, że pojęcia Kafrów o tych różnych wymienionych istotach są w najwyższym stopniu ograniczone, że nic o nich nie wiedzą i zupełnie się o nic nie troszczą. Jakoż w rzeczywistości upiory umarłych są wyłącznym przedmiotem ich czci albo bojaźni, im zawdzięczają wszystko dobre lub złe; nie modlą się do nich, ale składają im ofiary z mięsa, które potém sami zjadają. Zulu wyobrażają sobie, że naczelnicy lub inne ich znakomitości przybierają po śmierci postać węża, dla tego nie niszczą wężów; a jeżeli który przypadkiem zabitym zostanie, to szkielet jego uważają za talizman i zawieszają go nad chatą. Jeżeli wąż zabłąka się do chaty, mówią, że Itongo ich odwiedził; wzywają zaraz czarownika, kapłana (ma swojego każda wioska), a ten rozpoznaje, kim jest ten Itongo i czego żąda. Jest on zazwyczaj zmarłym krewnym i żąda mięsa.

Gdy ktoś w rodzinie zachoruje, chorobę sprowadził Itongo; gdy umrze, mówią, że zabił go Itongo; gdy się zdarzy nieszczęście, rów-

nież Itongo winien. W każdym razie czarownik tłómaczy, kim jest ten Itongo, i o co jest rozgniewanym, czego żąda i każe złożyć mu ofiarę, którćj cząstkę sam zabiéra. Ofiara zostaje zazwyczaj spełnioną, ale nie zawsze. Misionarz Doehne kreśli wiele ciekawych szczegółów w sprawozdaniu swojém, przedłożoném komitetowi misyjnemu w Berlinie. Gdy Kafer np. zachoruje, sąsiedzi mówią mu, że to sprawił Itongo i radzą przebłagać go ofiarą. Chory opowiada niekiedy: „znam ja tego Itongo, bo ukazał mi się we śnie, jest to mój brat najstarszy, nie jest on bratem, ani człowiekiem, ale potworem, co lubi się tylko kłócić i nie przyjaznić ze wszystkimi ludźmi. Jakım był dla mnie za życia, takim jest po śmierci; mięsa mu się zachciewa i chce mnie zgubić, ale nie uda mu się, nie dostanie odemnie ofiary.“ Jeżeli choroba przeciąga się, przyjaciele i sąsiedzi chorego namawiają go powtórnie do złożenia ofiary; ten odpowiada: „dam je, ale jeżeli mnie przekona, że jest moim bratem. Jeżeli jutro, pojutrze, albo po pojutrze choroba ustąpi, poświęcę mu kozę.“

Gdy Kafer chce złożyć ofiarę wzywa znowu czarodzieja; ten zawiadamia go, czego Itongo sobie życzy: wołu, cielęcia, czy kozy, oznacza barwę zwierzęcia a zazwyczaj sam je wybiéra. Zabijają zwierzę tak, ażeby żadna kropla krwi uronioną nie została. Mięso zamykają na noc do opróżnionéj chaty, dokąd przybywa Itongo na ucztę, a na drugi dzień czarodziéj zabiéra część ofiary, resztę zaś spożywa cała ludność wpośród tańców i śpiewów. U Basuto i Beczuanów, gdy naczelnik umrze zabijają na grobie jego czarnego wołu, a gdy umrze król, ofiary ze zwierząt odbywają się w każdym kraalu.

Zabijają również większą część bydła, gdy wybiérają się na wojnę. Istnieje przesąd, że ze zwierzęcia poświęconego na ofiarę żadna kropla krwi na ziemię uronioną być nie powinna, i zdaje się że ten przesąd dał powód u Kafrów południowych do okrutnego sposobu zabijania tych zwierząt. U Fingo, Roza i Tambuki powalają ofiarnego wołu na ziemię, robią głębokie nacięcie w piersiach, poczém najsilniejszy mężczyzna zanurza prawą rękę głęboko w ranie i wyrywa serce żywemu zwierzęciu, którego ryk śmiertelny zostaje zagłuszony przez wrzask i śpiewy tańczących do koła Kafrów. Jeżeli ziemia zostanie krwią zbryzganą, kobiéty i dzieci rzucają się i chlepczą ją ustami.

Nie obce im są i ofiary z ludzi. Sekoati król Bapedów wydał przed śmiercią rozporządzenie, ażeby razem z nim i jego piérwszego ministra do grobu złożono, a słynny tyran Czaka kazał razem ze

zwłokami swojéj matki dziesięć najurodziwszych dziewic żywcem pochować.

Wiara w życie po śmierci i we wpływ umarłych na losy żyjących tworzą obecnie główne tło religii tych ludów, ale napotykamy i ślady fetyszyzmu. Za taki wypada uważać przesąd, że umarli naczelnicy ukazują się po śmierci w postaci wężów, jak również rozpowszechniony użytek talizmanów. U Kafrów Basuto znajduje się, według Merenskiego, podanie o świętych górach i kamieniach; obrządek, któremu podlegają chłopcy i dziewczęta gdy dojdą do pełnoletności, nazywa się u nich „koma“, a w czasie tego obrządku pokazują chłopcom wyrobione z drzewa, albo z zgliny postaci zwierząt i ludzi, które nazywają ki-koma, a wyraz ten ma oznaczać duchy, albo bóstwa. Gdy u Basutów dziecię się narodzi, przybywa czarodziéj, opatruje nowonarodzone i modli się do bóstwa „Mocimo“, prosząc o pomyślność dla dziecięcia; ale równocześnie przypina matce do przepaski, w któréj nosi niemowlę, czarowne kółeczka i, wskazując na nie, mówi: „oto jest Mocimo, które będzie strzegło twego dziecka.“

Wiara w siły nadprzyrodzone jest u wszystkich ludów afrykańskich głęboko zakorzenioną, a czarodziéjstwo oddziaływa silnie na ich stosunki rodzinne i towarzyskie i najzgubniejsze czasami pociąga za sobą skutki. Uprawnionymi czarodziejami są tylko ich kapłani; oni sprawują ofiary, leczą choroby, przepowiadają przyszłość i sprowadzają deszcze.

Każda większa wioska posiada swojego czarodzieja; godność ta nie jest dziedziczną, nie tworzą oni osobnéj kasty, lecz jeden czarodziéj przysposabia sobie drugiego, niekiedy za wynagrodzeniem. Wybiérają w tym celu indywidua odznaczające się nadzwyczajną brzydotą, albo podpadające epilepsyi. Młody czarownik musi unikać ludzi, przepędzać większą część życia swojego po miejscach dzikich i niedostępnych, gdzie nauczyciel go odwiedza i obznajamia powoli z tajemnicami przyszłego jego zawodu. Lud wierzy ślepo w ich potęgę i lęka się ich; ale zdarza się niekiedy, że i jednostki prywatne próbują na własną rękę sposobów, których używają czarodzieje, ażeby osiągnąć jakikolwiek cel, najczęściéj zaś, ażeby zaszkodzić drugiemu. Używanie czarów jest osobom prywatnym surowo zabronione, a czarownicy obojga płci podlegają tam niemniejszym karom, jak w cywilizowanéj Europie za czasów Świętéj Inkwizycyi.

Odkrycie czarownika jest zadaniem kapłana. Jeżeli Kafer ma podejrzenie, że nieszczęście jakieś przydarzyło mu się w skutek czarów zadanych przez inną osobę, udaje się do kapłana i prosi go, aże-

by zwąchał sprawcę nieszczęścia. Ma się rozumiéć samo przez się, że u ludu nieoświeconego przekonania tego rodzaju prowadzą do nadużyć, a głębokie poczucie sprawiedliwości, wrodzone wszystkim Kafrom, ponosi zawsze szwank, ile razy ma do czynienia z przesądem i zabobonem.

Kapłani tutejsi bywają niekiedy niebezpiecznemi narzędziami w rękach naczelników i stają się powodem upadku i zagłady całych rodzin. Jeżeli naczelnik poprzysiągł zgubę któremu z mieszkańców wioski, albo pragnie zagrabić bydło i dobytek jakiéjś rodzinie, ażeby przyprowadzić ją do nędzy i pozbyć się rywalizacyi, a nie ma słusznego powodu do zaczepki, to wzywa niekiedy pomocy kapłana. Flening kréśli szczegółowo sposoby jakich czarownicy używają w takim przypadku. Znalazłszy chwilę gdy chata obranéj ofiary jest opróżnioną, czarownik zakrada się do niéj i zabiéra dwa zupełnie jednakowe przedmioty, np. dwie fajki, albo łyżki i zakopuje jednę pod podłogę na miejscu a drugą w chacie naczelnika. Potém zadaje truciznę bydłu naczelnika i jego ludziom, w skutek czego następują choroby i śmierci u jednych i drugich, a chociażby ofiarą podłości padło i które z dzieci naczelnika, to mniejsza o to, byle tylko cel został osiągniętym. Naczelnik wzywa natychmiast pomocy kapłana, a ten po dlugim namyśle orzeka, że nie Itongo jest powodem nieszczęścia, ale czary, i otrzymuje natychmiast rozkaz wyszukania złoczyńcy. Wypędzają bydło z kraala, rozpalają ogień, naczelnik robi ofiary z bydlęcia, którego krew piją zgromadzeni w kraalu mieszkańcy. W pośrodku zgromadzonych ukazuje się kapłan odziany skórami dzikich zwierząt; pod jego przewodnictwem urządzają tańce i śpiewy, w czasie których on przechodzi w stan extazy i pada czasami bezprzytomnie na ziemię. Następnie obchodzi wieś z pęczkiem proroczych patyczków w ręku, szukając złoczyńcy. Przechodząc około chaty naczelnika puszcza jeden patyczek na ziemię, co jest najwymowniejszym dowodem, że nieszczęście zostało spowodowane czarami. Naznaczywszy assagają miejsce gdzie patyczek upadł, zwiedza po kolei wszystkie inne chaty w wiosce i puszcza znowu drugi patyczek przed chatą upatrzonéj ofiary. Towarzysząca mu gromada rzuca się na rozkaz jego do rozkopania podłogi i znajduje ukryty w niéj przedmiot; potém udaje się do chaty naczelnika, gdzie również rozkopuje podłogę z tym samym skutkiem; wydobyte przedmioty oddaje czarownik do rozpoznania zgromadzonym, i jeżeli ci orzekną, że były rzeczywiście własnością ofiary, ta zostaje skazaną na śmierć. Ponosi ją na stosie, albo téż obnażona, związana i nasmarowana miodem zostaje porzucona na mrowisku, gdzie opadnięta

przez tysiące tych zwierzątek zostaje przyprowadzona do szaleństwa kończącego się okropną śmiercią.

Kafer, swobodny i niezależny na pozór, jest niewolnikiem zabobonów i przesądów od kolebki aż do grobu. U Zulu uważa się za złą oznakę, gdy dziki królik wpadnie do kraalu, albo gdy pies wyskoczy na wierzchołek chaty, a u Makalaka istnieją przepisy, jak drzewo przykładać do ognia, jak trzymać w ręku miotłę lub warzęchę i t. d.; między innemi, jeżeli miech ma skutecznie działać, skóra nań powinna pochodzić z kozy żywcem obłupionéj.

To są ciemne strony umysłowego życia tych ludów; jeżeli szukać zechcemy stron dodatnich, to wypadałoby przedewszystkiém przyjrzéć się zblizka objawom twórczéj wyobraźni, któréj tak świetne odbłyski widzieliśmy pomiędzy Buszmanami. Sztuki piękne występują u Kafrów przedewszystkiém pod postacią poezyi i wymowy; ale znajomość nasza tego przedmiotu jest dosyć ograniczoną, bo ludy kaferskie nie znalazły dotąd nikogo, ktoby objawom ich życia umysłowego szczególną poświęcił uwagę. Zdaje się, że poezya u nich musi być dość wysoko rozwiniętą. Kafer jest skłonnym do objawiania swych uczuć śpiewem i śpiewa zazwyczaj w każdéj chwili swojego życia. Woli on co prawda rozmawiać, ale ile razy jest pozbawionym towarzystwa śpiewa; gdy się znajduje w podróży, gdy jest zajęty lekką pracą, a nawet gdy idzie za wołami, nuci bezustannie jakieś pieśni. Nie można tego właściwie nazywać śpiewem, gdyż są to wyrazy wymawiane przeciągłym, głęboko gardłowym, stłumionym głosem, z częstą zmianą tonu. W ten sam sposób wygłasza swoje pieśni, gdy zostanie odurzony dymem dachy: wówczas czyni to jednakowoż silnym podniesionym głosem. Nie mogłem nigdy dowiedzieć się o treści tych deklamacyj. Koloniści, władający dość dokładnie językiem Zulu, skarżyli się, że Kafer odurzony dachą mówi za wiele i za szybko. Zdaje się, że deklamacye takie są chwilowemi utworami, nieujętemi w pewną stałą formę. Skłonność do improwizowania jest im wrodzoną. Raz tylko udało mi się otrzymać wytłómaczenie takiéj improwizacyi. Kafer szukający zagubionéj krowy śpiewa: „zginęła mi krówka, znajdź się krówko znajdź; wołam na moję krówkę, ale krówka nie przychodzi; znajdź się krówko znajdź, znajdź się krówko znajdź“ i t. d.

Zabawiają się także przy ognisku opowiadaniami, których przedmiot bywa bardzo urozmaiconym. Misionarz Knothe zapisał jedno takie opowiadanie o *Ptaszku mlecznym i ludożercy*, którego treść jest następująca: Było młode małżeństwo pilne i pracowite. Pracowali raz społem przez cały dzień i przekopali znaczny kawałek ziemi, ale na drugi dzień zastali ziemię twardą i pokrytą trawą, bez śladu pra-

cy. Kopali znowu cały dzień, a nazajutrz znowu śladu pracy nie było, i tak przez kilka dni. Mąż chciał się przekonać kto robi szkodę i pozostał na polu przez noc, schowany w sianie. Za chwilę ujrzał małego ptaszka; latał on do koła i śpiewał; a na głos jego zagony się przewracały i pokrywały trawą. Potém zmęczony ptak chciał odpocząć na kupie siana i siadł na ręce człowieka; ten schwycił go i chciał przebić igłą, ale wzruszony jego prośbami darował mu życie. Ptaszek napełnił jego rękę mlekiem, człowiek zaniósł go do domu, gdzie wielki garczek napełnił mlekiem. Na drugi dzień wyszło małżeństwo z chaty i zostawiło ptaszka pod opieką ośmioletniéj córki. Dziewczynka powiedziała o ptaszku drugim dzieciom i przyprowadziła je do chaty, ażeby im go pokazać. Ptaszek zaczął pięknie tańczyć, w celu zabawienia dzieci i prosił je, ażeby mu pozwoliły tańczyć na dworze albo w kraalu. Dzieci wypuściły ptaszka, a ten tańczył na dworze tak pięknie, że te umiérały ze śmiechu. Potém prosił, ażeby mu pozwoliły tańczyć przed kraalem; dzieci pozwoliły, ptaszek tańczył znowu pięknie na drodze, ale nagle zerwał się i zniknął w powietrzu. Dziewczynka puściła się w pogoń za ptaszkiem i zbłądziła w górach. Gdy siedziała na pagórku płacząc, przyszedł do niéj ludożerca, złożył ją do worka i zabrał z sobą. Gdy matka nie zastała dziewczynki w chacie poszła szukać jéj i spotkała ludożercę; poznała go i szła z nim razem. Ludożerca chciał wybrać miód dzikim pszczołom, położył worek na ziemi i prosił kobiétę, żeby go pilnowała. Matka wyjęła tymczasem dziecko i kazała mu iść do domu a worek napełniła pszczołami i odprowadziła ludożercę do jego chaty. W chacie kazał on swéj córce, a potém żonie wyjąć mięso; te kładły rękę do worka i krzyczały za każdym razem, że mięso się rusza i gryzie. Zgniewany ludożerca wypędził kobiéty na dwór i kazał się dobrze zamknąć w chacie. Potém rozpalił ogień, nastawił garczek, ale gdy chciał wysypać mięso do naczynia pszczoły wypadły i rozbiły garczek, i zaczęły gryść ludożercę, który ryczał jak wół. Krzyczał on na żonę i córkę, żeby drzwi otwarły, lecz te uciekły z przestrachu. Pszczoły zagryzły go na śmierć, była to kara za jego złe uczynki.

Pomiędzy wszystkiemi objawami umysłowéj czynności tych ludów, najwyżéj wzniosła się wymowa i przeniosła się z ciasnego kółka rodzinnego na pole społeczne i polityczne. Wykazaliśmy już powyżéj, jak ważną rolę odgrywa ona we wszystkich publicznych czynnościach tego ludu, zacząwszy od spraw sądowych, wytaczanych przed naczelnikiem wioski, aż do wielkiego meetingu narodowego, jaki zwołuje naczelnik państwa. Prawie wszyscy podróżni-

cy, którym dozwolone było przyjrzéć się zblizka życiu tego ludu, dzielą to przekonanie, że traktowanie spraw wielkiéj doniosłości u Kafrów nie ustępuje w niczém pod względem formy i treści porządkowi, jakiego trzymają się towarzyskie i społeczne instytucye ucywilizowanego świata.

Mają Kafrowie wiele zamiłowania i do muzyki. Oprócz piszczałek pojedyńczych i złożonych, posiadają oni dwa instrumenta muzyczne, dające wysokie wyobrażenie o ich talencie muzykalnym. W jednym z nich, nazywanym *mbira* doprowadzili obszerność skali do czterech oktaw; do wydania tonu służą w tym instrumencie stalowe blaszki niejednakowéj długości, przymocowane za pomocą drutu do drewnianéj deszczułki, zazwyczaj we dwa szeregi. W szeregu górnym znajdują się krótsze, a w dolnym—dłuższe blaszki. Liczba blaszek dochodzi do dwudziestu pięciu, a długość deszczułki—od 20 do 30 centimetrów. Przyrząd ten umieszczają we wnętrzu wydrążonéj i doskonale wysuszonéj tykwy, do brzegu któréj przylepiają skorupy muszli. Blaszki wprawiają w ruch za pomocą palców; dźwięk instrumentu przypomina stłumiony głos cymbałów, a piosneczki ich są krótkie, lecz dosyć urozmaicone. Drugim przyrządem jest *marimba*; ta składa się z drążka długiego na półtora metra, do którego przymocowują 20 do 30 klawiszy drewnianych niejednakowéj długości; pod każdym klawiszem znajduje się mała wydrążona tykwa, służąca do wzmocnienia głosu. Grają na tym instrumencie, uderzając drewnianą pałeczką po klawiszach. Używają także bębnów, które wyrabiają z drewnianych cylindrów wydrążonych, obciągając każdy boczny otwór skórą; ażeby nadać skórze więcéj elastyczności zanurzają instrument przed rozpoczęciem muzyki w wodzie.

Nie mają za to najmniejszego uzdolnienia do rysunku. Tylko Kafrowie mieszkający w głębi kraju malują na mieszkaniach naczelników postaci zwierząt dwoma kolorami; figury te są wielkie, niezgrabne i dalekie od dokładności, jaką odznaczają się rysunki buszmańskie. Rysunki, jakiemi zdobią metalowe naramienniki, kamienne fajeczki i naczynia z tykwy, składają się wyłącznie z linij prostych, nawzajem się krzyżujących. Jeden z misionarzy, który pełnił przez kilka miesięcy obowiązki nauczyciela przy szkole uczęszczanéj przez krajowców, upewniał mnie, że Kafrowie nie są w stanie naśladować najprostszych figur geometrycznych. Ile razy kazał chłopcu narysować trójkąt, albo czworobok, kąty wypadły tak zaokrąglone, że figura zbliżała się więcéj do koła.

Probują sił swoich i w rzeźbie, a oprócz wspomnionych powyżéj tabakierek ze krwi przedstawiających postaci zwierzęce, zdobią niekiedy narożniki drewnianych poduszeczek, albo gałki u lasek posta-

ciami przypominającemi głowy zwierzęce, lecz próby te zaledwie zasługują na wzmiankę.

Są również lubownikami tańca, w którym kobiéty i dzieci nie biorą udziału. Całe grono mężczyzn usiada na ziemi w półkole i klaszcze w takt w dłonie, a pośrodku ukazuje się jeden mężczyzna i stojąc na miejscu wprawia w gwałtowny ruch całe ciało. Gdy się zmęczy, wraca do szeregu, a inny go zastępuje. Inny rodzaj tańca, prawdopodobnie taniec wojenny, widziałem pomiędzy Kaframi w Natalu. Uzbrojeni w assagaje, albo w kije mężczyzni stają długim szeregiem jeden za drugim i, podniosłszy prawą ręką broń w górę, postępują zwolna, przystając za każdym krokiem i poruszając w takt ciałem na boki, w tył i naprzód. Równocześnie nucą wszyscy stłumionym gardłowym głosem jakiś jednostajny śpiew.

Kafrów zamieszkujących obecnie południową Afrykę nie można uważać za piérwotnych mieszkańców tych okolic; właściwą ich ojczyzną jest środkowa Afryka, a w każdym razie okolice na północ od rzeki Zambezi położone. Porzucili oni tamte strony dopiéro w historycznych czasach; przebywszy rzekę Zambezi, rozbiegli się po całéj południowéj Afryce, a ujarzmiwszy piérwotnych mieszkańców tego kraju stali się jego panami. W wyborze miejscowości byli oni bardzo wybredni, i dla tego poprzestali na wschodnich wybrzeżach, pozostawiając skaliste góry Przylądka Dobréj Nadziei i przyległe pustynie do użytku zgnębionym Hottentotom.

Zajęcie południowéj Afryki nie nastąpiło odrazu. Wojownicze hordy Kafrów ciągnęły powoli od północy; zetknąwszy się z sobą krwawe nie raz toczyli walki i wypierali się nawzajem z przywłaszczonych sobie posiadłości.

Trudno oznaczyć dokładnie czas, w którym się główne ich ruchy odbywały, bo ich własna tradycya nie sięga po za piąte pokolenie, a na podaniach podróżników XVI-go i XVII-go stulecia polegać nie można. Ponieważ jednakowoż piękne płaszczyzny kraju Oranje, graniczące od wschodu z posiadłościami Kafrów, jeszcze z początkiem naszego stulecia znajdowały się w posiadaniu Hottentotów, przeto wypadałoby przypuścić, że główne ruchy odbyły się w XVII-ém, i XVIII-ém wieku; jakoż nasze stulecie było jeszcze świadkiem wznoszących się i upadających wielkich państw murzyńskich i ogromnych zmian terrytoryalnych, a według twierdzenia Mereńskiego, wysłany jeszcze w roku 1677 okręt holenderski, pod dowództwem Tomasza Holma, dla zwiedzenia zachodnich brzegów Afryki dotarł aż po 11-ty stopień południowéj szerokości i miał napotkać wszędzie Hottentotów, gdzie dzisiaj tylko murzyni żyją.

Zdaje się, że te same okoliczności, które w pierwszych wiekach naszéj ery stały się powodem zalania Europy przez barbarzyńskie hordy dalekiego wschodu, były także powodem wielkich ruchów rasy afrykańskiéj. Ludy murzyńskie zamieszkujące środkową Afrykę toczą z sobą od niepamiętnych czasów ciągłe wojny; mają one zazwyczaj na celu korzyści materyalne, jak zabór urodzajnych okolic, zyskanie bydła, lub uprowadzenie niewolników; ale wojny bywają tam także narzędziem w ręku ambitnych i despotycznych naczelników, mają na celu rozszerzenie ich władzy i wyradzają się w rzemiosło. Zdaje się, że ruchy o których mowa miały głównie na celu materyalne korzyści. Południowa Afryka nadaje się doskonale do kolonizacyi, a wschodnie jéj wybrzeża nęcą zarówno czarnych jak i białych. Daleko niekorzystniéj brzmią sprawozdania podróżników o Afryce międzyzwrotnikowéj; okolice niskie i wilgotne, gdzie ziemia jest najurodzajniejszą, są tam zazwyczaj niezdrowe; ludność ich bywa w porze deszczów dziesiątkowana przez zjadliwe febry, a hodowla bydła znajduje w musze *cece* nieprzełamaną zaporę; zaś okolice górzyste, cieszące się czystém powietrzem i zdrowym klimatem, miewają zazwyczaj ziemię mniéj urodzajną. Zdaje się, że wieści o zaletach południowéj Afryki przedzierały się powoli do wnętrza téj części ziemi, budziły u ludów murzyńskich żądzę przeniesienia w tamte strony swych siedzib i gotowały ich umysły powoli do ruchów o których jest mowa.

Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że przyroda kraju była jedyną okolicznością powstrzymującą Kafrów w dalszych pochodach. Z początkiem przeszłego stulecia dotarli oni do rzeki Gamtoos. Ale równocześnie rozpoczął się na południowym krańcu Afryki inny ruch, wywołany założeniem kolonii holenderskiéj na Przylądku Dobréj Nadziei.

Piérwotni osadnicy, ujarzmiwszy Buszmanów i Hottentotów, rozbiegli się po całym kraju i zetknęli się na wschodzie z Kaframi. Łatwo było wojować z bezbronnym i niedołężnym Hottentotem, ale trudno z wojowniczym i podstępnym Kafrem. Koloniści, nie czując się na siłach, przyjęli rzekę Gamtoos również za granicę swych posiadłości i starali się o zachowanie jak najlepszych stosunków ze swymi niebezpiecznymi sąsiadami. Taki stan rzeczy trwał do końca przeszłego stulecia. Gdy rząd angielski zabrał kolonią, a przypływ ludności zaczął się z każdym dniem powiększać, biali przybysze poczęli chciwém spoglądać okiem na urodzajne ziemie, znajdujące się w posiadaniu Kafrów; nie starali się oni o rozszerzenie granic kolonii, lecz przełamali de facto linią demarkacyjną i zaczęli osiadać w ziemiach należących do Kafrów. Zachowanie stosunków przyjacielskich

nie mogło trwać długo. Zaniepokojeni czarni opierali się siłą, napadali na kolonistów i uprowadzali ich bydło; rozpoczęła się na całéj linii wojna poddjazdowa, a Kafrowie w wyprawach takich zapuszczali się nawet głęboko za granicę staréj kolonii. Rząd miejscowy widział się zmuszonym stanąć w obronie kolonistów i przyjść im w pomoc siłą zbrojną, a raz rzucone zarzewie wojny zapaliło obydwie strony i pociągnęło za sobą cały szereg krwawych starć trwających do dni naszych.

Nie starczyłoby mi miejsca i czasu, gdybym chciał opowiedziéć dzieje wojen z Kaframi, jakich widownią była południowa Afryka; ale ponieważ przebieg ich rzuca ważne światło na charakter ludów kaferskich i na stosunki południowo—afrykańskich kolonij, przeto uważam za stosowne podać przynajmniéj ich treść w skróceniu.

Było wszystkich wojen sześć. Pierwsza z nich wybuchła w r. 1811. Gdy rozjątrzenie pomiędzy Kaframi i kolonistami doszło do najwyższego stopnia i pociągnęło za sobą kilka krwawych starć, rząd kolonialny wysłał pułkownika Collinsa do wschodnich prowincyj dla zbadania stanu rzeczy, a ten w sprawozdaniu przedłożoném rządowi obstawał za tém, ażeby Kafrów wypędzić z kolonii przemocą, a góry Znurveld zrobić granicą posiadłości i obsadzić białymi kolonistami. W skutek tego rząd wysłał na granicę kilka oddziałów Hottentotów, wzmocnionych wojskiem liniowém i oddziałem białych ochotników, pod dowództwem pułkownika Graham. Dnia 28° Grudnia roku 1811, landrost Stokenstrom, dowodzący lewém skrzydłem, spotkał silny oddział Kafrów i rozpoczął z nimi na własną rękę układy o pokój. W téj chwili nadeszła wiadomość, że inne oddziały angielskie rozpoczęły bójkę. Kafrowie, podejrzywając zdradę, rzucili się na oddział Stokenstroma złożony z 40 ludzi, zamordowali jego i połowę jego towarzyszy. Oddziały angielskie pomściły się srodze i wypędziły wszystkich Kafrów za rzekę Greet Fishriver, która miała odtąd tworzyć granicę kolonii.

Góry Znurveld zostały obsadzone białymi kolonistami, ale pokój nie trwał długo, bo w krótce po jego zawarciu, Kafrowie zaczęli urządzać wyprawy na osady białych i uprowadzać ich bydło. Ażeby zapobiedz tym nadużyciom, zawarł Lord Charles Sommerset układ z naczelnikiem Ngiką, na mocy którego każden kraal, którego mieszkańcy dopuścili się złodziejstwa, miał być odpowiedzialnym i obowiązanym do pokrycia szkody. Zaszło przytém jedno nieporozumienie, a mianowicie to, że Ngika nie był głównym naczelnikiem Kafrów i nie mógł działać w imieniu wszystkich. Gdy wkrótce potém major Fraser naszedł siłą zbrojną kraal naczelnika Ndlambe i żądał zwrotu skradzionego bydła, ten stawił opór, w skutek czego Fra-

ser zabrał wszystko bydło przemocą i powrócił do kolonii. Oburzony Ndlambe połączył się z innymi naczelnikami, wyruszył przeciwko Ngice i pobił go na głowę. Rząd wysłał na pomoc Ngice znaczne oddziały wojska, które pobiły sprzymierzonych Kafrów i zabrały 23.000 sztuk bydła, z których 9.000 zwrócono Ngice, drugą część— poszkodowanym farmerom, a resztę przeznaczono na pokrycie kosztów expedycyi. Ale to było dopiéro początkiem wojny, bo wkrótce potém niezliczone hordy Kafrów wkroczyły do kolonii, a mordując i paląc wszystko po drodze doszły aż do Ujtenhage. Prowadził ich wielki prorok Makanna. Obiecywał on im pomoc sił nadprzyrodzonych, wypędzenie wszystkich nieprzyjaciół do morza i doznawał rzeczywiście z początku powodzenia. 22-go Kwietnia roku 1819 stanął on pod miastem Grahamstown, gdzie pułkownik Wittshire zamknął się z małemi siłami, i zawiadomił go natychmiast, że nazajutrz rano będzie miał zaszczyt być u niego na śniadaniu. Przed wschodem słońca przypuścili czarni atak z taką siłą, że wojska broniące miasta zaczęły gotować się do odwrotu, ale w téj chwili ukazał się z za pogórka oddział gwardyi hottentockiéj z kilkoma armatkami polowemi, których ogień tak przeraził Kafrów, że odstąpili od oblężenia i poszli w rosypkę. Zostali oni kilka razy jeszcze pobici i stracili 30.000 sztuk bydła. Naczelnicy, Makanna i Nellambe, zostali złożeni z godności, a za ich głowę wysoka nagroda wyznaczoną. Godną jest zapewne wzmianki ta okoliczność, że ten środek tak rozpowszechniony u ludów ucywilizowanych, pomiędzy Kaframi okazał się zupełnie bezskutecznym.

Trzecia wojna wybuchła w roku 1828 gdy pobici Kafrowie cokolwiek się uspokoili, surowy system przyjęty przez rząd kolonialny także zelżał a Makoma, syn wielkiego Ngiki, otrzymał nawet pozwolenie zajęcia napowrót swych dawnych siedzib nad rzeką Katriver, gdyż sam Ngika sprzyjał rządowi. Zwolnienie systemu represyi zaczęli Kafrowie uważać za dowód słabości rządu, w skutek czego kradzieże bydła i rozboje zaczęły się znowu pojawiać a Makoma należał wówczas do najgorszych rabusiów. Rząd kolonialny urządził znowu wyprawę pod majorem Samorset, który zabrał Makomie 7.000 sztuk bydła a pokrywszy z téj liczby szkody poniesione w ostatnich czasach przez kolonistów, resztę odesłał właścicielowi. Nie poprzestając na odwecie, rząd kolonialny polecił Somersetowi zajęcie doliny rzeki Katriver. Makoma nie dał czekać na siebie, sam się usunął, ale rozboje prowadził jak dawniéj, a rząd zaludnił dolinę Hottentotami, zaopatrzywszy ich w broń, iżby sami czuwali nad swojém bezpieczeństwem.

Czwarta wojna wybuchła w roku 1835. Nieporozumienia pomiędzy Kaframi i kolonistami trwały bezustannie; spółcześni oskar-

żają obie strony o nadużycia. Kafrowie zabierali bezustannie bydło kolonistom, a ci stawali z bronią w ręku w obronie swojéj własności, w skutek czego przychodziło ciągle do krwawych starć. W jednêm z nich, w Grudniu roku 1834 zginął brat Makomy, co dało powód do ogólnego ruchu pomiędzy Kaframi; przeszło 10.000 ludzi wyruszyło na wojnę i rozbiegło się po okolicy, niosąc śmierć i pożogę. W jednym tygodniu 40 farmerów straciło życie, rozwścieklone hordy czarnych spaliły 450 budynków i zabrały 4.000 koni, 160.000 sztuk bydła i 150.000 owiec. Siła zbrojna kolonii była wówczas tak słabą, że zaledwie 750 ludzi wysłano na granicę.

Usadowili się oni w Grahamstown; gdy w kilka dni potém przybył zbrojny oddział kolonistów, wyruszył pułkownik Schmit z całą tą siłą i zajął posiadłości naczelnika Hincy, gdzie przyłączyły się do niego silne oddziały Kafrów, Fingo i Roza, przepędzone z północy przez okrutnego Czakę. Zagrożony w ten sposób Hinca zawarł pokój, na mocy którego wydał największych zbrodniarzy i zwrócił 1.000 koni i 5.000 sztuk bydła. Zbrojne oddziały rozeszły się do domów, a sprzymierzeni Fingo i Roza w liczbie 16.000 otrzymali pozwolenie osiedlenia się w kolonii. Hinca oddał w zakład swego brata i syna i chciał sam odprowadzić angielskie wojska do domu. Ale postępowaniem swojém w drodze obudził podejrzenie, że knuje zdradę. Oddalił się pewnego dnia niespostrzeżenie i nie powrócił więcéj; wysłano za nim pogoń, a gdy odkryty w zaroślach, przez jednego z kolonistów zastrzelonym został, pułkownik Schmit mianował syna jego Sarili naczelnikiem Kafrów i zawarł z nim pokój. Inne plemiona Kafrów zostały również pobite i przystąpiły do pokoju, na mocy którego przyjęły poddaństwo angielskie. Tymczasem wieści o tych wojnach zaszły do Anglii, a stan krajowców został tam w tak niekorzystném przedstawiony świetle, że ministeryum dla spraw kolonialnych wydało rozporządzenie, ażeby zaniechać dalszéj wojny i oddać Kafrom napowrót okolice, jakie zajmowali przed ostatnią wojną.

Piąta wojna trwała od roku 1846 do roku 1848 i została przezwaną wojną o toporek.

Stary Kafer, znany rozbójnik, skuty z Hottentotem, był prowadzony do Grahamstown, gdzie miał być sądzony za kradzież toporka, ale w drodze został odbity przez swoich, a nie mogąc rozkuć kajdanów uciął rękę Hottentotowi, ażeby się uwolnić od jego towarzystwa. Rząd kolonialny zażądał wydania zbrodniarzy, ale naczelnik Tola odmówił, co dało powód do wojny. Oddziały wojska wysłane na granicę zostały zrazu pobite, a zachęceni powodzeniem czarni przekroczyli granicę kolonii i zaczęli gospodarować po swojemu.

Przyszło do wielkiéj potyczki pod Fort Peddie, która skończyła się zupełną porażką Kafrów, poczém zwycięskie wojska zajęły niepodległe terytoryum i zmusiły wszystkich naczelników do poddania się. Ostatnim z nich był Patto; zmuszony do kapitulacyi wyrzekł on: „nie jestem ja już człowiekiem, lecz pawianem, bo żyłem pomiędzy małpami.“ Wojna ta trwała dwadzieścia jeden miesięcy i skończyła się pokojem z Makomą, na mocy którego rzeka Keis-kamma miała stanowić granicę wzajemnych posiadłości.

Szósta i najkrwawsza wojna wybuchła pod koniec roku 1850. Pokój zawarty z Makomą wywarł najlepsze skutki i uspokoił Kafrów, ale rząd kolonialny popełnił dwa błędy. Założył na wschodniéj granicy cztery osady wojskowe i utworzył oddział milicyi z Kafrów. W roku 1850 jeden z czarodziejów kaferskich, nazwiskiem Umlangein, zaczął przebiegać osady Kafrów, namawiając ich do powstania, obiecując pomoc sił nadprzyrodzonych. Gdy wieść o nowych rozruchach doszła do wiadomości rządu, ówczesny gubernator Sir Harry Selunit wezwał wszystkich naczelników na naradę. Jeden z nich Sandili razem z bratem swoim Anta odmówił posłuszeństwa, a wysłany dla pochwycenia ich oddział wojska został pobity. Następnego dnia uskutecznili czarni napad na wszystkie cztery osady wojskowe. Zdaje się, że powód do rozjątrzenia dało rozkopanie grobu jednego z naczelników przez żołnierza szukającego kosztowności. Osada Woburn padła ofiarą podstępu. Osadnicy, nie wiedząc nic o wojnie, wpuścili do wioski Kafrów, z którymi dotąd żyli w najlepszych stosunkach i rozmawiali z nimi spokojnie, gdy na dany znak czarni chwycili za broń i wymordowali wszystkich mieszkańców wioski, a domy spalili. Trzy inne osady zostały również napadnięte i zniszczone; a gubernator, który chciał przewodniczyć wielkiemu meetingowi czarnych, zaledwie uszedł niebezpieczeństwa śmierci. Siły powstańców wzrosły przez przyłączenie się do nich milicyi, a równocześnie chwycili za broń Hottentoci, a nawet rozpoczęła się dezercya z oddziałów regularnego wojska. Kraj był prawie zupełnie ogołocony z siły zbrojnéj; pograniczni koloniści, pozbawieni obrony, padli ofiarą srogości Kafrów. Dopiéro pod koniec Grudnia roku 1851 zgromadzono znaczniejsze siły na granicach kolonii, a równocześnie powstańcy zaczęli objawiać gotowość do złożenia broni i zawarcia pokoju. W Marcu roku 1852, pokój został zawartym, na mocy krórego ogromne obszary zajmowane przez Kafrów zostały przyłączone do kolonii.

W roku 1857, gdy kolonia była zupełnie ogołoconą z wojsk, z powodu wojny w Indyach, wydarzył się w téj części Afryki dziwny wypadek samobójstwa narodowego, jakiego równego nie zna hi-

storya. Ukazał się znowu pomiędzy Kaframi prorok Mahlakaza, który przepowiadał, że pewnego dnia wszyscy wojownicy i wielcy ludzie dawnych czasów powstaną z grobów, a żyjący zostaną obdarzeni niezwykłą siłą i pięknością. Ogromne trzody najpiękniejszego bydła wyjdą z jaskini, pola pokryją się zbożami, a biali ludzie powiędną jako liście; jedynym warunkiem koniecznym dla ukazania się tych zjawisk była wiara, a za dowód téj wiary miało służyć wyniszczenie bydła, zapasów żywności i wszystkich innych przedmiotów, z wyjątkiem broni. Równocześnie ukazał się inny prorok w postaci młodéj dziewczyny, głoszący te same rzeczy, a naczelnik Makoma twierdził, że otrzymał i on objawienie, stwierdzające prawdziwość słów tych dwojga proroków. Cały naród Ama-kozów dał się porwać tym złudnym obietnicom, a wszelkie starania rządu, ażeby zapobiedz nieszczęściu, okazały się bezskutecznemi. W ciągu kilku tygodni wszystko bydło zostało zabite, a zapasy zboża zniszczone; ale skutki szaleństwa wkrótce czuć się dały; powstał ogólny głód, w skutek którego jedna trzecia część całego narodu, przeszło pięćdziesiąt tysięcy osób, śmierć poniosła, a naród Ama-kozów do dzisiejszego dnia się nie podniósł. Do wybuchu tym razem nie przyszło wcale.

Gdy tak Kafrowie na południowych krańczynach swych ówczesnych posiadłości byli zajęci bezustanną wojną ze swymi białymi sąsiadami, okolice północne stały się w tę porę widownią krwawego dramatu, wywołanego efemerycznem ukazaniem się potężnego i doskonale zorganizowanego państwa murzyńskiego. Potężne plemię Zulu, dzierżące obecnie w swym ręku urocze doliny Natalu, było w tych stronach z początkiem bieżącego stulecia zaledwo z nazwiska znane, a Natal znajdował się w posiadaniu Kafrów, należących do rodów Basuto, Pondo i Fingo. Zulu byli wówczas niepozornym i nielicznym ludem i zajmowali niezdrowe okolice na północ od rzeki Tugeli wspólnie z rodami Umtetwa i Swazi. Naczelnikiem Zulów był wówczas niejaki Senzagakona. Jedna z żon jego, zmuszona chronić się przed nim z niewiadoméj mi przyczyny, uciekła z niemowlęciem na ręku i znalazła gościnne przyjęcie u Dingisweja, naczelnika rodu Umtetwa, który ją przyjął za żonę, a niemowlę przysposobił na swego syna. Syn ten otrzymał potém nazwisko Czaka. Stał on się następnie założycielem olbrzymiego państwa i jest niezaprzeczenie najwybitniejszą postacią historyczną pomiędzy Kaframi.

Gdy Sensagakona umarł, Dingiswejo osadził młodego Czakę na ojcowskiéj spuściznie. Wkrótce potém towarzyszył Czaka przybranemu ojcu na wojennéj wyprawie, na któréj stary Dingiswejo po-

legł, a z któréj Czaka powrócił zwycięzcą i samowładnym panem połączonych narodów Umtetwa i Zulu.

Zdaje się, że dotychczasowe powodzenia i poczucia własnéj siły zapaliły młodego i ambitnego Czakę żądzą rozszerzenia swych posiadłości, bo cała reszta jego życia zeszła na bezustannych wyprawach wojennych, w których podbił i ujarzmił wszystkie sąsiednie plemiona; władza jego rozciągała się wkrótce od zatoki Ś-éj Łucyi, aż po rzękę St. Johns River, a sława jego rozbiegła się po całéj południowéj Afryce.

Czaka był nie tylko dzielnym wojownikiem, ale i zdolnym organizatorem. Pierwszém jego zadaniem było utrwalenie swéj potęgi militarnéj i poprawienie systemu wojowania. W tym celu podzielił on wojowników swoich na pułki, różniące się między sobą znakami na tarczy. Zarzucił stary system wojowania z odległości za pomocą krótkich assagai, a nauczył swoich wojowników spotykać się z nieprzyjacielem oko w oko i walczyć zblizka. Karność w jego wojsku była wzorową. Wojownik, który powracał do domu bez broni, albo z raną zadaną z tyłu, był śmiercią karany. Skazywał on na śmierć całe pułki, jeżeli te wysłane dla zawojowania sąsiedniego plemienia nie spełniły zadania. Wyprawy urządzał w największéj tajemnicy, a najzaufańsi naczelnicy dowiadywali się o celu wyprawy dopiéro wtenczas, gdy trzeba było uderzyć na nieprzyjaciela. Wojownikom jego nie wolno się było żenić, ale za to co kilka lat oddalał z wojska wysłużonych starych żołnierzy, obdarzał hojnie bydłem, uwalniał od wszelkich obowiązków i pozwalał im poświęcać się życiu rodzinnemu.

Wojownicy jego mieli nieograniczone pozwolenie mordowania w boju mężczyzn, ale zmuszeni byli oszczędzać kobiéty i dzieci; uprowadzali je tylko w niewolę i wcielali do własnych kraalów. Następstwo tego systemu było takie, że w ciągu kilkunastu lat plemiona podbite znikły bez śladu, a plemie Zulu rozpostarło się w potężnéj liczbie. Małe tylko oddziały z zawojowanych plemion Fingo Pondo i Tambuki na południe, gdzie źle przyjęte przez swych czarnych współbraci stały się sprzymierzeńcami kolonistów.

Podczas gdy waleczne hordy Czaki z bronią w ręku starały się o rozszerzenie granic państwa, on sam pracował bezustannie nad ustaleniem i zabezpieczeniem swéj potęgi. Mordował w tym celu wszystkich możniejszych podwładnych, z obawy, ażeby nie wytworzyli opozycyi. Ten sam los spotkał wszystkich jego krewnych, skazał wszystkich na śmierć bez różnicy wieku i płci. Nie oszczędzał on własnych dzieci; ażeby nie mieć potomstwa, kazał mordować wszystkie swe żony, gdy która zaszła w ciążę.

W roku 1824 był Czaka u szczytu swojéj potęgi i chwały. W tę porę przybyła mała partya angielskich osadników do Natalu, pod przywództwem pana Tynn. Koloniści chcieli zachować z czarnymi jak najlepsze stosunki i wysłali do Czaki deputacyą, prosząc o pozwolenie osiedlenia się w Natalu. Ponieważ mała ich liczba nie mogła budzić żadnych obaw, przeto szlachetny tyran oddał im w posiadanie znaczne obszary ziemi, a pana Tynn zaszczycił tytułem swojego Inkozi (naczelnik podkomendny).

Czaka poniósł w roku 1828 śmierć od skrytobójczéj ręki, która była narzędziem jego brata Dingana. Dingan, wszedłszy w posiadanie praw swojego brata, rozsiadł się przedewszystkiém wygodnie, jak powiada James Mann, w jego krześle, a potém zaczął czerpać naukę z jego książki. Skazał on przedewszystkiém na śmierć wszystkich przyjaciół brata i mordował bez litości jego żony i dzieci, nie oszczędzał nawet najbliższych swych krewnych. Zawezwał między innymi naczelnika białych przybyszów Tynna, ażeby się stawił na jego dworze, ale Tynn lękając się podstępu odmówił posłuszeństwa. Wysłany przez Dingana oddział wojska, zabrał kolonistom ich bydło i przepędził ich za rzekę Umzimkulu; lecz późniéj dał się Dingan przebłagać, pozostawił kolonistów w posiadaniu ziemi nadanych im przez Czakę, a Tynna podniósł do godności Inkozi-inkulu (naczelnik I-éj klasy).

Ponieważ kraj był zupełnie spokojnym, przeto dalsze wojny nie miały celu, a Dingan popadł z biegiem czasu w pewien rodzaj bezczynności. Tymczasem niedobitki rodów Basuto i Tingo zaczęły wychodzić z swych kryjówek w górach Katlamba i kupić się powoli około angielskich osadników. Gdy w roku 1835 kapitan Gardiner zajął miejsce Tynna, uznał za stosowne odnowić pokój z Dinganem, udało się pozyskać ogólną amnestyą dla zbiegów, pod warunkiem, że wszystkich innych, którzyby na przyszłość pod opiekę białych uciekać się chcieli, ma odstawiać Dinganowi. Jeden tylko raz dotrzymał kapitan Gardiner tego warunku, bo piérwsza partya zbiegów, którą odstawił osobiście tyranowi, została skazaną na śmierć, a wyrok był wykonanym natychmiast w oczach szlachetnego kapitana. Ażeby wpłynąć cokolwiek na złagodzenie srogiego charakteru tego człowieka, Gardiner wymógł na nim pozwolenie założenia misyi chrześciańskiéj, a sprowadzony z Anglii misyonarz Owen zamieszkał w kraalu Dingana Umgungunhlowu.

Ale nowi aktorzy mieli ukazać się niebawem na widowni historycznéj. Przypomną sobie zapewne z poprzedzającego ustępu czytelnicy, w jakim stanie znajdowała się w téj porze stara kolonia. Zabranie kolonii przez Anglików z początkiem obecnego stulecia

wywołało największe niezadowolenie pomiędzy ludnością holenderską, a niezadowolenie to rosło z każdym dniem, gdy rząd angielski wziął w opiekę Hottentotów i starał się ukrucić samowolę boerów. Ostateczne zniesienie niewolnictwa i straty materyalne, jakie w skutek tego koloniści ponieśli, obudziły pomiędzy nimi żądzę uwolnienia się z pod przewagi nienawistnego sobie żywiołu angielskiego, przez porzucenie kolonii i przeniesienie się do niepodległych okolic na północ od rzeki Gariepu. Emigracya stała się ogólną i trwała lat kilka ku wielkiéj szkodzie kolonii. Trudno powiedzićć wielu kolonistów opuściło swą dawną ojczyznę, ale liczba ich musiała wynosić kilkanaście tysięcy, bo rozbiegłszy się po ogromnych obszarach, na północny wschód od staréj kolonii położonych, utworzyli wkrótce trzy samodzielne republiki. Przywieźli oni tutaj z sobą stary system gwałtów i nadużyć względem krajowców, a że ci byli źle zorganizowani i bezbronni, przeto zostali z łatwością pokonani. Raz tylko hordy słynnego naczelnika Matabilow Mozilikace zadały boerom wielką klęskę, lecz i ta wkrótce powetowaną została.

W pochodach swoich starali się koloniści o zajęcie i przywłaszczenie sobie najurodzajniejszych miejscowości w tych okolicach. Jeszcze przed rozpoczęciem ogólnéj emigracyi, jedna z ich myśliwskich partyj, pod przewodnictwem Uysa i Maritza, zapędziła się głęboko na wschód; przebywszy góry Katlamba odkryła Natal i dotarła aż do brzegów morza Indyjskiego, gdzie zetknąwszy się z angielskimi osadnikami, przyjacielskie z nimi zawiązała stosunki. Opowiadania tych myśliwych o Natalu brzmiały tak korzystnie, że część emigrantów postanowiła odszukać ten kraj i w nim się osiedlić. Jakoż z początkiem roku 1836 wielka partya boerów przebyła góry Katlamba i poczęła spuszczać się na wyżyny Natalu. Naczelnikami téj partyi byli, Jakobus Uys, Hendryk Potigeyter i Pieter Retief. Przednie straże znalazły się wkrótce nad brzegami morza w Durban, gdzie przez nieliczną gromadkę angielskich osadników, wystraszoną ruchami Kafrów, z radością powitane zostały.

Nowi przybysze zachowali dotąd z krajowcami dość dobre stosunki. Rozpatrzywszy się nieco dokładniéj w położeniu kraju, postanowili wysłać deputacyą do Dingana i żądać od niego upoważnienia do osiedlenia się w jego ziemiach. Na czele deputacyi stanął Retief i przebywszy rzekę Tugelę dostał się szczęśliwie do Umgungunhlowu, stolicy Dingana, a zastawszy tutaj znanego nam misyonarza Owena rozpoczął natychmiast przy jego pomocy układy. Dingan zgodził się natychmiast na odstąpienie im części swoich posiadłości, ale położył za warunek, ażeby Retief odebrał i zwrócił mu znaczną liczbę bydła, zabraną przed niejakim czasem przez naczelnika

Sikongelę, mieszkającego wówczas nad rzeką Caledonem, w dzisiejszym kraju Basuto.

Retief wyruszył natychmiast w drogę, a Sikongela oddał swą zdobycz dobrowolnie. W kilka tygodni potém ukazał się Retief na dworze Dingana na czele siedmdziesięciu doskonale uzbrojonych towarzyszy z kilkudziesięciu Hottentotami. Gdy warunek postawiony przez Dingana został przez Retiefa spełnionym, nie pozostawało nic innego do czynienia, jak podpisać ugodę i rozejść się w spokoju. Tak myśleli koloniści, ale okrutny Dingan inne w swém sercu nosił zamiary. Przyjmował on i ugaszczał boerów przez kilka dni u siebie; w ciągu tego czasu został kontrakt przy pomocy misyonarza Owena przygotowanym i 4 Lutego roku 1838 przez obie strony podpisanym. Nazajutrz rano mieli koloniści wyruszyć w drogę, gdy już siedzieli na koniach Dingan zaprosił ich, ażeby weszli jeszcze do kraala i wypili z nim szklankę piwa na pożegnanie. Koloniści usłuchali i weszli wewnątrz, pozostawiwszy konie w rękach służących Hottentotów, a przy koniach i broń, bo zwyczaje Kafrów nie pozwalają wchodzić z bronią w ręku do przyjacielskiego kraala. Dingan wypił do Retiefa i ścisnął mu serdecznie rękę na pożegnanie, ale w chwili kiedy podawał mu szklankę napełnioną piwem, wykrzyknął: „bulula matagati,“ co znaczy mordować tych czarowników. Na ten okrzyk wysypały się z chat i zasieków hordy uzbrojonych Kafrów, a koloniści ujrzeli się otoczonymi przez tysiące rozwścieklonych wojowników. Rozpoczęła się okropna walka, któréj wypadek był łatwym do przewidzenia. Połowa kolonistów pozostała na miejscu, a połowę związano i zawleczono na pagórek, niedaleko mieszkania misyonarza Owena. Widział on na drugi dzień, jak im głowy ucinano. Ten sam los spotkał towarzyszących im Hottentotów. Z całéj wyprawy ani jeden człowiek przy życiu nie został.

Dingan postanowił korzystać ze zwycięstwa i rozesłał swych wojownikow po okolicy, ażeby wytępili resztę przybyszów. Rozwścieklone jego hordy napadły znienacka nieprzygotowanych boerów i okropne zadały im klęski. Obozy pod Blankranz i Weenen zostały w pień wycięte (ztąd nazwa drugiego miejsca znaczy „płacz“). Koczujący nad rzeką Buszmansriver, zawiadomieni o nieszczęściu przez jednego ze zbiegów, oszańcowali się w czworobok wozów i odparli szczęśliwie atak. Gdy wieść o tych wypadkach zaszła do Durban, angielscy osadnicy postanowili przyjść w pomoc swoim przyjaciołom i wysłali oddział 700 sprzymierzonych Kafrów, do których przyłączyło się kilkudziesięciu kolonistów pod naczelnictwem Biggara, ale cały ten oddział wprowadzony w zasadzkę prawie do szczętu wyniszczonym został: a gdy wojska Dingana zbliżyły

się do Durban, pozostali koloniści uszli zniszczenia jedynie w ten sposób, że schronili się na okręt „Kometę,“ który na szczęście w tę porę znajdował się w zatoce.

Gdy nowe siły nadciągnęły z za gór, koloniści utworzyli oddział 400 jeźdzców, pod przewodnictwem Uysa i Potigitera i wyruszyli przeciwko Dinganowi, ale i ten oddział, wprowadzony w zasadzkę, stracił prawie połowę ludzi, a reszta przebiwszy się przez szeregi czarnych rozproszyła się po okolicy. Dopiéro pod koniec tegoż roku zebrał się znowu drugi oddział 460 ludzi i zbliżywszy się pod stolicę Dingana obwarował się w otwartém polu. Dnia 16 Grudnia r. 1838 uderzyło na nich 10 do 12.000 czarnych; nowy system wojowania okazał się praktyczniejszym, bo atakujący straciwszy 3.000 ludzi poszli w rozsypkę, a koloniści wzięli szturmem stolicę i spalili ją. Na pagórku, gdzie egzekucya została wykonaną, znaleziono stos na pół przegniłych ciał, a jak wieść niesie, udało się nawet rozróżnić zwłoki Retiefa po skórzanéj torebce, jaką nosił na plecach i odszukać dokument podpisany przez Dingana.

Dingan uszedł na północ i próbował jeszcze po kilka razy szczęścia wojennego, ale bezskutecznie. Miał on młodszego brata Pandę, który, lękając się srogości tyrana, schronił się do Natalu chciał zawrzéć przymierze z kolonistami. Propozycye jego zostały przyjęte, a gdy i wielu Kafrów natalskich przeszło na stronę Pandy, utworzono oddział zbrojny, złożony z 4.000 czarnych i 400 boerów i wysłano na północ. Oddział ten stoczył niedługo bitwę z wojskami Dingana i odniósł świetne zwycięstwo; pobite wojska lękając się srogości tyrana przeszły po części na stronę Pandy, a Dingan ratował się ucieczką i, schroniwszy się do jednego z nieprzyjacielskich kraalów, poniósł śmierć skrytobójczą.

Panda oddał sprzymierzeńcom 3.600 sztuk bydła zdobytych na Dinganie i został przez nich mianowanym samodzielnym władcą Kafrów na północ od Natalu mieszkających (1840 roku). W roku 1843 kazał on zamordować swego młodszego brata Kluklu i, pozbywszy się rywala, starał się naśladować w rządzeniu państwem swoich poprzedników, ale zmiany polityczne postawiły Pandę w trudniejszém położeniu.

Poprzednicy jego wynagradzali swych wojowników bydłem, rabowaném w czasie wypraw wojennych; ale teraz natalscy Kafrowie przeszli pod opiekę Anglików, w skutek czego najważniejsze źródło zdobyczy zostało odciętém. W pułkach Pandy skazanych na bezczynność, a niekiedy na głód, zaczęło rozwijać się ogólne niezadowolenie; przytém król zaczął zapadać na zdrowiu i tyć ogromnie, stawał się coraz więcéj niewidzialnym dla ludu, nie zwoływał nigdy

rady i zaniedbywał sprawy państwa, a poddani jego przyszli w krótce do tego przekonania, że Panda nie jest królem według serca Zulów.

Tymczasem dwóch synów Pandy, Keczwejo i Umbulazi, doszło do pełnoletności, zaczęło gospodarować na swoję rękę i każden z nich prędko pozyskał wielką liczbę zwolenników. Wkrótce potém przyszło między nimi do nieporozumień, a gdy stary Panda zaczął przysposabiać młodego Umbulazi na swego następcę, Keczwejo zebrawszy znaczne siły napadł brata niespodzianie, pobił i rozproszył jego wojowników i jako zwycięzca kazał go zamordować a z nim pięciu innych braci. Niezadługo późniéj stary Panda umarł, a Keczwejo zajął jego miejsce i panuje do dziś dnia nad potężnym i niepodległym rodem Zulu.

Zapytają mnie może czytelnicy, jakie były dalsze losy boerów i czy utrzymali się w posiadaniu ziemi, którą krwią i łzami swemi okupili. Odpowiem w krótkości. Gdy po złamaniu potęgi groźnego Dingana i zawarciu sojuszu z Pandą, coraz większe gromady boerów zaczęły przybywać z za gór i sadowić się w Natalu: rząd angielski, widząc w tém uszczerbek dla staréj kolonii, postanowił przeszkodzić temu siłą i wysłał znowu oddziały wojska, które zajęły Natal. Przyszło do krwawych starć pomiędzy Anglikami i Holendrami, a skutek ich był taki, że ostatni wsiedli powtórnie na wozy i przebywszy góry Katlamba połączyli się ze swymi braćmi, którzy założyli republiki Oranje i Transwaalską. Ale i tutaj niedługo cieszyli się swobodą, bo rząd angielski zawistném patrzał okiem na rozwój samodzielnych państw holenderskich na granicy swych posiadłości i szukał tylko sposobności, ażeby tę pracę przerwać w samym zawiązku. Nadarzyła się ona wkrótce. W roku 1848 zajął rząd angielski kraj Oranje, motywując zajęcie to wybuchem wojny pomiędzy Kaframi i boerami, a w roku bieżącym z tegoż samego powodu i republikę Transwaalską.

Widziałem na własne oczy oburzenie, jakie powstało pomiędzy boerami na samę wieść o zamiarach Anglii. Ulegli oni chwilowo konieczności, bo nie czuli się na siłach, żeby z bronią w ręku stanąć w obronie praw swoich. Z chęcią uciekliby się oni do dawnego środka emigracyi i oddaliby drogo nabytą ziemię najezdzcom, ale emigracya w tym razie jest niemożebną, bo republika Transwaalska graniczy od zachodu z nieurodzajnemi obszarami pustyni Kalikari, od wschodu z posiadłościami niebezpiecznego Keczwejo, a od północy droga jest zamkniętą doliną rzeki Limpopo, ojczyzną muchy cece, która przebycie tych obszarów wołami czyni niemożebném.

Dr A. Rehman.

HERBERT SPENCER.

III.

Zasady Biologii.

Każdemu z czytelników musi się nasunąć uwaga, że jest nieco za nagłe przejście od *Pierwszych Zasad*, które rozwijają powszechne, najwyższe prawa, do jakich umysł ludzki dojść może w rozważaniu rzeczy, dostępnych naszemu poznaniu, do *Zasad Biologii*, które stosują te prawa powszechne do wytłómaczenia zjawisk życia, jak ono się objawia w postępowym szeregu bytów, zaczynając od pierwotniaków a kończąc na człowieku. Brakuje tu naturalnego stopniowania, pośrednich ogniw, jakichby mogło dostarczyć badanie ze stanowiska teoryi rozwoju świata nieorganicznego. Brak ten daje się uczuwać nie tylko pod tym względem, że nadweręża całość syntezy, która nie jest zupełną, gdy się w niéj pomija tak ważną część, jak rozwój świata nieorganicznego, ale więcéj jeszcze dla tego, że naraża samę teoryą autora na wiele nieporozumień. Jakkolwiek bowiem w Pierwszych Zasadach wiele znajduje się napomknień i pobieżnych uwag, które rzucają pewne światło na ważniejsze kwestye, odnoszące się do rozwoju nieorganicznego, z tém wszystkiém ani te uwagi wyczerpują rzeczy, ani dotykają wszystkiego, co wymaga bliższego wyjaśnienia, co jest koniecznym nawet do zrozumienia należytego kwestyj, należących do biologii. Lukę tę w budowie swego systematu i płynące stąd następstwa uznał wrychle sam Spencer, gdy po wydaniu swéj Biologii zmuszonym był odpowiadać na krytyki, które go oskarżały o rzeczy, o jakich mu się ani śniło. Na usprawiedliwienie Spencera można powiedzieć, że mając przed sobą tak olbrzymie zadanie jak usystematyzowanie wiedzy ludzkiéj, zadanie, które tyleż pracy i wytrwałości, ile nauki i głębokości myśli wymaga, wolno mu

było pominąć tę część ludzkiéj wiedzy, która w bieżącéj chwili lepiéj niż inne jest opracowaną i usystematyzowaną, a zabrać się do obrobienia części jéj dotąd zaniedbanéj, w któréj luźne tylko i niepołączone w całość znajdowały się materyały. Do téj ostatniéj należą właśnie nauki, traktujące o świecie organicznym. Wstępem do tych nauk, a możnaby nawet powiedziéć podstawą ich jest biologia. Od niéj też zaczyna Spencer swą filozofią szczególną, która powinna następować po ogólnéj, będącéj przedmiotem Pierwszych Zasad.

I. *Dane Biologii.* Cztery są główne pierwiastki wchodzące w skład ciał organicznych. Z nich węgiel znanym jest tylko w stanie zsiadłym; co się tyczy tlenu, wodoru i azotu, te do niedawna znane były tylko w stanie gazowym i dopiéro w roku przeszłym udało się je skroplić, a nawet doprowadzić do stanu zsiadłego. Trudność, z jaką te ciała dają się zgęszczać, dowodzi, że posiadają one nadzwyczaj wielką cząsteczkową ruchliwość, co zresztą potwierdzają i chemiczne ich własności. Z wyjątkiem tlenu, odznaczają się one wielką obojętnością chemiczną i powszechnie ulegają zmianom, znanym pod imieniem allotropizmu. Połączenia ich wyższego rzędu odznaczają się wprawdzie mniejszą cząsteczkową ruchliwością, jaka wynika z oscylacyjnego ruchu atomów; ale za to posiadają ruchliwość, jaką im zapewnia izomeryzm i polimeryzm, których istotę stanowi ciągła zmiana położenia przyległych atomów.

Cząsteczkowa ruchliwość ciał organicznych ważna jest z tego względu, że ona to stanowi główny warunek rozwoju, który, jak wiemy, zależy na podziale materyi i ruchu. Różnorodność składowych ciał jest drugim, nie mniéj ważnym jego warunkiem. Umożliwia ona segregacyą, która polega na tym fakcie, że jednostki różne, pod wpływem działającéj na nie siły, łatwiéj dają się odłączać od siebie, niż jednostki podobne. Otóż nie masz może większego przeciwieństwa nad to, jakie zachodzi między węglem, który posiada największą atomistyczną spójność, a wodorem, tlenem i azotem, które ją posiadają w stopniu jak najmniejszym; między tlenem, który po fluorze odznacza się największą chemiczną energią, a azotem, który jest najobojętniejszym ze wszystkich znanych dotąd pierwiastków.

W połączeniach wyższego rzędu owych pierwiastków ważną rolę odgrywają tak zwane *rodniki złożone*, którym zawdzięczają swój byt ciała koloidalne, stanowiące istotę ciał organicznych. Ciała koloidalne, odznaczając się właściwą sobie miękkością, zajmują pośrednie miejsce między ciałami płynnemi a krystalicznemi. Z wiel-

ką łatwością wciągają w siebie znaczną ilość wody, powiększając przytém swą objętość, jak również tracą ją szybko przez parowanie. Różnica ich od ciał krystalicznych polega głównie na tém, że te ostatnie rozpuszczają się w wodzie, gdy tymczasem z koloidalnych tylko niektóre i to z trudnością; że ciała koloidalne przenikają się wzajemnie tylko częściowo i bardzo powoli, gdy przeciwnie krystaliczne przenikają się nawzajem, bardzo szybko i zupełnie. Na téj to własności ciał koloidalnych opiéra się zdolność organizmów pozbywania się substancyj, które dla nich stały się bezużytecznemi, jak również ciągła wymiana pierwiastków, podział materyi i ruchu w organicznéj tkance, co wszystko stanowi główny warunek rozwoju, istotę życia.

Powyższym własnościom ciał koloidalnych potrzeba także przypisać i to, że organiczne istoty, tak rośliny jak zwierzęta, ulegają działaniu mechanicznych sił, które wywołują w nich pewne zmiany pod względem układu ich cząstek. Wiadomo powszechnie, jakim zmianom ulegają ciała organiczne pod wpływem ciśnienia i ciągnięcia. Nie mniéj energicznie działa na nie ciepło, które, budząc w nich parowanie, ułatwia im pozbywanie się wody i nasiąkanie nią na nowo, i w ten sposób umożliwia wymianę pierwiastków. Światło, lubo w stosunku do organizmów zwierzęcych mniejszą ma wagę, dla roślin stanowi, z małym wprawdzie wyjątkiem, konieczny warunek życia. Pod wpływem promieni słonecznych rozkładają liście pochłonięte przez się kwas węglany i wodę, przyczém zatrzymują węgiel i wodór, a wydalają tlen. Działaniu światła zawdzięczają rośliny wyrabianie się w nich chlorofilu, który im nadaje kolor zielony, jak również kwiaty rozmaitość swych kolorów. Czynnikiem atoli, który działa najsilniéj i jak największe spowodowuje zmiany w ciałach organicznych, jest powinowactwo chemiczne. Siłą owego powinowactwa działają tak gwałtownie trucizny, sprowadzają tak zbawienne zmiany lekarstwa; mocą tegoż powinowactwa dokonywają się takie sprawy organiczne, jak odżywianie i oddychanie.

Ciała organiczne, ulegając działaniu sił mechanicznych, które spowodowują w nich podział materyi, nie zachowują się biernie, lecz oddziaływając na siły stają się nawzajem przyczyną ich podziału.

Jednym z objawów takiego oddziaływania jest ciepło, które wywiązuje się w ciałach organicznych pod wpływem sił mechanicznych, a szczególniéj w skutek działania spraw chemicznych. Drugim objawem jest światło, a mianowicie fosforescencya, z którą spotykamy się tak w świecie roślinnym jak i zwierzęcym, a która jest następstwem utleniania się ciał organicznych. Elektryczność po-

wstaje również w skutek działania sił na ciała organiczne. Towarzyszy ona każdemu podziałowi materyi w organicznéj tkance, będąc prawdopodobnie następstwem tarcia o ściany naczyń krwionośnych różnorodnych substancyj. Co się tyczy elektryczności, z jaką spotykamy się u drętwy i u węgorza elektrycznego, powstaje ona niezawodnie pod wpływem siły nerwowéj i jest jéj przemianą. Ciepło, światło i elektryczność powstają zarówno w ciałach organicznych i nieorganicznych. Oprócz nich jest jeszcze siła, właściwa pewnéj tylko części ciał organicznych, siła, któréj nie można brać za jedno z jakąkolwiekbądź inną. Jest to siła nerwowa, którą znajdujemy we wszystkich zwierzętach, wyjąwszy najniższe. Objawia się ona pod wpływem wszystkich czynników działających na organizm, jak np. ciśnienie, ciepło, światło, elektryczność itd. Że siła nerwowa powstaje skutkiem cząsteczkowego ruchu, wywołanego w nerwach, że zatém jest pewnym rodzajem zmiany w układzie tych cząsteczek, dowodzą tego liczne fakta. Lecz czy nie jest ona czémś więcéj nad to? Odpowiedzi na to dać obecnie niepodobna.

Najważniejszém atoli oddziaływaniem, jakie w organizmach wywołują czynniki otoczenia, jest ruch tychże organizmów. Ruch ten, stanowiący istotną cechę zwierzęcych organizmów, nie jest obcym i roślinom. Pomijając w tych ostatnich krążenie soków, dość przytoczyć takie rośliny, jak czułek, lub mięsożerne, w których dostrzegamy ruch jednych części względem drugich.

Wymienione powyżéj oddziaływania stwierdzają zasadę trwałości siły, o któréj mówiliśmy w *Pierwszych Zasadach*, a mianowicie, że ilość zużytéj przez organizm siły jest równoważną sile, jaką ów organizm odebrał z zewnątrz.

Obeznanie się z zasadniczemi faktami biologii pozwala nam odpowiedzieć na pytanie, które teraz dopiéro możemy sobie zadać: czém jest życie? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa, czego dowodem są wszystkie podawane dotąd określenia życia, z których żadne nie wytrzymuje ścisłéj krytyki.

Ażeby odpowiedzieć na powyższe pytanie, musimy się zastanowić, jakie to są ogólne cechy, stanowiące istotę życia.

Piérwszą cechą wszelkiego życia jest przedewszystkiém *zmiana* równoczesna i następująca po sobie. Nadto zmiana ta musi być różnorodną, a właściwie musi być kombinacyą różnorodnych zmian, lecz nie kombinacyą jakąkolwiek, ale wyraźną, ściśle określoną pod względem swéj natury. W ten sposób możnaby odpowiedzieć, że życie jest *określoną kombinacyą różnorodnych zmian współczesnych i następujących po sobie.* Odpowiedź to wszakże niedostateczna, wyklucza ona pewną właściwość życia i to najgłówniejszą, o jakiéj nam

świadczą oddziaływania, wywoływane w organizmach przez zewnętrzne czynniki. Właściwością tą jest przystosowywanie się życia do otoczenia, czyli *ustalanie się odpowiedniości między zmianami wewnętrznemi a zewnętrznemi.* Uwzględniwszy tę właściwość, możemy teraz z całą ścisłością odpowiedzieć, że życie jest: *określoną kombinacyą różnorodnych zmian współczesnych i następujących po sobie, zostającą w stosunku ze zmianami współczesnemi i następującemi po sobie w świecie zewnętrznym.*

Łatwo pojąć, że w miarę, jak ów stosunek, owa odpowiedniość między zmianami wewnętrznemi a zewnętrznemi staje się dokładniejszą, samo życie dostępuje wyższego stopnia rozwoju. Wniosek ten, wyprowadzony a priori, potwierdza obserwacya, która wykrywa, że im istota organiczna wyższe zajmuje miejsce w szeregu żyjących istot, tém doskonalszém jest jéj przystosowanie się do otoczenia, tém ściślejszy, dokładniejszy zachodzi stosunek między zmianami, jakie w niéj zachodzą, a zmianami, jakie odbywają się zewnątrz niéj.

To pojęcie życia zgadza się najzupełniéj z pojęciem rozwoju, wyprowadzoném w „*Pierwszych Zasadach*.“ Przystosowywanie się organizmu do otoczenia, ustalanie się coraz dokładniejszéj odpowiedniości między zmianami wewnętrzemi a zewnętrznemi nie jest czém innéni, jak równowagą niestałą rozwoju, który tém wyższego dostępuje stopnia, im równowaga ta staje się doskonalszą.

Obeznawszy się z danemi biologii, wyrobiwszy sobie należyte pojęcie o życiu, możemy teraz z łatwością oznaczyć, co ma być przedmiotem biologii, jaki jest zakrés jéj badań. Przedmiotem biologii są sprawy żywotne, jak one się objawiają w ciałach żyjących, roślinach i zwierzętach. Zadaniem jéj jest wytłómaczyć wszystkie zjawiska, towarzyszące sprawom żywotnym, wykazać wszystkie warunki i następstwa tych spraw, dokonywających się w ciałach żyjących pod wpływem zewnętrznych okoliczności, czyli otoczenia, wśród którego się znajdują. Przedmiot zatém biologii rozpada się na następujące działy.

I. Wykład zjawisk odnoszących się do budowy organizmów, rozważanych bądź z osobna, bądź w rodowém ich następstwie (Morfologia i Embryologia).

II. Wykład zjawisk odnoszących się do spraw żywotnych organizmów bądź z osobna, bądź w rodowém ich następstwie. (Fizyologia i Psychologia).

III. Wykład działania, jakie budowa organizmów wywiera na ich sprawy żywotne, i oddziaływania, jakie sprawy żywotne wywierają na budowę organizmów. Do tego działu odnoszą się badania Darwina nad pochodzeniem gatunków.

IV. Wykład zjawisk odnoszących się do genezy organizmów, do ich powstawania i rozradzania się.

Taki jest naturalny podział biologii, ale biologii, nie jaką ona jest dzisiaj, lecz jaką będzie, doszedłszy zupełnego swego rozwoju. Do wypełnienia wszystkich tych działów brakuje dziś materyału. To też w wykładzie biologii niepodobna trzymać się powyższéj klasyfikacyi. Porządek wykładu musi się zgadzać z obecnym stanem nauki, i dla tego musi przedewszystkiém zacząć od przedstawienia uogólnień, do jakich doszli w drodze doświadczenia naturaliści i fizyologowie.

II. *Indukcyjne wywody Biologii.* Jednėm z najważniejszych uogólnień do jakich dochodzimy w drodze doświadczalnéj, jest *wzrastanie* organizmów. A jakkolwiek nie stanowi ono wyłącznéj właściwości ciał organicznych, gdyż i ciała nieorganiczne wzrastają, powiększają swą objętość, jak np. kryształy, z tém wszystkiém wzrastanie ciał organicznych różni się od wzrastania nieorganicznych pewnemi cechami, które mu odrębny nadają charakter. Wzrastanie ciał organicznych ma pewną, mniéj lub więcéj stałą dla każdego rodzaju granicę, którą wyjątkowo tylko przekracza i która zależy od wielu warunków. I tak, wzrastanie to tém większych dosięga granic, im doskonalszą, bardziéj złożoną jest budowa ciał organicznych; im większą obfitość pokarmów mogą te ciała spożywać; im mniéj w stosunku do spożywanych pokarmów zużywają siły, czyli im ciaśniejszy jest zakres ich ruchów; a nareszcie, im większą bywa początkowa ich wielkość, w stanie ziarna, jaja lub nowonarodzonéj istoty. Warunki te w rzeczywistości spotykając się z sobą, krzyżują się i wzajemnie ograniczają w różnym stopniu i na rozmaity sposób. Dla tego też, stosując powyższe uogólnienia, bądź do jednostek, bądź do całych gatunków, powinniśmy pamiętać, że każde z nich jest prawdziwém tylko przecięciowo, w przypuszczeniu, że wszystkie inne warunki są te same.

Wzrastaniu ciał organicznych towarzyszy *rozwijanie się* ich pod względem budowy. W rozwijaniu się organicznych istot potrzeba odróżnić dwie strony, zewnętrzną i wewnętrzną. Rozważane w zewnętrznéj swéj formie, rozwijanie się organizmów bywa albo *środkowém*, albo *osiowém*. Cechą pierwszego jest układanie się części organizmu symetrycznie około środka; drugiego, symetryczne układanie się części w stosunku do osi, przyczém występuje mniéj lub więcéj wyraźnie różnica pod względem wymiaru długości i szerokości organizmu. Rozwijanie się środkowe, właściwe tworom niższego rodzaju tak z państwa roślinnego jak i zwierzęcego, bywa albo *jednośrod-*

kowem, którego typ przedstawia nam pojedyńcza komórka i którego przykład w państwie roślinném przedstawia zaledwie volvox globator, w państwie zaś zwierzęcém — niewielka grupa pierwotniaków, znana pod nazwiskiem thalassicola; albo téż *wielośrodkowém*, w którém części organizmu nie mają wspólnego środka, jak np. wodorosty, niektóre gatunki porostów i grzybów z pomiędzy roślin i liczne gąbczaki z pomiędzy zwierząt. Rozwijanie się wielośrodkowe jest powszechne u pierwotnych roślin (protophyta) i zwierząt (protozoa).

Właściwą cechą tworów wyższego rzędu jest rozwijanie się osiowe, które daje się już w części dostrzegać nawet u protophytów i protozoów. Bywa ono albo *jednoosiowém*, albo *wieloosiowém*. Zwierzęta wyższego rzędu, jak np. kręgowce, rozwijają się w kierunku jednoosiowym; przykładów zaś rozwijania się wieloosiowego dostarczyć nam mogą tylko niektóre gatunki niższych zwierząt. Dzieje się przeciwnie w świecie roślinnym. Tu rozwijanie się wieloosiowe jest właściwe wyższym gatunkom, niższym zaś—rozwijanie się jednoosiowe.

Rozwijanie się organizmów, rozważane w wewnętrznéj swéj formie, przedstawia się nam jako przemiana niespójnéj, nieokreślonéj jednorodności w różnorodność zjednoczoną i określoną. W rozwijaniu się tém cztery dają się odróżnić kształty. Komórki zrazu podobne do siebie stają się rożnemi, w miarę jak się dokonywa rozwój. Rozmaite tkanki, powstające w skutek skupiania się różnych gatunków komórek, coraz więcéj wyróżniają się od siebie; pojedyńcze części organizmu, zarówno jak i zewnętrzna jego forma, początkowo bardzo proste i niewiele się różniące od kształtów ciał nieorganicznych, stają się coraz więcéj złożonemi i mniéj podobnemi do innych kształtów. W tym samym czasie i te części organizmu, których tamte były tylko członkami, przyjmują budowę coraz więcéj złożoną, bardziéj rozmaitą, stanowczo odróżniającą je od reszty. W ten sposób organizm, rozważany w swéj całości, w miarę dokonywającego się w nim rozwoju, staje się coraz bardziéj różnorodnym.

W wewnętrzném rozwijaniu się organizmów bardzo ważną odgrywa rolę prawo Baera. Powiada ono, że wszystkie organizmy w pierwszéj dobie swego istnienia, jako zarodki, są podobne do siebie, że stopniowe rodzajowe wyróżnianie się ich następuje dopiéro późniéj. I tak zarodek rośliny i człowieka zrazu niczém się nie różnią od siebie. Pierwsza zmiana, jaka zachodzi w budowie ludzkiego zarodka, stanowi charakterystyczną cechę istoty zwierzęcéj, odróżniającą ją od roślinnéj; przy następnéj zmianie zarodek ludzki przybiéra cechę właściwą zwierzętom kręgowym i t. d.

Zastanawiając się nad stosunkiem, jaki zachodzi między organizmem a otoczeniem, wśród którego organizm ów żyje, wykrywamy prawo, że im który organizm mniéj się wyróżnia od otoczenia pod względem wewnętrznéj swéj budowy, kształtu, chemicznego składu, właściwego ciężaru, temperatury i samorzutnéj ruchliwości, tém jest bierniejszym w stosunku do zmian swego otoczenia i przeciwnie, w miarę, jak organizm objawia energiczniejsze oddziaływanie na zmiany otoczenia, odróżnianie się jego od otoczenia jest wyraźniejszém i dokładniejszém. To samo prawo dostrzega się i w stosunku między otoczeniem a pojedyńczym organizmem, rozważanym w kolejnych dobach jego rozwoju. Im więcéj jaki organizm jest rozwiniętym, tém bardziéj uwydatnia się różnica między jego samodzielnością a bezwładnością otoczenia.

Czy *sprawy żywotne* są przyczyną, czy skutkiem wewnętrznéj budowy organizmu? Innemi słowy, czy życie spowodowuje organizacyą, czy organizacya życie? Jest tó pytanie, na które trudno odpowiedzieć, a to dla tego, że w zwykłym porządku rzeczy organizacya i życie skojarzone są z sobą w ten sposób, że jedno bez drugiego zdaje się nie może istniéć, że rozwój lub upadek jednego pociąga za sobą odpowiednią zmianę w drugiém.

Różne są rodzaje spraw żywotnych. Rozważane w swéj całości, przedstawiają one najprzód podział sił *statycznych* i *dynamicznych*; do piérwszych należy opór, jaki organizm przeciwstawia zewnętrznym siłom za pomocą swych części stałych, drewna w roślinach, kości w zwierzętach. Do dynamicznych należy najprzód nagromadzanie siły za pomocą odżywiania się i oddychania, zużywania siły za pomocą czynności nerwowych i mięśnionych i nareszcie przenoszenie siły za pomocą obiegu krwi i limfy. Oprócz tego są jeszcze sprawy pomocnicze, drugorzędne, za pomocą których organizm pozbywa się wytworów rozkładu. To są wydychanie i wydalanie.

Złożoność spraw żywotnych odpowiada jak najściśléj złożoności wewnętrznéj budowy organizmu. Im organizm jest prostszym, tém mniéj złożonemi okazują się i jego sprawy żywotne. Podobnie jak organa wytwarzają się przez stopniowe urozmaicenie się pod względem swéj budowy, stając się coraz bardziéj różnorodnemi i dokładniéj oznaczonemi; tak samo i sprawy żywotne objawiają się zrazu jako czynność, któréj charakterystyczną cechą jest prostota i nieokreśloność i która dopiéro późniéj stopniowo staje się złożoną i wyraźną, skutkiem dokonywającego się w niéj fizyologicznego podziału pracy. W każdym razie ów podział pracy, sprowadzający różnorodność w sprawach żywotnych, nie znosi, nie zrywa bynajmniéj wzajemnéj zależności spraw żywotnych. Przeciwnie, w miarę rozwoju or-

ganizmu, odpowiednio do ustalającéj się w nim różnorodności pod względem budowy i spraw żywotnych, coraz ściślejsze następuje zjednoczenie tych spraw i coraz większa zależność ich od siebie. Co więcéj, sama pierwotna wspólność fizyologicznéj pracy pozostaje do pewnego stopnia nienaruszoną. Pojedyncze tkanki i organa, wykonywające szczególną jakąś czynność, zdolne są w danym razie wykonywać inną czynność. W roślinach np. liście, których funkcyą stanowi pochłanianie kwasu węglowego i jego rozkładanie, mogą w zastępstwie korzeni, wsiąkać także wodę. Człowiek, pozbawiony słuchu, może słyszéć całém ciałem za pomocą rozchodzącego się w niém wibracyjnego ruchu.

Zużywanie się organizmu i jego *odnawianie* w małym tylko stopniu dają się dostrzegać w roślinach. Co się tyczy zwierząt, to w nich zużywanie się tkanki zostaje w prostym stosunku do ich ruchliwości. U zwierząt, mających krew ciepłą, a więc ruchliwszych od tych, które posiadają krew zimną, zużywanie się tkanki organicznéj, zarówno jak i jéj odnawianie jest szybsze i widoczniejsze. Zużywanie się i odnawianie, dwie sprawy wręcz sobie odwrotne, towarzyszą sobie w ciągu życia tak podczas czuwania, jak i we śnie, w czasie pracy i odpoczynku, jakkolwiek w różnym stopniu energii, z przewagą to jednego, to drugiego po kolei. O ile zużywanie się tkanki zależném jest od ruchliwości organizmu, o tyle odnawianie się jéj—od jego spoczynku.

Jest jeszcze inny rodzaj odnawiania się organizmu, a mianowicie zabliźnianie się ran i odrastanie utraconych członków. Ten rodzaj odnawiania się właściwém jest tylko zwierzętom, w roślinach z niém się nie spotykamy. Objawia się on z największą energią w ustrojach niższych, daleko zaś słabiéj w ustrojach, mających wyższą organizacyą. Ścisła zależność, jaką dostrzegamy między odnawianiem się organizmu a jego zużywaniem się, zgadza się z zasadą trwałości siły, a mianowicie, że ilość siły, zużytéj przez organizm, musi być równoważną ilości siły, jaką on zewnątrz przyjął. Co się tyczy odtwarzania się uszkodzonych części organizmu, to pod tym względem zachodzi ścisłe podobieństwo ze zjawiskiem, dostrzeganém w kryształach, które, mając utrącony wierzchołek, odzyskują go, gdy się je włoży w roztwór, z jakiego powstały. Własność ta kryształów przypisuje się polarności atomów, stanowiących jednostkę chemiczną. Dla wyjaśnienia analogicznego zjawiska w organizmach należałoby chyba przyjąć podobnąż polarność *jednostek fizyologicznych.*

Ponieważ w roślinach zużywanie się i odnawianie ich tkanek jest prawie żadne, dla tego téż części ich już wytworzone nie podlegają *przystosowywaniu się;* podlegają mu tylko części młode, wy-

twarzające się dopiéro. Rzecz się ma inaczéj w świecie zwierzęcym. Tu każdy organizm, tak w dobie dojrzałości jak i dojrzewania, z mniejszą lub większą łatwością przystosowuje się do nowych warunków pod jakiemi działać jest zmuszonym. Zmiany, wywołane tém działaniem, bywają albo czasowe, albo stałe, stosownie, czy samo działanie trwa pewien przeciąg czasu, czy ciągle i bez przerwy. Atleta zawdzięcza rozwinięciu się swéj muskulatury ciągłéj wprawie; ale jeżeli przez dłuższy czas zaniecha swych zwyczajnych ćwiczeń, nadmierny rozwój mięśni powraca do stanu normalnego. Ogólną zasadą przystosowywania się organizmu jest, że nadmiar czynności, pociągając za sobą nadmiar zużycia, sprowadza jednocześnie równoważne odnawianie się, nadmiar wzrastania. W każdym razie dla wszelkich zmian jest pewna granica, któréj organizm przekroczyć nie może. Zmiana bowiem pewnego narządu zależną jest od współdziałania innych, z tamtym jednę całość stanowiących; to zaś współdziałanie zależném jest ze swéj strony od ilości materyi i siły, jaką organizm, stosownie do wewnętrznéj swéj budowy, zdolnym jest sobie dostarczyć. Przystosowywanie się, dokonywając się powoli i sprowadzając zmiany stałe, które mogą się zamienić w dziedziczne, wyjaśnia zagadkę pochodzenia gatunków. Cała tajemnica téj zagadki sprowadza się do prawa następującego, a mianowicie, że głównemi czynnikami, sprowadzającemi rozmaitość form tak w świecie roślinnym jak i zwierzęcym są: działanie wewnętrznéj budowy organizmu na jego sprawy żywotne i oddziaływanie spraw żywotnych na wewnętrzną budowę.

Co to jest *indywiduum?* Czy np. drzewo, posiadające konary i gałęzie, jest osobnikiem, czy ich zbiorem? Na to pytanie niemałéj wagi w różnych czasach różną dawano odpowiedź; wszystkie atoli dotychczasowe określenia, za pomocą których starano się wyjaśnić je sobie, okazały się niedostatecznemi, uwikłanemi w mnogie sprzeczności. Odpowiedzi na to potrzeba szukać w pojęciu życia w ogóle. Wiadomo nam, że życie jest określonym układem różnorodnych zmian wewnętrznych, zarazem współczesnych i następujących po sobie, zostających w ścisłéj odpowiedniości ze zmianami współczesnemi i następującemi po sobie w świecie zewnętrznym. Otóż osobnikiem (indywiduum) biologicznym będzie całość rzeczywista, konkretna, posiadająca budowę, która w odpowiednich warunkach pozwoli jéj przystosowywać ciągle swe wewnętrzne stosunki do stosunków zewnętrznych w celu utrzymania w równowadze swych spraw żywotnych.

Wiedząc czém jest osobnik, możemy teraz zająć się sprawą rozmnażania się, *rozradzania*. Sposoby rozradzania się istot organicz-

nych są różne. Pierwszy sposób, w którym potomstwo podobném jest do swych rodziców, nazywa się *homogenezą*; drugi, w którym potomstwo nie jest podobném i dopiéro w następnych pokoleniach wraca do piérwotnego typu, nazywa się *heterogenezą*. Piérwszy sposób rozradzania się jest *gamogenetyczny*, płciowy, w którym następujące po sobie pokolenia, podobne do siebie, składają się z osobników płci męzkiéj i żeńskiéj. Właściwym on jest samym tylko zwierzętom i to przeważnie wyższego ustroju. Bywa on albo *żyworodnym*, jak u ssaków, albo *jajorodnym*, jak u ptaków, albo *jajo-żyworodnym*, jak u niektórych ryb i płazów. W heterogenezie zazwyczaj *agamogeneza*, t. j. powstawanie z rodziców o oddzielnéj płci istot bezpłciowych, rozradzających się przez *pączkowanie*, przeplataną bywa w krótszych lub dłuższych czasu odstępach przez gamogenezę. Rozróżniają jeszcze w tym sposobie rozradzania się następujące gatunki: *metagenezę*, *parthenogenezę i pseudo-parthenogenezę*.

Wiemy już z *Pierwszych Zasad*, że istotę rozwoju stanowi skupianie, jednoczenie; cóż stanowi istotę rozradzania się? Oto dzielenie się, rozpadanie. Widocznem to się staje w ustrojach niższego rzędu, między któremi znajdujemy przykłady, że rodzicielski organizm rozpada się na części i z tych osobne wytwarzają się osobniki. Charakter ten zaciéra się w organizmach wyższego rzędu, nie mniéj przecież i w nich rozradzanie się odbywa kosztem rodzicielskich organizmów. Pomijając bowiem rozradzanie się przez pączkowanie, w którém powyższy charakter jest zbyt widocznym, nie co innego dzieje się i w rozradzaniu gamogenetyczném, którego istotę stanowi jednoczenie się, zespalanie się dwóch komórek, wydanych przez osobne rodzicielskie organizmy.

Przypuszczano dawniéj, że komórki te mają szczególną, odpowiednią swemu przeznaczeniu organizacyą; przekonano się dziś, że rzecz się ma wcale przeciwnie, że jeżeli się różnią one czém od innych komórek, to tém tylko, że nie mają właściwie żadnéj szczególnéj organizacyi, że jak najmniéj odstąpiły od piérwotnego typu komórki.

Razważanie sprawy rozradzania się każdemu musi nastręczać pytania: jaka jest przyczyna, że jedne organizmy rozmnażają się sposobem homogenetycznym, gdy tymczasem inne hoterogenetycznym? Dla czego agamogeneza w pewnych odstępach czasu przemienia się w gamogenezę? Ważne to są pytania bez wątpienia; ale na nie biologia w dzisiejszym swym stanie nie może dać pewnéj odpowiedzi. Co najwięcéj może ona wskazać tylko, w jakim kierunku szukać jéj potrzeba.

Liczne przykłady hoterogenetycznego rozradzania się wskazują, że agamogeneza trwa zwykle tak długo, pokąd siły, sprowadzające rozrastanie organizmu, przeważają znacznie nad siłami, wzrastaniu przeciwnemi, i odwrotnie, skoro występują warunki mniéj sprzyjające wzrastaniu, natenczas powraca gamogeneza. Na téj podstawie można wyprowadzić wniosek, że głównym warunkiem gamogenetycznego rozradzania się jest stan organizmu, zbliżający się do równowagi między siłami, które sprzyjają wzrastaniu, a siłami, które są mu przeciwne.

Dziedziczność. Zasada dziedziczności w ogólnym swym charakterze znana jest każdemu. Każdy wié, że ani koń nie zrodzi wołu, ani kura gołębia. Niezawodnie, że z tą zasadą, na pozór tak jasną i prostą, zdają się zostawać w sprzeczności zjawiska rozradzania się heterogenetycznego, w którém dzieci bynajmniéj nie są podobne do swych rodziców. Zważywszy atoli, że jak w homogenezie jednostki podobne są do swych rodziców, tak tu jedna grupa form, następujących po sobie, podobna jest do grupy form ją poprzedzających, zgodzić się musimy, że heterogeneza nie stanowi bynajmniéj wyjątku pod względem dziedziczności.

Jakie są granice dziedziczności? Zdania w téj kwestyi różnią się między sobą. W każdym razie liczne fakty dowodzą, że dzieci po swych rodzicach odziedziczają nie tylko te cechy, które odróżniają rodzaje i gatunki, ale i te, które stanowią podstawę różnych odmian.

Zjawiska dziedziczności można podzielić na dwie grupy: do jednéj należą fakty, w których rodzice przekazują swym dzieciom właściwości, posiadane od urodzenia; do drugiéj—fakty, w których rodzice przekazują swym dzieciom właściwości nabyte w ciągu życia skutkiem zmian, sprowadzonych przez wykonywaną stale jakąś czynność. Oprócz tego są jeszcze dwa inne objawy dziedziczności: *atawizm*, czyli powrót do rysów, właściwych dalszym przodkom, i ograniczenie dziedziczności do téj saméj płci, t. j. odziedziczanie pewnéj właściwości po ojcu przez synów, po matce przez córki.

Byłoby za wiele wymagać dzisiaj od biologii, ażeby nam wytłómaczyła zjawiska dziedziczności. Kto więc nie chce poprzestać na samych faktach, musi chyba przyjąć hipotezę, która ma tę zaletę, że lepiéj jak każda inna tłómaczy zjawiska dziedziczności.

Nikt nie zaprzeczy, że jest ścisła analogia między dziedzicznością a ową własnością organizmów, mocą któréj zdolne są one odtwarzać utracone części. Własność ta jest dla nas niezrozumiałą, jeżeli nie przyjmiemy, że jednostki, z których składa się organizm, posiadają wrodzoną dążność do układania się podług formy temu

organizmowi właściwéj. Jednostki te, które nazwaliśmy *jednostkami fizyologicznemi*, a które są czémś nakształt cząsteczek fizycznych (molekuł), muszą mieć właściwą sobie biegunowość, odpowiednią wewnętrznéj swéj budowie. Otóż mocą téj biegunowości każda jednostka fizyologiczna zmuszona jest przyjąć kształt rodzaju, do którego należy. W zapłodnionym zarodku znajdują sie dwie grupy owych jednostek fizyologicznych, lekkie tylko posiadających różnice pod względem wewnętrznéj swéj budowy. Musimy więc wnieść, że podobieństwo dziedziczne organicznéj istoty do jednego ze swych rodziców jest wypadkiem szczególnéj dążności, jaką posiadają fizyologiczne jednostki, pochodzące od tych rodziców. W ten tylko sposób daje się wytłómaczyć odziedziczanie tak cech rodzajowych, jak i indywidualnych, tak wrodzonych, jak i nabytych w ciągu życia przez rodziców.

Zmienność jest własnością organizmu, która wprawdzie nie znosi praw dziedziczności, zawsze przecież ogranicza je do pewnego stopnia. Jéj to przypisać należy, że nie masz dwóch liści na drzewie, któreby do siebie zupełnie były podobne, że między dziećmi jednych rodziców dostrzega się nieraz wielkie różnice. Granice téj zmienności są rozległe. Poczynają się one od lekkich i nieznaczących zboczeń, a kończą się na potwornościach wszelkiego rodzaju. Jaka jest przyczyna zmienności? Doświadczenie i obserwacya uczy nas, że organizmy zostające w stanie dzikim, a więc odznaczające się jednorodnością, najmniéj dostarczają przykładów zmienności; że przeciwnie jest ona pospolitą w organizmach, które uległy domowemu hodownictwu, które zatém odznaczają się różnorodnością tak pod względem budowy jak i spraw żywotnych. To nam pozwala wnosić, że piérwszą i zawsze czynną przyczyną zmian w wewnętrznéj budowie organizmów, stanowiących istotę ich odmian, jest zmiana w sprawach żywotnych, spowodowana koniecznością przystosowania się organizmu do nowych warunków bytu.

Mówiąc o rozradzaniu się gamogenetyczném, powiedzieliśmy, że następuje ono wtedy, gdy organizm zbliża się do stanu równowagi między siłami sprowadzającemi rozrastanie, a siłami, wzrastaniu przeciwnemi. Twierdzenie to, dając nam odpowiedź na pytanie, kiedy następuje gamogenetyczne rozradzanie się, odpowiada także na pytanie, dla czego ono wtedy powstaje, a jednocześnie prowadzi nas do hipotezy, która tłómaczy nam mnóstwo zagadkowych zjawisk z zakresu rozradzania się, dziedziczności i zmienności organizmów.

W organizmie, zbliżającym się do stanu równowagi między siłami sprowadzającemi wzrastanie a siłami im przeciwnemi, następuje stan molekularny, zbliżający się do stanu równowagi między moleku-

łami, albo, ściśléj mówiąc, między jednostkami fizyologicznemi, wchodzącemi w skład organizmu. Organizm w ten sposób dosięga kresu swego rozwoju, który ustaje, skoro się ustali zupełna równowaga. Wystąpienie w téj dobie gamogenetycznego rozradzania się zamiast agamogenetycznego nie jest czém inném, jak potrzebą wywrócenia téj równowagi, sprowadzenia w zarodku molekularnéj ruchliwości przez połączenie z sobą fizyologicznych jednostek lekko różniących się od siebie, pochodzących od różnych osobników.

Wiadomo bowiem, że jeżeli skupienie jednostek podobnych do siebie łatwo układa się do stałéj równowagi, to przeciwnie, gdy w skład jakiego agregatu wchodzą jednostki różnorodne, równowaga w nim ustala się z trudnością, i łatwo może być naruszoną przez jakąkolwiek działającą nań siłę.

Niepodobna wdawać się nam w bliższy wywód téj hipotezy, ani też przytaczać licznych przykładów na jéj stwierdzenie; zwracamy tylko uwagę, że ona tłómaczy nam dokładnie, dla czego małżeństwa, zawiérane między bliskimi krewnymi, są albo bezpłodne, albo wydają potomstwo słabe na ciele i umyśle; dla czego krzyżowanie ras tak w hodowli roślin i zwierząt, jak i między ludźmi do najświetniejszych prowadzi rezultatów. Tak życie osobnika, jak i całego rodzaju utrzymuje się tylko przez nierówne i nie ustające nigdy działanie sił zewnętrznych na różne ich części. Równowaga niestała tak osobników jak i rodzajów, przeszedłszy w stałą, sprowadziłaby śmierć jednych i drugich, gdyby nie zewnętrzne siły, które działając na nie sprowadzają w nich pewne rytmicznie powtarzające się zboczenia, pewną ruchliwość molekularną, stanowiącą istotę życia.

Jednym z ważnych środków poznania jest *klasyfikacya*, która może mieć na celu albo poznanie przedmiotu, albo organizacyą wiedzy. Dwa są rodzaje klasyfikacyi: pierwotny, opiérający podział przedmiotów na zewnętrznéj jakiéjś, widocznéj ich własności, i późniejszy, który układa przedmioty podług kombinacyi cech mniéj widocznych, ale istotnych. Pierwszy rodzaj klasyfikacyi, zwany sztucznym, układa się szeregowo; drugi—naturalny—grupami, między któremi odróżniają główne i podrzędne. W ten sposób powstaje podział na klasy, rzędy, gromady, rodzaje, gatunki i t. d., stanowiące oddzielne, w pewnym, określonym stosunku do siebie zostające grupy. Trzeba w każdym razie pamiętać, że jak rozgraniczenie tych grup, tak i ich stosunek nie mogą być oznaczone z całą ścisłością, że klasyfikacya nawet najlepsza zawiérać musi wiele luk, wiele wątpliwości. Jakkolwiek bowiem zadaniem jéj jest uporządkowanie naszéj wiedzy, musi ona przecież zgadzać się w ogól-

nych swych zarysach z rzeczywistością, która bynajmniéj nie odznacza się ścisłą regularnością.

Klasyfikacya prowadzi nas do wykrycia bardzo ważnéj prawdy. Zastanawiając się nad cechami wspólnemi członkom grup piérwszego, drugiego, trzeciego i t. d. rzędu, spostrzegamy, że grupy bardziéj ogólne opiérają się na cechach, posiadających największą wagę pod względem fizyologicznym, że zaś cechy grup mniejszych, przez tamte objętych, mają pod tym względem mniejszą ważność, są podrzędnemi. Otóż nastręcza się samo przez się pytanie: skąd pochodzi cała ta rozmaitość w klasyfikacyi? Jak wytłómaczyć, że w organizmach pewnéj grupy obok pewnych cech znajdują się inne, nie zostające z piérwszemi w bezpośrednim stosunku? Dla czego cechy, właściwe grupom najobszerniejszym, najogólniejszym, są właśnie cechami istotnemi?

Zanim można będzie odpowiedziéć na te pytania, musimy wprzód rozpatrzéć się w kwestyi *rozmieszczenia* organizmów w przestrzeni i w czasie, przez pierwsze rozumiejąc rozmieszczenie geograficzne, przez drugie—geologiczne.

Dwie są główne przyczyny geograficznego rozmieszczenia: ujemna i dodatnia. Ujemną przyczyną nazywa Spencer warunki miejscowe tak organiczne jak i nieorganiczne, które swym wpływem zatrzymują organizmy na pewnym obszarze ziemi i nie dozwalają im po za jego granice się rozszerzać. Każdemu wiadomo, że są rośliny, które tylko w wodzie rosną, jak również są zwierzęta, które żyjąc w morzu nie mogą przejść do wód słodkich, ani téż długo zostawać na powietrzu. Stan powietrza, własności ziemi, obecność pewnych organizmów, mogą stanowić nieprzezwyciężoną przeszkodę w zajęciu pewnego obszaru przez jakiś gatunek bądź roślin, bądź zwierząt. Dla tego téż widzimy, że pewne organizmy przebywają zwykle w tych tylko miejscowościach, których warunki sprzyjają tym organizmom. Z drugiéj atoli strony postrzegamy, że nie wszystkie miejscowości, które sprzyjają pewnym organizmom, są przez też organizmy zajęte; że bardzo często w miejscowościach blisko siebie położonych i podobnych pod względem warunków, znajdują się organizmy wcale do siebie niepodobne, i przeciwnie w miejscowościach oddalonych i mniéj do siebie podobnych znajdują się gatunki pokrewne. Faktu tego nie może nam wytłómaczyć przyczyna ujemna, ani téż owa hipoteza, która przypuszcza, że piérwotnie każdy rodzaj organizmów był umieszczony w miejscowości najbardziéj mu sprzyjającéj. Tłómaczy go zaś najzupełniéj *migracya*, czyli właściwa wszystkim w ogóle organizmom dążność do przenoszenia się, do wkraczania na obce sobie terytoryum. Że migracya jest jedyną przyczyną powyższego faktu, stwierdza dokładnie ta okoliczność, że miejscowo-

ści sąsiednie i podobne, zamieszkane przez gatunki niepodobne, zwykle bywają oddzielone od siebie trudnemi, albo zgoła nieprzebytemi granicami; że przeciwnie miejscowości odległe i różne, zamieszkane przez gatunki pokrewne, nie nastręczają żadnych przeszkód w przenoszeniu się organizmów. Migracya stanowi właśnie drugą przyczynę, dodatnią, rozmieszczenia organizmów w przestrzeni.

Co się tyczy rozmieszczenia organizmów w czasie, to trzeba wyznać, że niewiele o niém wiemy. W każdym razie, o ile na to pozwalają geologiczne badania, możemy podać, jako pewniki, następujące twierdzenia: typy organiczne, które przetrwały w ciągu kilku następujących po sobie okresów geologicznych, uległy zmianom, przechodzącym granice gatunku i rodzaju, zmianom, zostającym w ścisłym stosunku pod względem swéj wielkości z długością okresów; obok typów, które przetrwały do naszych czasów od najdawniejszych okresów, pojawiały się w różnych odstępach czasu nowe typy. Skąd się one brały? Fakty na to nie dają żadnéj odpowiedzi. Daléj, w przeciągu długich okresów geologicznych wyginęło wiele gatunków, rzędów i t. d., które nigdy już więcéj nie pojawiły się; że fauna, zajmująca obecnie pewien obszar ziemi, jest blisko spokrewniona z fauną, która go zaludniała w okresach geologicznych. Dane te nastręczają nam wiele pytań, jak np. dla czego we wszystkich znanych nam okresach geologicznych, z wyjątkiem czwartorzędowego nie znajdujemy istot organicznych wyższych, podobnych do tych jakie dziś zamieszkują ziemię? Co znaczy wygasanie typów organicznych? Na te i tym podobne pytania odpowiedź się znajdzie w następującym rozdziale.

III. *Rozwój życia.* Poznawszy najważniejsze objawy życia oddzielnie, musimy je teraz zbadać w całości, jak one się przedstawiają bądź w pojedyńczym organizmie w ciągu jego życia, bądź w świecie organicznym, pojętym jako jedna nierozdzielna całość.

Wszelkie tłómaczenia, dotyczące tak wewnętrznéj budowy organizmów, jako téż ich spraw żywotnych, zależą całkowicie od pojęcia, jakie sobie wyrobimy o tém, w jaki sposób powstają wszystkie w ogóle ciała żyjące.

Pod tym względem mamy do wyboru dwie hipotezy: *szczegółowego stwarzania i rozwoju.* Chodzi tu mianowicie o rozstrzygnięcie pytania: czy liczne rodzaje i gatunki organizmów, tak istniejących dzisiaj, jako i tych, które istniały w czasach geologicznych, były stwarzane, każdy zosobna w różnych odstępach czasu, czy powstawały one z dawniéj istniejących drogą powolnego rozwijania się i przekształcania pod wpływem sił, które i dzisiaj są czynnemi? Dla rozwiązania tego pytania potrzeba zbadać, jak każda z tych

przypuszczalnych przyczyn działała dla wywołania na jaw form życia. W tym celu musimy odwołać się do faktów; one jedne mogą nam wskazać, która z powyższych hipotez jest prawdziwszą, zgodniejszą z prawami natury i bardziéj odpowiadającą wymaganiom rozumu.

Hipoteza *szczegółowego stwarzania* należy do szeregu mniemań, powstałych w najdawniejszych czasach, kiedy to ludzie, ubodzy w doświadczenie i o umyśle nie bardzo rozwiniętym, tworzyli sobie pojęcia o rzeczach albo całkiem z niemi niezgodne, albo jednostronne i ciasne. Większa część tych mniemań i pojęć, skutkiem nabytego doświadczenia i wzrastającéj oświaty, straciła wiarę u ludzi; można więc spodziewać się, że i reszta ich, trzymająca się jeszcze umysłu ludzkiego mocą rozmaitych węzłów, straci z czasem swą powagę i ustąpi miejsca prawdziwszym. Do téj właśnie reszty należy także hipoteza szczegółowego stwarzania, która co do swéj istoty, niczém się nie różni od sposobu widzenia rzeczy, upatrującego w piorunach, w burzy i chorobach objawy gniewu bożego. Hipoteza ta zresztą nie ma za sobą ani jednego faktu, na którymby się oprzéć mogła. Należy ona do szeregu owych pojęć symbolicznych, których cała czczość wykrywa się właśnie wtedy, gdy się o nich pragnie zdać sobie sprawę.

Jeżeli każdy rodzaj ma być dziełem osobnego aktu stwarzania, dla czegóż równie niém nie jest każdy osobnik? Przypuszczając, że każdy rodzaj zosobna był stwarzany, jako cząstka pewnéj całości, przypuścić także wypada, że Bóg działał z planem, w którym wszystko było obmyślane i przewidziane. Otóż w takim razie czyni się Boga odpowiedzialnym za wszystko, co jest w świecie złém i niepotrzebném, za cierpienia tak fizyczne jak moralne, którym istoty organiczne podlegają bez żadnéj zgoła ani dla siebie, ani dla swego gatunku korzyści. Dla czegóż Bóg nie stworzył istoty żyjące w sposób, któryby ich uczynił niedostępnemi cierpieniom? Czy dla tego, że nie chciał, czy dla tego, że nie mógł? Jak wytłómaczą nam zwolennicy szczegółowego stwarzania istnienie pasorzytów, których ilość wyrównywa większéj połowie wszystkich gatunków zwierzęcych, razem wziętych. Właściwych jednemu tylko człowiekowi pasorzytów jest do trzydziestu gatunków. Jeżeli każdy gatunek był stworzony z zamiarem i w pewnym celu, wypada, że albo człowiek, korona stworzenia, jest przeznaczonym na to od Boga, by żywił na sobie pewną ilość pasorzytów, albo, że Bóg naumyślnie stworzył te pasorzyty, ażeby dręczyły człowieka a nawet nieraz o śmierć go przyprawiały. Takie to są wnioski, do jakich prowadzi hipoteza szczegółowego stwarzania, wnioski niedorzeczne, zarówno przeciwne tak ro-

zmowi jak i uczuciu. Hipoteza ta, nic nie tłómacząca, wikłająca umysł w liczne sprzeczności bez wyjścia, musi ustąpić miejsca hipotezie *rozwoju*, która, tłómacząc wszystko, nie sprzeciwia się ani prawom naturalnym, ani rozumowi, ani uczuciom ludzkim.

Już to samo, że hipoteza rozwoju powstała w epoce wyższéj, niż kiedykolwiek przedtém oświaty i wśród ludzi, zajmujących pierwszorzędne w nauce stanowisko, przemawia na jéj korzyść. To też widzimy, że w krótkim czasie zyskała ona tak wielkie uznanie, jakiém może żadna inna hipoteza nie cieszyła się. Dziwić się temu nie można. O ile bowiem hipoteza stwarzania była pojęciem czysto symboliczném, nie mającém żadnéj podstawy rzeczywistéj, to hipoteza rozwoju jest pojęciem, utworzoném na podstawie licznych i każdemu do pewnego stopnia dostępnych faktów. W zasadzie jéj te same leżą zjawiska, które spostrzegamy w rozwijaniu się osobników tak roślinnych jak i zwierzęcych; ku jéj zrozumieniu potrzebne są te same czynniki, których działanie sprawdzamy w takich zjawiskach, jak dziedziczność, zmienność, przystosowywanie się organizmów. Że hipoteza rozwoju jedynie jest prawdziwą, przemawiają za tém dowody, jakich nam dostarczają klasyfikacya, embryologia, morfologia i rozmieszczenie organizmów geograficzne i geologiczne.

Pewnikiem jest dziś przyjętym, że cała rozmaitość, jaką widzimy w ludzkości i w mowie ludzkiéj, jest wypadkiem powolnego rozwoju. Otóż klasyfikacya plemion i języków uczy nas, że im pewne grupy tak ludzi jak i języków wcześniéj oddzieliły się od wspólnego pnia, tém większe są między niemi różnice, a mniejsze podobieństwo, i przeciwnie tém więcéj są do siebie podobne, im późniéj nastąpiło ich oderwanie się i rozchodzenie. Otóż to samo zupełnie widzimy i w klasyfikacyi roślin i zwierząt. Analogia sięga daléj. Takie grupy, jak rząd, rodzaj, gatunek, nie mają w naukach przyrodniczych ścisłego znaczenia, nie mają wyraźnych granic. To samo dzieje się i w klasyfikacyi języków i plemion ludzkich. Nie dość tego. Tak tu jak i tam w grupach rozchodzących się największe wykrywa się podobieństwo w ich członkach najniższych, ale nie najwyższych. Wszystkie te właściwości tylko teorya rozwoju zdoła wytłómaczyć.

W tym samym duchu przemawiają dowody, dostarczane przez embryologią. Prawo Baera staje się dla nas zrozumiałém tylko przez to, że występuje, jako konsekwencya hipotezy rozwoju. Porównajmy wszystkie fazy rozwoju, jakie przebywa zarodek od chwili swego poczęcia, z działami i poddziałami naszych klasyfikacyj, a dojrzymy analogią, którą tylko teorya rozwoju potrafi wytłómaczyć. Co więcéj, kiedy prawo Baera nie może wytłómaczyć takich

faktów, jak substytucya i zanikanie organów, metamorfoza niektórych owadów, to w świetle teoryi rozwoju stają się one zrozumiałemi.

Pod względem morfologicznym we wszystkich organizmach widzimy ten sam typ budowy, który wtedy tylko staje się zrozumiałym, gdy wszystkie gatunki, rodzaje i t. d. będziemy uważać jako odmiany, mające wspólne pochodzenie. Wewnętrzna budowa orgaganizmów świadczy ze swéj strony, że powstała ona drogą powolnego przechodzenia ze stanu jednorodnego w stan różnorodny. Jak nareszcie wytłómaczyć istnienie zaczątkowych narządów, nie tylko niepotrzebnych, ale często szkodliwych dla ogólnéj ekonomii życia, narządów podobnych do tych, jakie znajdują się w zupełném rozwinięciu w organizmach pokrewnych, jeżeli nie za pomocą hipotezy rozwoju?

Wiadomo nam, że geograficzne rozmieszczenie zwierząt nastręcza pewne trudności w jego wyrozumieniu, jeżeli nie przyjmiemy w zasadzie, że głównemi czynnikami pod tym względem były wpływy zewnętrzne i migracya organizmów. Otóż czynniki te bynajmniéj nie przemawiają na korzyść hipotezy stwarzania. Co się tyczy geologicznego rozmieszczenia organizmów, to jakkolwiek nasze o niém wiadomości są w tym stanie, że nie pozwalają na żaden dodatni wniosek, dają nam przecież zupełne prawo utrzymywać, że nie sprzeciwia się ono wcale teoryi rozwoju. Do pewnego stopnia nawet przemawia za nią. Nie tylko bowiem widzimy pewne podobieństwo między organizmami żyjącemi a zaginionemi, i to tém większe, im do późniejszych należą okresów geologicznych, ale co więcéj, między fauną żyjącą pewnego obszaru ziemi a fauną kopalną tego obszaru wykrywa się dość bliskie pokrewieństwo.

Teorya rozwoju, usiłująca wytłómaczyć powstawanie gatunków za pomocą naturalnych czynników, które są przyczyną powolnego gromadzenia się i zwiększania minimalnych zboczeń i zmian w organizmach, nie jest tak dalece nową. Na jéj ślady natrafiamy już w ośmnastym wieku. Pomijając historyczne szczegóły, wykazujące jéj tworzenie się i uzupełnianie, przechodzimy do najważniejszéj dla nas kwestyi: jakie są czynniki rozwoju? Przedewszystkiém wypada nam rozróżnić czynniki *zewnętrzne* i *wewnętrzne*.

Do piérwszych należą najprzód zmiany astronomiczne, jak: zmiany dnia i nocy, pór roku, zmiany wynikające z oscylacyi osi ziemskiéj, nareszcie zmiany jakim podlega orbita ziemska. Odbywając się peryodycznie, rytmicznym ruchem, pociągają za sobą odpowiednie zmiany w rozdziale ciepła i światła na powierzchni ziemi. Wpływając w ten pośredni sposób na organizmy, zmuszają je albo

do nowego przystosowywania się do zaszłych zmian w otoczeniu, albo do migracyi. Niemniejszą wagę mają zmiany geologiczne, skutkiem których na płaszczyznach powstają góry, gdzie był ląd stały tworzą się zbiorowiska wód, grunt przed tém jałowy staje się żyznym, i t. d. Zmiany te tworzą nowe warunki bytu dla istot organicznych, które musiałyby wyginąć, gdyby nie mogły przenieść się do miejscowości, bardziéj sobie sprzyjającéj, albo gdyby nie mogły przystosować się do nowych warunków. Geologiczne warunki w połączeniu z astronomicznemi pociągają za sobą zmiany meteorologiczne, które podobnyż wpływ wywiérają na tryb życia organizmów i ich wędrówki. Zważmy teraz, że byt pewnych organizmów zależnym jest jeszcze od obecności lub braku innych organizmów, a zrozumiemy, że organiczne warunki, zmieniając się skutkiem zmian nieorganicznych, niemało się przyczyniają także do przyśpieszenia, lub opóźnienia rozwoju pewnych organizmów, do nadania im tego lub innego kierunku. Śmiało można powiedziéć, że każdy gatunek organizmów przechodzi nieustannie do coraz to nowego otoczenia, które w nich wywołuje coraz to nowe zmiany, łączące się z sobą w sposób tak skomplikowany, że ich pojąć trudno. Zmiany, zaszłe w organizmach, wpływają ze swéj strony na czynniki zewnętrzne i stają się źródłem nowych zmian.

Wiadomo nam, że materya organiczna w skutek chemicznego swego składu posiada nadzwyczajną ruchliwość molekularną, która to ruchliwość, czyniąc każdy organizm podatnym na najmniejsze wpływy sił zewnętrznych, stanowi *wewnętzny czynnik* rozwoju. Temu to czynnikowi zawdzięczają organizmy swą zdolność, a możnaby nawet powiedziéć, swą dążność do przechodzenia ze stanu jednorodnego do różnorodnego pod względem wewnętrznéj swéj budowy. Każdy organizm, posiadając różne części, w różnym stosunku zostające do sił zewnętrznych, podobnież różniących się tak pod względem ilości jak jakości, podlega różnorodnemu tych sił działaniu i, przechodząc ze stanu jednorodnego w różnorodny, przybiéra pod względem wewnętrznéj swéj budowy coraz wyraźniejsze, bardziéj się różniące, ale jednocześnie ściśléj się łączące z sobą kształty. To samo dzieje się i z całemi gatunkami, składającemi się z osobników, które, ulegając odmiennym wpływom, tworzą odmiany i zboczenia, przekazywane drogą dziedziczności, i w ten sposób przedstawiają między sobą coraz większą rozmaitość, nadającą gatunkom charakter określonéj różnorodności. Jak daleko sięgają te zmiany, łatwo pojąć, gdy się zważy, że jak osobniki tak i różne ich grupy zostają pod wpływem zewnętrznych warunków, które ciągłym podlegają zmianom, coraz to nowe sprowadzają komplikacye w siłach czyn-

nych i tym porządkiem do zmian, wywołanych w organizmach poprzednio, dodają nowe. Ponieważ postępowe rozwijanie się organizmów jest skutkiem stosunku ich do sił zewnętrznych, przeto, gdzie ten stosunek mniéj sprzyja organizmom, tam i organizmy mniéj się rozwijają. Zresztą od działania sił, zmuszających organizmy do coraz większego wyróżniania się, mogą one uchylić się także za pomocą migracyi.

Wszelka zmiana dąży z konieczności do ustanowienia równowagi sił. W organizmach równowaga ta ustala się przez wytworzenie się w nich sił, któreby zdolne były zobojętnić działanie sił zewnętrznych. Zrównoważenie organizmów z otoczeniem dokonywa się dwojako: w sposób *bezpośredni* i *pośredni*. Sposób bezpośredni stanowi przystosowywanie się organizmów, w czém ważną także gra rolę dziedziczność. O przystosowywaniu się i dziedziczności mówiliśmy powyżéj. W sprawie bezpośredniego równoważenia się przyjmują udział te tylko części organizmów, które ulegają wpływom zewnętrznych warunków, zostają zaś po za obrębem tego równoważenia się inne części, których funkcye są wprawdzie konieczne dla równowagi, ale które nie podlegają działaniu zewnętrznych czynników. Sprowadzenie i tych innych części organizmu do równowagi dokonywa się za pomocą *naturalnego wyboru*, który stanowi sposób równoważenia pośredni. Zasada jego, po raz pierwszy rozwinięta przez Darwina i stanowiąca istotę jego teoryi, polega na tém, że w walce o życie te organizmy zwyciężają, które są obdarzone i wyjątkowo jakąś właściwością, przymiotem, zapewniającym im wyższość nad ich współzawodnikami. Zwycięskie jednostki, pozostałe przy życiu, przekazują drogą dziedziczności swemu potomstwu owę właściwość, która, zapewniając równowagę między otoczeniem a gatunkiem organizmów, staje się, przez powolne rozwijanie się, charakterystyczną tych organizmów cechą. Nie możemy wdawać się tu w szczegóły téj teoryi, zwrócić wszakże musimy uwagę, że jakkolwiek naturalny wybór jest dzielnym czynnikiem w ustalaniu pośredniéj równowagi, w każdym razie nie jedynym. Napotykamy w téj sprawie wiele faktów, których on wyjaśnić nie zdoła. Jednym z takich jest np. zmniejszenie się wydłużenia szczęk u ludów cywilizowanych. Faktu tego zasada naturalnego wyboru nie tłómaczy, gdyż w walce o życie mało zależy, czy szczęki są długie, czy krótkie. Tłómaczy go zaś najzupełniéj zasada *używalności* organu. W miarę postępu cywilizacyi wykryte zostały nowe sposoby przyrządzania pokarmów, które nie wymagały takiéj pracy szczęk, jak pokarmy surowe. Zmniejszona czynność szczęk pociągnęła za sobą zmniejszenie się w ich przedłużeniu.

Jak widzimy, zjawiska organicznego życia dają się tłómaczyć tak samo, jak zjawiska każdego w ogóle rozwoju. Powszechne prawo rozdziału materyi i ruchu, któremu, jak to nam wiadomo z *Pierwszych Zasad*, wszystkie bez wyjątku podlegają rzeczy, czynném jest także w rozwoju żyjących organizmów, w życiu tak osobników jak ich grup, w gatunkach, rodzajach i t. d. W każdym razie, ażebyśmy mogli uznać tę zasadę za prawdziwą, nie podlegającą żadnemu powątpiewaniu, musimy wprzód wykazać, że daje się ona zastosować nie tylko do spraw żywotnych w ogólnych swych objawach, jak się one przedstawiają w całym świecie organicznym, ale i do spraw żywotnych w ich objawach szczególnych, jak się przedstawiają w życiu pojedyńczych organizmów, w okresie ich wzrastania, rozwijania się i schyłku. Dla tego musimy przejść teraz do badań bardziéj szczegółowych, do rozważania jak budowy tak i spraw żywotnych pojedyńczych organizmów, czyli do *morfologii i fizyologii* roślin i zwierząt.

IV. *Rozwój morfologiczny.* Morfologia od fizyologii nie da się stanowczo oddzielić. Budowa organizmu i jego sprawy żywotne tak są z sobą ściśle związane, że mówiąc o jedném i o drugiém przemilczéć niepodobna. Chociaż więc dla ułatwienia badań przeprowadza się rozdział dwóch tych nauk, rozdział ten jest sztucznym i polega głównie na tém, że w morfologii na piérwszym planie kładzie się budowę organizmu, w fizyologii zaś—sprawy żywotne.

Wszystkie zagadnienia morfologii dadzą się sprowadzić do dwóch klas: do pierwszéj należą fakty, odnoszące się do wzrastania organizmu pod względem objętości, do drugiéj—fakty, dotyczące wzrastania organizmu pod względem budowy, kształtu.

Zadaniem morfologii jest wykazać, że w faktach obu powyższych klas dokonywa się rozwój, że rozwój ten we wszystkich swych szczegółach posłusznym jest prawu, którego określenie podają *Pierwsze Zasady*. W tym celu musi ona mieć na uwadze dwa szeregi czynników: najprzód te, które bezpośrednio działają na ciała organiczne, sprowadzając w nich zmianę stanu jednorodnego na różnorodny; powtóre, odziedziczona po przodkach skłonność organizmów do przybiérania tych a nie innych kształtów.

Piérwszém pytaniem, jakie się nam nastręcza na samym początku, jest: co mamy uważać za jednostkę morfologiczną tak roślinną jak i zwierzęcą? Pytanie to nie łatwe, nie zapominajmy bowiem, że rozwój w ogóle polega na zmianach niedostrzegalnych, na powolném, nie dającém się oznaczyć przechodzeniu jednych jego stopni w drugie. Doktryna, uważająca za morfologiczną jednostkę

komórkę, podlega ważnym zarzutom, a mianowicie, że są żyjące istoty, które nie posiadają żadnéj zgoła komórkowéj budowy, że zresztą nawet w istotach posiadających taką budowę, są części, które bynajmniéj nie powstały w skutek przemiany komórek. Istotę tak tych części jak i owych organizmów pozbawionych komórkowéj budowy, stanowi zaródź (protoplazma), śluzowata materya. Z téj to właśnie protoplazmy formują się bezpośrednio owe organizmy bez komórkowéj budowy i pośrednie, skutkiem pewnéj przemiany komórki. Należy więc przypuścić, że zaródź składa się z fizyologicznych jednostek i że polarność tych jednostek zmusza ją do układania się w pewne kształty i wytwarzania żyjących istot. Chociaż więc przyjmujemy komórkę za morfologiczną jednostkę, przyjmujemy ją za taką tylko warunkowo, w znaczeniu bardzo ograniczoném.

Organizmami najniższego rzędu są więc proste skupienia w jednę masę fizyologicznych jednostek. Do nich należą właśnie tak zwane monery, przedstawiające się jako mikroskopowe bryłki śluzowatéj materyi bez żadnego ustroju. Daléj istoty względnie bardziéj określone i różnorodne, jakiemi są protophyty (piérwotne rośliny) i protozoa (p. zwierzęta).

Rośliny, należące do skupienia pierwszego rzędu, stanowią pojedyncze komórki, które przez rozrastanie się i rozgałęzienie przybiérają nieraz kształt złożony i znaczną objętość, jak tego przykład mamy w niektórych gatunkach wodorostów i grzybów. Do drugiego rzędu skupienia należą rośliny, powstałe przez skupienie się komórek w jednę grupę. Skupianie się to odbywa albo w kierunku tylko podłużnym, albo téż jednocześnie w podłużnym i poprzecznym, przyczém komórki tracą swą indywidualność, a za to roślina przybiéra formę bardziéj oznaczoną, występując w kształcie *listowia* w wodorostach, *plechy* w porostach. W niektórych rodzinach wodorostów komórki układają się poprzecznie w kilku tylko punktach, tworząc w ten sposób rozgałęzienia, przypominające budowę osiową; w innych znowu występują niby-liście nierzadko w połączeniu z niby-osiową budową. Z temi kształtami roślin bezosiowych łączą się bozpośrednio pod względem kształtów rośliny wierzchołkowo-rosłe (acrogeny), do których należą wszystkie skrytopłciowe, jak: mchy, skrzypy, paprocie i widłaki. Najniższe gatunki téj gromady łączą w sobie cechy roślin bezosiowych z cechami właściwemi roślinom osiowym. Przykład tego mamy w Sprężycy (Jungermannia), należącéj do mchów wątrobowych. Listowia jéj bardzo mało się różnią od plechy porostów, jakkolwiek w wyższych jéj gatunkach dają się odróżniać liście, łodygi i korzenie. Dla tego

też można ją uważać za formę przejściową od roślin skupienia drugiego rzędu do roślin trzeciego, do którego należą rośliny osiowe.

W roślinach wierzchołkowo-rosłych dostrzega się już znaczna różnorodność tak pod względem formy jak i układu, w wyższym daleko stopniu występuje ona w roślinach wewnątrz-rosłych (endogeny) i zewnątrz-rosłych (exogeny), czyli w ogóle w jawnopłciowych. Tu obok największéj rozmaitości w liściach, objawia się nie mniejsza w kwiecie, w układzie gałęzi i wszystkich dodatkowych częściach, należących tak do kwiatu, liścia, jak i łodygi. Porównywając złożoność roślin trzeciego rzędu skupienia z prostotą roślin drugiego, nasuwa się mimowoli pytanie, jakie jest pochodzenie wszystkich tych części, stanowiących charakter roślin jawnopłciowych. Nietrudno wykryć, że między wszystkiemi temi częściami panuje ścisła homologia, która prowadzi nas do wniosku, że nie są one czém inném, jak odmiennemi pewnéj, typowéj formy odmianami, powstałemi drogą metamorfozy. Ścisła obserwacya nie tylko stwierdza ten domysł, ale nawet wykrywa owę formę typową, którą jest listowie. Jak listowie powstało z komórki, tak z listowia drogą metamorfozy powstały składowe części roślin wyższego rzędu osiowych. Widzimy tu rozwój, dokonywający się w kierunku ciągłego zwiększania się rozmaitości kształtów zewnętrznych. Na tém wszakże nie koniec. W miarę ustalenia się coraz większéj różnorodności, objawia się także coraz większe zjednoczenie się składowych części i coraz większa wyrazistość organizmów, ich indywidualność.

Rośliny osiowe, ze względu na kierunek w jakim rosną, dzielą się na *wierzchołkowo-rosłe* (acrogeny), *wewnątrz-rosłe* (endogeny) i *zewnątrz-rosłe* (exogeny). Nastręcza się więc pytanie: jak nastąpiło tego rodzaju wyróżnienie się roślin. Wiadomo, że jednym z głównych warunków rozwoju roślin jest obfitość światła i powietrza. Rośliny wierzchołkowo-rosłe, ścieląc się po ziemi, nie mogą korzystać należycie ani z powietrza, ani ze światła, dla tego wzrastanie ich odbywa się tylko w kierunku podłużnym; gdy tymczasem dwa następne gatunki, zachowując położenie prostopadłe, mając światła i powietrza pod dostatkiem, rozrastają się na raz w obu kierunkach, podłużnym i poprzecznym. Jest jeszcze jedno pytanie, a mianowicie, dla czego wewnątrz-rosłe są jednoliściennemi, a zaś zewnątrz-rosłe dwuliściennemi? Pamiętać trzeba, że wszystkie rośliny jawnopłciowe rozwijają się z ziarna; otóż wyrastające z ziarna listowie zwija się u wewnątrz-rosłych w trąbkę tak, że listowie drugie, wewnątrz pierwszego powstałe, zakryte od słońca i powietrza, zanika i w ten sposób wytwarza się jedno tylko liścienie; u zewnątrz-rosłych dzieje się przeciwnie, tu listowie pierwsze grubieje w środkowéj swéj części i wy-

puszcza nowe listkowie, które, mając dosyć światła i powietrza, wykształca się i tworzy wraz z piérwszém dwa oddzielne liścienie.

Taki jest przebieg rozwoju roślinnego organizmu pod względem morfologicznéj jego budowy; nie innym on jest i w istotach zwierzęcych. I tu piérwszym stopniem organizacyi zwierzęcéj jest proste, jednorodne skupienie fizyologicznych jednostek w jednę całość, którą tylko w sposób przybliżony można uznać za jednostkę morfologiczną. Do nich należą w ogóle pierwotniaki i protozoa (piérwotne zwierzęta), nie mające wyraźnéj organizacyi, określonéj wielkości, będące jednokomórkowemi istotami. Są wszakże między niemi pewne odmiany, w których niewyraźnie zarysowuje się komórkowa budowa, jak np. thalassicola, niektóre otwornice. Stanowią one przejście do skupienia drugiego rzędu. Można do nich zaliczyć jeszcze gąbki. Zwierzęta drugiego rzędu skupienia, o wyższéj organizacyi, zaczynają się właściwie z jamochłonnemi. Tu dopiéro organizm przedstawia się, jako całość o wyraźnych formach i określonéj wielkości. A jak u roślin, tak samo i u zwierząt tego rzędu, proces rozrastania, dosięgnąwszy pewnego stopnia, zatrzymuje się i przemienia w rozradzanie się za pomocą pączkowania. Powstały tą drogą nowy osobnik albo oddziela się od macierzystego organizmu, albo zostaje przy nim i tworzy istotę złożoną. Widzimy tu przejście do skupienia trzeciego rzędu. Dostrzega się w nich, acz w słabym jeszcze stopniu, fizyologiczny podział pracy. Przejście to dokonywa się nieznacznie i powoli. Do tego rzędu należą oponice, ramionowce, ascydye.... W każdym razie są to najniższe typy trzeciorzędowego skupienia: zjednoczenie w nich jest więcéj fizycznem, niż fizyologicznem. Wyższy typ téj organizacyi znajdujemy dopiéro w pierścienicach i w stawowatych. Przejścia między tym typem a typem powyższym próżno byłoby szukać. Dość nam wiedzieć, że tak budowa, jak rozwój i sposób rozmnażania się pierścienic dowodzą jasno, że każdy ich osobnik nie jest czém inném, jak skupieniem trzeciego rzędu, że ich odcinki, nieraz bardzo liczne, homologiczne, powstające przez pączkowanie, są jakby oddzielnemi osobnikami niższego typu.

Mięczaki i kręgowce, stanowiące dwa inne działy zwierzęcego królestwa, są skupieniem drugiego rzędu. Częściowa segmentacya, jaką w nich dostrzédz można, nie jest skutkiem rozradzania się przez pączkowanie, ale bezpośrednim wypadkiem przystosowania się do zewnętrznych warunków. Zdanie to zostaje w sprzeczności z twierdzeniem Goethego i Okena, którzy w kości paciérzowéj chcieli widziéć proste połączenie oddzielnych typowych kręgów, a tém samém

upatrywali w kręgowcu skupienie trzeciego rzędu. Świadczą za niém atoli fakty, dostarczane przez porównawczą morfologią i embryologią, które uczą nas, że w zarodkowym stanie kość paciérzowa jest tylko podłużną chrząstką, bez żadnego podziału i wyróżnienia.

Zwrócić jeszcze potrzeba uwagę na to, że między najniższemi typami mięczaków, jak np. ascydye, i kręgowców, pomrównica zachodzi podobieństwo, które wiele daje do myślenia.

Poznawszy w ogólnych rysach stopniowe skupianie się organizmów tak roślinnych jak zwierzęcych, możemy teraz przystąpić do zbadania powolnego różnicowania się, wyróżniania pod względem kształtów, jakie jednocześnie w tych organizmach dokonywało się.

Czy pod tym względem może być podana jakaś ogólna, dająca się zastosować do wszystkich szczególnych wypadków zasada?

Dla wykrycia téj zasady, któraby nam wytłómaczyła wszelkie zmiany, jakim tak rośliny jak zwierzęta podlegają pod względem formy, musimy się rozpatrzéć w czynnikach, zmiany te sprowadzających. Zajmiemy się najprzód roślinami. Otóż w nich jednym takim czynnikiem jest wzrastanie, które, będąc przyczyną powiększania się organizmu, sprowadza zmianę w jego stosunku do sił zewnętrznych; daléj idzie mniejsza lub większa złożoność organizmu, którego składowe części w rozmaity sposób oddziaływają najprzód na samych siebie, późniéj na całość, a nareszcie na takie siły zewnętrzne jak światło, powietrze, powszechne ciążenie. Ostatnim nareszcie czynnikiem, sprowadzającym szczególne zmiany, jest sąsiedztwo innych przedmiotów, bądź ze świata organicznego, bądź nieorganicznego, słowem, otoczenie w jakiém wzrastają. Badając naturę tych czynników i sposób ich działania, możemy powiedziéć, że zasada ogólna, któraby tłómaczyła wszelkie zmiany, jakie zachodzą w kształtach roślin, da się wyrazić następującemi słowy: różnym kształtom ciała, regularnym lub nieregularnym, towarzyszy zawsze regularny lub nieregularny rozdział sił, działających na te ciała. Przyczyny więc rozmaitości kształtów szukać należy w rozdziale sił zewnętrznych, w stosunku organizmu do otoczenia. Zasadę tę stwierdzają wszystkie kształty roślinnego świata, zaczynając od protophytów, a kończąc na jawnopłciowych. Protococcus, który barwi śnieg na czerwono i odznacza się wielką jednostajnością tak pod względem ustrojowości jak i życia, ma symetryą sferyczną; inne protophyty, swobodnie poruszające się w wodzie, mają symetryą dwustronną.

Rośliny, należące do drugiego rzędu skupienia, są zwykle przytwierdzone i dla tego piérwsza różnica, jaką się w nich dostrzega, jest ta, jaką nastręcza porównanie części ich swobodnéj z częścią przytwierdzoną do powierzchni. Panuje tu albo symetrya promienna, jak w grzybach, przechodząca jednakże pod wpływem warunków otoczenia w symetryą dwustronną, albo zupełna nieregularność kształtów, jak w porostach, odpowiadająca nieregularności sił na nie działających.

Rośliny, stanowiące trzeciorzędowe skupienie, przedstawiają wielką rozmaitość kształtów, która to rozmaitość zostaje w prostym stosunku do rozmaitości zewnętrznych sił, na nie działających. W jawnopłciowych wyróżnia się najprzód część rosnąca w górę, od części, która w dół rośnie; przyczyną tego jest różnica, jaka zachodzi między ziemią a powietrzem. Rośliny osiowe mają w ogóle symetryą promienną, ale ta, pod wpływem zewnętrznych warunków, jak sąsiedztwa innych roślin, kierunku wiatru na nie działającego, kształtu gruntu na którym wzrasta, równego lub pochyłego, może przechodzić w symetryą dwustronną. Rośliny ścielące się nie mają żadnéj symetryi, skutkiem nieregularnego rozdziału sił na nie działających.

O ile kształt całéj rośliny, o tyleż i wszystkich jéj części, zależnym jest od sposobu działania sił zewnętrznych. Forma gałęzi, liści, kwiatów, we wszystkich ich częściach, zależna jest od sił zewnętrznych. Stają się one do siebie niepodobnemi, gdy siły te działają na nie w sposób odmienny; symetrya ich promienna przechodzi w dwustronną, gdy działanie sił zewnętrznych jest dwustronném. Zależność form od sił zewnętrznych sprawdza się także na komórkach, które w roślinach wyższéj organizacyi tracą zupełnie sferyczną formę a przybiérają, odpowiednio do warunków w jakich się wytwarzają, symetryą dwustronną.

Oprócz powyższych czynników, sprowadzających zmiany w formach roślinnych, jest jeszcze jeden, a mianowicie: mniejsza lub większa obfitość pożywienia, dostępnego roślinom w kształcie soków i powietrza. Dla braku pożywienia agamogenetyczny sposób rozmnażania się przemienia w gamogenetyczny, roślina staje się karłowatą, gałęzie mniéj rozwiniętemi. Różnica w odżywianiu się niektórych części roślin staje się przyczyną skręcania się ich łodyg, jak to widzimy w roślinach pnących się. Naturalnie, że w tym ostatnim razie czynną jest także zasada naturalnego wyboru.

W ukształtowaniu się organizmów zwierzęcych, obok czynników, które tak tu jak i w świecie roślinnym ważną odgrywają rolę, występuje nowy, a mianowicie ruch zwierzęcych osobników, w sto-

sunku do otaczających ich przedmiotów, albo ruch ich członków w stosunku do samych siebie, albo też oba te ruchy w połączeniu. Skutkiem tego nowe występują reakcye zewnętrznych sił i odpowiednie temu modyfikacye w ukształtowaniu. Są wprawdzie zwierzęta przytwierdzone, pozbawione ruchu, to też wyróżnianie się ich morfologiczne ma ten sam charakter z jakim spotykamy się w roślinach.

Nietrudno przewidzieć, że jeżeli organizm będzie się przenosić wskróś otoczenia jednostajnego, jak powietrze, woda, w ten sposób, że jedna jego część będzie zawsze zwrócona naprzód, część ta, podlegając działaniu innych sił od tych, jakie działają na część tylną, wykształci się inaczéj. Przypuszczając, że nie wystąpią tu inne czynniki, nastąpi równy rozdział części około osi ruchu i będziemy mieć symetryą promienną. Jeżeli z tym kierunkiem ciała łączy się jeszcze takie położenie organizmu, że jedna jego część będzie zawsze górną, druga dolną, nastąpi wtedy symetrya dwustronna.

Zwierzęta, należące do skupienia pierwszego rzędu, z powodu nieokreślonego charakteru ich wielkości i budowy, a zatém i ich stosunku do otoczenia, przedstawiają trudną do opisania nieregularność kształtów. W najniższych typach drugorzędnego skupienia przeważa symetrya sferyczna, jakkolwiek nie brak typów, w których występuje do pewnego stopnia symetrya dwustronna. W istotach, stanowiących skupienie trzeciego rzędu, stałą jest symetrya dwustronna, jak to widzimy w robakach stawowatych i w kręgowcach. Większa pod tym względem rozmaitość zdarza się w mięczakach.

Co się tyczy kręgowców, to należy zauważyć, że niższe ich typy mają przeważnie symetryą trój—dwustronną; że od téj symetryi tém większe objawia się zboczenie, im typy ich do wyższéj należą organizacyi.

Zasada, która nam tłómaczy powstawanie rozmaitych kształtów zewnętrznych w świecie zwierzęcym, dałaby się z łatwością wykryć również i w kształtach wewnętrznych, w formie i w układzie wnętrzności. Lecz badania pod tym względem jeszcze za mało są posunięte, byśmy mogli zająć się tym przedmiotem. Możemy tu tylko słów kilka powiedzieć o ukształtowaniu stosu kręgowego. Powiedzieliśmy, że odcinki zwierząt kręgowych innéj są natury, jak odcinki stawowatych, albo pierścienic, że zatém segmentacya kręgowców nie jest dziełem pączkowania, ale przystosowania się. Dowodzi tego fakt, że w najniższych typach kręgowców, zarówno jak w zarodku wyższych, stos kręgowy jest chrząstką jednolitą i niepodzielną. Podział więc na kręgi oddzielne, zarówno jak i stwardnienie grzbie-

towéj chrząstki, mogły nastąpić w skutek tego, że w miarę jak zwierzę wzrasta, grzbietowa chrząstka, zmuszona dźwigać coraz większą masę, staje się twardszą, ale jednocześnie dla zachowania potrzebnéj giętkości musi się dzielić na odcinki, które, stosownie do działających na nie sił, będą mniéj lub więcéj do siebie podobne.

Kończąc niniejsze uwagi, dotyczące morfologicznego rozwoju organicznych istot tak pod względem ich skupiania się jak i występujących stopniowo różnic w ich formach, musimy powiedzieć, że wszystkie zjawiska, w tym i tamtym kierunku napotykane, nie są czém inném, jak bezpośredniém następstwem rozdziału materyi i siły, objawem zatém prawa, rządzącego w ogóle rozwojem.

V. *Rozwój fizyologiczny.* Fizyologią pojmujemy tu w znaczeniu jak najobszerniejszém, uważając za jéj zadanie wytłómaczyć specyalizowanie i zjednoczenie spraw żywotnych, dokonywające się współcześnie z wyróżnianiem się i zjednoczeniem budowy organizmu. Ponieważ o sprawach żywotnych z pominięciem narządów, które je wykonywają, mowy być nie może; przeto i nasze wyjaśnienia co się tyczy fizyologicznego rozwoju organizmów opiérać się muszą na budowie tego organizmu, ale na budowie jego wewnętrznéj.

Że główną przyczyną rozwoju fizyologicznego, tak samo jak i morfologicznego, jest stosunek, łączący każdą część organizmu z zewnętrznemi siłami, które na nią działają, nietrudno się domyśléć; zwracamy atoli uwagę, że nie jest to jedyny czynnik, że i w rozwoju fizyologicznym dziedziczność odgrywa rolę bardzo ważną.

Piérwszą różnicą, jaka się objawia w organizmach roślinnych jest ta, która się uwydatnia między jego stroną zewnętrzną a wewnętrzną, między błoną komórki a jéj zawartością w roślinach jednokomórkowych, między korą a drzewem w roślinach wyższych. W dalszym przebiegu fizyologicznego rozwoju następują drugorzędne wyróżniania się w zewnętrznych częściach rośliny. Pokąd organizm pozostaje w takich warunkach, że siły zewnętrzne jednakowo działają na wszystkie jego strony, pozostaje on najzupełniéj jednostajnym; lecz jeżeli w organizmie jest jedna powierzchnia wolna a druga przytwierdzona natenczas obie te części, ulegając działaniu niejednakich sił, stają się różnemi. Przykładów tego dostarczają nam już jednokomórkowe wodorosty, skoro są przyczepione; w zwyczajnych grzybach powierzchnia górna znacznie się różni od dolnéj, we wszystkich zresztą roślinach, w których górne części wznoszą się w powietrze, dolne zaś zagłębiają się w ziemię, różnica między temi częściami uwydatnia się jaskrawo. Przechodząc do różnic mniéj widocznych, widzimy, że np. powierzchnia liścia górna różni się od dolnéj, różni

się zaś o tyle, o ile się różnią działające na nie siły. I tak górna powierzchnia bywa zwykle zieleńszą od dolnéj, dla tego, że jest więcéj od tamtéj poddana działaniu słońca, bez którego udziału chlorofil nie może się wytworzyć w roślinie.

Przemiana wewnętrznych części organizmu ze stanu jednorodnego w stan różnorodny podlega temu samemu prawu, a mianowicie, że pierwsze różnicowanie wewnętrzne odpowiada największym różnicom w warunkach. Rośliny, które całe swe pożywienie przyjmują za pomocą swych części zewnętrznych, swéj powierzchni, doznają wewnątrz zmian, jakie w nich wywołuje działanie dwóch głównych czynników, przeprowadzanie materyału pokarmowego i mechaniczne ciśnienie. Te z nich, które swe listowie nie wznoszą po nad powierzchnię ziemi, nie doznając odmiennych wpływów na swą zewnętrzną tkankę, takich przynajmniéj, któreby były dość znaczące pod względem kontrastu, ulegają zaledwie zmianie, jaką w nich sprawia krążenie soków. Szereg komórek podłużnych, tworzących się w miejscu, przez które sok przechodzi, uwydatniających swą charakterystyczną cechę tém wyraźniéj, im w jakiém miejscu soków z większą siłą przechodzi, stanowi jedyne w nich wyróżnienie się wewnętrznéj tkanki. Lecz gdy rośliny, jak to się dzieje z jawnopłciowemi, a nawet i ze skrytopłciowemi wyższych gatunków, wznoszą się po nad ziemię, łodygi ich, zginane poprzecznie przez powiew wiatru, doznają w wewnętrznéj swéj tkance różnicowania, które jest bezpośredniém następstwem różnéj ilości mechanicznego ciśnienia, jakiemu owa tkanka ulega. W miejscu, gdzie komórki i naczynia, zawierające sok, doznają jak największego ciśnienia, tam zaczyna się osadzać coraz gęstsza substancya, i w ten sposób następuje zdrzewienie najprzód dolnych części łodygi, a następnie i górnych.

Wiadomo nam, że każde różnicowanie staje się po kolei źródłem nowych różnic skutkiem tego, że powstałe różnicowanie, oddziaływając na zewnętrzne siły, wywołuje w nich zmiany, które spowodowują nowy ich podział. Sprawdzenie téj zasady dostrzegamy w roślinach, w których stopniowe rozrastanie, powiększanie się objętości staje się przyczyną również stopniowego zwiększania się różnorodności w wewnętrznéj ich tkance. Każdy powiew wiatru, przechylając łodygę, wywiéra na nią ciśnienie w kierunku poprzecznym w różnym stopniu na różnych miejscach, podobnież działa on na korzenie, poddając je ciągnieniu w kierunku podłużnym. Skutkiem nierównego działania na różne części łodygi i gałęzi, warstwy tkanki zewnętrzne i zbliżające się do nich wewnętrzne, będąc nierówno naciskane i wyciągane, nierównych doznają zmian.

Różnicowania tego rodzaju wzrosną jeszcze więcéj, skoro do dawnych przybędzie nowa warstwa tkanki, ta bowiem wywołując nowy podział sił spowoduje tém samém odmienne na roślinę działanie. Podobnież zmiany muszą nastąpić także i w zewnętrznéj stronie rośliny. W miarę, jak drzewo rozrasta się, powiększa się ilość jego gałęzi. Gałęzie jego wewnętrzne, naciskane przez zewnętrzne, zakryte od słońca, przestają wypuszczać gałęzie, tracą liście i zamiast zielonéj powłoki, jaką miały przed tém, pokrywają się brunatną korą, która staje się coraz grubszą.

Wszystkie te stopnie różnicowania tak strony zewnętrznéj jak i wewnętrznéj rośliny lubo głównie dokonywają się pod wpływem sił zewnętrznych, rozmaicie na nie działających i wywołujących w nich oddziaływanie; nie mniéj przecież czynny w nich udział bierze i wybór naturalny, który zachowując przy życiu tylko jednostki, posiadające pewną korzystną w walce o życie własność, pozwala tym jednostkom rozmnażać się i za pomocą dziedziczności ustala posiadaną przez nich własność, zamieniając ją w gatunkową cechę. W rozwoju bowiem fizyologicznym idzie głównie o to, by organizm, pobudzony przez zewnętrzne siły, zdolnym był wyrobić w sobie siły wewnętrzne, któreby tamte mogły zrównoważyć. Organizm, który nie jest zdolnym zapewnić sobie takiéj równowagi z siłami zewnętrznemi, musi zginąć.

Jakkolwiek coraz większa różnorodność pod względem fizyologicznym cechuje wyższy stopień rozwoju, różnorodność ta wszakże nie może być chaotyczną, nieokreśloną. Cechą rozwoju jest różnorodność zjednoczona, różnorodność, w któréj wszystkie części razem się łączą i wzajemnie od siebie zależą. Ta zjednoczoność bywa rozmaitą w różnych organizmach i zostaje w prostym stosunku do stopnia i ilości różnic, jakie w nich odkrywamy. Niższe wodorosty objawiają zaledwie w słabym stopniu zależność pojedyńczych części. Wyraźniéj występuje ona w roślinach skrytopłciowych, ale dopiéro w jawnopłciowych dosięga najwyższego stopnia, jakkolwiek zjednoczenie w roślinach nie występuje nigdy w takiéj formie zależności, jak w świecie zwierzęcym.

W organizmie zwierzęcym wykrywamy te same prawa fizyologicznego rozwoju, co i w państwie roślinném. Tak tu jak i tam występuje przedewszystkiém różnica między stroną zewnętrzną a wewnętrzną organizmu. Cieniuchna błonka, okrywająca ciałko żyjątka, albo grubsza nieco okrywająca wymoczka, różnią się znacznie od zarodzia (protoplazmy), które stanowi ich ciało. Wszystkie zwierzęta w ogóle, bez względu, czy należą do pierwszego, czy do drugiego, albo też trzeciego rzędu skupienia, przedstawiają owę różnicę w mniéj-

szym lub większym stopniu. Że działanie sił zewnętrznych czynny pod tym względem miało udział, samo się przez rozumie, z tém wszystkiém niepodobna przypuścić, by pod wpływem otoczenia, działania zewnętrznych warunków, powstawały takie różnice w pokryciu zwierząt, jak np. skorupa żółwia. Dla wytłómaczenia takich różnic potrzeba przypuścić udział naturalnego wyboru i dziedziczności.

W miarę jak warunki, wśród których organizm zwierzęcy żyje, zmieniają się, przechodząc ze stanu jednorodnego w różnorodny, sama powierzchnia organizmu podpada odpowiednim zmianom i różnicuje się. Glista ziemna, która całe swe życie spędzając w ziemi wszędzie jednakowe znajduje dla siebie warunki, nie przedstawia żadnych różnic w swéj powłoce: zupełnie co innego dzieje się ze zwierzętami takiemi np. jak te, które pełzają, albo których ciało jest w części zamknięte w muszli. Z powodu odmiennych wpływów wyrabiają się w ich powłoce stanowcze różnice. Dolna powierzchnia ślimaka różną jest od górnéj, część jego ciała odkryta nie jest podobną do zamkniętéj w muszli. W zwierzętach stawowatych część ich grzbietowa różni się od brzusznéj, te zaś z nich, których część przednia innym ulega wpływom jak tylna, obie te części również mają odmienne. W kręgowcach podobneż spotykamy kontrasty. Jakkolwiek całe ich ciało jednostajnie bywa otoczonem wodą, zawsze przecież grzbiet ich więcéj jest wystawionym na działanie promieni słońca jak brzuch, i dla tego obie te części różnią się znacznie od siebie pod względem koloru. Jeżeli zaś zamiast grzbietu i brzucha, boki znajdują się w odmiennych warunkach, jak to się dzieje np. z flondrami, czyli bokopływami, natenczas boki ich różnią się. W płazach, których powierzchnia wystawiona jest na różne wpływy, uwydatnia się także różnica między częścią górną a dolną. To samo widzimy w ptakach i ssawcach, jakkolwiek te, wznosząc dolną część swego ciała znacznie po nad ziemię, zmniejszają różnice wpływów, jakim część dolna i górna podlegają, i dla tego sama różnica tych części mniéj wyraźnie w nich występuje.

Tym samym porządkiem dokonywa się i wyróżnianie się wewnętrznéj strony organizmu. Zwierzęta, te przynajmniéj, które trawią pokarmy, podlegają działaniu sił innego rodzaju i skutkiem tego muszą tracić swą pierwotną jednorodność. Pokarm, jako ciało obce, działa na stronę wewnętrzną tak samo, jak każdy inny przedmiot na jego stronę zewnętrzną przez dotykanie. Pod wpływem tego działania powstała różnica, jaką widzimy między skórą zewnętrzną a błoną śluzową wewnętrzną, jakkolwiek pierwotnie nic różniły się od siebie niczém. Ponieważ pokarmy są pierwotną przyczyną róż-

nic, zachodzących w wewnętrznéj stronie organizmu, należy się zatém spodziéwać, że różnice te najprzód wystąpią w miejscu, gdzie wpływ pokarmów jest największym, i że im która część jest bardziéj oddalona od wpływu pokarmów, tém też późniéj i różnice w nich objawiają się. Tak też się i dzieje. W zwierzętach niższego typu błona wyściełająca ich jamę trawiącą czyli kanał pokarmowy przedstawia daleko większe różnice jak tkanka, zawarta między pokarmowym kanałem a zewnętrzną powierzchnią ciała. U jamochłonnych wyższych tkanka owa, będąca czémś na kształt miękkiszu o bardzo słabéj organizacyi, przedstawia zaledwie kilka prostych przewodów, albo kanałów, wysłanych rzęsowatemi komórkami. Podobnąż budowę znajdujemy także w mięczakach niższego rzędu. Zresztą potrzeba zwrócić uwagę na to, że wyróżnianie się owéj tkanki w kształcie naczyniowego systemu postępuje od środka ku powierzchni, od miejsca, w którém pochłonięte pokarmy przenikają w płyn krążący i gdzie płyn ten bardziéj się różni od tkanki, niż gdy dojdzie do dalszych jéj części.

Zasada, że jedna przyczyna wywołuje więcéj jak jeden skutek, że powstała w organizmie różnica staje się źródłem nowych różnic, znajduje swe potwierdzenie i w rozwoju fizyologicznym zwierząt. Najmniejsza np. zmiana w organach wydalania i wydzielania pociąga za sobą liczne zmiany w innych organach. Oddzielając, albo dodając do krwi nowe materyały, odmienne te organa zmieniają jéj własność, a tém samém sprowadzają także zmiany w całém ciele, w którém krew obiega; tenże sam skutek wywiérają te organa, gdy wlewają swe płyny do pokarmowego kanału i za pośrednictwem pokarmów dopiéro działają na krew. W ten sposób dodatkowa różnica, sprowadzona w jednéj części, staje się punktem wyjścia dla różnic dodatkowych wielu innych części, które po kolei stają się środkowemi punktami nowego różnicowania w całém ciele. Podobnież spowodowana mechaniczném działaniem zmiana w jakimś członku organizmu nie tylko pociąga za sobą przemianę tego członka, ale co więcéj, skutkiem drugorzędnych oddziaływań, następują zmiany w innych członkach. I tak zwyczaj kreta ryć się w ziemi, wymagając czynności tylko przednich jego łap, wpłynął na ich wyrobienie się, a jednocześnie na zanik łap jego tylnych, zostających w bezczynności. Na tém niedość, ze zmniejszeniem się łap tylnych nastąpiło także zwężenie się miednicy, co pociągnęło za sobą ze swéj strony dalsze modyfikacye w całym organizmie.

Wszystkie zmiany, bez względu na ich właściwość i wielkość, będąc objawem reakcyi, wywołanéj w organizmie przez zewnętrzne siły, przez warunki otoczenia, muszą się zatrzymać w chwili, gdy po-

trzeba reakcyi ustaje, muszą sięgać tylko tak daleko, aż między organizmem a otoczeniem ustali się równowaga ruchoma, a następnie zupełna. W każdym organizmie niestałość jednorodności jest synonimem braku równowagi między siłami zewnętrznemi a siłami, jakie tamtym przeciwstawia organizm, i przejście do stanu różnorodnego nie jest czém inném jak przejściem do stanu równowagi. Utrzymywać, że jakaś przyczyna wywołuje w organizmie mnóstwo skutków, jest to samo, co powiedziéć, że pewna część tego organizmu, na którą działa jakaś siła zewnętrzna, musi uledz pewnéj zmianie i udzielać następnie całemu organizmowi zmian drugorzędnych potąd, aż cała siła zewnętrzna nie zostanie zużytą na wytwarzanie ciągłych i równoważnych owym zmianom oddziaływań.

Zasada, mocą któréj każde nowe działanie, jakiéjkolwiekbądź natury, dotykające organizm, musi albo zburzyć ruchomą równowagę jego spraw żywotnych i sprowadzić równowagę nagłą, zupełną, zwaną śmiercią, albo zakłócać powoli organiczny rytm potąd, aż wywołana w nim reakcya zrównoważy zewnętrzne czynniki i przywróci równowagę, a raczéj nową sprowadzi; zasada ta stosuje się zarówno do całego organizmu jak i do składowych jego części. Siła, która działa na jakąś część organizmu nieprzysposobioną do jéj znoszenia, musi spowodować albo miejscowe zniszczenie tkanki, albo powolne w niéj zmiany, sięgające tak daleko, aż reakcya zmienionéj części stanie się równą działaniu zmieniającéj siły. Wypadek ten jest konieczny, bez względu, czy siła ta będzie mechaniczną, czy fizyczno-chemiczną. Jeżeli to będzie siła mechaniczna, bezpośredniém jéj następstwem będzie zmiana w położeniu owéj części organizmu, zmiana, któréj kresem będzie takie ułożenie się owéj części, że się uczuje zdolną do stawienia oporu nowym zmianom i tym oporem zrównoważy działającą na nią siłę. Przypuszczając, że działanie siły będzie ciągłe, albo powtarzające się, wywoływana w organizmie reakcya musi z konieczności pociągnąć za sobą stałą zmianę bądź kształtu, bądź budowy pewnéj części organizmu, albo téż obojga naraz; w ten tylko sposób może się ustalić trwała równowaga. Nie inny jest skutek działania sił fizyczno-chemicznych. Pod ich działaniem musi nastąpić koniecznie zmiana w układzie cząsteczek (molekuł) składających tkankę organiczną, i zmiana ta musi iść tak daleko, aż molekularny ruch cząsteczek stanie się zdolnym do zrównoważenia molekularnego ruchu nowego czynnika fizyczno-chemicznego. Innemi słowy, materya organiczna, stanowiąca istotę pewnéj części organizmu, jeżeli i nadal ma pozostać organiczną, musi przyjąć taki układ cząsteczkowy, któryby jéj pozwolił wytrzymać działanie siły zewnętrz-

néj, czyli mówiąc wyraźniéj, musi się przystosować do warunków otoczenia.

Zasada ta, powyżéj określona, służy nam do wytłómaczenia, w jaki sposób, pod wpływem zewnętrznych czynników, powstały w zwierzęcym organizmie wszystkie te wyróżnienia się jego tkanki, jakie nam przedstawiają wnętrzności jego, system naczyń krwionośnych, system nerwowy, przyrządy oddychania i trawienia, mięśnie i kości, a w końcu zmysły. Wdawać się w bliższe wywody pod tym względem nie możemy; robimy tylko uwagę, że jakkolwiek sam Spencer swe tłómaczenie, w jaki sposób wytwarzały się powoli, drogą fizyologicznego rozwoju, wszystkie powyżéj wyliczone wyróżnienia się tkanki organicznéj; podaje za tymczasową hipotezę, hipoteza ta ma za sobą daleko więcéj faktów, niż przeciwko sobie. Przemawia na jéj korzyść nie tylko porównawcza anatomia i embryologia, ale zarówno chemia i fizyka. Przypomnijmy sobie, że organiczna materya z powodu swego składu chemicznego posiada nadzwyczajną ruchliwość molekularną, że podlega zmianom izomerycznym i polimerycznym; a zrozumiemy łatwo, jak każdy czynnik zewnętrzny, przy najsłabszém nawet działaniu, bardzo ważne może wywołać zmiany w koloidalnéj materyi, która stanowi istotę wszystkich tkanek organicznych. W każdym przecież razie sama zasada przystosowywania się organizmu do warunków otoczenia nie zdoła wytłómaczyć wszystkich różnic, jakie napotykamy w zwierzęcym organizmie. W ich wytworzeniu znaczny miały udział, jak to każdy z łatwością może się domyśléć, wybór naturalny i prawo dziedziczności.

Ażeby choć słabe dać pojęcie sposobu, w jaki Spencer tłómaczy powstawanie drogą wyróżniania się tkanki, takich szczegółów organizmu jak system naczyniowy, nerwy, zmysły i t. d., podajemy w kilku słowach wyjaśnienie, dotyczące wytwarzania się nerwów.

Nie ulega wątpliwości, że protoplazma posiada, acz w stopniu słabym, szczególną własność nerwów, wrażliwość na zewnętrzne bodźce. Dowody tego widzimy w ciele żyjątka, będącego prostą komórką, jak i w ciele polipa, pozbawionego zupełnie nerwów. Działanie zewnętrznych czynników wywołuje w ich ciele pewne powolne, rozchodzące się ruchy, które nie są czém inném, jak przeprowadzeniem bodźca od jednéj części ciała do drugiéj. Ruchy te świadczą o zmianie, zaszłéj w układzie cząsteczek, są następstwem molekularnego ruchu, którego fala od jednéj części ciała przechodzi w drugą, trzymając się kierunku jak najmniejszego oporu. Ciągłe powtarzanie się tego ruchu musi sprowadzić stałą zmianę w układzie cząsteczek poruszanych, musi je doprowadzić do stanu, któryby

swém oddziaływaniem zrównoważył działanie sił zewnętrznych. W ogólnéj więc masie tkanki mniéj lub więcéj różnorodnéj, musi nastąpić nowe wyróżnienie się, które przy pomocy naturalnego wyboru i dziedziczności ustala się w kształcie nerwowego systemu.

Mówiąc o roślinnych organizmach, powiedzieliśmy, że w nich zjednoczenie postępuje krok w krok za wyróżnianiem się fizyologicznem, dodając przytém, że zjednoczenie fizyologiczne dosięga najwyższego stopnia dopiéro w świecie zwierzęcym, w najwyższych jego przedstawicielach. Dla uwydatnienia różnicy, jaka zachodzi między zjednoczeniem fizyologicznem człowieka a zwierząt niższéj organizacyi, dość wskazać na fakt, każdemu znany, że człowiek, mając zatamowany oddech, umiéra najwyżéj w przeciągu dwóch minut, gdy tymczasem żaba może zostawać bez oddechu przez czas dość długi. Oddychanie bowiem u człowieka jest jak najściśléj związane z obiegiem krwi, gdy tymczasem u żaby podobnéj zależności jednéj funkcyi od drugiéj nie ma; żaba bowiem posiada zdolność oddychania nie tylko płucami, słabo zresztą rozwiniętemi, ale i całą powierzchnią swego ciała.

Im więcéj jaki organizm przedstawia różnic, tém też większém odznacza się zjednoczeniem, zespoleniem oddzielnych cześci w jednę całość, w któréj wszystkie części zależą wzajemnie od siebie i od całości. Oznaką ściślejszego zjednoczenia organizmu jest bez wątpienia żywość, z jaką organizm oddziaływa na otrzymany zewnątrz bodziec. Fizyologiczna jedność organizmu ma swą materyalną podstawę w systemie krwionośnym i nerwowym, które swemi rozgałęzieniami przenikają wszystkie części organizmu i łączą go w jednę nierozdzielną całość. Takież same, acz w mniejszym stopniu, mają pod tym względem znaczenie kości i mięśnie.

Zbytecznem było dowodzić, że wszystkie te zmiany, jakim organiczna istota podpada w przebiegu fizyologicznego rozwoju, są koniecznem następstwem powszechnego prawa trwałości siły, które tym razem da się sformułować w następujący sposób: w każdym organizmie każda nowa siła musi spowodować równoważną sobie zmianę.

VI. *Prawo rozmnażania się.* Jeżeli wszystkie właściwości tak morfologiczne jak i fizyologiczne roślin i zwierząt są bezpośrednim wypadkiem działania otoczenia i oddziaływania żyjących w tém otoczeniu organizmów, działania i oddziaływania, które trwały nieprzerwanie w ciągu wielu pokoleń; rzecz naturalna, że też same działania i odziaływania muszą być także przyczyną wszelkiéj rozmaitości, jaką znajdujemy w sprawie rozmnażania się organizmów.

Zanim będziemy mogli poznać, w jaki sposób sprawa rozmnażania się przystosowuje do warunków tak stałych, jak przemiennych, musimy się zastanowić nad czynnikami, działającemi na każdy w ogóle organizm.

Czynniki te mogą się sprowadzić do dwóch grup: do czynników *niszczących* (destrukcyjnych) i *zachowawczych*. Z jednéj strony gatunek jest ciągle niszczony śmiercią naturalną, brakiem żywności, znacznemi zmianami atmosferycznemi, obecnością innych nieprzyjaznych gatunków; z drugiéj strony podtrzymywanym i ochranianym w swéj egzystencyi przez trwałość swych członków, przez ich siłę, obfitość, przemyślność a następnie przez płodność.

Wiemy już, że rozmnażanie się bywa płciowém i bezpłciowém; że to ostatnie dokonywa się albo przez dzielenie się komórki, albo przez pączkowanie; że nareszcie gamogeneza jest rodzeniem się płciowém osobników, podobnych do rodzicielskich organizmów, a przeciwnie agamogeneza jest rozmnażaniem się bezpłciowém, w którém powstałe osobniki nie są podobne do macierzystego organizmu.

Cztery są warunki od których rozmnażanie się organizmów zależy: wiek, w którym organizm zaczyna się rozpładzać, częstość rozpładzania się, liczba osobników każdego miotu, a w końcu trwałość płodności.

Z powyższych faktów następujące wypływają konsekwencye: a) jeżeli pewien gatunek nie przestaje istniéć, wypada, że siły nieprzyjazne gatunkowi, dążące do jego zniszczenia, są równoważone przez siły zachowawcze, że zatém między zachowaniem osobnika a zachowaniem gatunku musi zachodzić odwrotny stosunek; b) że w miarę jak organizm w warunkach otoczenia łatwiéj lub trudniéj znajdować będzie potrzebne dla swego zachowania się przy życiu środki, i sama płodność jego będzie się powiększać lub zmniejszać w odpowiednim stopniu. Wnioski te, wyprowadzone a priori, jeżeli mają być prawdziwemi muszą być stwierdzone faktami. Stwierdzenie to nastręcza bardzo wiele trudności, z powodu nadzwyczajnéj komplikacyi, w jakiéj się przedstawia nam faktycznie stosunek między indywidualizacyą a genezą. W każdym przecież razie, gdy będziemy się zapatrywać na fakty, ujęte w całości, nietrudno nam będzie ów stosunek zbadać. Fakty te, właściwie ugrupowane, pozwolą nam sprawdzić, jak dalece sięga antagonizm między rozwojem osobnika a rozmnażaniem się tak drogą agamogenetyczną, jak i gamogenetyczną. Rozwój w ogóle, a więc i każdego organizmu musi być rozważanym z trzech stron: jako skupienie materyi, jako wyróżnianie się szczegółów, jako objawianie się coraz większéj dzielności,

działalności. Trzy te strony muszą być uwzględnione w badaniu powyższego antagonizmu między indywidualizacyą a genezą.

Pod pierwszym względem kwestya przedstawia się w ten sposób, że im organizmy są mniejsze co do objętości, tém liczniéj się rozmnażają, że organizmy najmniejsze rozmnażają się w sposób agamogenetyczny. Co się tyczy rozmnażania się płciowego (gamogenetycznego), panuje w nim także stosunek odwrotny między wielkością organizmu a rozmnażaniem się.

Rozważając organizm pod względem jego złożoności, wykrywamy, że im organizm mniéj przedstawia w sobie różnic, im jest prostszy pod względem swéj budowy, tém i rozmnażanie się jego bywa liczniejsze, a przeciwnie tém mniejsze, im w organizmie specyalizacya daléj jest posunięta. Prawo to prawdziwém się okazuje tak w agamogenezie jak i w gamogenezie.

Co się tyczy odwrotnego stosunku, jaki zachodzi między stopniem działalności organizmu a jego zdolnością do rozpładzania się, to chociaż trudno go sprawdzić względem roślin, za to fakty, zaczerpnięte z życia zwierzęcego, stwierdzają go najzupełniéj. Im czynniejszém, ruchliwszém jest które zwierzę, tém siła płodności jego jest mniejszą, tém mniéj licznie rozmnaża się.

Pozostaje teraz pytanie: w jakim stosunku zostaje obfitość żywności do rozmnażania się? Jeżeli przez obfitość żywności będziemy rozumiéć ilość jéj ściśle unormowaną podług potrzeb organizmu, to możemy powiedziéć, że w miarę jak obfitość żywności zwiększa się, zwiększa się także i płodność organizmu. Fakt, że ludzie otyli są bezpłodni, nie stanowi wyjątku, otyłość bowiem jest stanem chorobliwym.

Takie są ogólne prawa, rządzące rozmnażaniem się organizmów. Nie trzeba wszakże zapominać, że w rozmnażaniu się znaczny ma także udział wybór naturalny, decydujący w danym wypadku o tém, które gatunki mają być powstrzymane w swém rozmnażaniu się, a które popiérane. Zapatrując się na kwestyą z tego punktu widzenia, można ustanowić, jako prawo: że organizm lepiéj przystosowany do warunków otoczenia, czyli, co to samo znaczy, do wyższego typu należący, posiada wyznacznik rozmnażania się, który mu zapewnia przewagę. Wybór naturalny, czyli zachowanie przy życiu najlepiéj uposażonych typów, działa w tym kierunku, że gatunki niższe zastępuje wyższemi. Lecz zachowanie przy życiu najzdolniejszych nie jest jedyną przyczyną, ułatwiającą rozszerzanie się, przewagę wyższych gatunków. Jest jeszcze inna. Jakkolwiek organizm najbardziéj rozwinięty jest, mówiąc bezwzględnie, najmniéj płodnym,

względnie przecież posiada płodność jak największą. Dowodzą tego fakty, dotyczące rozmnażania się rodzaju ludzkiego.

Względna płodność człowieka, uważanego jako rodzaj, oraz zmiany, jakie pod tym względem następują, gdy się zmienią warunki jego bytu, muszą się zgadzać jak najzupełniéj z powyżéj określonemi prawami. Do takiego wniosku prowadzi nas zarówno dedukcya, oparta na licznych analogiach, jakie wykrywamy między człowiekiem a zwierzętami, jak i liczne fakty, stwierdzające, że téż same przyczyny, które sprowadzają zwiększenie się lub zmniejszenie rozmnażania się zwierząt, pociągają za sobą także zwiększenie się lub zmniejszenie w rozmnażaniu się ludzi. Niezawodnie, że nie w każdym danym wypadku umiemy dostarczyć w téj kwestyi bezpośrednich dowodów, że między faktami znajdujemy i takie, które powyższemu wnioskowi zdają się przeczyć; przyczyna atoli tych trudności jest ta, że często wypuszczamy z pod uwagi jakiś ważny czynnik, że potrzebne w tym celu fakty w niewłaściwy sposób grupujemy.

Przyjąwszy powyższe twierdzenie za pewnik, pozostaje nam jeszcze poznać, jakie skutki pociągają za sobą stałe zmiany, zaszłe w naturze i w warunkach człowieka, mówiąc wyraźniéj, jakie skutki pod względem płodności człowieka pociągają za sobą zmiany, zaszłe w wewnętrznéj budowie jego organizmu? Wpływ tego czynnika jest tak dalece zmieszany, a nawet zamaskowany przez wpływy innych czynników, na razie daleko potężniejszych, że niepodobna go wykryć i zbadać na innéj, tylko na drodze dedukcyjnéj.

Z samego pojęcia o rozwoju w ogóle wynika, że rozwój człowieka musi polegać na zmianach w jego organizmie, które ruchomą rownowagę jego spraw żywotnych uczynią bardziéj odpowiednią, lepiéj przystosowaną do warunków zewnętrznych. Zachowanie takiéj równowagi potrzebuje, ażeby wyrobione zostały siły wewnętrzne, odpowiednie pod względem jakości, liczby i kierunku siłom zewnętrznym. Ponieważ wszystkie wadliwości człowieka, jakim on jest obecnie, są wadliwościami sił, które on przeciwstawia czynnikom zewnętrznym po większéj części zawikłanym, oddalonym i nieregularnie działającym; cały więc postęp jego musi się zawiérać w dodatkowém, ustawnie wznawianém uporządkowywaniu stanów i czynności jego organizmu, stającego się coraz bardziéj złożonym, coraz więcéj różnorodnym.

Zobaczmyż teraz, w jaki to sposób dokonać się może to doskonalsze uporządkowanie czynności, mające stanowić nowy postęp, wyższy stopień życia ludzkiego? Czy może przez zwiększenie się siły mięśniowéj? przez rozwinięcie większéj niż teraz zwinności w ruchach? Wątpić należy, by te przymioty, tak wysoko cenione w cza-

sach barbarzyńskich, mogły znaléść w czasach wyższéj cywilizacyi, jaką trzeba przypuszczać w przyszłości, potrzebne do swego wzrostu warunki. Czynnikiem więc owego postępu będzie niezawodnie większa zręczność mechaniczna? Że będzie ona w nim mieć dość znaczny udział nie ulega wątpliwości; głównemi atoli czynnikami przyszłego postępu ludzkości będzie spotęgowanie umysłu, wzrost oświaty i moralności.

Wiadomo nam, że rozwój tak człowieka jak każdego innego organizmu dokonywa się nie samorzutnie, ale bywa następstwem bądź pośredniém, bądź bezpośredniém zewnętrznych warunków. Jakież to mogą być zmiany otoczenia, które mają sprowadzić wyższy stopień rozwoju ludzkiego organizmu?

W miarę jak ludzie stają się liczniejsi i już przez to samo, że łączą się w narody, dostępują coraz wyższego stopnia rozwoju, zmniejsza się niebezpieczeństwo, jakie im zagrażało ze strony dzikich zwierząt i nieprzyjaznych pokoleń, ale za to zwiększa się inne— brak żywności. Otóż wzrost ludności, przewyższając ciągle powiększanie się środków do życia, staje się dla ludzi, broniących się od głodowéj śmierci, bodźcem, który rozwija w nich większą zręczność, głębszy umysł i dzielniejsze nad sobą panowanie. Jednocześnie działa tu naturalny wybór, zachowujący przy życiu doskonalsze typy i dziedziczność, przekazująca potomstwu zalety przez rodziców nabyte. Tym porządkiem sam nadmiar płodności staje się przyczyną dalszego rozwoju ludzkości. Lecz czy ciągły rozwój ludzkości, spowodowany nadmiernem jéj rozmnażaniem się, nie stanie się ze swej strony przyczyną upadku płodności?

Spokojna walka o byt w społeczeństwach bardziéj złożonych musi pociągnąć za sobą koniecznie powiększanie się nerwowych ośrodków pod względem masy, złożoności i dzielności. Otóż nie ulega wątpliwości, że wyższy rozwój mózgowia bywa przyczyną opóźniania płciowéj dojrzałości, że zbyt wielki wydatek umysłowych sił, w celu nabycia wykształcenia, spowodowuje nieraz jeżeli nie zupełną, to przynajmniéj częściową bezpłodność.

Postęp w tym kierunku idący musi mieć jakiś kres, jakąś granicę. Ponieważ w miarę zmniejszania się środków do życia, powiększa się rozwój umysłowy, ale zarazem zmniejsza się płodność; wypada więc, że ciągła pod tym względem zmiana ustanie dopiéro wtedy, gdy ilość rodzących się stanie się równą ilości umiérających, czyli że każda para będzie miała właśnie tyle dzieci, ile potrzeba dla jéj zastąpienia w dalszém rozmnażaniu się. Zdawaćby się mogło, że w tym stanie rzeczy każda para wyjątkowo tylko będzie mogła mieć więcéj jak dwoje dzieci. Chwila wszakże zastanowienia się przeko-

na nas, że ta przypuszczalna liczba jest za małą. Ludzkość nigdy nie może dojść do takiéj równowagi z warunkami otoczenia, ażeby jéj rozmnażanie się pozostawało ciągle w stałych granicach. Przypuszczając bowiem, że ciepło i światło słońca nie doznają zmniejszenia i nie zmienią pod tym względem warunków ziemskich, są za to inne czynniki, które w swém działaniu nie ustają, czynniki astronomiczne i geologiczne, które, sprowadzając zmiany, chociażby powolne i małoznaczące w otoczeniu, muszą zakłócać równowagę, nadwerężać przystosowanie się. Można więc przyjąć, że przecięciowa liczba potomstwa, jaką każda para będzie miała w przyszłości, będzie się chwiać między trzema i dwoma.

Jakkolwiekbądź to się stanie, rzeczą jest jednak widoczną, że nadmiar ludności i towarzyszące mu cierpienia ustaną, i wówczas nastąpi stan rzeczy, który od osobników będzie wymagał tylko czynności normalnéj i przyjemnéj, zgodnéj z naturą ich władz (1). Słowem, nabywanie środków do życia i wykonywanie obowiązków rodzinnych i społecznych będą potrzebować tego tylko rodzaju działania i w takim zakresie, jakie są konieczne dla zdrowia i szczęścia.

Władysław Kozłowski.

---

(1) Wyższy rozwój nerwowego systemu i większy wydatek nerwowéj siły, uważane jako cechy przyszłego postępu, nie powinny być rozumiane w tém znaczeniu, że będą stanowić większe natężenie, większe znużenie umysłowe. Należy przypuszczać, że zwiększająca się potęga rozumu i uczucia, dzięki organicznym zmianom, stanie się samorzutniejszą, a przeto przyjemniejszą w działaniu.

DYDAKTYCZNA POEZYA HEBRAJSKA.

W roku zeszłym wyszedł z druku w przekładzie polskim z oryginału jeden z pomników starożytnego piśmiennictwa hebrajskiego.

W krajach, gdzie każdy prawie wykaz miesięczny dzieł wydawanych niechybnie wyliczy bądź kilka takich przekładów z hebrajskiego, bądź téż kilka rozpraw poświęconych rozbiorowi krytycznemu lub objaśnieniom tych zabytków, fakt taki należy do zwykłych objawów umysłowego życia. U nas prace tego rodzaju są to zjawiska nigdy nie bywałe. Przekład zaś z hebrajskiego piérwszy to podobno od lat trzystu z górą.

A przytém, przekładu tego zabytku, z tak odległéj pochodzącego starożytności, dopełnił autor kilku cennych z dziedziny judaizmu traktatów, powszechnie znany i szanowany jako mówca, dążenia i potrzeby społeczeństwa odczuwający, jako zacny i prawy obywatel, Izaak Kramstück.

Przekład swój szanowny tłómacz poświęca pamięci profesora b. szkoły rabinów, Feliksa Żochowskiego, do życzeń którego gorących, jak to czytamy w przemówieniu, należało i to, by uczniowie jego przełożyli na język polski te zabytki piśmiennictwa hebrajskiego w całości. Praca ta podjęta w myśli szlachetnéj, w celach iście obywatelskich, przedmiotem swym wkracza w zakrés badań naukowych. Odziewając jeden z zabytków starożytności w nową dla nas tak powabną, gdyż swojską szatę, szanowny tłómacz, tém samém, zwraca na ów zabytek uwagę szerszego koła czytelników; nie jednym dostarcza możności poznania go, a przez ułatwienie zachęca innych do szczegółowszego badania.

Przedewszystkiém atoli pamiętać należy, że przypatrzenie się trudnościom, związanym z takiego rodzaju pracą, przypomnienie sobie okoliczności, wśród których samo dzieło powstało, jedynie uwydatnić potrafi zasługi, wypływające z podjęcia się i dokonania téj pracy; tylko zrozumienie należyte znaczenia przetłómaczonego zabytku prowadzi do ocenienia doniosłości wyboru.

Zadanie tłómacza, polegające głównie na oddaniu każdego słowa w znaczeniu oryginału, każdéj myśli, tak jak ją pojmowano tam, gdzie ona powstała i wówczas, gdy ona powstawała, staje się tém trudniejszém, im dawniejszym bywa utwór tłómaczony. Tłómacz pomników piśmiennictwa narodów starożytnych nie odtwarza już wyłącznie pojęć i wyobrażeń jednostek, lecz częstokroć dawno już w przeszłość zapadłéj epoki całéj, a nadto, społeczeństw różnych, z któremi związek ściślejszy zaledwo oczom badaczy dostrzegać się daje.

Nie jeden autor starożytny, wcielając w swoje dzieło prace poprzedników, prace kilku pokoleń, staje tylko w roli skrzętnego kopisty. Nie jeden pomnik piśmiennictwa, jako nie noszący na sobie żadnych cech pracy indywidualnéj, całości artystycznéj, być może tylko zbiorem podań, utworów ulotnych, lub pewnych wiadomości, zbiorem którego redaktorami byli jedynie czas i przypadek.

Pomiędzy utworami starożytnemi i szerszym kołem czytelników pośredniczyć musi *krytyka tekstu.* Do zadań téj nieodzownéj, aczkolwiek tylko przygotowawczéj nauki, należy wyjaśnić w jaki sposób i kiedy powstał dany utwór, wyszperać ziarnko prawdy w tém, co o tym utworze podaje legenda; następnie dotrzéć do prawdziwego znaczenia, wskazać autora, nakreślić rzeczywiste dzieje tego pomnika; a nadto nieraz w sztucznéj całości wyszukać składających tę całość części odrębnych; z rozrzuconych urywków, stanowiących niegdyś całość, złożyć całość napowrót. Wyniki takich badań krytycznych jedynie tylko umożebnić zdołają rzeczywiste zrozumienie danego utworu, przez co ułatwiają pracę tłómaczowi. Jednakże pozostaje mu jeszcze wiele. By nadać prawdziwy koloryt obrazowi, należytą barwę epitetowi, w zgodném z całością świetle przedstawić przytoczone podanie, większy lub mniejszy nacisk położyć na wzmiankowanym fakcie, uwydatnić częstokroć lekkie tylko napomknienie, musi on wyjaśnić sobie często nieodgadniony całkowicie, lub przewrotnie pojmowany rozwój tego narodu, którego utwór tłómaczy, poznać dokładnie rzeczywistą jego przeszłość i podania; a przytém, wtajemniczyć się w stan rzeczy współczesny temu utworowi, ująć w całości czasy, z których on pochodzi. A na tyle tylko pozostać ma synem własnéj epoki, ile ta dostarczyła mu pod-

staw naukowych, rozwinęła krytycznie jego umysł, uzbroiła go w pewne wiadomości.

Wiedzą a kunsztem musi on zdobyć dla swojego słowa owę moc magiczną zaklęcia, która jedynie tylko odtworzyć zdoła obraz, jaki ongi stawał przed oczyma współczesnych utworowi; która jedynie tylko poruszyć te struny uczucia, wywołać te myśli potrafi, jakie poruszyć i wywołać leżało w zadaniu autora. Nic dziwnego przeto, że każde stulecie probuje swych sił na przekładach, każda szkoła kusi się o nowe. Nic dziwnego, że imię tłómacza stanęło nieraz nierozłącznie obok imienia autora, na zawsze zlało się z tytułem pewnego arcydzieła lub pomnika z ważnéj jakiéj epoki życia ludzkości.

Dotychczas piśmiennictwo trzech tylko narodów starożytnych było dokładniéj znane, a pomniki jego częściéj tłómaczone. Jednakże nie wszystkich tłómaczy zabytków tych trzech piśmiennictw oczekiwały jednakowe ułatwienia, nie wszystkim im również zadawalniająco udawało się spełnić swe zadania.

Tłómaczący z hebrajskiego, oprócz przeszkód tak szczęśliwie nie raz usuwanych przez sumienną i bezstronną krytykę tekstów, spotykali jeszcze trudności wielkie i w większości wypadków dopiéro od bardzo niedawnego czasu przełamywane. Trudności te pochodzą głównie z odosobnienia języka i literatury narodu żydowskiego.

Piśmiennictwa tych narodów, z którymi bądź wspólność pochodzenia, bądź téż bieg dziejowego życia, oraz ciągłe i nieuniknione stosunki wiązały były naród żydowski, tych narodów, których imiona tak często spotykają się na kartach kronik hebrajskich, w podaniach i ustach mówców, były dotychczas nie znane. Język assyryjski, ów najstarszy członek rodziny języków semickich (1), od lat kilkunastu dopiéro jest badany. Tłómacze z hebrajskiego nie znajdowali przeto w swoich księgach tego, co ułatwiało przekłady z greckiego i łaciny, a mianowicie, parallelnych tekstów, będących prostym wynikiem jednakich religijnych podań, zlania się mytów i wspólnego wątku cywilizacyi dwóch narodów, Greków i Italów. Nie mieli ci tłómacze Sanskrytu ani téż Wedów, do których udawaćby się mogli, w celu wyjaśnienia nazwy bóstwa jakiego, w celu wyszukania prawdziwego znaczenia mytu, piérwotnego brzmienia słowa, rzeczywistego jego pierwiastku.

---

(1) Kwestyą, jakie stanowisko język assyryjski zajmuje w rodzinie języków semi kich, podjąłem w rozprawie p. t. *Historya i systemat języków semickich Renana w obec najnowszych odkryć w piśmie klinowém.* (Dwutygodnik Naukowy, r. b).

Każdy tłómacz, stosownie do zasad szkoły lub nastroju własnéj wyobraźni, widział w tłómaczonym utworze co chciał widzieć; a chociaż przekłady nieraz stanowczo z sobą się nie zgadzały, każdy mógł swój uważać za wyłącznie zgodny z duchem oryginału, literą tekstu i, jako taki, główne zalecać.

Ztąd to pochodzi znaczna owa ilość przekładów. Miało to jednakże i ma dobre swoje strony. Znajomiąc coraz szersze koło z treścią piśmiennictwa hebrajskiego, budząc i podtrzymując zainteresowanie się ogółu temi utworami, przekłady te ułatwiają rozpowszechnienie się wyników krytyki tekstów hebrajskich, co znowu sprzyja postępowi nauk historycznych oraz podniesieniu się poziomu wiedzy w ogóle.

Tymczasem od lat kilkunastu, po dłuższych przygotowawczych pracach, rozpoczęte, a ze zdumiewającemi rezultatami posuwające się naprzód odczytywanie assyryjskich cegiełek i papirusów egipskich dostarcza coraz większéj ilości faktów świadczących o blizkiém powinowactwie i poniekąd zależności kultury hebrajskiéj od kultury sąsiednich, po części spokrewnionych narodów. Najnowsze prace w tym przedmiocie słuszną mogą budzić nadzieję, że przy przygotowaniu naukowego gruntu przez krytykę tekstów, nadejdzie chwila, w któréj nie zabraknie już materyału do krytycznego opracowania dziejów narodu żydowskiego, oraz historyi piśmiennictwa hebrajskiego, w rzeczywistym znaczeniu tego słowa.

Lecz nie u nas to się dzieje, jak wiemy. Przed trzystu laty dokonane przekłady z hebrajskiego wszystkich pomników piśmiennictwa przedrukowują się w pewnych celach ze ścisłością stereotypową. Wieści zaś o wynikach krytyki tekstu, aczkolwiek tylko dorywczo i przypadkowo one do nas dochodzą, niektóre wiadomości o odkryciach w historyi Wschodu uzupełniających owe wyniki, już to z zupełną obojętnością, już to bardziéj z przestrachem niż z właściwym zadowoleniem umysłowym bywają witane nawet przez koła dobrze dla nauki usposobione, nawet i przez tych, którzy są, lub być się zdają, zainteresowani badaniami naukowemi.

Nadając kształty czynu rzuconéj kiedyś w szczęśliwą chwilę myśli, szanowny tłómacz „rozpoczyna przyswojenie naszemu językowi ksiąg biblijnych“ (słowa te, zawiérające pożądaną obietnicę, przepisuję z Przedmowy) od przekładu obecnie wydanego księgi, znanéj pod tytułem: „Przysłowia Salomona“ (1).

---

(1) Przysłowia Salomona przełożone i objaśnione przez Izaaka Kramstück. Warszawa, 1878.

Księga ta już oddawna zwracała na siebie uwagę krytyków i zainteresowała ogół wtajemniczony w przebieg badań krytycznych (1), a to z powodu bogatéj swéj treści i układu zewnętrznego.

Bogatą treść téj księdze dostarcza dydaktyka.

Poezya dydaktyczna hebrajska ustępuje w polocie siostrzycom swym wyrosłym i wybujałym na téjże saméj niwie. Nie wzlatuje ona do niedosięgłych sfer, utworami fantazyi zaludnionych, nie gości wśród bogów, w kole zaczarowaném mytów. A ponieważ te sfery i światy stanowiły wspólne wiano wszystkich ludów pochodzących z jednego szczepu, przeto, nie czerpiąc w skarbcu wspólnym, jest ona więcéj niezależną, bardziéj oryginalną i samodzielną. Z zadania i przedmiotu swego dotykając się życia, życia takiego jakiém ono było w rzeczywistości, w codziennych sprawach i wypadkach, wraz z tém życiem, na różnobarwném tle jego, rozwija się, wzrasta, potężnieje.

Ten ścisły związek z życiem nadaje jéj charakter przeważnie swojski, społeczny, w chwilach walk narodowych, patryotyczny. Staje się więc ona tłómaczem potrzeb i dążeń, trosk i zagadnień społeczeństwa. W miarę rozwoju umysłowego narodu, budzenia się w nim myśli, wikłania się zjawisk w życiu, poważnieje jéj treść, coraz ważniejszych kwestyj dotyka, coraz głębiéj je porusza, wszechstronniéj rozwiązuje, a to przybiérając, jakby szaty, coraz nowsze kształty, udatniejsze formy.

Z początku bada to, co społeczeństwo na stopniu dziecinnéj prawie naiwności bawi i zajmuje. Wylicza więc „trzy rzeczy dziwne,“ a „cztery niepojęte;“ liczy „istoty drobne a w wysokim stopniu mądre,“ lub te, które „wybornie stawiają krok.“ Następnie przechodząc do ulotnych spostrzeżeń, udatnych porównań, rozsądnych przemówień, dochodzi do zagadnień, które jako sfinks nigdy nieodgadniony zawsze kuszą, by je rozwiązać probowały mknące przez byt pokolenia i narody. Myśl filozoficzna zbudzona

---

(1) Oprócz rozpraw w Encyklopedyach powszechnych i specyalnych (np. Bibellexicon, wydany przez Schenkela, 5 tomów; lub Herzog's Realwörterbuch) i oprócz stosownych rozdziałów i ksiąg w tak zwanych *Przewodnikach* do studyów nad literaturą hebrajską (np. De Wette: Lehrbuch der Historisch-Kritischen Einleitung in die Bibel Alten und Neuen Testaments. Wydany przez Schradera, 8 wyd. 1869. Bleek: Einleitung in das Alte Testament, 3 wyd. 1870); oraz właściwych Historyi Literatury Hebrajskiéj (Fürst'a, Nöldekego, Hausratha) następujące monografie są ważniejsze: Ewald: Die Dichter des Alten Bundes, tom drugi, wyd. 2 1867. Bertheau: Sprüche Salomo's, 1847 (weszło to dzieło w skład wydawnictwa p. t. Kurzgefasstes Exegetisches Handbuch zum Alten Testament). Hitzig: Sprüche Salomo's 1857.

walką dobrego i złego w świecie i społeczeństwie, sceptycyzm, owoc nadaremnych wysiłków dotarcia do pewnych prawd, znajdują w niéj przytułek; a jakby z gościnności zadowolone, już innéj formy, innego gruntu wcale nie szukają.

A przytém panują w niéj gorące uczucia sprawiedliwości i cześć dla prawdy; zupełna niezależność od szkoły i różnych, powstałych z czasem, teoryj religijnych. Przy zupełnéj swobodzie w traktowaniu przedmiotu, przebija się umiejętność trzymania się pewnych granic, poczuciem piękna zakreślonych. Żadne zaś względy postronne nie krępują szlachetnéj śmiałości i poważnego nastroju. Te ostatnie cechy są tak dalece wybitne, że skarłowaciałe z czasem pokolenie osądziło, że tylko usta królewskie, nie znające hamulca w strachu i przeszkód w zakazie, mogły to wszystko wypowiedzieć bezkarnie.

Nie raz za ciasno bywało w murach Jerozolimy dla myśli niezależnéj, dla swobody sądu, owych podstaw dydaktyki hebrajskiéj. Dzieje w osobistościach patryarchów i wodzów nie przedstawiały dla niéj dość wybitnych typów i przykładów. Stwarzając postać sędziwego i sprawiedliwego Ioba, ucieka ona na pustynię. By związać losy pojedyńczego człowieka z czémś bardziéj ogólném, stałém, wdziera się na niebo, podsłuchuje umowę Jehowy z szatanem. Sprawiedliwy, niesłusznie klęskami dręczony, na łożc śmierci obalony, wypowiada szczytny protest w imieniu wszystkich nieszczęśliwych i prześladowanych. Ogniste żale jego, skarga na wszystko i przekleństwo wszystkiemu, mogły popłynąć, na wzór gwałtownego potoku górskiego niczém nie tamowane, tylko w namiocie Beduina, w obec obojętnéj przyrody, a niezaradnych przyjaciół.

Gdy zaś nastały ciężkie czasy, gdy myśl, w swobodzie tylko czerpiącą natchnienie, wypłaszały z nad Jordanu to zgiełk wojenny, to formalizm, w który naród jak we ślimaczą skorupę się wciskał, jak w nieprzebity pancerz się zakuwał, by przetrwać wszystkie burze grożące, jeszcze raz zakwita poezya dydaktyczna. Zakwita ona na obcéj ziemi, gdyż ta ziemia stała się ogniskiem życia umysłowego, dostarczała schronienia wygnańcom, spokoju myślicielom. Przemawia ona już obcym swemu narodowi językiem, gdyż język ten był mową ówczesnego świata. Ale wszystko ją łączy z narodową, dawną. Na starym pniu ona wyrosła; sokami jego żywiona, gałęziami i liściem jego ocieniona, niby korona wspaniała wieńczy całe drzewo.

Niewiadomy autor, umiejętnie łącząc prawdy i zasady ogólne z losami swego kraju, a w odrodzeniu sprawiedliwości w ludzkiém społeczeństwie upatrując chwilę, w któréj muszą być zwrócone pra-

wa własnemu jego narodowi, głębokością myśli, szczerością przekonań, szlachetną śmiałością, podnosi utwór swój do wysokości znanéj tylko nie wielu arcydziełom. Księga ta powinnaby zostać księgą wszystkich uciśnionych; lecz zarazem i groźnym *memento mori* dla ciemiężców.

Księga ta, ogólnie zwana księgą *Mądrości*, szczytnie kończy tysiącletni przeszło rozwój poezyi dydaktycznéj hebrajskiéj, któréj piérwsze próby i początki zawiérają w sobie „Przysłowia Salomona."

Korzystając przeto z możności poznania tego, tak cennego zabytku w nowym na nasz język przekładzie, wtajemniczając się w jéj treść, stajemy zarazem w przedsionku wspaniałego gmachu, wzniesionego pracą i natchnieniem niezliczonych pokoleń; odczytujemy zarazem *wstęp* do kilku ksiąg, których ważność już to samo dobitnie wskazuje, że naród, który wydał chociaż nieznanych z imienia autorów tych ksiąg, dostarczył niezbitych dowodów wielkiéj żywotności.

Jednakże, jak badacza tajników przyrody zdeterminowanie znajdowanych w pokładach ziemi minerałów i organicznych cząstek nie zadowolni zupełnie, lecz z układu warstw powierzchni, ze wzajemnego ich ku sobie stosunku zapragnie odkryć dzieje powstania téj miejscowości; tak téż i czytelnika téj księgi nie tylko zająć treść, lecz i zaciekawić dzieje jéj powinny. A że na te dzieje złożyły się rozmaite wypadki, że przebieg ich odbywał się w przeciągu dość długiego czasu, świadczy sam układ księgi, rozmaite pochodzenie jéj działów, części jéj, dające się do pokładów geologicznych przyrównać.

I.
Najdawniejsze pomniki.

W rozdziale pierwszym wiersz piérwszy tworzą słowa: *Przysłowia Salomona, syna Dawida, króla Izraelskiego.* Daléj wskazany jest cel ich. Służyć one mają:

Do poznania mądrości i obyczajności,
do pojmowania zdań rozsądnych.
Do dawania nierozsądnym rozwagi,
wyrostkowi—wiedzy i przezorności.
Skutkiem zaś poznania ich będzie, że gdy je—
Usłyszy mędrzec, przysporzy (sobie) nauki,
rozumny—sposobności (1) nabędzie (1—6).

---

(1) Byłbym za przetłómaczeniem w tym razie rzeczownika (תַּחְבֻּלוֹת), jeśli już nie przez *przewodnictwo*, jak to sz. tłómacz uczynił w XI, 14; to przynajmniéj przez *roz-*

Następnie czytamy:

Słuchaj synu napomnienia ojca twojego;
a nie zaniedbuj nauki matki twojéj. (8, 9).

I zamiast zapowiedzianych przysłów, następują przestrogi, poetycznie obrobione przemówienia, alegorye, opisy. Powtarzane ciągle „synu mój,“ utrzymanie stale w takich przemówieniach drugiéj osoby, nadaje barwę pewnéj serdeczności. Z treści zaś tych przemówień łatwo wywnioskować, że już nie mają one mędrca na względzie, by jemu nauki przysporzyć, lub wyrostka, by nadać mu wiedzy i przezorności, lecz tego, do kogo zwrócone są już dwa te ostatnie wersety, w tym razie stanowiące jakby właściwy dopiéro wstęp do rzeczy. Przytém widać, że je udziela raczéj moralista miłujący młodzież, troskliwy o jéj dobro, pragnący powstrzymać od zepsucia, od plagi dręczącéj ogół, niż możny król, w ręku swym barWdziéj skuteczne posiadający środki. Czytamy bowiem:

Synu mój, jeśli cię namawiać będą grzeszni,
jeśli powiedzą, chodź z nami,
będziemy czatować na krew
będziemy czyhać na niewinnych....
Wszelkie bogactwa drogocenne znajdziemy,
napełnimy nasze domy zdobyczą....
Synu mój, nie chodź jedną drogą z nimi.... (10—15).

W tém miejscu tok tego przemówienia niespodziewanie przerywa następny ustęp:

Mądrość po ulicy swe kazania miewa....
Na wzniesieniu wśród tłumów woła;
przy wejściu do bram, w pośrodku miasta,
głos swój podnosi:
„Zwróćcie się ku moim przestrogom;
„ja wam swój duch objawiać będę,
„oznajmię wam swoje słowa.... i t. d.

---

tropność, zręczność—bądź w kierowaniu ludźmi, bądź w wykonywaniu własnych swych zamiarów; co nie byłoby zbyt dalekiém od użytego po dwakroć przez sz. tłómacza wyrazu *zastanowienie* (XX, 18; XXIV, 6). Pierwiastek חבל oznacza głównie czynność *przewracania*, *szkodzenia, niszczenia*, jak to widać i z *assyryjskiego* (Napis grobowy Daryusza z Naks-i-Rustem, w. 36; napis Artaxerxesa z Suzy, w. 17); a to za pomocą czegoś przywiązanego do przedmiotu (ztąd (חֶבֶל lina). A ponieważ za pomocą czegoś przywiązanego do przedmiotu również i *ciągnąć* ten przedmiot możemy,. *kierować* nim, przeto rzeczownik przybiéra znaczenie *kierownictwo, przodownictwo*, wykonywanie z *zastanowieniem, roztropność, zręczność* w wykonaniu; jeśli zaś celem tego wszystkiego jest *szkodzenie*, przeto ta czynność zasługuje już na miano *knowania*, jakie jéj sz. tłómacz nadał w. XII, 5.

Lecz któż jest ta mądrość, która „swój duch objawi?“ Któż jest ta istota, która sądzić będzie, „gdy nadejdą nieszczęścia i ucisk“ a „strach napadnie“ tych, którzy jéj „przestróg słuchać nie chcieli?“ Na te pytania odpowiedzi należy szukać dopiéro w rozdziałach VIII i IX. To, co bezpośrednio po tém przemówieniu Mądrości następuje, jest dalszym ciągiem przerwanych rad i przestróg użyczanych młodzieży.

Synu mój jeśli przyjmiesz moje mowy
i moje przykazy zachowasz u siebie; i t. d.
Wówczas pojmiesz bojaźń Wiekuistego.... i t. d. (II, 1—9).

Nie jest to jednakże jedyną nagrodą; jeszcze inna oczekuje, gdyż czytamy w innéra miejscu:

Synu mój, mojéj nauki nie zapominaj,
Gdyż przedłużenie dni, lat życia i spokoju
one przysporzą tobie (III, 1—6).

Następstwem więc bezpośredniém niezapominania przez młodzież nauk i zleceń niewiadomego mistrza ma być: przedłużenie lat życia i spokój. Myśl tę chce autor głęboko zaszczepić w serca słuchaczy, gdyż niejednokrotnie jeszcze powraca do niéj.

Słuchaj synu i przyjm moje wyrzeczenia,
a one ci pomnożą lat życia.... (IV, 10).

lub daléj:

Synu mój, na moje słowa zważaj,
Albowiem życiem są one dla tych, co je znajdują,
a dla całego jego ciała—ozdrowieniem (IV, 20, 22).

Atoli zlecenia i nauki mistrza dla tego tylko przedłużają dni i dają spokój, że prowadzą do poznania mądrości, ponieważ:

Szczęśliwy człowiek, który znalazł mądrość
i człowiek, który rozprzestrzenia pojętność (1) i t. d.

---

(1) Od słowa בִּין (uważać, widzieć, rozważać, pojmować, rozumiéć, wiedzieć) dwa rzeczowniki pochodzą בִּינָה i תְּבוּנָה Piérwszemu z nich nadają hebraiści znaczenie łacińsk. *intellectus*, drugiemu *intelligentia*. (G e s e n i u s: Thesaurus linguae hebraeae, 204). Częstokroć oba te wyrazy są obok siebie postawione; jak to miało miejsce w II, 3; gdzie sz. tłómacz pierwszy z nich (בִּינָה intellectus) przepolszczył na *rozsądek*, drugi (תְּבוּנָה intelligentia) przez *pojętność*. Ten ostatni bardzo często napotykamy. Otóż sądziłbym, że nie zawsze również szczęśliwie daje się przez *pojętność* wyrazić. Mianowicie, w tym razie czytamy „rozprzestrzeniać pojętność;“ gdzieindziéj (II, 11) „pojętność będzie cię strzegła.“ Byłbym przeto za użyciem czasami jakiego innego rzeczownika (np. rozum, przenikliwość, roztropność, znajomość rzeczy). Oprócz tych dwóch w tekście bardzo często użyty jest wyraz דַּעַת. Rzeczownik ten pochodząc od słowa יָדַע (widzieć, poznawać, wiedziéć) przybiéra rozmaite znaczenia: ***wiedza, nauka,***

Przedłużenie dni—z jéj prawicy.
Z jéj lewicy—*bogactwo i cześć* (III, 13—16).

Owóż niezawsze przebywa autor w sferze przenośni, malujących oderwane pojęcie etyczne. Zstępuje on do życia rzeczywistego, wchodzi w stosunki codzienne i udziela rad wielce utylitarnéj natury, gdyż to, co się za ich pomocą osiąga, prowadzi do mienia, uwalnia zaś od wszelkiéj obawy, sprowadzając sen spokojny. Rady te zebrane z kilku rozdziałów brzmią:

Czcij Boga częścią swojego mienia
i pierwiastkiem wszelkich płodów swoich,
A napełnią się twoje śpichrze obfitością
i moszczem twoje tłokarnie przepłyną (III, 9, 10).

Synu mój, zachowaj cnotę i roztropność.
Wówczas postępować będziesz bezpiecznie po twojéj drodze....
gdy kłaść się będziesz, nie doznasz obawy,
a gdy będziesz leżał, miłym będzie sen twój.
Nie będziesz się obawiał strachu nagłego ni burzy,
co na złoczyńców nachodzi (III, 21—25).

Inne mają na celu stosunki z ludźmi, jak na przykład:

Nie odmawiaj dobrodziejstwa potrzebującemu,
gdy masz możność w ręku, aby je uczynić.
Nie knowaj na bliźniego twojego zła.... (III, 27—31).

Z tém wszystkiém jednakże zaleca praktyczną ostrożność:

Synu mój, jeśliś zaręczył za swojego bliźniego,
jeśli zostałeś zniewolony wyrzeczeniem swoich ust,
jeśliś się dostał w rękę swojego bliźniego,
Idź, wyswobódź się....
ocal się jako jeleń z ręki,
jako ptak z ręki łowcy.... (a nim to uskutecznisz, nawet)
nie dozwalaj snu swoim oczom,
drzemania swoim rzęsom....

---

poznanie, rozum, znajomość rzeczy. Sz. tłómacz najczęściéj przekłada ten wyraz na *wiedzę*. „Do dawania wyrostkowi wiedzy" I, 4. „Posiadają wiedzę" VIII, 9. „Tają wiedzę" X, 14 lub „tai wiedzę," XII, 23. „Nie poznasz ust wiedzy" XIV, 7. „Rozumni uwieńczają się wiedzą" XIV, 18. W XV r. „język mędrców umila wiedzę" (2); „usta mędrców rozsiewają wiedzę" (7); serce pojętne szuka wiedzy" (14). Częstokroć przez rozsądek, poznawanie. „Z ust pochodzą rozsądek...." (II, 6). „Poznawanie Boga" (II, 5; IX, 10). Zdarza się jednakża znowu *pojętność:* „Jego pojetnością otchłanie się rozstąpiły (III, 20);" „nienawidzićć będę pojętność (II, 22);" „nienawidziii pojętność" (II, 29).

A przytém powraca on nieraz jeszcze do tematu, od którego rozpoczął naukę; nieraz jeszcze nalega by unikał „męża mówiącego przewrotność,“ „tych co się radują wykonaniem złego;“ „których drogi są krzywe.“ Towarzystwo, przestawanie z nimi nie jest atoli jedyném niebezpieczeństwem, grożącém młodzieży na wstępie do życia. Inne, nie mniéj groźne, przedstawia „kobiéta wyrodna,“ któréj dom „nachylonym jest ku śmierci, ku cieniom jéj ścieżki,“ która „wielu trupem położyła, a wielka jest liczba przez nią zabitych.“ Ostrzega więc zapytując:

Możeż człowiek nagarnąć ogień na swe łono
i aby jego suknie się nie spaliły? (IV, 27—28).

Ostrzega grożąc:

Ty będziesz jęczał w końcu,
gdy zniknie twoje ciało i twoje mięso,
i rzekniesz: nie słuchałem głosu mistrzów swoich....
(V, 11—14).

Lub następnemi słowy:

hańba zostanie niezatartą,
albowiem zapalczywą jest zazdrość męża;
on nie zna litości w dniu zemsty, i t. d. (VI, 33, 35).

Nakoniec chce obraz występku przed oczy wywołać; mocnemi zaś barwy obrazu wstręt obudzić; albowiem opowiada:

przez okno mojego domu
przez moje kraty, patrzyłem,
a ujrzałem pomiędzy nierozważnymi,
zauważałem pomiędzy młodzieńcami,
wyrostka nierozumnego,
który przechodził ulicą....
A otóż kobiéta na przeciwko niego;
niesforna ona, niepohamowana,
w domu jéj nogi ostać się nie mogą,
już to na ulicy, już na rynkach....
i z wytartém czołem woła do niego....
gładkością swoich warg go porwała....
jak wół na rzeź przybywa,
jak jeleń w sidła wskakuje;
jak ptak śpieszy w sieć,
a nie wié, że o jego życie idzie.... (VII, 6—23).

Daléj znowu „Mądrość“ przemawia. Po drodze, na szczycie wyniosłości, w domu, przy rozstajnych drogach, przed bramami, przy wejściach do miast, przy otwartych drzwiach ona swój głos podnosi:

Słuchajcie, albowiem wzniosłe słowa mówię....
prawdę objawia moje podniebienie....

Ona rozum zawiéra, pojętną rozwagę, radę, domyślność, przenikliwość, siłę posiada. Przez nią królują królowie, sędziowie szlachetni bywają. Ona miłuje tych, którzy ją miłują; a ci, którzy jéj szukają, zawsze ją znajdą. Bogactwo i zaszczyty, trwałe dobro i szczęście są tylko przy niéj. A wieczna ona, gdyż jak mówi:

„Mnie posiadał (1) Bóg na początku swojego postępowania,
przed swojemi dziełami, dawniéj....
„Od wieczności jam uwieńczona,
od początku, przed praczasem ziemi.
„Gdy nie było jeszcze otchłani—jam była zrodzona....
„Gdy jeszcze nie uczynił ziemi i obszarów
i pierwiastkowego pyłu świata.
„Gdy sposobił niebiosa, byłam ja tam;
gdy wytężał obłoki w wysokości....
gdy stanowił morzu jego granicę,
gdy kreślił podstawy ziemi.
„Wtedy byłam przy Nim, wychowanicą (2),
Wtedy byłam rozkoszą dniu po dniu,
igrając przed Nim w każdym czasie,

---

(1) W tekście hebrajskim użytém tu jest słowo קָנָה, mające rozmaite znaczenia: *założył, stworzył, otrzymał, posiadał.* Byłbym za użyciem tu *stworzył*, jako najściśléj, według mnie, odpowiadającego myśli filozoficznéj w tym obrazie skreślonéj. Jehowa stworzył Mądrość na początku wszystkich dzieł rąk swoich, przeto mogła *ona* być przy nim, przy akcie tworzenia innych dzieł; jako pierworodne dziecię była rozkoszą jego, igrała przed nim, w jego świecie ziemskim; mogła rozkoszować się ze stworzonymi późniéj synami człowieczymi. Przy nadaniu słowu temu znaczenia posiadał, obraz taki staje się mniéj wyraźnym, a może nawet zupełnie niemożebnym. To słowo (קָנָה) użyte w następnych miejscach: Gen. XIV, 19. Deut. XXXII, 6. Ps. CXXXIX, 13, również inaczéj nie da się przetłómaczyć tylko przez *stworzył.*

(2) Rzeczownikowi אמון szanowny tłómacz nadaje w tym miejscu znaczenie *Wychowanica.* Rzeczownik ten pochodzi od słowa אָמַן oznaczającego *podpierać, pomagać, wznawiać, posilić*, (zkąd אֹמְנָה kolumna), może przedewszystkiém oznaczać *twórca, sprawca, artysta (structor, opifex, ab erigendo* et struendo dictus, Gesenius: Thesaurus linguae hebraeae—p. 113), następnie dopiéro *piastun, opiekun, mistrz;* w rodzaju zaś żeńskim: *piastunka, karmicielka.* I w takich znaczeniach bywa głównie używany (Num, XI. 12; Jes. XLIX, 23; Esth. II, 7; 2 Reg. X, I; 5; Ruth IV, 16; 2 Sam. IV, 4). Sądzę przeto że i w tym razie bardziéj odpowiada myśli filozoficznéj ukrytéj pod tym obrazem rzeczownik *twórca, mistrz* lub wreszcie *natchnienie* niż *wychowanica* Gesenius (l. c. p. 115) to miejsce tak tłómaczy: *eique* (Deo) *aderam* (in mundo creando) *opifex.*

Również i na to wypada zwrócić uwagę, że nazwa bóstwa egipskiego *Amon* pochodzi od tego pierwiastku. Amonem zaś według Herodota (II, 42) nazywają Egipcyanie Jowisza.

igrając w jego świecie ziemskim,
a rozkoszując się z synami człowieczymi....
(VIII, 2—31).

Słowa te Mądrości stworzonéj przez Jehowę na początku wszystkich dzieł jego, będącéj przy nim w charakterze Mistrza lub Natchnienia, gdy stwarzał; słowa te wypowiedziane przez nią o sobie saméj, swém pochodzeniu i istocie, stanowią zarodek ważnéj w swych rezultatach, a rzec można, jedynéj teoryi filozoficznéj narodu tego. Teorya ta o pochodzeniu i istocie Mądrości, rozwijana jeszcze w kilku utworach, w dziełach Filona Aleksandryjczyka, łącząc się z filozofią grecką, przybiéra metafizyczną szatę i jako teorya „słowa, które się stało ciałem,“ wchodzi do Teologii piérwszych wieków chrześciańśtwa, oraz staje się podstawą teoryi emanacyi, w szkole filozofów aleksandryjskich.

Nad rozdziałem X czytamy znowu napis: *Przysłowia Salomona.* Owóż w tym razie, przynajmniéj co do zawartości, napis nie zawodzi. Trzynaście idących po sobie rozdziałów (do XXII, 17) zawierają już nie nauki wyłącznie skierowane ku młodzieży i przemówienia Mądrości, lecz przysłowia, ściśle podobne do siebie pod względem formy.

Jednolitość tę formy nadaje tym przysłowiom umiejętny, rzec można artystyczny, parallelizm. Każde przysłowie składają dwa zdania, złożone zaledwo z kilku wyrazów. Brak spójników, stanowiący właściwość języka hebrajskiego, zmusza wyłącznie tylko w treści tych zdań szukać łączącéj jedno zdanie z drugiém myśli przewodnéj, co uwydatnia, jeszcze bardziéj wyrzeźbia nawet ów parallelizm. Jedno tylko z tych zdań zawiéra zwykle główną myśl, drugie zaś—uwydatniające tę myśl bądź przeciwstawienie, bądź porównanie. To znowu drugie zdanie zawiera wykład myśli wyrażonéj w pierwszym, lub powtórzenie téjże myśli, lecz w innéj już formie.

I co do treści te przysłowia nie zbyt są od siebie różne, gdyż wszystkie prawie wyłącznie obracają się jakby około jednéj osi, którą dla nich stanowi mądrość praktyczna i, jak się wyraża Nöldeke, *moralność czysto mieszczańska.* Brak zaś wszelkiego systematu w układzie i częste powtarzanie już to jednéj i téj saméj myśli, już to tego samego zdania sprawiają, jako całość, wrażenie trochę nużące. Z tém wszystkiém, inaczéj się rzecz przedstawia przy głębszém wniknięciu w szczegóły, przy zadaniu sobie chociażby niewielkiéj pracy nad pewném usystematyzowaniem chaotycznéj téj całości. Wówczas niechybnie się dostrzeże, że aczkolwiek przysłowia te przedstawiają świat dość ciasny, aczkolwiek sfera ich ogranicza się

interesami czysto praktycznéj natury, zkąd wypływa nastrój zupełnie powszedni, jednakże dotykają one wszystkich życiowych stosunków w tym obrębie. Stosunki zaś te traktują one z zupełną, niczém nie zamąconą swobodą, a częstokroć, z zupełną nawet niezależnością przekonań. A nadto, nacechowane są wszystkie trafnym w szczegółach, jasnym w postawieniu kwestyi, trzeźwym w sądzie poglądem na rzeczy.

Zasadnicza myśl etyczna, tylekrotnie uwydatniona w części pierwszéj, o rodzaju nagrody zgotowanéj dla sprawiedliwych, i tu jest rozwijaną:

Zaiste, już sprawiedliwy na ziemi bywa zapłacony,
témbardziéj złoczyńca i grzesznik (XI, 31).
Nauka mędrca jest źródłem życia,
by unikać sideł śmierci (XIII, 14).
Wieńcem ozdobnym jest siwizna,
na drodze cnoty można ją osiągnąć (XVI, 31).

Konieczną ona jest nie tylko dla jednostek, lecz i narodów, gdyż:

Sprawiedliwość podnosi naród,
hańbą ludów jest grzech (XIV, 34).

Stosunki rodzinne malują przysłowia następne:

Cna niewiasta jest koroną swojego męża;
a jak zgnilizna w kościach jego haniebna (XIII, 4).
Kto ociąga swą rózgę—nienawidzi swojego syna,
a kto go miłuje, karci go zawczasu (XIII, 24).

Prawdziwą wartość kobiéty wskazuje przysłowie:

Mądrość kobiéty buduje ich dom,
głupota własną ręką go obala (XIV, 1).

Lekceważenie powierzchowności dobitnie wyraża następne:

Nadobna kobiéta zyska cześć
jak łupieżcy zyskają bogactwo (XI, 16).

Porównanie następne ostro znów karci:

Pierścień złoty w nozdrzach świni,
kobiéta piękna a wyzuta z obyczajności (XI, 22).
Lepiéj mieszkać w kącie na dachu,
aniżeli z kobiétą kłótliwą w domu wygodnym (1)
(XXI, 9).

---

(1) W tymże rozdziale tę samę myśl wyraża jeszcze inne przysłowie:
Lepiéj mieszkać w krainie pustéj,
aniżeli z kobiétą kłótliwą i złośnicą (XXI, 19).

Wzmiankowana swoboda i niezależność przekonań najdobitniéj się przedstawia w przysłowiach tyczących się urządzeń politycznych kraju. W nich widocznėm jest zdrowe pojęcie o władzy i o jéj obowiązkach; czytamy bowiem:

Łaska i prawda strzegą króla,
gdy on wspiéra łaską swój tron (XX, 28).
Rozprasza złoczyńców król mądry
i prowadzi po nich koło (XX, 26).
Ohydą królów niech będzie wykonywanie bezprawia,
gdyż sprawiedliwością ustala się tron (XVI, 12).

Mędrzec jednakże ma nad królem pierwszeństwo:

Lepszy pobłażliwy od mocarza,
kto panuje nad swoim duchem—od zdobywcy miasta (XVI, 32).
Na miasto mocarzy nadszedł mędrzec,
i obalił moc któréj ono zaufało (XXI, 22).

Ma on nawet poniekąd obowiązek czuwać nad królem, gdyż

Zapalczywość króla — posłanniki to śmierci,
mąż mądry uśmierza ją (XVI, 14).

W przysłowiach tyczących się religii zdumiewać może brak śladów wszelkiego fanatyzmu i entuzyazmu, wszelkiéj wyłączności, tak przeważnie w niektórych późniejszych panującéj utworach; oderwanie się, a raczéj niezależność od wszelkich tradycyj, którym tyle z czasem poświęcono miejsca w piśmiennictwie.

Nigdzie nie spotykamy najmniejszéj wzmianki o owych wypadkach i przejściach, które z czasem stały się jedynemi ramami w obrazie dziejów tego narodu, wytworzyły tło, na którém wyłącznie te dzieje przedstawiono.

Bóg narodowy, Jehowa, jest regulatorem stosunków społecznych:

Dobry zyska upodobanie od Boga,
a człowieka chytrego on karze (XII, 2).
Cnotliwych wynagrodzi on szczęściem (XIII, 21).

Nie potrzebuje on ofiar, gdyż u niego:

Wykonywanie cnót i sprawiedliwości wyborniejszém jest,
aniżeli ofiara rznięta (XXI, 3).

On wszechwidzący, ponieważ:

W każdém miejscu są oczy Boga
patrzą na złych i na dobrych (XV, 3).

On wszechmocny, albowiem:

Nie masz mądrości, ni rozumu,
ani rady przeciwko Bogu (XXI, 30).

Częstokroć przysłowia zstępują do stosunków codziennego żywota. Jedne zalecają uczciwość w handlu:

Podwójna waga, podwójna miara,
ohydą Bogu są obie (XX, 10).

Inne karcą lenistwo:

Opieszały w swojém dziele
jest bratem niszczyciela (XVIII, 9).

Piętnują głupotę:

Raczéj niech spotka człowieka niedźwiedzica po stracie młodych,
niż głupiec w swojéj niedorzeczności (XVII, 12).

Zdarza się, że przytoczonym, jakby z ust mówiącego wyjętém jakiém słowem, malują dokładnie stan lub usposobienie

Złe! złe! mówi kupujący,
a gdy odchodzi, wówczas chwali się (XX, 14).
Powiada leniwiec: lew jest na drodze (XXII, 13).

W rozdziale XXII, wiersz 17 stanowią te słowa:

Nachyl swe ucho i słuchaj słowa mędrców,
a twoje serce skieruj ku mojemu nauczaniu;

a daléj czytamy następną wzmiankę: „uczę i dziś ciebie, właśnie ciebie, któremu napisałem już poprzednio o prawidłach, o wiedzy.“ Co razem służy jako przejście do nauk skierowanych ku młodzieży, na wzór tych, które są zawarte razem z przemówieniami Mądrości w dziewięciu początkowych rozdziałach. Powraca tu ów szczery i serdeczny ton miłującego młodzież Mistrza nieznanego. Te same zwroty mowy, rzewne „synu mój,“ a co więcéj, i treść tych przemówień również jest ta sama.

Jak w tamtych tak i tu stara się ochronić od zalotnicy, która „zarówno jak łupieżca czatuje i przeniewierców względem ludzi przysparza.“

Lecz już nie z ich tylko strony wyłącznie grożą niebezpieczeństwa młodzieży, liczba tych niebezpieczeństw wzrosła i przybrała rozmaite kształty. Czyha na nią opiły i żarłok, którzy zubożeją, gdyż „w łachmany odziewa ospałość.“ Radzi więc by niepoglądać na wino, że się czerwieni, że daje w puharze połysk, gdyż w końcu ono „jak wąż ukąsi, jak żmija rani.“ A wtedy:

twe oczy widzą nadzwyczajności,
twe serce gada przewrotności;
jesteś jak ten, co leży wśród morza,
jak ten co leży na szczycie masztu (XXIII, 33, 34).

Zawieszenie na szczycie masztu przedstawia obraz najwyższego niebezpieczeństwa; stan zaś zupełnego obezwładnienia odmalowany jest jako spoczywanie w głębi morza.

Chyhają również na młodzież „szukający odmian“ zapewne, w urządzeniach społecznych i politycznych. Z tymi radzi by się nie stowarzyszał, a zaleca: „bój się Boga, synu mój, i króla.“ Chociaż znowu trochę wyżéj mówi: ocal prowadzonych na śmierć (XXIV, 11) lecz dodaje—jeśli możesz zapobiedz.

Próbą siły mają być nieszczęścia, gdyż powiada:

Jeśli rozpaczasz w czasie nieszczęścia,
to szczupłą jest twoja siła (XXIV, 10).

Jedynaście wierszów z napisem: „*również i następujące pochodzą od mędrców*“ są jakby epilogiem téj części (23–34, XXIV). Piękną jest myśl wyrażona w następnym:

Kto powiada do złoczyńcy: tyś sprawiedliwy,
tego przeklinać będą ludy, temu złorzeczyć będą narody (XXIV, 24).

Na początku rozdziału XXV czytamy: „również i te są przysłowia Salomona, które ubrali mężowie Chiskiahu, króla Jehudy.“ I następujące pięć rozdziałów (XXV—XXIX) zawiérają znowu przysłowia, treścią i formą bardzo zbliżone do przysłów pomieszczonych w rozdziałach środkowych téj księgi (X—XXII, 16). Kilku z nich jednakże brak już owéj ścisłości i jędrności w wysłowieniu, z czego wynika konieczność łączenia z sobą dwóch wersetów (1).

Również brak i tu wszelkiego systematu w układzie; tak samo dotykają one tych samych stosunków społecznych i w jednaki traktują je sposób. Jak w tamtych rozdziałach tak i w tych, niektóre przysłowia są po dwakroć powtórzone (2), a nadto, co jeszcze na ściślejszy związek z sobą tych dwóch części wskazuje, są tu powtórzone bądź dosłownie, bądź w zmienionéj nieco formie, przysłowia pomieszczone już tam (3). Przytoczenie kilku przysłowi udowodni

---

(1) Naprz. 4 i 5. 9 i 10, 16 i 17 w r. XXV.

(2) Naprz. przysłowie:

Lepiéj mieszkać w kącie na dachu
aniżeli z kobiétą kłótliwą w domu wygodnym (XXV, 24)

pomieszczoném już jest XXI, 9; a również ta sama myśl co i w przysłowiu 19-tym tegoż rozdziału.

(3) Powiada leniwiec:

szakal jest na drodze,
Lew wśród ulic (XXVI, 13)

Co już było wyrażoném w innéni. XXII, 13.

powyższe twierdzenie; treść zaś ich uzupełni niektóre poglądy, wypowiedziane w przysłowiach składających tamten dział. Z poświęconych władzy, oto są ważniejsze:

Lew ryczący i niedźwiedź łaknący—
złoczyńca panujący nad ludem biednym (XXVIII. 15).
Panujący gdy zważa na słowa kłamliwe,
to wszyscy jego słudzy złoczyńcy (XXIX, 12)
Król sądzący zgodnie z prawdą ubogich,
tego tron będzie na zawsze ustalony (XXIX, 14).

Dobitne są następne porównania:

Źródło mętne i studnia zepsuta
sprawiedliwy, płaszczący się przed złoczyńcą
(XXV, 26)

Sprawiedliwemu zapewnione zwycięztwo:

Gdy się mnożą złoczyńcy, mnoży się i występek
ale sprawiedliwi ich upadek widzieć będą (XXIX, 16).

Sprawiedliwi przynoszą szczęście i radość ludowi swemu; przeto:

Gdy się mnożą sprawiedliwi raduje się lud,
a gdy panuje złoczyńca—jęczy lud (XXIX, 16).

Radość sprawiedliwych jest oznaką ogólnego powodzenia, albowiem:

Gdy się radują sprawiedliwi jest wiele wspaniałości,
a gdy się wznoszą złoczyńcy, trzeba szukać człowieka (XXVIII, 12).

Z dwóch ostatnich rozdziałów (XXX, XXXI), każdy składa się z dwóch części odrębnych. Pierwszy z nich (XXX), noszący napis: „Słowa Agura syna Jakeha", zawiéra (1—14) rozmowę pomiędzy Ityelem a Ukalem, a następnie kilka zagadek takiego rodzaju: trzy są rzeczy dziwne; pod trzema zadrży kraj; cztery są istoty drobne a mądre. Nakoniec rozdział XXX, ostatni z całéj księgi, jest podany jako: „Słowa Lemuela, króla Mizyjskiego, któremi go napominała matka jego." Tych słów jednakże jest nie wiele, gdyż od dziesiątego wersetu idzie w alfabetycznym porządku ułożona *pochwała zacnéj niewiasty*.

W taki więc sposób poznajomienie się z treścią téj księgi odkryło nam stan wewnętrzny, usposobienia, poglądy na zasadnicze kwestye etyczne tego narodu, wśród którego powstała ona; a zarazem wskazało, że pomimo tytułu ogólnego pod którym jest znaną, składa ją kilka (właściwie dziewięć) rozmaitemi napisami odróżnianych części odrębnych.

Części te, różniące się tak dalece między sobą rozmiarami i formą zawartych utworów, różnią się téż, jak to już widzieliśmy, nie mniéj i co do treści; zkąd wypływa konieczny wniosek, że każda z tych części powstać musiała niezależnie jedna od drugiéj i dopiéro późniéj w jednę całość i to bardziéj mechaniczną, niźli artystyczną, zebrane zostały.

Aczkolwiek znaczną jest ilość tych części, jednakże trudném to nie będzie, na podstawie bliższego związku z sobą niektórych z nich połączyć je w pojedyńcze grupy, tworzące pewną całość, tak pod względem formy jak i treści. Takich grup okaże się głównie dwie, pomijam bowiem urywek ów Dyalogu, oraz pochwałę kobiéty zacnéj. Pierwszą będą stanowiły właściwe przysłowia, zebrane w naszéj księdze w dwóch odrębnych a oddzielonych jedna od drugiéj częściach (X--XXII, 16 i XXV—XXIX), do których należy przyłączyć i zagadki (XXX, 15—33). Druga zawrze nauki i przemówienia, skierowane głównie do młodzieży, składające, wraz z epilogiem (XXIV, 13—34), również dwie odrębne części (I 8—IX, XXII, 17—XXIV, 13), i również, jak dwie tamte przedzielone jedna od drugiéj innemi częściami. Do nich dają się przyłączyć: Słowa Lemuela, króla Misyjskiego, któremi go napominała matka jego (XXXI, 1—9).

Na te dwa działy ugrupowane rozmaite części, składające naszę księgę, przedstawiają dwa osobne rodzaje poezyi dydaktycznéj, lub raczéj, dwa różne stopnie w jéj rozwoju historycznym.

Przysłowia i zagadki są zwykle piérwszym przejawem twórczości umysłu ludzkiego, wyraźnie skierowanéj ku nauczaniu,—piérwszym krokiem prowadzącym do spostrzegania i odróżniania szkodliwego od pożytecznego, złego od dobrego,—piérwszą próbą kombinowania zależności jednego od drugiego, dochodzenia przyczyn i skutków. Pochłonięty wyłącznie przez świat zewnętrzny człowiek zwraca wówczas uwagę swoję zarówno na wypadki życia towarzyskiego jak téż i na zjawiska w przyrodzie; lecz, na pierwszy początek, zadawalnia się częstokroć tylko prostém porównaniem z sobą pewnych wypadków, wyliczeniem, w celu jakiéjś kombinacyi, niektórych zjawisk. Ztąd pochodzi pewna naiwność, cechująca zawsze przysłowia, a zarazem zupełna ich przedmiotowość. Są one zawsze krótkie i zwięzłe, gdyż myśl, do snucia dłuższego wątku jeszcze nie wdrożona, śpieszy, by w drugiém już zdaniu zakończyć swój wysiłek; fantazya zaś, nieraz budząca się dopiéro, zaledwo dostarczyć może materyału do porównań. Życie, płynące początkowo równym i spokojnym korytem, niewielką przedstawia téż jeszcze rozmaitość faktów i wydarzeń; zkąd ten ogólny, bezokolicznościowy, iż tak się wyrażę, ich charakter. Tworzą się one niezależnie jedne od drugich

i, jak należy przypuścić, krążą z początku w niewielkiém kółku rodziny lub rodu. A ponieważ zjawiska fizyczne i pewne właściwości natury ludzkiéj jednakowo działają na umysł, przeto nic dziwnego, że jeden i ten sam przedmiot w przysłowiach bywa często rozważany z małemi, lub nawet żadnemi, co do istoty zapatrywania się zmianami. Związku w nich z rzeczywistą historyą dopatrzéć się nie można, gdyż poprzedzają one zwykle burzliwsze epoki w życiu narodów, które następują, gdy naród dosięga już pewnego stopnia dojrzałości.

Trudno jest wskazać kiedy właściwie kończy się epoka tworzenia przysłów, peryod ich wyłączny w historyi dydaktycznéj poezyi. Mogą powstawać one jeszcze i wówczas, gdy życie dziejowe popłynąwszy bardziéj wartkim prądem nieraz o skały zawadzać, nieraz ku przepaści unosić się zdaje. Lecz wyrwany wówczas okrzyk zgrozy lub przerażenia z piersi, wniosek wyprowadzony z dłuższego badania faktów i zjawisk już inaczéj zużytkować potrafi umysł dojrzalszy. Większa siła refleksyi dozwoli mu spojrzéć głębiéj w teraźniejszość, zajrzéć skuteczniéj w przyszłość; dotrzéć w niéj do zgubnych skutków rażących obecnie wad społeczeństwa, zdrożności niektórych jego klas. Wyobraźnia bardziéj rozwinięta dostarczyć mu już zdoła rozmaitych barw i postaci do stworzenia obrazu. Myśl spotęgowana dłuższą pracą już się nie cofnie przed mozolniejszém zadaniem i bardziéj rozwinąć potrafi to, co sumienie i obowiązek wygłosić człowiekowi każą. Jakkolwiek i wówczas powstawać jeszcze mogą przysłowia, lecz wzmocnione siły umysłowe w stosunku odpowiednim do rozwoju dziejowego, odpowiedniejsze nowym kierunkom, nowe formy dla słowa ludzkiego stworzą.

Właściwą formą dydaktycznéj poezyi w tym nowym peryodzie jéj rozwoju będą alegorye, rady i przemówienia, skierowane do osób rzeczywistych, lub warstw społecznych pod niemi upostaciowanych, a zastosowane do okoliczności wiadomych, wynikłe w skutek pewnych wypadków, odkrytych wad lub wybujałych zdrożności. Będą to już nie *νωμαιγ* lub *Similitudines* różne, zebrane jako myśli rozmaitych filozofów starożytnych, lecz raczéj *Carmen aureum* przypisywane Pitagoresowi, niektóre z Elegii starożytnych greckich; będą to już, nakoniec, przemówienia w rodzaju tych, jakie znajdujemy zebrane w dwóch odrębnych częściach naszéj księgi.

Wskazać atoli jakim epokom w dziejach narodu żydowskiego odpowiadały te dwa stopnie poezyi dydaktycznéj, z wydarzeń bardziéj znanych ułożyć tło historyczne dla jéj rozwoju, a nawet kilku faktami tego rozwoju granice w czasie lub punkt kulminacyjny zaznaczyć, jest rzeczą zbyt trudną. Nie znajdując bowiem nigdzie żad-

nych co do tego przedmiotu wskazówek, zwrócićby się należało do tych dwóch działów i jedynie z ich treści zawyrokować o czasach historycznych z których pochodzą. Tymczasem przysłowia już z natury swojéj dostarczyć żadnych takiego rodzaju wskazówek nie mogą. Jedynie z tego o *czém* milczą, *czego* wcale nie dotykają, z tego *jakie* strony w życiu pomijają, *o jakich* wydarzeniach nie wspominają, wywnioskować można, że *to* wcale nie istniało, lub *tém* nie było, czém zostało późniéj, że z *téj* strony życie nie przedstawiało nic szczególniejszego, a *takie* wydarzenia nie zaszły jeszcze.

W Przysłowiach, jak to wskazałem, nie ma wzmianki o żadnych, znanych nam z innych źródeł tradycyach narodowych, niema nic, coby naprowadzało na wniosek, że istniał jakiś kult niezwykły, coby świadczyło o wyjątkowéj religijności, dowodziło przejęcia się wyłączną jakąś misyą i ztąd wypływającym wrogim nastroju dla innych ludów i, nakoniec, nic takiego coby wskazać mogło na owę odrębność religijną, wyłączność narodową, co z czasem w przekonaniach ogółu pod wpływem pewnych teoryj się utrwaliło, a tak stanowcze wywarło wpływy na losy i istnienie całego narodu. Z tego więc tylko jeden pozostaje wyprowadzić wniosek, a mianowicie, że epoka tworzenia się przysłów poprzedzała czasy powstania i rozwinięcia się wielu narodowo-religijnych teoryj; że się nawet skończyła nim zebrano i powiązano z sobą w jednę całość luźne tradycye i, naginając je do potrzeb chwili, oparto na nich późniejszy ustrój społeczny. Będą to czasy, poprzedzające wystąpienie *proroków*, i odszukanie w świątyni staréj *księgi zakonu*.

Ze wzmiankowanego powyżéj większego związku z życiem historyczném utworów z drugiéj epoki rozwoju poezyi dydaktycznéj sądzićby należało, że dwie inne części z naszéj księgi dostarczyć mogą więcéj niż przysłowia wskazówek co do czasu z którego pochodzą.

Zwróciwszy uwagę na rodzaj przestępstw i zdrożności wytykanych w przemówieniach do młodzieży, a zarazem opiérając się na pewném powinowactwie w sposobie wyrażania się z Deutero-Izajaszem, Graetz (1) przypuszcza, że piérwsza z tych dwóch części (I, 8—IX) pochodzi z czasów upadku politycznego Królestwa Judzkiego; z czasów, kiedy obca przemoc rozluznić zdołała wszelkie węzły społeczne, podkopać istnienie rodziny, a z obywateli kraju wytworzyła rabusiów. Lecz wypada tu zapytać, czy dzieje nie przedstawiają faktów zbliżonych do tego obrazu i w innych epokach?

---

(1) Geschichte der Israeliten, II, Note 10.

Czy opis miasta nie świadczy raczéj o pewnéj zamożności, a ogólny ton mowy o swobodzie i zwykłym biegu stosunków społecznych? Gdzież wreszcie są tu ślady rozbudzonéj w czasach późniejszych religijności większéj, lub pod uciskiem obcych rządów rozwiniętych uczuć narodowych, własnéj odrębności?

Widząc przeto, że w téj mierze i to zawodzi, zgadzam się bardziéj ze zdaniem tych krytyków (Nöldeke, Ewald, Schrader, Delitzsch, Bertheau), którzy bacząc na czystość języka hebrajskiego, wspaniałość obrazów, wytworność formy, swobodę treści, widzą w piérwszéj z tych dwóch części utwór złotego wieku piśmiennictwa, utwór z czasów Izajasza lub bardzo blizkich.

Księga ta przeto zawiérając w sobie utwory różne co do sposobu powstawania i pochodzące z dwóch różnych epok twórczości poetyckiéj narodu, odpowiadających dwóm różnym epokom dziejowego tego narodu rozwoju, musi mieć swe dzieje. Jeśli do dostarczenia jéj materyału potrzeba było prawidłowego rozwoju poezyi dydaktycznéj, pracy kilku co najmniéj pokoleń, to również na utworzenie jéj w postaci w jakiéj do nas doszła musiało się złożyć wiele okoliczności, dopełnić się kilka warunków. Najpierwéj luźne i okolicznościowe, drobne i większe utwory z różnych epok pochodzące musiały być zebrane w osobne, jak to widzimy, całości. Następnie te całości z sobą się łączyły, zlewały w większe co do rozmiarów części, aż nakoniec czyjaś ręka zszywając je razem doprowadziła do rozmiarów księgi, którą mamy w ręku obecnie.

Co do czasu w którym mógł być dokonany Zbiór Przysłów, a również i sposobu w jakim ten zbiór dokonanym został, bardzo cenną dostarczają wskazówkę pomieszczone na początku rozdziału XXV, a znane nam już słowa; świadczą one, że za czasów pobożnego króla Chiskiahu, mężowie tego króla zebrali przysłowia zawarte w pięciu rozdziałach; że zbiérane przysłowia były znane jako Salomona; że takie zbiéranie nie było rzeczą nową już wcale, gdyż ten zbiór nowy dołączonym tylko został do innego, dawniejszego, znanego również pod nazwą przysłów Salomona, co dowodzi użycie przysłówka *również* (i te są przysłowia Salomona, XXV. 1). A ponieważ przysłowia zawarte w następujących po wskazanym napisie rozdziałach są bardzo zbliżone formą i treścią, jak o tém przekonaliśmy się, do tych, które składają trzynaście innych rozdziałów (X—XXII, 16), przeto wnosić należy, że taki zwrót: „również i te są przysłowia Salomona“ właśnie do owych trzynastu rozdziałów, nad którcmi także znajduje się napis, że to są „Przysłowia Salomona,“ jest zastosowany; co staje się tém bardziéj widocznćm, że w części bezpośrednio

te pięć rozdziałów poprzedzającéj (XXII, 17—XXIV) czytamy po dwakroć, że to są *słowa mędrców*, to jest, że zebrane w téj części nauki pochodzą od mędrców.

O królu Salomonie dwojakie wśród narodu krążyły podania i dwojaki o nim sąd potomnych został zapisany w kronikach. Według jednego „rozmiłował się on niewiast cudzego rodu mnogich.... Z narodów, o których rzekł Jehowa Synom Izraelowym: nie wnidziecie do nich, ani z nich nie wnidą do waszych, bo pewnie odwrócą serca wasze, a pójdziecie za ich bogami. Z temi tedy złączył się Salomon bardzo gorącą miłością. I miał żon jako królowych siedmset, a nałożnic trzysta. Chwalił Salomon Astartę, boginią Sydońską, i Molocha, bałwana Amońskiego. Zbudował tedy Salomon Zbór Chamos bałwanowi Moab na górze, która jest przeciw Jeruzalem, i Molochowi, bałwanowi synów Ammon. I tymże sposobem uczynił wszystkim żonom swym cudzoziemkom, które zapalały kadzidło i ofiarowywały bogom swoim (III. Regum, XI, 1—8).“ Był przeto Salomon, według tego podania, jako zwykły monarcha na wschodzie, otoczony haremem; a nadto, ulegając wpływom postronnym, gorliwie krzewił kult obcych bogów.

Drugie podanie przedstawia Salomona jako mędrca, gdyż „przechodziła mądrość Salomonowa mądrość wszystkich ludzi wschodnich i Egipcyanów.... Mówił téż Salomon *trzy tysiące przypowieści*; a pieśni jego było *tysiąc i pięć*. Rozprawiał téż o drzewach od cedru, który jest na Libanie, aż do Hyssopu, który wyrasta ze ściany; mówił o zwierzętach i ptakach, o płazie i o rybach (III. Reg. IV, 35—33).“

Otóż więc zgodnie z tém drugiém podaniem przypisano Salomonowi wszystkie te przysłowia, które tworzyły się w przeciągu długiego czasu, noszą cechy wspólnéj pracy społeczeństwa całego, a były próbą kombinacyi umysłowych i owocem spostrzeżeń kilku co najmniéj pokoleń. W bezimiennéj literaturze hebrajskiéj, w piśmiennictwie, w którém zaledwie kilku utworów wiadomi są autorowie, wcześnie musiał się przyjąć zwyczaj przypisywania znakomitszym osobistościom znanych utworów i zbiorów. W czém, poniekąd, da się dojrzéć pewien nawet systemat, pewny schematyzm.

Współcześnie ze zbiéraniem przysłów odbywać się także mogło zbiéranie nauk, przemówień i alegoryj, pochodzących z późniejszych niż przysłowia czasów. Przechowane w dwóch częściach naszéj księgi zapewne stanowią tylko szczątki tego rodzaju literatury, o czém wnioskować możemy z tego stanu fragmentarycznego w ja-

kim do nas doszło całe w ogóle piśmiennictwo hebrajskie, a poniekąd również i z układu tych nauk i przemówień w owych dwóch częściach naszéj księgi. Że w układzie tych przemówień jest więcéj systematyczności niż w zbiorze przysłów, zaprzeczyć trudno; jednakże systematyczność owa być może tylko przypadkową, mianowicie pochodzić z większego rozmiaru utworów. W żadnym zaś razie, jak sądzę, szczególniéj piérwsza część (I—IX) za całość jednolitą, a przeto za utwór jednego autora uchodzić nie może. Dość sobie przypomniéć po dwakroć przerywające użyczane rady młodzieży, przemówienia Mądrości, które znowu tylko urywkami odrębnéj całości być mogą.

Wyliczone w części drugiéj (XXII, 17—XXIV) niebezpieczeństwa młodzieży grożące, zwiększona ilość tych niebezpieczeństw, szczególniéj wzmianka o mężach szukających odmian, porównanie pijanego z przywiązanym do masztu, z leżącym na dnie morskiém, wówczas gdy w piérwszéj, dwa razy dłuższéj, o morzu wzmianki wcale nie było, uwydatnia istnienie partyj politycznych, rozwój większy stosunków handlowych przez poznajomienie się z morzem; co w każdym razie inne, a właściwie późniejsze czasy, zdaje się znamionować.

Przechodząc napowrót od części pojedyńczych, składających księgę „Przysłowia Salomona," do układu w niéj tych części, do jéj postaci zewnętrznéj, w któréj doszła ona rąk naszych, uniknąć niepodobna zapytań następnych: ponieważ zabytki poezyi dydaktycznéj, pochodzące z dwóch różnych epok jéj rozwoju, zebrane były pierwiastkowo w odrębne całości, a dopiéro późniéj, jak to przypuszczać należy, połączone zostały w jednę księgę, to kiedy i w skutek jakich okoliczności to połączenie nastąpiło, przez kogo ono dopełnionêm zostało? czy układowi takiemu odrębnych tych zbiorów w księdze „Przysłowia Salomona" przewodniczyła jakakolwiekbądź myśl przewodnia, plan, czy też układ jéj był wyłącznie dziełem przypadku? Zupełny brak wszelkich w téj mierze wskazówek nie dozwala na te pytania żadnéj kategorycznéj udzielić odpowiedzi.

Przypomnienie sobie atoli, choć pobieżne, stanu rzeczy, który nastąpił po upadku monarchii Judzkiéj, naprowadzić powinno na kilka uwag, które choć w części ów brak bezpośrednio przedmiotu tyczących się wskazówek zastąpić zdołają.

Dwojakiego sposobu używa zwykle, jak uczą dzieje, a zwłaszcza starożytne, zwycięzka i zaborcza potęga, do urządzenia według swéj myśli podbitego kraju. Najprostszy jest to spustoszenie go przez przesiedlenie mieszkańców w głąb' dawniejszych posia-

dłości zwycięzców. Tego sposobu używali monarchowie assyryjscy, takiemu losowi uległo królestwo Izraelskie (1). Drugi sposób polega na urządzeniu podbitego kraju za pomocą wyrzutków z własnego. Wówczas mieszkańcy pozostają na miejscu. W celu jednakże ich zdziczenia i powolnego wytracenia, pod pokrywką prawa i w imieniu władzy legalnéj, popełniają się na nich bezprawia najbardziéj oburzające godność i prawa ludzkie i stopniowo je zaciérające.

Czasem jednakże rozumnie pojęty interes własny bierze górę nad dzikim instynktem niszczenia. Wtedy i ludność zwyciężona pozostaje na miejscu i nie skazuje się jéj na zagładę powolną. Stare prawa i instytucye pozostają nietknięte; język i religia są szanowane. Naród zadowolony, więc spokojny, tylko się opłaca. Taki los spotykał kraje, które weszły w skład monarchii perskiéj i po części rzymskiéj.

Sądząc z pozoru, oczekiwaćby należało po zwycięzkim monarsze babilońskim urządzenia Judei podług sposobu piérwszego, na drugi bowiem było to jeszcze zawcześnie. Lecz czy to przez pamięć na zmienność losów ludzkich, czego dowodem była Niniwa w zwaliskach, a on sam na tronie niezależnéj, po kilku wiekowéj niewoli, Babilonii; czy téż ze względu na dobro istotne i wygodę własnego państwa, a może jakąś iskrę uczuć szlachetniejszych, Nabukudurusur i trzeci system zastosować próbował. Cząstkę tylko mieszkańców i to stosunkowo bardzo niewielką (2), przesiedlić do Babilonii rozkazał. Co prawda, to owę cząstkę stanowiło czoło całego narodu; byli to bowiem, jak twierdzi kronika, książęta i wodzowie, „rzemieślniki i męże uczone i waleczne.“ Nad pozostałą ludnością, którą głównie, po wygnaniu tamtych, składali „oracze i winiarze,“ przełożył niejakiego Godoliasza. Stolica kraju po zburzeniu Jerozolimy przeniesioną została do Masfy.

Po zabiciu atoli przez Izmaela owego rządcy z ramienia monarchy babilońskiego, chociaż był on wybranym z pośród zwyciężonych, rozpierzchli się mieszkańcy Judei po ościennych krajach, kroniki zaś zamilkły. Co się stało i co się działo w kraju po tym fakcie nigdzie o tém dowiedzieć się nie można. Losy więc narodu ujarzmionego, przyszłość jego cała została związaną z losami wygnańców. Cały ciężar wypadków, ognisko życia narodowego przenosi się do Babilonu.

„Mocni i waleczni“ byli owi do Babilonu przesiedleni; czekały ich wszelako ciężkie walki i niebezpieczeństwa groźne. Stokroć

(1) 4 król. XVII, 6.

(2) 4 król. XXIV, XXV. Według wyrachowania Graetza liczba wygnańców nieprzekraczała *piętnastu tysięcy*. (Gesch. d. Israel. 2, 381).

przewyższająca ich liczebnie ludność, wśród któréj się znaleźli, pochłonąć garstkę wygnańców zdołałaby, témbardziéj, że wspólność plemienna, język zbliżony dźwiękami ułatwiać to tylko zdawały się. Miasto samo, stolica ówczesnego świata dziejowego, wspaniałością i ogromem swoim, przepychem pałaców monarszych, bogactwem i ilością świątyń olśniewając przybyszów, zapomniéć o każdém inném ich zmuszało. Wytworniejsza cywilizacya, kult bogów bardziéj wykwintny, wydając się im wyższemi, pociągać ich ku sobie tylko mogły. A wreszcie, owa łatwość, z małą na pozór ofiarą, przeistoczenia się ze zwyciężonego w zwycięzcę, z niewolnika w pana, która zawsze słabe i podłe dusze nęci i niepostrzeżenie z losem godzi, czyż i im również ciągle się nie nastręczała?

Lecz na ich czele stanęli wieszcze i uczeni.

Udziałem *piérwszych* było pielęgnować odrębność narodową. Umysły bałamucone i pozornym blaskiem a potęgą olśniewane trzeźwiąc wzniosłą naukę o sprawiedliwości odwiecznéj i wyższym porządku społecznym, upadających zaś na siłach podtrzymując nadzieją powrotu do ziemi rodzinnéj, oraz wiarą w odrodzenie się prędkie narodu, skierowali oczy wszystkich ku przyszłości. Patrząc zaś w przyszłość, łatwiéj było dla jednych znosić bolesną dla siebie teraźniejszość, drugim zaś opiérać się jéj ponętom, ustrzedz się od odstępstwa, zostawać sobą. Jeden z nich, *Ezechyel*, nakreślił plan przyszłego urządzenia kraju. Drugi, niewiadomy z nazwiska, lecz najwznioślejszy ze wszystkich piewców narodowych (1), we wszystkich obrazach i przemówieniach jedno zawsze głosił, że stan taki upadku ogólnego długo trwać nie może, że muszą nadejść czasy lepsze, czasy, w których „sprawiedliwość nie ustanie“ a „wyswobodzenie nastąpi dla narodów“ (2). A ponieważ i dla Babilonii, z natury rzeczy, czasy upadku politycznego były już bliskie, gdyż Cyrus, przyszły jéj pogromca a dotychczasowy zwycięzca całéj Azyi przedniéj, już się zbliżał do jéj granic, przeto ów wieszcz niewiadomy przyjął jego za twórcę nowego, a z utęsknieniem przez wszystkich oczekiwanego porządku na ziemi, i na niego jako na pomazańca bożego, na prawdziwego Mesyasza wskazywał (3).

Drudzy odrębność narodową udawadniając *przeszłością*, skrzętnie zbiérali wszystkie zabytki z téj przeszłości pochodzące. By zaś związać z nią przyszłość narodu i oprzéć ją na niéj, w groźnéj teraźniej-

---

(1) Utwory tego nieznanego poety weszły do *księgi Izajasza*, w któréj stanowią rozdziały XL—LXVI.

(2) Rozd. LI, 5. 8.

(3) Rozd. XLV, 1. XLIV, 28.

szości poszanowanie jéj a miłość utrzymywać w społeczeństwie usiłowali.

Wówczas to, rozproszone kroniki, tradycye dawniéj zebrane i przepisy tyczące się kultu i rozmaitych urządzeń społecznych, staraniem tych antykwaryuszów, ostatecznie w jednę całość złączone zostały (1). Wówczas to również mogła powstać i księga znana jako „Przysłowia Salomona.“

Pojedyncze części, z których głównie składa się ta księga, w miarę ich odszukiwania, gdyż szło przedewszystkiém o zabezpieczenie zabytków przeszłości, dołączanemi być mogły do najpierwéj znalezionéj. Związek między niemi stanowił *jeden rodzaj* poezyi i nadany tytuł ogólny. Tytuł zaś ten, aczkolwiek tylko poniekąd do jednéj się stosował części, rozciągnięty na wszystkie, jako jednę już całość, może miał chronić od rozmaitych przypadków, którym podlegały zabytki piśmienne.

W taki więc sposób, „piśmiennictwo,“ wyrażając się słowami historyka Graetza przezeń od Ezechyela pożyczonemi, „dało narodowi serce nowe i ducha nowego; odjęło serce kamienne z ciała, a dało serce mięsne.“

I. Radliński.

---

(1) Jest to zdanie wielu krytyków; między innymi i autora Historyi Narodu Żydowskiego, Graetza. Geschichte d. Israel. II, 14.

LUDNOŚĆ POLSKA

W BISKUPSTWIE WARMIŃSKIÉM.

(Dr. Sienlawski: biskupstwo warmińskie. Tom III. Poznań 1878).

Dzisiejsze biskupstwo warmińskie zachowało prawie te same granice, które niegdyś miało za czasów krzyżackich. Przedstawia trójkąt o nieco nieregularnych bokach; ostry kąt jego dotyka zatoki fryjskiéj, nad którą leżą miasta Braniewo (Braunsberg) i Frombork. Północno-wschodnia granica ciągnie się nieomal prostą linią od Braniewa ku Reszlowi. Południowa granica idzie od Reszla począwszy, również w prostym kierunku wzdłuż granic powiatów żądzborskiego i szczycińskiego aż do łańskiego jeziora, gdzie zachodnia i południowa granice stanowią kąt ostry, w którym na terytoryum warmińskiém leży wieś Ząbic a na drugiéj stronie wieś kościelna Kurki, starożytne Kurchosadel. Granica zachodnia okala jezioro Pluśne i ciągnie się wzdłuż rzeki Paseryi, od jéj źródła począwszy aż blisko do jéj ujścia, bo kilka mil tylko od Braniewa opuszcza rzękę, ciągnąc się ku Miluzom, aż niedaleko Fromborku dotyka zatoki.

Północna część biskupstwa warmińskiego jest dzisiaj czysto niemiecką, choć liczne nazwiska polskie, które się spotyka po miastach, świadczą o tém, że i tutaj niegdyś było nie mało mieszkańców polskich. Południowa jednak część, położona na prawym brzegu Łyny (Alle), na południe od Licbarku (Heilsberg) i Dobrego miasta (Guttstadt) do dziś dnia jest przeważnie polską. Głównemi miastami téj polskiéj krainy są Reszel, Bisztynek (Bischoffstein), Jeziorany (Seeburg), Biskupiec (Bischofsburg) i Olsztyn (Allenstein).

Jest to kraj wcale romantyczny, bo obfituje w jeziora, bory i pagórki; wsie są zamożne i dobrze zbudowane a miasteczka wcale nie brzydkie. Od sąsiednich Mazurów Polacy warmińscy niemało się

różnią, głównie już tém, że nie mazurzą, że w bliższym stoją stosunku do Wielkopolan, podczas gdy Mazury pruscy z kości i krwi są tym samym narodem co na Mazowszu polskiém. Mazury są wyznania ewangelickiego, Warmijacy zaś, jako mieszkańcy biskupstwa katolickiego do dziś dnia istniejącego, zachowali wiarę swych praojców, wiarę katolicką. Dzisiaj, gdy pod parciem dziejowych kataklizmów zerwały się węzły, które niegdyś wiązały ten kraj z Polską, wiara ta więcéj niż cokolwiek bądź innego utrzymuje jeszcze pewną łączność duchową Warmińczyków z Polakami. Święta Lipka pod Reszlem, gdzie obraz Matki Boskiéj słynący cudami, a od niedawna i Gietszwald (Dietrichswalde), są temi miejscami, gdzie zbliska i zdala pielgrzymi polscy się schodzą.

Lud warmiński jest trzeźwy i poważny a wskutek tego zamożny, zamożniejszy od sąsiednich Mazurów; zresztą zwyczaje i obyczaje są u jednych i drugich te same, a chłopcy i dziewczęta warmińskie i mazurskie tę same śpiewają piosnki ludowe.

Skąd ten lud polski pochodzi? Jest że on pierwotnym mieszkańcem, autochtonem w Warmii, lub też obcym przybyszem, który kosztem starodawnych, dziś już całkiem wyginionych Prusaków, po kraju warmińskim się rozwielmożnił? Zapatrywania co do tego stanowczo się rozchodzą.

Niemcy twierdzą, że Polacy warmińscy są przybyszami, którzy za polskich czasów dopiéro tutaj się osiedlili; pan Sieniawski zaś, Warmijak rodowity, znany polskiéj publiczności z kilku prac naukowych, zupełnie innego jest zdania. W swém dziele dwutomowém o biskupstwie warmińskiém, uwieńczoném piérwszą nagrodą konkursową przez Akademią umiejętności w Krakowie, twierdzi on, że ludność polska mieszka w Warmii od czasów, których pamięć ludzka nie dosięga. W zamglonym prawieku rozciągały się według niego niegdyś siedliska plemion słowiańskich wzdłuż nadbrzeża baltyckiego, przynajmniéj aż do saméj Sambii, podając rękę plemionom łotyszowskim (1). Późniéj przybyli Litwini, według podania starożytnych autorów (sic) jako oddział Getów z Tracyi, którzy w przechodzie przez równinę sarmacką ze zgreczałymi Budynami zrośli się w jeden naród (2). Ten naród, zawojowawszy liczne pierwotnych mieszkańców plemiona, osiadł nad Baltykiem (3). Geto—Prusacy jednak nie wykorzenili bynajmniéj ludności pierwotnéj, choć popadła w stan

(1) Sieniawski str. 114.
(2) Sieniawski str. 112.
(3) Sieniawski str. 107.

niewolniczy; liczne dziś jeszcze ślady dowodzą, że tu i owdzie całe terytorya, mianowicie gleby mniéj urodzajnéj, szczególnie bliżéj Wisły, jako i rody stare się utrzymały a to w takiéj liczbie, iż zwycięzcy geto-litewscy czyli Prusacy powoli przyjęli narodowość słowiańską (1). Potomkami tych piérwotnych Słowian i zesłowiańszczonych Geto-Prusaków są, według zdania dra Sieniawskiego, Polacy, mieszkający do dziś dnia w Warmii.

Lecz jak udowadnia pan Sieniawski swoje hypotezy? na jakich ważnych argumentach opiéra je? Niestety argumentacya jego nie jest wcale wystarczającą. Hypoteza jego o Geto-Litwinach i Geto-Prusakach, którą stawia na fundamencie, że nasze kroniki średniowieczne Prusaków nazywają Getami, nie ma zgoła żadnéj podstawy naukowéj, na seryo o czémś podobném nawet mówić nie można. Niedołężna argumentacya jednak nie obala jeszcze saméj hipotezy; bo jeżeli w Ziemi Chełmińskiéj ludność polska była pierwotną, czemu nie mieliby również mieszkać Polacy od niepamiętnych czasów w Warmii południowéj? Ale i dalsze wywody pana Sieniawskiego założenia jego nie udowodniają.

Jeżeli przywileje, nadane przez zakon niemiecki niektórym miastom i osadom, mieszczą w sobie warunek, że krzyżacy sądownictwo nad Prusakami, Polakami lub ludźmi wendyjskiego pochodzenia zachowują dla siebie, to ta okoliczność odnosi się do innych okolic a nie do Warmii, gdzie biskup a nie krzyżacy rządzili. I wyraz „Damerau“ nie jest koniecznie dowodem, że tam, gdzie zachodzi, mieszkała ludność polska, bo znaczy w ustach niemieckich to samo, co w naszych dąbrowa. Przybysze bowiem niemieccy z okolic słowiańskich nad Łabą i Odrą znali od dawna i przyswoili sobie wyraz „dąbrowa“ i jego znaczenie (merica), zamieniając go według ducha swego języka na „damerau“, również jak przejęli do swojéj mowy inne wyrazy słowiańskie jak „granica“ itp. Stąd już przez się wynika, że nazwa „Damerau“ nie zawsze i nie wszędzie oznacza osadę polską w Prusiech, że nie każde „Damerau“ po polsku nazywa się Dąbrowa. Przytaczam na dowód tego tylko jeden przykład: wieś Sihven-Damerau pod Szczytnem (Ortelsburg) nie nazywa się po polsku „Krasna Dąbrowa,“ jakby przypuścić należało wedle teoryi pana Sieniawskiego, lecz Trelkowo.

Również niczego nie dowodzą odwoływania się pana Sieniawskiego do polskich nazwisk, znajdujących się dziś w rozmaitych stro-

(1) Sieniawski str. 114—115.

nach Prus wschodnich, bo nie wykazał, że należą do najdawniejszych, przedkrzyżackich osad; a przydomek niektórych, jak „Polnisch Banau pod Świętomiejscem (Heiligenbeil), Polnisch Dombrowken pod Darkianami, Polnisch Werder pod Królewcem“ wyraźnie wskazuje na to, że to osady późniejsze, założone wśród innéj ludności.

Że w przywilejach warmińskich zachodzą wyrazy polskie lub słowiańskie jak „newod, borra, gränitz“ itp.“ to również nie dowodzi, że ludność warmińska była polską, lecz tylko, że wystawiający, t. j. Niemcy od dawna byli w styczności ze Słowianami. A nawet przypuściwszy, że te wyrazy nie były obce Prusakom, to jednak stąd to tylko wnieść można, że Prusacy od sąsiednich Polaków niejedno do swéj mowy przyjęli, nie zaś że byli Polakami.

Dalej odwołuje się pan Sieniawski do świadectw późniejszych autorów jak Hartknocha i innych, ale ci dowodzą tylko tego, że w XVI i XVII wieku była ludność polska w Prusach wschodnich, oraz że Prusacy polszczeli. Wszystkie te wywody nie zdołają stwierdzić zdania pana Sieniawskiego, aby piérwotni mieszkańcy Warmii południowéj byli Polakami. To, co nam jedynie może dać jakie takie dowody o piérwotnéj ludności Warmii, są imiona ludzi i nazwy miejscowości. Co pod tym względem Sieniawski przytacza, jest bardzo nie wiele, bo ledwie kilka nazwisk wątpliwéj wartości, jak np. „Gapowida“ bór, „Rudicus, Gredowy, Ackerpanie“ pola, „Solyo“ cmentarz, „Thosificij“ łąka itp.; nie przemawiają one, jak pan Sieniawski sądzi, za polskimi mieszkańcami piérwotnymi téj ziemi, bo kraje, przez ludność słowiańską zamieszkałe, inaczéj nam się przedstawiają.

Nie może dziś już ulegać wątpliwości, że Ziemia Chełmińska i Michałowska były piérwotnie polskie, co uczeni niemieccy jak Toeppen i Lotar Weber sami już przyznają; polską była także Ziemia Lubawska, oraz zachodnia i południowa część Pomezanii. Tamtejsze miejscowości i osoby znamy również jak warmińskie z dokumentów, wystawionych przez Niemców, ale jaka pomiędzy niemi zachodzi różnica! Podczas gdy w dokumentach warmińskich wszystko nam obce, w dokumentach i aktach chełmińskich wszystko dla nas tak zrozumiałe i swojskie, że i pod szatą niemiecką, co swoje, łatwo poznajemy. Ktoby na piérwszy rzut oka nie spostrzegł, że Jeske, Jaske, Staschke, Swantke, Bartusch, Petrassius, Jacussius, Janussius, Misch itp., że to Jaśko, Staśko, Świętko czyli Swantko, Bartosz, Pietrasz, Jakusz, Janusz i Mikołaj? a widząc nazwy miejscowe tego rodzaju, jak Wapsko, Copriuen, Ostromezh, Tuseph, Ratzin lub Redin, Orsichau, Griuna, Schribernik, Czisl lub Schisle, Tuwernitz itp., ktoby nie odgadł od razu, że to dzisiejsze Wabcz, Koprzywno czyli Pokrzyw-

no, Ostromecko, Turzewo, Radzyn, Orzechowo, Grzywno, Śrebrniki, Czyste i Turznice? A choć formy nie raz poprzekręcane, Słowianin czuje, że on tu w kraju słowiańskim. Podobnież przedstawiają się nam ziemie od wieków zgermanizowane, jak Pomerania, Meklenburg itp., gdzie pełno słowiańskich nazwisk na „itz" i „ow". Warmia zaś pod tym względem jak wygląda? Nazwisk takich, którebyś od razu za polskie uznał, ani jednego w starych dokumentach nie znajdziesz; również nie znajdziesz miejscowości na „ise" zakończonych. Co niby w danym razie uchodzićby mogło za polskie, przytoczyliśmy powyżéj, idąc za panem Sieniawskim a tego jest tak mało, że już dla tego tych nazw za polskie uznać nie można. Przeciwnie we wszystkich dokumentach napotykasz nazwy i imiona, których nie zna nie tylko naród polski, ale w ogóle żaden z narodów słowiańskich.

Od zatoki fryjskiéj aż do punktu najbardziéj na południe położonego, znajdziesz wszędzie tylko ściśle pruskie imiona, pruskie nazwiska i pruskie zakończenia, nie mówiąc naturalnie o nowszych osadach niemieckich i o Niemcach. Ludność polska więc nie jest piérwotną w Warmii; że nią nie jest, każdy łatwo się przekona, kto z uwagą przejrzy kodeks dyplomatyczny warmiński, sięgający po rok 1424. Prawda więc nie jest po stronie pana Sieniawskiego, który zanadto folgował swojéj fantazyi, lecz tą razą po stronie Niemców, którzy tamtejszą ludność polską mają za późniejszych przybyszów. Przybyszami są w rzeczywistości Warmijacy, tak samo jak Niemcy tamtejsi, po większéj części przynajmniéj, bo w ich liczbie znachodzimy także spolszczonych potomków piérwotnych Prusaków.

Gdy dzisiejsze biskupstwo warmińskie powstało, nie było w niém nigdzie ludności polskiéj, mieszkającéj w zbitéj masie; byli tam sami Prusacy. Na Prusakach jednak, jako podbitych a przeto Niemcom nieprzychylnych, którzy długo jeszcze tęsknili za piérwotną swobodą i owemi obrządkami pogańskiemi, ani Zakon niemiecki, ani biskup warmiński oprzéć się nie mogli. Zakon znalazł zaraz od początku samego silną podporę w Ziemi Chełmińskiéj, tj. w żywiole polskim, a późniéj dopiéro po wzmożeniu się żywiołu niemieckiego i na nim się opiérał. Biskupstwo warmińskie miało jednolitą narodowość pruską, biskupi byli Niemcami a jako tacy szukali oparcia w Niemcach, co z ich strony było zupełnie naturalną dążnością. Względem Polaków nie mieli zgoła żadnych obowiązków i dla tego téż, z przyczyn bardzo naturalnych, nie życzyli sobie kolonizacyi polskiéj, która dla nich również była obca, choć mniéj wstrętna niż żywioł pruski. Stąd jednak jeszcze nie wynika, aby biskupi warmińscy w ogóle nie dozwalali Polakom mieszkać i przebywać w swém terytoryum, by nie

nadawali dóbr i wsi zasłużonym Polakom. O tém znów mowy być nie może. Było zapewne nie mało Polaków w Warmii już w XIII wieku, ale były to jednostki pojedyńcze, ginące wśród obcego pruskiego żywiołu, choć nie bez zostawienia po sobie śladów. Było może i pomiędzy Prusakami nieco żywiołu polskiego, potomków jeńców polskich, uprowadzonych z Polski za dawnych czasów. Ale to wszystko razem wziąwszy, jest jeszcze za mało, aby wywrzéć wpływ na całą ludność, aby nadać krajowi charakter polski. Charakteru polskiego ani w Warmii północnéj, ani w Warmii południowéj, jak daleko sięga Codex diplomaticus Varmiensis, odkryć nie można, że zaś tu i owdzie w Warmii przebywali Polacy, o tém mamy ślady, choć nieliczne.

W końcu XIII i początku XIV wieku spotykamy się z mieszczaninem fromborskim, Piotrem z Krakowa (1289, 1309), który téż posiadał majątek ziemski. Roku 1239 występuje jako świadek Jan z Kowala; miernikiem biskupim był (1304, 1328) Jan z Dobrzynia, który r. 1313 otrzymał pod zamkiem głotowskim „in campo, Wene pruthenice dicto“ 90 włók celem założenia osady, a to dla tego, że w tém odległém miejscu dotąd żaden osadnik Niemiec nie był osiadł. Roku 1306 nadał biskup Eberhard w tym samym celu Mikołajowi Polakowi (Polono), który także nazywa się Mikołaj z Grudziędza, 8 włók „in campo, qui Rudicus in pruthenica lingua vocatur,“ pod Lidbarkiem. Roku 1308 otrzymał Jan Below 25 włók na polu Schardeniken obok granic Iwana i Godkona. Synami jego byli Iwan i Hartwik, który dobra miał pod Jezioranami. Roku 1309 był wójtem w Ornecie jakiś Wilhelm, który w dokumentach czasami występuje jako „Vilusius lub Willusus t. j. niewątpliwie „Wilusz“. Roku 1329 osadza on kolonistów w Dobrém mieście. Komornikiem biskupim i właścicielem dóbr Kloleinen był jakiś Micol, oczywiście Mikołaj.

Roku 1318 utrzymywał jakiś Bartosz (Bartusihe) łaźnię w Braniewie; w kilka lat późniéj spotykamy jakiegoś Tydka Brzoskiego (Tidko t. j. Theodoricus Brosty); r. 1345 żyje w Ornecie mieszczanin Węcesław, a w tym samym czasie inny Węcesław mieszkał pod Sadłukami.

W Ziemi Gunławskiéj mieli Polacy niegdyś dobra, ale r. 1349 osada ta polska już nie istniała, skoro ją komu innemu nadają.

Wieś Kraków (Cracow, Krokow) pod Jezioranami założył Prusak Lycoylin (czy przez osadników polskich?). Ale biskup uważając taką osadę za szkodliwą, zniósł ją i oddał na nowo w ręce dwóch Niemców. W téjże okolicy wymienia przywiléj z roku 1393 pod Schoenfliess „bona Poloni“; widać, że tam Polak jakiś był osiadł wśród obcéj ludności. Roku 1389 osiedlił się był pod Jezioranami

i Czech, imieniem Aleksander; roku 1400 nabywa Andreas Pole (czy Polak?) majętność pod Olsztynem a mieszczanin Henryk Raczygnywe pochodzi niewątpliwie z Raciniewa pod Toruniem.

Nie wielką téżjest liczba szlachty polskiéj, pochodzącéj z Prus zachodnich, która w Warmii przebywała lub osiadła; wymieniamy tu tylko Bartolda (1255) i Dytrycha (1388) z Ostarzewa, Marcina z Trzciana (Czende 1348) i Augustyna Frankwica, który roku 1402 posiadał dobra szalmijskie pod Fromborkiem i Chotobora Stango z Wandowa, który około r. 1430 otrzymał dobra Kirsnyn.

Więcéj ponęty miały dla ludności polskiéj posady duchowne w biskupstwie warmińskiém; w liczbie kanoników i dygnitarzy kościelnych niemało ich znajdujemy, dość będzie wskazać na Jana, syna Hojkona z Mgowa (Logendorf), Henryka Wojnę, Mikołaja Kalisza, Jana Bladego, Hermana z Tarnowa, Bartłomieja z Boroszewa, Fryderyka z Działowa (Salendorf), Peregryna z Cymbarku herbu Chomąto, który z pomorskiéj familii Suchostrzyskich pochodził itp.; ci wszyscy żyli w drugiéj połowie XIV i w początku XV wieku.

I w tém jeszcze zauważyć możemy ślad wpływu polskiego, że niektórzy niewątpliwie Prusacy noszą polskie imiona, jak np. Namir (po prusku Nameris lub Nameirs), Iwan, Santke (Sandko=Sędziwoj), Pachirs (Pacierz) itp. Ale to zjawisko wytłómaczyć się da łatwo małżeństwami, zawartemi przez Prusaków z domami polskiemi, po za granicami biskupstwa mieszkającemi.

To jest wszystko, co o Polakach w Warmii za czasów krzyżackich wiemy; byli oni, jak widzieliśmy, rozproszeni po całym kraju. Na większą uwagę zasługuje tylko ten fakt, że niektórzy Polacy zakładali wsie, a więc przypuścić można, że obsadzali je Polakami. Niestety, w przywilejach nie ma mowy o Polakach; mówią tylko o „Theutonici“ i „Prutheni“. Wiem za bardzo dobrze, że „Theutonicus“, na co dotąd nie zwrócono uwagi, nie koniecznie oznacza Niemca z pochodzenia, lecz i wszystkich siedzących na prawie niemieckiém, również jak wyraz „Polonus“ raz odnosi się do pochodzenia, drugi raz oznacza obywatela państwa polskiego a po trzecie każdego, który swą posiadłość miał na prawie polskiém. Ale co do niniejszego wypadku, byłoby, mojém zdaniem, bezpodstawném brać wyraz „Theutonicus“ w przenośném znaczeniu; przypuścić chyba możemy, że pomiędzy kolonistami niemieckimi może było i trochę polskich.

Gdyby za rządów krzyżackich już często mieszkała ludność polska w Warmii, oddziaływałaby przeistaczająco na swoje otoczenie, a mybyśmy poznali to z dokumentów; w takim razie musiałyby zni-

kać pruskie nazwiska miejscowe a na ich miejscu powinny były pojawiać się nazwiska polskie lub spolszczone z końcówkami polskiemi, jak to w innych okolicach zwykle się działo. Ale tego wszystkiego nie ma śladu, a tych kilka imion słowiańskich, wykazanych przez nas u Prusaków, tłómaczyć można stosunkami, które mieszkańcy pruscy Warmii z Polakami okolic nadwiślańskich mieć mogli, mianowicie małżeństwami. Na to wskazują może i imiona takie, jak Geruscha Jarosia, Jarosława (?), żona Ottona de Russen 1313, lub Barislo=Borysława, żona Wilka (t. j. Wilhelma) de Tungen 1348. Być to może, a zdaje się nawet prawdopodobném w porównaniu z imionami rodowitych Prusaków, ale pruskie imiona żeńskie za nadto rzadko spotykamy w dokumentach, aby wydać o nich sąd stanowczy.

Jeżeli rozporządzenia synodalne z r. 1444 rozróżniają Polaków od Prusaków, to nie odnosi to się koniecznie do Polaków warmińskich, lecz raczéj do okolic dalszych a mianowicie do Mazurów, które wówczas już na gwałt kolonizowano, Pogórzan (Pogezania) i Łężan (Lansania), bo i w tych ziemiach zarządzał biskup warmiński sprawami kościelnemi. Wyświecimy tę kwestyą jeszcze lepiej, jeżeli rozpatrzymy się w stosunkach, jakie były w ziemiach sąsiednich Warmii.

Od zachodu graniczyło biskupstwo warmińskie z ziemią pruskich Pogórzan i Łężan a bardziéj na południu z Ziemią Sasińską czyli Saską, oraz z Ziemią Gołędzką od południa; od wschodu zaś z Ziemią Bartską i Natangią. Z tych ziem są Ziemie Saska i Gołędzka dziś czysto polskie; nad niemi należy bliżéj się zastanowić, bo skoro one były piérwotnie polskie, czemuby południowa Warmia nią być nie miała? skoro zaś się okaże, że i one pruskie, to żadną miarą nikt nie będzie mógł przypuścić, aby Warmia południowa miała być polską.

Na podstawie badań dokumentów ogłoszonych, oraz niektórych niewydrukowanych, oświadczyć muszę, że Ziemia Saska i Gołędzka były piérwotnie pruskie; dowodem tego są nazwiska rzek, jeziór i pól, o których w najdawniejszych przywilejach mowa; są one czysto pruskie, a polskie zdarzają się czasem tylko w bliskości granicy mazowieckiéj. Co się tyczy Ziemi Saskiéj, mamy jeszcze starsze i poważniejsze świadectwo, t. j. Marcina Galla (II, 42). Mówiąc o Prusiech, wspomina o opowieści, że niegdyś za czasów Karola Wielkiego Saksończycy, nie chcąc przyjąć nauki chrystusowéj, morzem popłynęli do Prus i tu się osiedlili. Powodem téj bajki mogła być tylko Ziemia Sasińska czyli Saska, którą więc już w XII wieku uważano za

część kraju pruskiego a jéj mieszkańców za ludzi obcych, niepolskiego pochodzenia.

W XIII wieku jednak, za rządów krzyżackich, nie tylko Ziemia Saska, ale i Gołędzka, t. j. dzisiejsze Mazury, a nawet południowa część Warmii były puszczą bezludną, puszczą powstałą w skutek ciągłych wojen z Polakami przed przybyciem krzyżaków. Nadgraniczna ta puszcza, utrzymywana przez krzyżaków umyślnie w tym stanie dla celów strategicznych, jeszcze w XIV wieku była na 6—12 mil szeroka. Z wyjątkiem kilku zamków, założonych dla strzeżenia dróg, prowadzących mianowicie z Litwy, nie było tam wówczas stałéj ludności. Gdy zaś w XIV wieku stosunki były się bardziéj ustaliły, zakon rozpoczął kolonizacyą tych okolic od Ziemi Saskiéj, gdzie obywatele Ziem Chełmińskiéj, Pomezańskiéj i Pomorskiéj, uzyskawszy za liczne zasługi zakonowi oddane rozległe terytorya, osiedlali się, sprowadzając ze stron swoich rodzinnych chłopów polskich.

W dalszych okolicach téj puszczy, w których dotąd rybacy tylko i bartnicy tułaczy prowadzili żywot, powoli coraz więcéj Mazowszan z księstwa Mazowieckiego się gromadziła, chodząc za zarobkiem i zyskiem. Ponieważ żywioł niemiecki głównie w pruskich stronach, gdzie tego bezpieczeństwo i interes zakonu wymagały, oraz w bezpiecznych i żyznych Żuławach nadwiślańskich osiadał zakon, mianowicie po klęsce grunwaldzkiej, chcąc sobie na każdy sposób przysporzyć dochodów, przymuszony był korzystać z téj napływowéj ludności mazowieckiéj, nadając jéj rolę, z początku przy zamkach, i przywileje zazwyczaj z prawem pruskiém. Ponieważ kolonizacya bezludnych okolic dla jednostek zawsze jest korzystną, więc znalazło się coraz więcéj ludzi, chcących w puszczy osiedlić się, a w krótkim czasie cały pas nadgraniczny zajęty był przez Polaków, którzy potém coraz daléj na północ wysyłali swe osady.

Już z początkiem wieku XV ludność polska nie była zbyt daleką od granic biskupstwa warmińskiego; wskazuje na to okoliczność, że roku 1410 znane już było „parvum Olsztyn t. j. Olsztynek=Hohenstein, położone niedaleko tego miejsca, gdzie się granice Warmii, zachodnia i południowa, schodzą. Skoro Polacy dla miejscowości Hohenstein już mieli swą polską nazwę „parvum Olsztyn“ czyli Olsztynek, stąd samo przez się wynika, że miasto warmińskie Allenstein, po polsku dziś Olsztyn, również wówczas już posiadało polskie nazwisko dzisiejsze.

Gdy ludność polska w przeciągu XV wieku dotarła do samych granic biskupstwa warmińskiego, oraz do osad tamtejszych pruskich, rozpoczął się proces polonizacyi ludności pruskiéj, mniéj przez kolo-

nizacyą i wyparcie piérwotnéj ludności, jak to praktykowała niemiecka władza na korzyść kolonistów Niemców, lecz raczéj przez wzajemność stosunków, przez małżeństwa, przez wpływ wyższéj kultury polskiéj. Żywioł pruski bowiem znajdował się w tego rodzaju stosunkach, że jako taki samodzielnie istnieć nie mógł. Zniemczał na północy, spolszczał powoli na południu, nie zwracając na siebie niczyjéj uwagi.

Przewrót, który nastąpił w skutek wojny trzynastoletniéj, zakończonéj pokojem toruńskim r. 1466, oddziałał silnie i na Warmią. Podczas gdy przedtém biskupi niemieccy głównie dbali o kolonizacyą niemiecką, ustać to musiało, gdy zarząd dyecezyi przeszedł w ręce stanowczych Polaków lub Niemców, rządowi polskiemu przychylnych. Już piérwszy biskup warmiński, obrany jeszcze podczas wojny, Paweł z Mgowa (Logendorf), syn *Janusza* Mgowskiego, sędziego ziemskiego chełmińskiego, i *Kościeleckiéj*, *wojewodzianki gniewkowskiéj*, był niewątpliwie Polakiem, i jako takiego przedstawiają go nam także listy wielkiego mistrza (1), Polakiem ze strony matki, również Kościeleckiéj (2), choć z rodziny piérwotnie niemieckiéj pochodząc, był Fabyan Łuzyański, brat Jana Luzyańskiego wojewody chełmińskiego, oraz Łukasz Walzelrode, wuj naszego Kopernika, któremu zawistne mu źródła krzyżackie zarzucają, że w jego żyłach krążyła krew pol-

---

(1) Do prokuratora zakonnego w Rzymie pisze Wielki mistrz:

Ehrsamer etc. wir vernehmen und uns wird von vielen, die von Rom kommen, gesagt, wie Paulus von Logendorf, domherr zur Frauenburg, uns und unserm orden ein schwerer feind sei, wie er über unsern orden dichte und offenbar mache mancherlei lügen und trügen, damit er uns aller welt unehr machen möchte, sonderlich dass er *vor die Polen* und wider uns sei nach all seinem vermögen. Besonders lieber herr procurator! wäre dem also, so wäre es uns ein gross wunder. Alle seine voreltern und geschlechte haben ihr gut und wohlfart empfangen von unserm orden; selbst haben wir ihm zwar leides nicht gethan, das wir wissen, denn dass wir unsern getreuen secretarium Stephanum haben vermocht, seine thumerei zur Frauenburg zu übergeben und sie Paulo ein zuräumen,— unser vorfahr hat ihm die pfarre zu Graudenz gegeben—haben ihn damit so hoch geleidigt oder verzürnt, so ist es uns leid aus herzen........ Füget euch mit rathe unsers herrn protectoris zum heiligen vater und durch macht unsrer credentien in unserm grossen brief berührt, verzählet ein solches seyner heiligkeit und bittet demüthiglich, dass er dem berührten Paulo ein solches fortan zu thun verbiete und ihn darinnen stille. Gott mag uns helfen, wer uns etwas gutes thut zu dienste, das wir es ihm mögen vergalten Schreibet uns demnach davon allen bescheid mit diesem beweis; das begehren wir auch von euch mit sonderlichem fleisse.

Pisownię zmodernizowaliśmy dla lepszego zrozumienia, koncept tego listu znajduje się w tajném archiwum Królewieckiém w szufladzie XXVI pod liczbą 71.

(2) Pismo kapituły warmińskiéj de dato 5 Apr. 1512:... vom vater deutsch, von der mutter ein Pole aus dem geschlechte der Coszeletzken geboren...

ska (1). Jest to rzecz naturalna, że ci biskupi Polacy, oraz i biskupi Niemcy Polakom przychylni baczne oko zwracali też na ludność polską i jéj potrzeby, starając się o jéj dobro duchowe i otwiérając kolonizacyi polskiéj drzwi na oścież; przypływ bowiem Niemców w skutek przewrotów politycznych ustawał a nareszcie i ustał. Nie mając jednak we własnéj dyecezyi dosyć duchownych, władających polskim językiem, biskupi Polacy a nawet tacy, o których narodowości nic nie wiemy, jak np. Mikołaj Tüngen, sprowadzali kleryków z Polski, aby nimi obsadzać parafie polskie tak w Mazurach, jako też w Warmii.

Sądzę więc, że się nie mylę, przypuszczając, że tam, gdzie księża polscy się pojawiają, osady polskie istniały; że posuwanie się księży polskich ku północy oznacza postęp kolonizacyi. Tak osiadł kleryk płocki Adam, syn Jana, r. 1479 w Gryźlinach (2) niedaleko Olsztynka, a po nim 1485 Maciej, syn Stanisława. Roku 1481 Marcin, syn Węcesława, był księdzem w Wielkim Bartęgu pod Olsztynem. W Szomborku pod Olsztynem zawiadywał parafią Marcin Kokoszka, który r. 1562 przeniósł się do Klemek (Klaukendorf pod Olsztynem); miejsce jego w Szomborku zajął Sebastyan Szydłowski z płockiego. Księdzem w Dywitach pod Olsztynem był r. 1565 Stanisław Dobrzynka a w Sentalu (Sussental pod Wartemborkiem) Maciej Chorzelski (Chorzelius); w Freudenburgu pod Jezioranami urzędował r. 1673 ksiądz Andrzéj Rogala. W końcu XVI i w XVII wieku kolegiata dobromiejska, któréj skład dosyć dobrze nam znany, wykazuje przeważnie polskie imiona i nazwiska, a w drugiéj połowie XVIII wieku urzędują Polacy nawet już w Szalmii, niedaleko Fromborku, a miano-

(1) To, co tutaj przedstawiłem, nie zgadza się poniekąd z zapatrywaniami historyków warmińskich a nawet ze źródłami; twierdzą bowiem, że piérwszym Polakiem na stolicy biskupiéj warmińskiéj był Hozyusz. Nie zaprzeczam wiarogodności źródeł; trzeba jednak wiedziéć jak rozumieć to, co one powiadają, a pokaże się, że twierdzenie moje wcale nie sprzeciwia się ich podaniu. Chodzi o to, aby wiedziéć, co znaczy „Polonus“. Mówiliśmy już o tém poprzednio. W niniejszym wypadku „Polonus“, Polak, oznacza obywatela państwa polskiego, nie zaś Polaka pruskiego. Prusy bowiem po powrocie pod berło polskie, z Polską miały tylko króla wspólnego. Urzędowa nazwa téj prowincyi, prawie całkiem niezależnéj od Polski, była „terrae Prussiae“; mieszkańcy więc nazywali się „Prutheni“ i to bez względu na narodowość, tak Polacy jako też i Niemcy; krajowcy więc byli „Prutheni“; „Poloni“ zatém byli obywatele innych prowincyj państwa polskiego, którzy nie posiadali indygenatu pruskiego. Piérwsi biskupi po okupacyi polskiéj byli wszyscy z Prus, byli „Prutheni“; Hozyusz zaś nie był krajowcem, był obywatelem innéj prowincyi polskiéj; słusznie więc źródła nazywają go piérwszym Polakiem, co jednak, jak widzieliśmy, wcale nie wyklucza, aby przed nim Polacy pruscy na stolicy warmińskiéj nie siedzieli.

(2) Młyn gryźliński posiadał r. 1511 Polak Mikołaj i syn jego Jan.

wicie Józef Szóstak (1765—1794) i Kazimierz Orgas (1794—1799), podczas gdy przed nimi samych Niemców znaleźliśmy.

Równocześnie wzmaga się żywioł polski w miastach warmińskich, gdzie może już za czasów krzyżackich było go nie mało, zwłaszcza że żadne ustawy nie zabraniały obdarzać obywatelstwem miejskiém Polaków, pochodzących z innych stron Prus lub z Polski samej. Najwięcéj, zdaje się, garnęło się Polaków naprzód do Ornety, gdzieśmy już przedtém wykazali obecność Polaków a gdzie 1371—1377 Henryk Wojna był księdzem; Polacy posiadali tam i domy, co stąd widać, że roku 1485 Dorota Krakowska (Dorothea Krakowska) swoję posiadłość tamże sprzedaje. Jakie tam późniéj wyrobiły się stosunki, nic nam nie wiadomo.

W miastach wschodniéj i południowéj Warmii spostrzegamy z początkiem XVI wieku wszędzie wzrost żywiołu polskiego. Przypisać to może należy reformacyi, przeprowadzonéj przez księcia Olbrachta w Prusiech książęcych, w skutek któréj niemało osób, nie mogących lub nie chcących pogodzić się z nowym stanem rzeczy szukało przytułku w biskupstwie warmińskiém.

W Reszlu np., gdy zakon Augustyanów opuścił swój klasztór, zamieniono ich kościół na kościół polski, w którym kapelan polski przy farze odtąd odprawiał nabożeństwo. Widać także z téj notatki, że przedtém nabożeństwo polskie odbywało się w farze.

W Jezioranach przeznaczono w drugiéj połowie XVI wieku górne piętro szkoły tamtejszéj na kościół dla Polaków; Kromer tę salę roku 1580 wyświęcił.

W początku XVII wieku zrównoważał żywioł polski, jak się zdaje, w miastach południowéj Warmii stanowczo już żywiołowi niemieckiemu; wynika to stąd, że według historyka Jana Leona, kanonika dobromiejskiego, familie niemieckie oddawały swe dzieci sprzyjaźnionym familiom polskim do wychowania celem poduczenia się języka polskiego. Gdy to się działo, znajomość języka polskiego musiała być ogólną potrzebą.

Nowy porządek rzeczy, który w skutek zmian politycznych XV wieku nastał, dokumentuje się najlepiéj i najdokładniéj w stanowisku, które władza kościelna odtąd zajmowała w obec szlachy polskiéj. Gdy dawniéj dobra kościelne oddawano w leństwo głównie Niemcom, to teraz przeważnie Polakom. Ruch ten majątkowy kilku przykładami scharakteryzujemy.

Roku 1493 okupuje się Paweł Bogdan w Skajbolach pod Wartemborkiem, gdzie założył wieś Bogdany. Roku 1502 kupują Ottendorf pod Lamkowem, niedaleko Jezioranów, Mazowszanie Szymon z Praywissen (z Przybyszewa) i Sławski de Beistry (z Bystrego). Roz-

ległe dobra posiadali w początku XVI wieku Troszkowie np. Klakendorf pod Bisztynkiem, która wieś r. 1718 po śmierci Kazimierza Troszki przeszła w ręce Andrzeja Gąsiorowskiego z Łazęgi; Kunskajny pod Biesowem, posiadał r. 1528 wójt ziemski, Jerzy Troszka; r. 1571 nabył Kunskajny Jerzy Czarliński; w posiadaniu Troszków było również Landowo pod Bisztynkiem.

Roku 1528 osiadł Piotr Pralis w Galitach pomiędzy Dobrém miastem a Jezioranami; syn jego nazywa się już Galicki, widać, że tam nie mało już było Polaków. Tegoż roku otrzymali czteréj bracia Gralewscy z Mazowsza Zerbuń (Sauerbaum) pod Jezioranami jako leństwo. R. 1530 był burgrabią olsztyńskim Hieronim Mlicki, który otrzymał wieś Garschen (Garczyn?).

Roku 1545 odstępuje Antoni Nidenowski posiadłości swe w Buchwałdzie, Garczynie i Polejkach kapitule warmińskiéj, za co otrzymał 13 włók w Sztolpach pod Olsztynem; w tym samym czasie osiadł w Gistkiemach, niedaleko Buchwałdu, Aleksander Worański. Krausendorf nabywa od Stanisława Hozyusza Piotr Zawadzki.

Z końcem XVI i w XVII wieku porusza się żywioł polski naprzód pod Dobre miasto, Ornetę i Licbark: r. 1589 mieszka w Korbendorf pod Ornetą pan Gaspar Dambii; Springborn jest r. 1687 w ręku Piotra Białkowskiego. Queetz pod Dobrém miastem posiadali kolejno Ludwik Paczek, Aleksander Spinek (1698), r. 1729 szambelan Zygmunt Stanisławski a r. 1760 Jakób Górski, starosta braniewski. W téjże okolicy miał dobra Maksymilian Guldenstern, które późniéj przeszły w ręce Grzybowskich, jako heredum ex sorore jego. W Szarniku tamże mieszkał Tomasz Śmiarowski, którego żona była Paczkówna z domu. W początku XVIII w. wieś Sonnenberg pod Fromborkiem była w posiadaniu Krzysztofa Bogdańskiego. Roku 1683 otrzymał Jan Łączyński wieś Runowo pod Reszlem.

Szlachty polskiéj w Warmii dziś już nie ma; zniemczała. Nie będzie może bez interesu, gdy tutaj wyliczymy te familie niegdyś polskie, które dotąd się utrzymały; są to następujące: w powiecie braniewskim Wojscy; w powiecie reszelskim: Kurowscy, Guzowscy, Olszewscy i Szelińscy; w powiecie licbarskim Sasowie i Kroszewscy; w powiecie olsztyńskim: Kamińscy, Hanowscy, Żelaskowscy, Żabińscy, Gramaccy, Czajkowscy, Palmowscy i Rogawscy.

Że żywioł polski dopiéro z końcem XV i początkiem XVI wieku zaczyna się rozszerzać po południowéj Warmii, tego dowodzą najlepiéj nazwy miejscowe polskie, zestawione przez p. Sieniawskiego. Nie są to nazwy czysto polskie, jakich bez liku w Prusach zachodnich i nawet w Mazurach znajdujemy, lecz są to nazwiska niemieckie i pruskie, ale spolszczone, np. Kierzbuń (Kirschbaum), Ry-

cybald (Rittwald), Klebark, Bartąg, Gągławki, Redykajny, Tęguty, Kaplityny, Odryty itp. W ostatnich nazwiskach rozróżniamy z łatwością pruskie zakończenia „ławki=lauken, kajny=keim, uly, yty, yny itp.

Widać z tego, że Polacy do gotowego już przyszli, że osady te wszystkie już przed ich przybyciem istniały. Gdy w skutek napływu żywiołu polskiego resztki pozostałych jeszcze Prusaków spolszczały, spolszczały i pruskie i niemieckie nazwiska. Czysto polskie nazwiska, których niewiele znajdujemy, są późniejszéj daty i pochodzą przeważnie z XVI i XVII wieku, jak np. Bogdany, Południewo itp. Ale i tu trzeba być bardzo uważnym, bo nie wszystko jest polskie, co się polskiém wydaje; tak np. Dorotowo nie pochodzi od „Dorota," lecz od imienia Prusaka, który wieś tę założył; nazywał się Darut a wieś jego zapewne „Darutten" lub „Darutsdorf", z czego Polacy zrobili Dorotowo.

Poruszyłem kwestyą osiedlania się Polaków w Warmii nie w tym celu, aby rozbiérać ją wyczerpująco, bo na to brak raz materyałów a powtóre da się to zrobić tylko w połączeniu z historyą kolonizacyi polskiéj w Prusach wschodnich w ogóle, lecz aby przestrzedz publiczność światłą o mylnych wywodach pana Sieniawskiego, które, mając aprobatę Akademii umiejętności w Krakowie, łatwo mogą w błąd wprowadzić tych, którzy historyi pruskiéj i stosunków pruskich nie znają, bo historya pruska, dla nas tyle ciekawa, niestety zawsze jeszcze leży u nas odłogiem.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

KRONIKA NAUKOWA.

Katastrofa wielicka.

Rok bieżący niefortunnie się rozpoczął licznemi, przez jeden z żywiołów sprowadzonemi klęskami. Woda stała się przyczyną wielu nieszczęść, które obrały sobie za pole popisu przeważnie kraje, znajdujące się pod panowaniem austryackiém. Jedna katastrofa, straszniejsza od drugiéj, następowała po sobie. Najprzód Cieplice, potém Wieliczka, a nareszcie, najstraszniejsza ze wszystkich klęska Szegedynu, nie mająca sobie równéj w historyi nowszych czasów. Woda pozabierała niezliczone ofiary z mienia i z życia.

Ostatnia klęska nie jest jeszcze, do chwili napisania obecnéj kroniki, dostatecznie wyjaśnioną, brak bowiem dotychczas dokładnych szczegółów. Natomiast wypadki w Wieliczce i Cieplicach zbadane zostały dokładnie, i posiadamy o nich szczegóły wyjaśniające dostatecznie całą sprawę.

Zacznijmy od Wieliczki, która nas najbardziéj obchodzić powinna. Krótkie sprawozdanie, które poniżéj daję, oparte jest na wykładzie p. A. Strzeleckiego, sekretarza krajowéj Dyrekcyi Skarbu dla spraw salinowych.

Kopalnie wielickie już niejednokrotnie zalewane były wodą. Są jeszcze dotąd ślady zalewów, pochodzące z bardzo odległych czasów. I tak znajdują od czasu do czasu w kopalniach bryły soli, zawiérające zamknięte gniazda napełnione nasyconą wodą, która się do zagłębienia podczas zalewu dostała, tam zasklepiła i osadziła z siebie na ścianach piękne kryształy solne. Lecz mało bardzo wiemy o tych dawniejszych zalewach. Dopiéro nowsze powodzie z r. 1868 i r. bieżącego zostały dokładniéj zbadane.

Budowa pokładów solnych wielickich przedstawia wielką rozmaitość co do formy. Znajdujemy tam warstwy rozmaitéj grubości, ułożone między marglem i piaskowcem. Niektóre z tych warstw są tak cienkie, iż nie nadają się wcale do eksploatacyi i wydobywają z nich sól tylko tam, gdzie tworzą one zgrubiałe fałdy. W niektórych miejscach znowuż znajdują się wielkie bryły, dosięgające nieraz kolosalnych rozmiarów. Z nich to powstały owe komory, zwiedzane i podziwiane przez podróżników.

Sól wydobywa się z wnętrza ziemi w znany powszechnie sposób. Kopią się przedewszystkiém pionowe studnie, tak zwane *szyby*, od których w rozmaitych głębokościach, w miejscach, gdzie natrafiono na warstwy solne, rozchodzą się mniéj więcéj poziome chodniki. System chodników, leżących przybliżenie w jednéj głębokości, nazywa się *poziomem*. Chodniki w każdym takim poziomie jak sieć rozciągają się w dwóch kierunkach, od południa ku północy i od wschodu ku zachodowi.

Kilkakrotnie starano się, przedłużając chodniki w rozmaitych poziomach, znaléść granice rozciągłości pokładów solnych. Lecz zwykle na końcu chodnika napotykano wodę i dalsze roboty musiały być przerwane, a wodę wytryskującą ze ślepego końca sztucznie tamowano. Takich zatamowanych chodników znajduje się w Wieliczce kilkanaście.

Gdy w Stassfurcie znaleziono obfite pokłady soli potasowéj, austryackie ministeryum skarbu, kazało w salinach należących do jego zarządu robić poszukiwania w tym kierunku. Dyrekcya salin wielickich wypracowała odpowiedni projekt i przedstawiła go do ministeryum, które dało mu swoję sankcyą. Nastąpiły potém zmiany w zarządzie, tak, że obecni kierownicy otrzymali ten projekt w spadku.

Główne roboty rozpoczęto w trzecim poziomie (216 metrów pod powierzchnią ziemi) i zaczęto wydłużać tak zwany chodnik „Kloski“ w kierunku ku północy.

Badania dotychczasowe formacyi wielickiéj wykazały, że pokłady solne tworzą siodło, wygięte ku górze a spadające ku północy i południowi. Pokryte są one z wierzchu warstwą trzeciorzędowéj gliny szaréj i gliny słonéj; na spadek siodła północny zachodzą piaskowce trzeciorzędowe, na spadek zaś południowy—piaskowce karpackie (1).

---

(1) Widok w przecięciu pionowém łożyska pokładów solnych w Wieliczce, czytelnik znajdzie w „Encykl. Rolnictwa,“ w tomie II, na str. 531. (Przyp. Red.)

Chodnik „Kloski“ zaczęto wydłużać w kierunku, ku północnemu spadkowi siodła. Przed rozpoczęciem tych robót, chodnik ten miał 120 metrów długości. Wychodzi on z t. zw. szybu Franciszka Józefa. Najprzód na długości 50 metrów ściany jego są marglowe; daléj 12 metrów soli krystalicznéj; następnie dwadzieścia kilka metrów soli nieczystéj; a nakoniec w pozostałéj końcowéj części margle zielonkowate z gniazdami soli.

Ztąd rozpoczęto roboty dalsze i wydłużono chodnik w przeciągu dwóch lat od 1866 do 1868 w dwójnasób prawie do 238 metrów. W dalszym tym przebiegu napotykano margle szarawe, daléj znowu—margle zielonkawe, a na końcu—piaskowiec z gniazdami pirytu.

Na 238-mym metrze okazała się w podłodze chodnika woda. Zarządca chodnika kazał na to miejsce przynieść iłu, aby w wypadku módz zatamować wodę i zdał sprawę zarządowi kopalni. Zarząd jednak kazał kopać daléj, nie miał bowiem podstaw do obawy. Wszystko przemawiało za tém, że się jeszcze nie doszło do zewnętrznéj granicy pokładów solnych. Warstwy były inaczéj ułożone; w najwyższym wielickim poziomie daleko więcéj wysunięto się naprzód, a nie napotkano wody, w całym przebiegu chodnika „Kloski“ ani razu podczas roboty nie pokazała się woda, a wreszcie przybył i ten wzgląd, że gdyby zatamowano chodnik u końca, to cała dwuletnia robota byłaby bezużyteczną.

Kopano więc daléj. 20 Listopada przypływ wody wzmógł się znacznie; jeszcze więcéj—21-go; woda zaczęła iść zmieszaną z piaskiem. 22-go nastał wybuch tak gwałtowny, że trysnęła woda w ilości 6-ciu metrów sześciennych na minutę. Powstrzymanie katastrofy na miejscu okazało się niemożliwém. Probowano więc postawić tamy przy ujściu chodnika do szybu Franciszka Józefa. Postawiono trzy ceglane zapory z rurą dębową, w wentyl zaopatrzoną. Woda jednak rozmiękczyła warstwy i zaczęła płynąć bokami. Dolny poziom „Regis“ został zalany. Nie pozostawało nic innego jak tylko postawić pompy, któreby całą ilość wydobywającéj się wody usuwały. Kolej pożyczyła swéj machiny o sile 250 koni, a zamówiono odpowiedniéj wielkości pompę.

W Kwietniu machiny były ustawione i zdołano osuszyć kopalnię aż do poziomu owego fatalnego szybu „Kloski.“ Przekonano się, że woda płynie z szybkością 50 stóp sześciennych na minutę.

Chciano wtedy jeszcze raz założyć tamę w końcu ślepego chodnika. Zaczęto w tym celu prowadzić chodnik równoległy do chodnika „Kloski.“ Robiono go z dwóch stron: od szybu Franciszka Józefa i od szybiku Albrechta. Blisko końca zbliżono ten chodnik rekognoscyjny do „Kloski“ i chciano wejść, lecz nacisk był tak sil-

ny, że przełamał ścianę. Zrobiono wtedy poprzeczny chodnik obserwacyjny, który przekonał o niemożliwości założenia tamy. Od samego początku katastrofy ściany chodnika poczęły się walić i upadać na dół. Chodnik obserwacyjny dowiódł, że te zwaliska sięgają tam, gdzie on był zaprowadzony, na wysokość 12 metrów. Założenie tamy okazało się niemożliwém; a gdy zaczęto w wyższych poziomach badać zwaliska, to przekonano się, że sięgają one do 40 metrów wyżéj. W téj wysokości postanowiono wodę uchwycić i odprowadzić rynnami przez chodnik „Colloredo,“ co téż i uczyniono.

Stan taki trwał aż do roku 1872. Robotnicy pracujący niedaleko od źródła usłyszeli pewnego dnia hałas gwałtowny i, gdy przybiegli na miejsce, okazało się, iż woda przestała płynąć.

Z całéj przygody pozostało tylko małe źródełko w chodniku, który był przeprowadzonym równolegle do chodnika „Kloski.“ Starano się to źródło zatamować, lecz gdy je zatkano w jedném miejscu, to się zaraz pokazywało w drugiém.

To źródełko stało się przyczyną nowéj katastrofy w dniu 17-m Lutego r. b.

O godzinie 9-éj zrana, z owego małego źródełka, woda na raz z wielką gwałtownością uderzyła. Wytryskała ona w ilości około dwóch i pół metrów na minutę; wieczorem tegoż dnia wybuch wzmógł się do 6-ciu metrów sześciennych. Piątego dnia zmniejszył się na dwa i pół metry, a 10-go Marca wypływał już tylko jeden metr sześcienny na minutę.

Dnia 12-go Marca, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności źródło na raz bić przestało; lecz trwało to tylko dwie godziny, i woda napowrót się pokazała. Dnia 14-go Marca wypływał znowu 1,4 metr. sześc. wody, a w obecnej chwili wypływa tylko 1,2 metra sześciennego.

Ze wszystkiego widzimy, że wybuch obecny jest dalszym ciągiem wybuchu z roku 1868. Woda, zatrzymana w r. 1872 jakąś wewnętrzną katastrofą, przebiła sobie znowu drogę i wydostaje się na zewnątrz.

Tym razem, prawdopodobnie żadnych robót budowniczowie na powstrzymanie wody robić nie będą, bo o budowie tamy, jak doświadczenia pokazały, i mowy być nie może. Całą ilość wody usuwać będą nadal za pomocą potężnych pomp. Pod tym względem, katastrofa obecna nastąpiła w warunkach daleko korzystniejszych niż w r. 1868, bo zarząd żup posiada trzy wodociągi, o sile 360 koni razem, które wystarczają na usunięcie całego przypływu.

Obecny więc stan kopalni Wielickiéj wydaje się być chronicznym i nieuleczalnym.

Nowa wyprawa do bieguna.

Ze wszystkich dzienników politycznych, bez żadnéj wątpliwości najlepiéj się zasłużył nauce dziennik amerykański New-York Herald, wydawany przez Jamesa Gordona Bennetta. Dość przytoczyć kilka powszechnie znanych faktów. Kosztem dziennika tego Stanley odszukał Livingstona, a późniéj przeszedł w poprzek nieznany i tajemniczy kontynent Afryki od jednego Oceanu do drugiego. Daléj New-York Herald założył biuro meteorologiczne, które wysyła do Europy depesze telegraficzne o burzach, biorących swe źródło przy wybrzeżach amerykańskich, i potém wirując pędzą przez Atlantyk i dosięgają brzegów europejskich. Paroletnie doświadczenie wykazało potężną korzyść tego biura i kilkadziesiąt burz zapowiedzianych, rzeczywiście, w oznaczonym terminie rozszalało się na morzach omywających ląd stary.

Obecnie, Bennett, wspaniałomyślny i rozrzutny na cele nauki, jakby król jaki, urządził własnym kosztem wyprawę do bieguna północnego, tego przedmiotu ciągłych, międzynarodowych wyścigów, celu, który, mimo iż tyle ofiar pochłonął, nie został jeszcze osiągnięty. Bennet kupił statek *Pandorę*, który już odbywał podróże arktyczne pod dowództem Allena Younga, wyrestaurował go i zaopatrzył do trudnéj przeprawy we wszelkie środki jakich potrzebę uznali podróżnicy ostatnich czasów. Pandora jest śrubowcem o sile 80-ciu koni. Statki, wybiérające się w krainę wiecznych lodów, muszą być wytrzymałe i o silnych bokach, żeby się oprzéć mogły parciu lodów. To téż ściany Pandory wzmocniono znacznie. Główną część inwentarza, stanowi zapas węgla około 170 tonn, sanki do wycieczek po równinach lodowych, piły do lodu i t. p. Już w Styczniu, Pandora, przechrzczona na „*Jeanettę*," wyjechała z San Francisko i udała się do cieśniny Behringa, przez którą ma zamiar dostać się do bieguna.

Dotychczasowe podróże wykazały, iż są trzy drogi przypuszczalnie możliwe do dosięgnięcia bieguna; są to drogi cieśniny Behringa, cieśniny Smitha i droga Spitzberska. Najmniéj użytkowaną była ta, która prowadzi przez cieśninę Behringa, odkrytą przez Behringa, Duńczyka w służbie rosyjskiéj. Drogą tą szły głównie wyprawy rosyjskie, z których na szczególną uwagę zasługuje wyprawa Wrangla w r. 1821. W r. 1849 Anglik Kellett odkrył ziemię Kellett i Herald. Od owego czasu nikt tamtędy się nie puszczał, i dopiéro teraz Jeanetta będzie probowała przecisnąć się między lodami. A jest pewna nadzieja, że zdoła to uczynić. Rachują na to, że prąd będzie pomocnym, gdyż bieży on ku północy, gdy tymczasem w cieśninie Smitha ma kierunek odwrotny. Przytém wiatry północno-za-

chodnie panujące w tych okolicach mogą w szczęśliwych warunkach otworzyć między lodami kanały zmierzające ku północy, a to w ten sposób, iż odeprą część lodów ku wschodowi. Może w tych warunkach wyprawa zdoła dosiągnąć celu, zmierzając wzdłuż ziemi Kelletta.

Lecz Bennet nie poprzestał na téj jednéj wyprawie. Wysłał on jednocześnie jacht „*Dauntless*,“ który płynąć będzie drogą Spitzberską. Droga ta stała się znakomitą od czasu wyprawy Parry'ego w r. 1827. Nieustraszony ten podróżnik dobrał się przez lody, używając po raz piérwszy sanek, aż do 82°45' szerokości. Późniéj, kilka jeszcze wypraw zmierzało temiż samemi szlaki. I tak w r. 1868 Koldewey idąc za wskazówkami geografa Petermanna posunął się daleko na północ i zbliżył się prawie o jeden stopień do granicy, do któréj dobrał się był Parry. W 1869 statki Germania i Hansa dotarły już tylko do 75°,30'. Daléj w r. 1872, słynna wyprawa „Tegethoffa,“ wyekwipowanego przez hr. Wilczka, pod dowództwem Weyprechta i Payera, przebijała się tą samą drogą i przy pomocy sanek doszła do 82°'05', odkrywając ziemię Franciszka Józefa.

Za tymi pełnymi sławy poprzednikami pójdzie i „Dauntless.“

Te dwie wyprawy, urządzone przez jeden dziennik, jednego człowieka, jużby same wystarczyły do dania im miana dobrze zasłużonych nauce.

Zachowanie się gazów w stanie nadzwyczajnego rozrzedzenia. Odkrycia Williama Crookesa.

Ze wszystkich nauk w obecnych czasach, nauka fizyki robi największe postępy, i to tak szybkim krokiem, że zaledwie zdążyć można poznać wielkie i pełne doniosłości odkrycia, następujące po sobie w zadziwiająco krótkich odstępach czasu. Rok ubiegły został właśnie zakończony jedném z takich doniosłych odkryć, przedstawiającém zupełnie nowe pole do badań. Jak rok 1877 skończył świetnie swą karyerę naukową zamienieniem w płyn lub ciała stałe wszystkich gazów, uważanych poprzednio za stałe, tak 1878 zamknięty został ważnemi odkryciami Crookesa, tyczącemi się stanu gazów w nadzwyczajném rozrzedzeniu. Pictet i Cailletet zgęszczali różne gazy i zdołali otrzymać płynny i stały wodór, tlen, azot i inne. Crookes szedł drogą odwrotną, rozrzedzał gazy do możliwych granic, otrzymywał stan, nazwany przezeń *ultragazowym*, i badając go doszedł do niezmiernie ciekawych rezultatów, rzucających nowe światło na wewnętrzny stan i budowę gazów.

Crookes należy do najzdolniejszych i razem najdziwaczniejszych uczonych naszego czasu. Karyerę swą naukową rozpoczął od odkrycia pierwiastku *talu* i z początku poświęcał się przeważnie chemii. Obdarzony niezwykłą wrażliwością nerwową i bujną fantazyą, dał się uwikłać w sidła spirytystów, w których cudackie zjawiska zaczął wierzyć najzupełniéj. Widział jakieś duchy, rozmawiał z niemi, podał teoryą spirytyzmu (wprowadził pojęcie *siły psychicznéj*). Wielka powaga naukowa Crookesa (jest członkiem Royal Society) przyczyniła się do rozpowszechnienia mrzonek w sposób nadzwyczajny, i to jest największym grzechem jego życia! Spirytystycznym sztuczkom oddaje się z najlepszą wiarą, aż do obecnéj chwili, mimo kilkakrotnych zawodów. Jednakowoż jednocześnie pracuje w dziedzinie fizyki i tam otrzymuje znakomite rezultaty, równoważące prawie owe słabe strony. Przed parą laty odkrył znany wszystkim radiometr, a obecnie obdarzył naukę nowemi a obfitemi w rezultaty spostrzeżeniami.

Według obowiązującéj obecnie ewangelii naukowéj, gazy składają się z niezliczonego mnóstwa małych, niewidzialnych cząstek, zwanych drobinami. Teorya gazów, tak zwana „kinetyczna,“ jedna z najpiękniejszych zdobyczy ducha ludzkiego, powiada „iż każda przestrzeń gazowa zawiéra niezliczone miliony milionów drobin, drgających niezmiernie szybko we wszystkich kierunkach i uderzających jedna o drugie miliony razy na sekundę.“ W zwykłym stanie gazowym drobiny są bardzo blisko od siebie, każda więc z nich drgając tylko małą robić może drogę na obie strony i uderza ciągle o wszystkie swoje sąsiadki. Inna rzecz, gdy gaz jest w stanie rozrzedzonym za pomocą potężnych pomp pneumatycznych. Wtedy w danéj objętości ilość drobin jest bez żadnego porównania mniejszą, każda z nich odbywać może swobodnie drgania na znacznéj przestrzeni. Wtedy powstają w gazie zjawiska, których bliższém zbadaniem zajmował się Crookes przez lat parę, od czasu odkrycia swego radiometru.

Radiometr składa się z bani szklanéj, z któréj do wysokiego stopnia wypompowano powietrze i z młynka obracającego się swobodnie na ostrzu. Skrzydełka młynka są w zwykłym radiometrze z miki i jedna strona każdego z nich poczerniona jest sadzą, a druga zostawiona połyskującą. To jest cały aparat. Skoro go wystawimy na działanie światła albo ciepła, młynek szybko się zaczyna obracać. Gdy się radiometr okazał, przypuszczano, iż otrzymano bezpośrednie mechaniczne działanie promieni świetlnych, które miały uderzać o skrzydełka młynka i wprawiać go w ruch. Lecz teorya ta musiała być wkrótce opuszczoną, i Crookes, po kilkomiesięcznéj doświadczalnéj pracy, podał inną, obecnie dość ogólnie przyjętą. Twierdzi

on, że drobiny gazu, znajdującego się w stanie nadzwyczajnego rozrzedzenia, zaczynają nabiérać ruchów znacznych i regularnych, uderzają się z jednéj strony o skrzydełka młynka, z drugiéj—o ścianę szklanéj bani i przez oddziaływanie wprowadzają młynek w obrót. Drobiny gazu pod działaniem radyacyi doznają tak zwanéj dysturbacyi, któréj skutkiem jest obrót młynka.

To, co w radiometrze robiły promienie, przy nowych badaniach Crookesa czyni prąd elektryczny, przechodzący przez rozrzedzone do wysokiego stopnia gazy; staje się on przyczyną nadającą gwałtowny ruch drobinom. Lecz ruchy te były dawniéj tylko obrotem młynka konstatowane, dziś można je do pewnego stopnia widziéć i oznaczyć ich granice.

Wszystkim, cokolwiek obznajmionym z doświadczalną fizyką, znaném jest doświadczenie z iskrą elektryczną, przebiegającą przez wypróżnioną bańkę szklaną. Zwykle to doświadczenie robi się w ten sposób, iż do jednego bieguna metalowego bani szklanéj przypuszcza się jeden drut od cewki indukcyjnéj, a do drugiego,—drugi. Za każdym przebiegiem prądu, bania oświeca się wewnątrz fioletowém światłem. Każdemu wpadło wtedy w oko, że koło bieguna dodatniego powstaje silne mgliste światło, a około *ujemnego*, w bezpośredniéj jego bliskości—ciemna, zaokrąglona przestrzeń. Robi to wrażenie jakby światło wytryskało z dodatniego bieguna i zmierzało ku ujemnemu, lecz go nie dotykało.

Otóż Crookes znalazł, że głębokość téj ciemnéj przestrzeni, odgrywającéj w dalszych poszukiwaniaeh główną rolę, zależy od stopnia rozrzedzenia gazu, od rodzaju tego gazu, od temperatury biegunów i t. p. Najważniejszém z tego wszystkiego jest to, iż przestrzeń ta zwiększa się stosownie do rozrzedzenia. Im więcéj się pompuje, tém bardziéj wysuwa się ona naprzód i staje się głębszą.

Crookes, badając tę przestrzeń, przyszedł do przekonania, iż ona przedstawia granicę drgań drobin odbitych od ujemnego bieguna. Wytłómaczmy to nieco bliżéj. Prąd elektryczny, wpadający przez biegun ujemny, odbija odeń drobiny rozrzedzonego powietrza i rzuca je naprzód; te lecą aż póki nie spotkają w swym biegu innych drobin. Im większe rozrzedzenie, tém dłuższą muszą odbywać drogę, a w miejscu, gdzie się uderzają z innemi drobinami, powstaje światło. Energia uderzenia jednéj drobiny o drugą przejawia się w formie światła. Żeby prawdziwość tego twierdzenia wykazać, zbudował Crookes aparat, mający wiele podobieństwa do radiometru. W bani szklanéj znajduje się młynek, całkowicie zrobiony z lekkiego metalu glinu (aluminium). Młynek ten połączony jest elektrycznie z biegunem ujemnym źródła elektryczności. Skrzydełka młynka

zrobione są, zamiast z miki, z cieniutkich blaszek aluminiowych, a na jednéj stronie pokryte są delikatną warstewką miki w celu izolacyi. Biegun dodatni wchodzi do bani u góry. Młynek metaliczny a w szczególności jego skrzydełka stanowią zakończenie ujemnego bieguna. Gdy się połączy oba bieguny ze źródłem elektryczności, wtedy powtarzają się zjawiska już wyżéj opisane. Około skrzydełek młynka, na stronie metalicznéj tworzą się wspomnione ciemne przestrzenie, zwiększające się z rozrzedzeniem. Z początku, gdy to rozrzedzenie jest słabe, pokazuje się na skrzydełkach prawie przylegające fioletowe światło; gdy ciśnienie wewnątrz bani zmniejsza się, zaczyna się tworzyć wązka, ciemna przestrzeń, wzrastająca bez przerwy podczas pompowania. Młynek jednak nie rusza się wcale, chociaż posiada wszelką swobodę ruchu. Skoro jednak przestrzeń ciemna, zajęta według twierdzenia Crookesa szybko od ścianek skrzydeł odbijającemi się drobinami, stanie się tak wielką, iż dotknie ścianek szklanéj bani, natychmiast powstaje bardzo szybki obrót młynka. Drobiny, odbite wyładowaniem elektrycznem od ujemnego bieguna, lecą aż do ścianki naczynia szklanego, formalnie bombardują tę ściankę i oddziaływaniem swém wprawiają młynek w obrót.

Crookes dosłownie takie daje objaśnienie téj sprawy: „Grubość ciemnéj przestrzeni jest miarą średniéj odległości między następującemi po sobie uderzeniami drobin. Nadzwyczajna szybkość, z jaką drobiny odskakują od ujemnego bieguna, powstrzymuje inne drobiny, zbliżające się doń wolniéj. Spotkanie następuje na granicy ciemnéj przestrzeni, gdzie jasny rąbek daje świadectwo wielkiéj energii przy uderzaniu się drobin.“ Jeśli rozrzedzenie jest dostatecznie wielkie, takie, że odległość między następującemi po sobie uderzeniami drobin, czyli głębokość ciemnéj przestrzeni, jest większą niż odległość bieguna od ściany naczynia, to drobiny, zamiast uderzać o swoje sąsiadki gazowe, uderzają o ściany szklanéj bani i przez reakcyą wprowadzają młynek w obrót.

Jeśli się wstrzyma młynek w chwili, gdy ciemna przestrzeń dosięgnie bani, to w miejscu, gdzie drobiny uderzają o ścianę, powstaje na szkle miejsce fosforycznie świecące, przy zwykłém szkle zielone. Energia uderzających drobin zużywa się na wywołanie światła, a jak późniejsze doświadczenia pokazały i znacznéj ilości ciepła. Zauważono kilkakrotnie, że szkło w tém miejscu topić się zaczyna.

Ciekawym jest fakt, że drobiny odbijają się od powierzchni bieguna ujemnego w kierunku prawie prostopadłym. Łatwo to rozważyć, gdy się wstawi na końcu bieguna miseczkę metalową, w kształcie małego wklęsłego zwierciadła. Drobiny, odbijając się wtedy,

skupiają się w ognisku, które silniéj świeci, niż inne punkta granicy ciemnéj przestrzeni. W tym punkcie, w tém ognisku, uderzenia drobin są tak gwałtowne, że powstaje tam bardzo wysoka temperatura. Crookes zdołał stopić w niém cienką blaszkę platynową.

Innėm doświadczeniem, potwierdził Crookes jeszcze dobitniéj swe przypuszczenie co do drobin pod wpływem elektryczności. Zauważył on zjawisko tak zwanych cieniów drobinowych. Doświadczenie to tak było urządzone: wewnątrz bani szklanéj, w któréj do wysokiego stopnia rozrzedzono powietrze, znajdował się młynek, mogący obracać się łatwo w kierunku poziomym. Do bani wchodziły oba bieguny od źródła elektryczności. Ujemny biegun miał kształt płaskiéj tarczy. Gdy przepuszczano prąd, młynek tak ustawiono, iż całkowicie znajdował się wewnątrz ciemnéj przestrzeni. Nie obracał się wtedy wcale. Lecz gdy za pomocą cieniutkiéj, przezroczystéj blaszki mikowéj zakryto połowę młynka, drobiny mogły uderzać tylko o drugą jego połowę i następował szybki obrót. Blaszka mikowa wstrzymywała po drodze biegnące naprzód drobiny, a po za nią tworzył się cień, który Crookes nazwał cieniem drobinowym.

Z tym samym aparatem Crookes robił inne jeszcze doświadczenie. Wyjął młynek, a na to miejsce postawił prostopadłą płytkę szkła zawiérającego nieco uranu. Szkło takie ma własność, iż bardzo łatwo i silnie fosforyzuje, to téż gdy drobiny nań uderzały, widać było kształt tarczy, świecący na szkle silném zieloném światłem. Gdy pomiędzy biegunem a tém szkłem zawieszono cieniutką blaszkę mikową, zupełnie przezroczystą, wyciętą misternie w kształcie gwiazdki, to ujrzano cień téj gwiazdki najdokładniéj odbity na płytce szklanéj. Drobiny, lecące prostopadle, biegły do szkła czerwonego, lecz niektóre z nich zostały powstrzymane w drodze, i w skutek tego powstawał cień nadzwyczaj dokładny owéj gwiazdki mikowéj. Na tle jasno zieloném widać było ciemną gwiazdę.

Jest to jedno z najbardziéj przekonywających potwierdzeń prawdziwości wielkiego odkrycia Crookesa. Przed badaczami przyrody został otworzony zupełnie nowy świat, zupełnie nowe pole do badań. Lecz do świata tego, według słów Crookesa, nie będziemy mogli wejść nigdy, i trzeba będzie zadowolić się obserwacyą i doświadczeniami z zewnątrz tylko. *B. Abakanowicz.*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Złośliwa napaść na szlachtę polską. - Pogłoski o reformach. — Zmiany w prawodawstwie. — Ułatwienie kredytu w Janowskiém.—Ziemia Lubelska i roboty tamecznych obywateli.—Urządzenia lasów, sklepy wiejskie itd.— Odczyty w Warszawie, ich znaczenie, opinia ogólna i pedagogika.

Powiadają, że Neron w wybryku choréj fantazyi podpalił stolicę świata, a w oburzonych Rzymian wmówił, że winowajcami téj klęski są chrześcianie. Było to nikczemnością, ale przynajmniéj objaśnić się dawało instynktem zachowawczym nikczemnego syna Agrypiny. Czém jednak wytłómaczyć potwarz bezzasadną, rzuconą na całe społeczeństwo, potwarz chyba nawet i owéj neronowskiéj pobudki pozbawioną? A wszakże fakt taki wbrew logice i sumieniu stał się rzeczywiście.

Wychodząca w Petersburgu „Gazeta Giełdowa" (Birżewaja gazeta) wystąpiła przed kilku dniami z dziwną napaścią na szlachtę polską, a niedorzeczną jéj i złośliwą tyradę powtórzyły St. Petersburgskie wiadomości, z których ją cytujemy:

„Nie pośród naszéj młodzieży, nie w kołach swobodnie myślących należy szukać źródła, skąd płyną oburzające przestępstwa, których jesteśmy świadkami. Nie, tam szukać ich należy, gdzie się ogniskują resztki pańszczyzniane u polskiego szlachectwa, w téj sferze, gdzie się obracają ludzie bez gruntu pod nogami, wyzyskujący porywy naiwnéj młodzieży, dla wytworzenia mętnéj wody, w któréj ryby łowić zamierzają. Wykrycie przywódców tego ruchu wpędzających tylu ludzi w nieszczęście byłoby prawdziwém dla Rosyi dobrodziejstwem, uwolniłoby ją od zmory duszącéj nas od tak dawna. Lecz zadanie to nie łatwe, osobistości te wyćwiczyły się w sztuce wyręczania się przez drugich, a same zostają w ukryciu."

Pisma warszawskie zdziwione i oburzone taką napaścią, której nic usprawiedliwić nie może, odparły ją wymownemi słowy, wyrzekając się same i w imieniu całego społeczeństwa wszelkiéj solidarności z błędnemi teoryami i występnemi zasadami, które do zbrodniczych doprowadzają zamachów. Nie potrzebujemy powtarzać tutaj słów tych świeżo w pamięci każdego tkwiących, podzielamy najzupełniéj oburzenie społeczeństwa, na które ludzie nie znający go, czy znać nie chcący, rzucają oskarżenia potwarcze, i pozwalamy sobie ufać, że ani wyżsi urzędnicy pracujący nad wykorzenieniem złego, ani społeczeństwo rosyjskie nie wezmą na seryo kilku słów złośliwie rzuconych na pastwę gadaninom tłumu, szukającego wszędzie winowajców.

Pozwolimy sobie tylko zapytać ludzi dobréj wiary, co to są owe: „resztki pańszczyzniane, ogniskujące się u polskiego szlachectwa“; jacy to są „ci ludzie bez gruntu pod nogami“, wyzyskujący naiwną młodzież?

Dla czego resztki pańszczyzniane mają się ogniskować wśród Polaków, kiedy przecież tych resztek daleko więcéj się znajduje w innych prowincyach Cesarstwa Rosyjskiego, aniżeli tutaj w Królestwie Polskiém, aniżeli nawet w zachodnich guberniach, boć i tu i tam uwłaszczenie przeprowadzone z urzędu nie pozostawiło nigdzie żadnych resztek pańszczyzny, pozostawiło za sobą tylko niezupełnie rozwikłane dotąd służebnościowe trudności, zabezpieczające zupełnie od wszelkich poburzeń o przywrócenie pańszczyzny pod innemi formami i nazwami.

Nie domyślamy się dla czegoby resztki pańszczyzniane miały wytwarzać „ludzi bez gruntu pod nogami“, kiedy one chyba właśnie, jeżeliby istniały, mogłyby dawać ludziom jakieś korzyści, jakieś dochody, a więc stwarzać im grunt pod nogami. W jaki sposób „resztki pańszczyzniane“ mogłyby spodziéwać się czegoś od przewrotu społecznego, kiedy ten przewrót nie tylko owe mniemane resztki, ale i całe prawo własności obalićby musiał.

Wreszcie samo wyrażenie „resztki pańszczyzniane“ jest grzechem przeciw prawdzie—policzkiem wymierzonym historyi lat niezbyt dawnych, a przeto nie łatwo dającéj się fałszować. Wiadomo przecież, że czynszowanie włościan na drodze dobrowolnych umów, rozpoczęliśmy wtedy, kiedy gdzie indziéj poddaństwo w całéj swéj grozie istniało, że ostatnie ślady pańszczyzny znikły w Królestwie Polskiém na mocy ustawy o okupie prawnym już z dniem 4/16 Maja r. 1861, a więc na trzy lata przed ukazami o uwłaszczeniu włościan. Wiadomo także powszechnie, że uwłaszczenie włościan było u nas od lat wielu przedmiotem rozpraw ustnych i piśmiennych, że

w oczynszowaniu widziano tylko peryód przejściowy, prowadzący do uwłaszczenia, które bądź co bądź stanowiło cel najgorętszych i najpowszechniejszych życzeń, życzeniom tym stało się zadosyć, pańszczyzny nikt nie żałuje, i „Gazeta Giełdowa“ daremnie się trudzi, poruszając jéj trupa, w grobie niepamięci już złożonego na wieki.

Co mogło dać powód do bezzasadnych i, śmiało powiedzieć możemy, głupich denuncyacyj na społeczeństwo, które więcéj niż którakolwiekbądź warstwa, czy klasa społeczeństwa rosyjskiego, dba o swe zachowawcze pierwiastki, odgadnąć niepodobna. To wszakże pewna, że konserwatyzm nasz polski nie raz był przedmiotem napaści ze strony publicystów rosyjskich, którzy mało zajmując się naszemi przekonaniami i zasadami, mało obznajmieni z istotnemi potrzebami naszemi, nie chcieli wyrozumiéć jego powodów i natury.

Konserwatyzm ten umié odróżniać zdrowe ziarna, od rdzą zepsutéj plewy, przyjmuje wszelkie istotne zdobycze naukowe, ale niedowarzone mrzonki odtrąca, pragnie postępu rozumnego na drodze organicznéj, lecz do szalonych skoków nie da się skłonić, cudzego nie pożąda, swojego strzeże troskliwie, nakoniec hołduje zawsze prawdzie, a przed fałszywemi bogami czoła nie schyli nigdy. Taki konserwatyzm, daleki od wstecznictwa a z otuchą oczekujący jutra, istnieje w oświeconych warstwach wszystkich krajów, lubo pod różnemi nazwami, spokojnie patrzy w przyszłość, bo przyszłość do niego należy. Uczciwi i rozumni, poznawszy istotę naszéj zachowawczości, sympatyi nie będą jéj mogli odmówić.

Być może, że i u nas nie wszyscy jednostajnie dobrze rozumieją zasady liberalizmu publicystów rosyjskich, że się one nie jednemu wydają zbyt jaskrawe. Ale jeżeli okoliczności przeszkadzały dotychczas dokładniejszemu zrozumieniu siebie nawzajem, toć uczciwy publicysta powinienby pracować nad wyjaśnieniem tych sprzecznych i zawiłych kwestyj, a nie rzucać pomiędzy dwa społeczeństwa, zupełnie nowe, pełne fałszu i złości hasło nienawiści. Dla tego mamy nadzieję, że właśnie koła swobodnie myślących Rosyan, że uczciwi publicyści rosyjscy sami z oburzeniem potępią nieszczęsną odezwę „Gazety Giełdowéj.“

My powtórzymy tutaj słowa Naczelnika Kraju, wyrzeczone do deputacyi miasta Warszawy: „Naród Polski, ożywiony swoją wiarą, odtrąca ze zgrozą niedorzeczne i występne zasady, dążące do naruszenia wszystkich podstaw bytu państwowego i społecznego.“

Słuszność tych wyrazów rozumié każdy, kto zna prąd opinii, przenikający całe nasze społeczeństwo, bez względu na wyznanie, majątek lub zajęcia jednostek; kto wié, że masy ludu miejskiego i wiejskiego nie są wcale wstrząśnieniom socyalnym przyjazne; rozu-

mié, czuje i głosi w publicznych czy prywatnych wystąpieniach, że wszystkie siły skupiać dziś potrzeba w celu wzmocnienia i rozwinięcia naszego narodowego i ekonomicznego bytu, na drodze pracy pokojowéj, legalnéj i jawnéj.

Z tego stanowiska wszelkie spiski i wstrząśnienia, tém bardziéj zaś usiłujące podkopać fundamenta społecznego ustroju, uważamy jako zamach przeciw najdroższym interesom teraźniejszości i przyszłości, udział zaś rodaków naszych w socyalistycznych machinacyach—za zbrodnię przeciwko narodowi.

Dzięki opinii ogólnéj i zrozumieniu potrzeb kraju, rodacy nasi, o ile nam wiadomo nie mieszają się do knowań, nazwisk ich nie słyszymy w procesach. I gdyby nawet który z nich, ulegając szkodliwym podszeptom, zabłąkał się do obcego nam obozu, mamy przekonanie, że nieszczęśliwy ten prędzéj powinienby sam sobie życie odebrać, aniżeli jakimkolwiek zamachem skompromitować swój tak ciężko doświadczony naród.

Jak zwykle w chwilach ważnych, tak i dziś krąży pełno pogłosek. Jedna z gazet rosyjskich donosi, że spodziewaną jest gruntowna reforma szkół i uniwersytetów w państwie, inna—że, w widokach oszczędności, liczba powiatów Królestwa Polskiego zredukowana zostanie do 36, gubernij do 5, że wreszcie posady wice-gubernatorów, różnych „pomocników,“ a także komisarzy włościańskich będą skasowane. Nasze znowu pisma upewniają, że wkrótce otworzoną zostanie w Warszawie szkoła techniczna, na co rząd ma ofiarować 15.000 rs. subsydyów rocznych, pozostałą zaś kwotę na utrzymanie szkoły niezbędną dołożą mieszkańcy. Notujemy te pogłoski jako charakterystykę czasu i przechodzimy do faktów.

Na tém polu spotykamy się przedewszystkiém z reformami w prawie cywilném, dotyczącemi stosunków wierzyciela z dłużnikiem. Dotychczas prawo nad każdą ze stron rozciągało bardzo drobiazgową opiekę. Czuwało ono i nad tém, aby dłużnik nie płacił zbyt wielkich procentów i jako stopę legalną oznaczało 6%, któréj przekraczać nie było wolno pod zagrożeniem kary, jednocześnie zaś pragnąc zabezpieczyć wierzyciela, w pewnych wypadkach dawało mu możność.... osadzania dłużnika w więzieniu na czas nieograniczony.

Interwencya olbrzymiéj machiny państwowéj w mikroskopijne, międzyjednostkowe stosunki rzadko jest pożądana, i zazwyczaj wywołuje złe skutki. W zajmujących nas wypadkach było to samo. Bez względu na prawną stopę 6% wierzyciele pobiérali procenta jakie chcieli, bez względu na areszt za długi kapitał oddany w niepewne ręce przepadał. Sam fakt istnienia aresztu za długi wskrzeszał niewolę w jednéj z jéj form najcięższych i nowoczesne społeczeństwa

cofał niby o tysiące lat, aż do epoki, w któréj rzymscy wierzyciele mieli prawo dzielić się ciałem dłużnika. Z drugiéj strony owa legalna stopa 5% i 6%, mimo humanitarnych pozorów, była tylko niepotrzebném zaglądaniem do cudzéj kieszeni, walczyła z naturalnym biegiem ekonomicznych faktów, wyższych nad ludzkie siły, i wywoływała nadużycia, gwałtem zmuszając wierzyciela i dłużnika do układów tajemnych, dla strony pożyczającéj zawsze ciężkich.

Taki stan rzeczy od kilku lat zmienia się. Najwcześniejsza reforma dotknęła areszt za długi, który, zamiast jak dawniéj być środkiem wymuszenia na dłużniku sumy pożyczonéj, stał się środkiem umorzenia należności, w ten sposób, że dłużnik każdą, choćby największą sumę mógł „odsiedziéć“ w więzieniu. Prawo to na mocy którego osoba winna np. 100 rs. odsiadywała je półroku, a winna 100.000 rs.—we dwa lata, raziło niesprawiedliwością, było widocznie przejściowe i ostatecznie zostało przed kilkoma tygodniami zniesione, tak że dziś areszt za długi nie istnieje w Cesarstwie, a w Królestwie ma być wkrótce skasowany.

Co się zaś tyczy prawnéj stopy procentowéj 5% lub 6%, ta również w Cesarstwie przestała być obowiązującą od daty Ukazu 6 (18) Marca r. 1879. Odtąd, ustanowienie stopy procentowéj pozostawia się wzajemnéj ugodzie stron kontraktujących, byle stopa wyraźnie wymienioną była w rewersie dłużnika, wydanym wierzycielowi. Gdy jednak dłużnik przetrzyma termin zwrotu pożyczki, wówczas wynagrodzenie od zalegającego procentu wynosi 6%, nie więcéj.

Uzupełnieniem tego prawa jest artykuł, w którym ministrowi sprawiedliwości pozostawia się ułożenie: projektu przepisów o środkach karnych *za takie nadużycia wierzycieli, które skutkiem uchylenia odpowiedzialności za pobiéranie więcéj nad 6% rocznie, powinny być uważane za czyny lichwiarskie.* Artykuł ten, dziś nieokreślony, widocznie ma odpowiadać t. z. „prawu o lichwie,“ które w r. 1877 ustanowiono dla Galicyi, a o które obecnie upomina się cała Austrya. Zasadniczy paragraf owego „prawa o lichwie“ brzmi:

„Wierzyciel umawiający się z dłużnikiem o takie warunki, o których mu wiadomo, że mogą dłużnika zgubić pod względem gospodarskim, i że téj zgubnéj własności kredytu dłużnik dostrzedz nie może z powodu słabości rozumu, braku doświadczenia lub wzburzonego umysłu, taki wierzyciel za piérwszym razem ukarany będzie aresztem od 1 do 6 miesięcy, lub grzywnami od 100 do 1.000 złr., za drugim zaś razem skazany być może na areszt aż do dwu lat.“

Widzimy, że „prawo o lichwie“ nie tamuje bynajmniéj wolności układów o procent, ale stara się zapobiedz oszustwu ze strony

wierzycieli i ruinie osób nieukształconych, jakiemi są np. włościanie galicyjscy, strasznie dotychczas wyzyskiwani.

Należy mieć nadzieję, że wolność układania się o procenta wkrótce i do naszego kraju zostanie zastosowaną. Dobre jednak owoce wyda tylko wówczas, gdy społeczeństwo postara się o utworzenie wielkiéj liczby, nie powiém: *tanich*, ale *jawnie* działających instytucyj kredytowych. Taniość kredytu, podobnie jak pogoda w czasie żniw, nie zależy od dobréj woli jednostek, ale od obfitości kapitałów; jawność jednak jest konieczna, ona bowiem nie tylko przyczynić się może do zniżenia stopy procentowéj, ale nadto zapobiega nadużyciom. W społeczeństwie zawsze znajdą się indywidua nie zasługujące na kredyt uczciwy, zmuszone płacić wielkie procenta i skłonne do podpisywania weksli nawet cudzém nazwiskiem. Chodzi jednak o to, aby przy swobodzie procentowéj, ludzie przyzwoici, choć ubodzy, znajdowali kapitały łatwo i płacili za nie najniższy procent, jaki jest w danych okolicznościach możliwym.

Nie wątpimy, że następstwem zniesienia stopy prawnéj, będzie większa swoboda w zakładaniu instytucyj pożyczkowych, bez czego reforma, o któréj mówiliśmy, nie przyczyni się do rozwinięcia wspólnego dobrobytu.

Że w najtrudniejszych warunkach społeczno-prawnych można jednak wynaléść środki tańszego kredytu, dowiedli ziemianie powiatu janowskiego. W okolicy téj, znalazło się trzech obywateli, a mianowicie: pp. Konstanty Łempicki ze Stojeszyna, Adam Przanowski z Potoczka i Antoni Piasecki z Popkowic, którzy poręczyli solidarnie za pożyczki, nie przechodzące w sumie ogólnéj 15.000 rs. a udzielone sąsiadom ich, przez Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu. Sąsiadów tych jest trzydziestu; średnio więc na każdego przypada po 500 rs. kredytu. Kwota nie wielka, w czasie jednak letnich robót w polu znakomite oddać może usługi i stać się prawdziwém dla okolicy dobrodziejstwem. Należy też mieć nadzieję, że jeżeli dłużnicy wypłacać się będą regularnie, co u nas nie zawsze jest we zwyczaju, wtedy Towarzystwo Wzajemnego Kredytu sumę pożyczek podniesie.

Pisma nasze donosząc o tym czynie pp. Łempickiego, Piaseckiego i Przanowskiego, nie obsypywały ich jałowemi pochwałami i zrobiły dobrze. Istotnie najwyższą pochwałą dla ludzi, którzy poczuwają się do solidarności z innymi, działają dla ogólnéj pomyślności i przyczyniają się do ulżenia losu braci swoich, stanowi sam fakt, że w ludziach tych tkwią pobudki wyższe, wynoszące ich nad poziom zwykłych, o własny tylko interes dbających jednostek.

Ziemia Lubelska ze względu na dbałość o interesa ogólne, bodaj czy nie najszczęśliwsza w kraju naszym. W Lubelskiém, najwcześniéj myślano o konferencyach rolniczych, tam zajmowano się sprawą utworzenia towarzystwa emerytalnego dla oficyalistów i służby wiejskiéj, tam wreszcie zamożni obywatele postarali się o kredyt dla mniéj zamożnych sąsiadów. W Lubelskiém widać kompletniéj i sprawiedliwiéj pojmują „szlachectwo" i rolę jego w społeczeństwie, więcéj pracują i dbają o rzecz publiczną. Bodajby w kraju tylko takie „szlachectwo" istniało, a niezawodnie reszta ludności oprócz szacunku, sympatyi i zaufania, żadnych innych nie znałaby dla niego uczuć.

Inny przykład solidarności złożyli znowu obywatele lubelscy w sprawie urządzenia gospodarstwa leśnego. Dwudziestu trzech z pośród nich złączyło się w celu umówienia wspólnego inspektora lasów, na którą to posadę wybrany został p. Jerzy Hojnowski, Czech dobrze znający język polski.

Obowiązki inspektora są następne: ma obejrzéć każdy stowarzyszony las przynajmniéj dwa razy na rok i odbywać inspekcyą przez tyle dni, aby za każdy wypadało rs. 10 wynagrodzenia. Po wizycie winien dawać piśmienne instrukcye co do robót mających się wykonywać, w celu utrzymania i użytkowania z lasu. W końcu inspektor nie powinien podejmować się żadnych czynności w lasach niestowarzyszonych.

Za pracę swą inspektor pobiéra 2.000 rs. rocznie, którą to sumę stowarzyszeni rozdzielili między siebie, w taki sposób, że każdy las oddzielnie płaci: za pierwsze 200 morgów po 10 kop. od morga rocznie, za następne 300 morgów po 9 kop. od morga, za 500 morgów idące potém po 8 kop. i tak daléj, w stosunku malejącym.

I znowu... w Lubelskiém, a mianowicie we wsiach: Żdżanne, Białopole i Skordejów, obywatelstwo założyło sklepy dla włościan z solą, naftą, żelazem, postronkami i t. d. Pomysł to z wielu względów szczęśliwy. Najprzód mieszkańcy tak zwanego dworu mogą mieć skromne zyski; powtóre włościanie nie będą potrzebowali tak często jak dzisiaj jeździć na jarmarki i miasteczkowe targi, co zawsze dużo czasu i piéniędzy kosztuje; potrzecie zawiążą się ściślejsze stosunki między dworem i chatą.

Trudno sądzić o ile rzeczy takie dadzą się rozpowszechnić, ale było by bardzo pożądane, aby dwory stały się pośrednikami między wsią i miastem w drobnych stosunkach handlowych, aby z jednéj strony nabywały wytwory gospodarstw włościańskich, z drugiéj zaś— produkta przemysłowe niezbędne dla włościan. Zawiązek ruchu w obu tych kierunkach widzimy już dziś, w owych trzech sklepach

na wsiach i w pewnéj liczbie tak zwanych „sklepów wiejskich“ czy „sklepów gospodyń wiejskich“ po miastach. Nie znaczy to Boże uchowaj! że pragniemy zrobić rolników ludźmi uniwersalnymi, a między innemi—handlarzami; bynajmniéj. Rolnik powinien być rolnikiem, niczém więcéj. Lecz pragnęlibyśmy pewnéj części zaludnienia dworskiego, pewnym członkom rodzin obywatelskich, wskazać drogę pracy produkcyjnéj, która stoi otworem. Wiadomo nam, że nieomal w każdym dworze są osoby, które nie zajmują się ani rolą, ani nabiałem, ani ogrodem, a jednak mogłyby pracować z korzyścią dla siebie, rodziny i kraju.

Myśl nasza, wyrażona w formie tak ogólnéj, wygląda na zamach przeciw małomiasteczkowéj starozakonnéj ludności, która (jak może kto zarzucić) znajdzie się bez chleba, jeżeliby drobny handel ze wsiami przeszedł w ręce dworów. Ale zdaje nam się, że taka zmiana stosunków wyszłaby na dobre dzisiejszym starozakonnym handlarzom.

Niechby tylko dwory w drobnym handlu poczęły im robić konkurencyą, a wnet starozakonni wynaleźliby takie drogi zarobku, na któréj zyskaliby i oni i społeczeństwo. Są oni ubodzy i rozpróżniaczeni, przypominają ostrygi, które, zamiast ruszać się i szukać pożywienia, wegetują na miejscu wśród swéj nędzy i brudów, czekając na to co im los zeszle. Współzawodnictwo, ale rozumne, uczciwe i energiczne zbudziłoby ich z odwiecznego letargu i wytworzyłoby z nich klasę nierównie produkcyjniejszą i zapobiegliwszą niż obecnie. Nic tak człowieka nie pobudza jak obawa o jutro i konieczność szukania nowych sposobów utrzymania życia.

Powiedzieliśmy już, że ten ruch między większymi posiadaczami objawia się głównie w Lubelskiém, gdzie stosunki są najtrudniejsze. Inne okolice kraju zalega cisza, która ledwie gdzie nie gdzie przerywa wieść o jakimś huczniejszym balu, albo teatrze amatorskim. Nie twierdzimy, aby tam już ludzie nie pracowali, nie widzimy jednak, aby pracowali zbiorowo, lub téż robili co nowego.

Karciarstwo i pijatyka, na które rozważniejsi skarżą się w pewnych okolicach, jest starym grzechem i wywołuje dobrze znane skutki: utratę mienia. Nawracać zbytkujących w taki sposób nie myślimy. Ci którzy po za grą i pijatyką nie znajdują już sposobu zapełnienia czasu, nie skorzystają z żadnych nauk. Są to istnienia, które w pomyślnych okolicznościach mogą żyć i przekazywać nałogi swoje potomstwu. W warunkach jednak twardych jak dzisiejsze, fatalnie skazane są na utratę majątku i stanowiska.

Dla ludzi tych, niepoprawnych, o siebie ani ogół nie dbających, do ducha czasu nie pasujących a dla społeczeństwa bardzo szkodli-

wych, jedno mamy tylko życzenie. Oto niech jak najprędziéj majątki swoje przegrają i przepiją, i niech ziemia eksploatowana dziś przez nich przejdzie wę właściwsze ręce. Mówią nam, że żywioł niemiecki, który dobra u nas wykupuje, niebezpieczny jest dla kraju. Może to być, w każdym jednak razie większą nierównie plagę stanowią te jednostki swojskie, dzięki bezrządowi i lekkomyślności których obcy wchodzą do nas przybysze. Niemiec zostawia nam czasem przynajmniéj w potomstwie dobrych obywateli, utracyusze zaś i lekkiewicze, pod swojską szatą, są wrogami narodu, ponieważ nie chcą i nie umieją dopilnować zagrożonych stanowisk.

Przechodzimy do faktów z życia miejskiego.

Zwykłe zimowe odczyty skończyły się w Warszawie przed Wielkanocą i w roku bieżącym dosięgnęły dość pokaźnéj cyfry; dwudziestu bowiem prelegentów wypowiedziało około 50 odczytów.

Jak zwykle miały one cel dobroczynny i zasiliły kasy: Towarzystwa Dobroczynności, Tow. Osad Rolnych i szpitala dziecinnego. Ze względu zaś na treść dotykały nauk przyrodniczych (pp. Dziewulski, Milicer, Berdau, Jankowski, Rostafiński) literatury (Chmielowski, Bełcikowski, Kotarbiński), estetyki i sztuki (Gerson, Dzieduszycki, Kleczyński), historyi i archeologii (Bobrzyński, Gloger, Holewiński) a wreszcie różnych kwestyi społecznych (Markiewicz, Miklaszewski, Papłoński, Dobrzycki, Natanson).

Tegoroczne odczyty posiadały trzy cechy, wyróżniające je od dawniejszych. Najprzód p. Gerson poświęcił 20 lekcyj „Teoryi i historyi sztuk plastycznych"; mieliśmy więc jeden przedmiot obrobiony bardziéj wyczerpująco. Powtóre w kilku odczytach starano się uwzględnić sprawy bieżące i tak: p. Dziewulski zaznajomił publiczność z wynalazkami nowemi jak telefon, mikrofon i fonograf; p. Miklaszewski mówił o sądach gminnych, przedmiocie ważnym ze względu na nadchodzące wybory; a dr. Natanson przedstawił z wielu względów interesującą kwestyą uczenia rzemiosł u nas. Potrzecie w szeregu prelekcyj znalazło się trzy poświęcone pedagogice: dra Markiewicza wpływ szkoły na zdrowie; p. Papłońskiego o nowych zwrotach w metodzie początkowego kształcenia i dra Dobrzyckiego o jednym ze środków dźwignięcia oświaty. Nie znaczy to, żeby inne odczyty miały mieć mniejszą wartość niż wymienione; te jednak mają zasługę nowości przynajmniéj na naszych katedrach.

Może się mylimy; dla nas przecie największą wagę miały kwestye poruszone przez pp. Markiewicza, Papłońskiego, Natansona i Dobrzyckiego, wszystkie one bowiem obracały się około wychowania młodzieży, fundamentu przyszłości społeczeństwa. P. Markiewicz zwrócił uwagę na zaniedbaną u nas stronę wychowania fizycznego

i te ciężkie krzywdy, jakie przestarzały, nie dbający o ciało system wyrządza zdrowiu młodzieży. P. Papłoński zaznajomił słuchaczy z historyą metody poglądowéj, która po dziś dzień nie upowszechniła się jeszcze i nie wyparła metody książkowéj. P. Natanson żądał nauki rzemiosł w szkołach, nie zaś w tak zwanym „terminie“, który ogłupia i demoralizuje dzieci, a w najlepszym razie czas im pochłania. P. Dobrzycki w końcu rzucił myśl zawiązania w całym kraju stowarzyszeń, któreby dostarczały funduszów na kształcenie młodzieży, przedewszystkiém elementarne.

Każda z propozycyj robionych przez prelegentów jest dobra, a wykonanie jéj pożądane; na nieszczęście jednak dziś, żadnéj prawie wykonać nie można, przynajmniéj na większą skalę. Edukacya u nas ogólna czy fachowa, szkolna czy domowa, niższa, średnia i wyższa domaga się mnóstwa gruntownych reform, którym jednak dwie rzeczy stoją na przeszkodzie. Pierwsza—brak drogi na któréj choćby największy myśliciel mógłby urzeczywistnieć swój program, druga—nieprzygotowanie ogółu. Rzeczywiście niewiadomość i apatya ogółu w rzeczach wychowania dotyczących jest rozpaczliwa. Nie mamy wpływu na szkołę elementarną, a obok tego zaniedbujemy wychowanie domowe i mało dbamy o towarzyski chociażby wpływ na młodzież.

Otóż sądzimy, że reforma wychowania u nas pójdzie dopiéro za zbudzeniem się świadomości i poczucia obowiązku w tym kierunku. Ludzie, którzy pragną zrobić coś dla młodych pokoleń, muszą skupić się przedewszystkiém w celu oddziaływania na rodziców i w ogóle na dorosłych. Mówią o mających jakoby powstać dwu pismach pedagogicznych. Niechby wychodziło choć jedno, ale dobre. Bardzo téż pożądane jest utworzenie się towarzystwa pedagogicznego, gdzieby nauczyciele prywatni i rządowi mogli wspólnie roztrząsać kwestye wychowawcze i zkąd na cały kraj wypłynęłyby promienie światła pedagogicznego. Bez tych przygotowań, bez obudzenia w publiczności takiego zajęcia się sprawami wychowawczemi jakie istnieje dziś dla spraw dobroczynnych, najświetniejsze projekta nie przyniosą rezultatów. Wielką byłoby już korzyścią, gdyby pokolenie nasze przygotowało grunt choćby do reformy wychowania domowego.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**